

Dodatek do Numeru 1032 „Kłosów“.

ALICYA LORRAINE.

PRZEZ

Ryszarda Doddridge Blackmore.

Przełożyła z angielskiego

T. P.

B.947



WARSZAWA.

W Drukarni S. LEWENTAŁA.

Nowy Świat Nr. 1258a (nowy 39).

1885.

B2 12400
756785 II

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Марта 1885 г.



Alicya Lorraine.

ROZDZIAŁ I.

W d o l i n a c h.

Na zachód od starożytnego miasta Stening, nieopodal Washingtonu i Wistonu, miłośnicy angielskich krajobrazów mają czém się rozkoszować. Rozkoszy téj użyją najlepiej, poszedłszy ścieżynką, która wiedzie przez łąki, tuż pod szanccem, przez wzgórze Sussexu w głębi kraju utworzonym. Są tu pastwiska tak bujne, że mogą służyć za przedmiot marzeń dla najwybredniejszej nawet owcy, jest urozmaicone (skutkiem wymagań gospodarstwa) cieniowanie zieleni, są tu i owdzie grupy drzew, jakby umyślnie dla malarza ustawione, dalej widnieją wzgórza, których pasmo stanowi tło obrazu, a po nad tém wszystkiém gonią się światła i cienie i wdzieczną się do siebie ustawicznie. Prócz tego, są tam jeszcze na załamach ścieżek, na skrócie drożyn, z łąki na łąkę prowadzących, kołowroty, przy których umizgać się można do siebie, we właściwej na to porze roku; ale nie na żarty, broń Boże, bo namarszczone czoła gór narzucają romansującym parom obowiązek wiecznotrwałej stałości.

Niéma człowieka — jakkolwiek srodze przez podróż życiową okutawionego — który-by, posiedziawszy tu chwilę i popatrzywszy, zdołał się oprzeć uczuciu orzeźwienia, a nawet pociechy. Chociaż nie wiedzie on rozmowy z szczytami gór, co tak się wznoszą wysoko, ani z drzewami, co otoczyły go kołem spokojnych słuchaczy, ani nawet z kwiatami, dziś jeszcze tak samo, jak w czasach dzieciństwa jego, barwnymi, jednak sam z sobą znaleźć coś musi do pomówienia — coś, co

lepiej milczeniem wypowiedzieć. Bez gwarne go zamętu myśli, bez bolesnego budzenia samowiedzy, duszę jego, całą myśl jego i serce, przeniknie radość czysta: rodzinna ziemia tak piękna i tyle ma praw do miłości swych dzieci! Ulegnie on potędze téj ziemi, tak hojnie darami sypiącój, tak dobroczynnej a jaśniejącój pięknoscią, którą przez pracę zdobyła i której w tak wysokim stopniu żadna inna nie posiada ziemia.

Zamiast pędzić za granicę, co tchu starczy, i rozbijać się wśród niezliczonych przeszkód, lepiej nie ruszać się z domu i znaleźć sobie wolną chwilę na spokojną przechadzkę po téj drożynie, co się wśród łąk przewija. Tu, gdzie w ogrodzeniu jest wyłom, nad którym chylą się krzaki, jak gdyby naprawić go chciały, a który ślasy usiłują zakryć szerokim liściem swoim, tu stoi kołowrot, wcale niepretensjonalny, a przecież oparłszy się na nim, wcale wygodnie rozglądać w około można. Czyż brak mu bowiem przedmurza z desek, zbudowanego z głęboką znajomością anatomii, z delikatnem wystudyowaniem dziewiczego pocucia przyzwoitości? A przecież, mimo tych desek, jakby dla pokazania, czém to jest ludzka natura, w samej-że podstawie kołowrotu, w trzeciej desce od dołu, są dwie znaczne szczyrby, gdzie kuso ubrane dzieci wiejskie mają brzydki zwyczaj przychodzić na dumanie. Tu, palce w usta włożywszy, siedzą i dumają, a trąc pięty jedna o drugą i gapiąc się na siebie, nabywają własnych pojęć o życiu. Potém, popychając się i wrzeszcząc, zaczynają wdrapywać się na góry i zbiegać z nich pędem, a wreszcie kończą (jak się wszystkie troski kończyć powinny) ogromnym wybuchem śmiechu.

Mimo to, zawiele-byśmy powiedzieli, mówiąc, że najsprytniejsze z dzieci, na podgórzu tém rosnących, lub nawet ten człowiek, za pozwoleniem rządu sprzedający herbatę, tabakę i tytoń, i szukający tu zarobku, ma świadomość rozkoszy, jaką mu widok ten sprawia, lub téż czuje ożywczy wpływ jego. Dla takich, oraz im podobnych, jest to poprostu wielki obszar łąk, ciągnących się u stóp łańcucha wzgórz, obszar zieleni, tu i owdzie przetkanój odmienną zielonoscią drzew, lub brunatnym liściem janowców; dla dzieci jest-to wyborny plac do zabawy; dla ojca ich jest-to grunt, pożądany jako dzierzawa po tyle i tyle z morgu.

Tém jest tylko; a przecież na takich nawet, dla których niczém więcej nie jest, miejsce to działa wpływem, spóźnionym wprawdzie, lecz jak jesienne ulewy obfitym. Później kiedyś, później, gdy choroba, oddalenie lub utrata wzroku zagrozi im drogę do życia, ludzie ci pocują w sercu silne wrażenie, niby tęsknoty za czémś, tęsknoty

silniejszej, niż pożądanie, z samego uwielbienia płynące, lub też z artystycznych upodobań powstałe. Bo ten, którego widok owych piękności przyrody rozkoszą napawa, traci ją, w miarę im więcej się nad nią zastanawia, tak jak traci się i wyczerpuje użyciem wszelka radość i uciecha ziemska.

Ale dla tych, którzy tu się urodzili (a nigdy do tego żadnej wagi nie przywiązywali), gdy nadejdą dni starości lub cierpienia, lub nawet jaśniejszej doli pod cieplejszym niż nasze niebem, dla tych dźwięk dawniej znanego nazwiska, jakieś podobieństwo dalekie, jakiś nawet zwrot myśli niedocieczony i niewyjaśniony, znowu stawia przed oczyma wzgórza te i doliny, stawia je przed pamięcią starców wierniej, niż przed okiem młodzieńców stały... Znowu szumią drzewa, jak dawniej, znowu śnieżno-białe stado owiec zygzakiem pnie się na góry, ciemnym janowcem obrosłe. Tysiączne młodości wspomnienia wiążą się w jedno błogie marzenie starca.

ROZDZIAŁ II.

Coombe Lorraine.

— Zkąd się tam wziął ten stary dom? — jest to zwykle pierwsze pytanie, jakie zadaje Londyńczyk mieszkańcowi Southdownu, prowadzącemu go ścieżką przez doliny. — Musi być ztamtąd słiczny widok, ale gdzież ten dom postawiony i jak wygląda!

— Stoi tam od tak dawna, że miał już czas przyzwyczaić się do swego położenia — odpowiada człowiek tutejszy — a potem nie budowano go, jak te domy, w których wy mieszkacie, z materyałów, na kapelusz, ale nie na dom przydatnych.

Wielki ten starożytny dom, który wygląda, jakby dawniej znacznie był większym, stoi w głębokiej szczelinie góry o rozciąglym grzbiecie, pod samym jej wierzchołkiem. Chociaż stoi tak wysoko i mniej widzi słońca, niż go widzi gwiazda polarna, nie jest on tak bardzo wystawiony na niepogody, jakby to przypuszczać można. Jest po części osłonięty i ma nawet pewną oznaczoną przestrzeń gruntu pod ogrodą, bo stoi na starym i daleko się ciągnącym pokładzie kredy, nad rozpadliną, na co dawniej nie zważano, ale co teraz stało się rzeczą bardzo ciekawą i ogólne zajęcie budzącą, a nosi nazwę *landskip* (usta ziemi). Dużo podobnych rozpadlin znaleźć można na stokach gór Sussex; spowodowało je (jak mówią uczeni) usuwanie się piasków, oraz innych

pokładów ziemi, znajdujących się zwykle pod pokładami kredy. Mało jednak widzieć można rozpadlin tak niewyraźnych i głębokich, jak ta właśnie, nosząca nazwę: *Coombe Lorraine*. Nie jest to tylko zakłębienie gruntu, ale przepaść o prostopadłych ścianach, wyglądająca zupełnie tak, jakby w grzbiecie góry wycięto szeroki płat gruntu od szczytu jej aż do podnóża.

Tutaj-to, za czasów Wilhelma Rudego, Roland de Lorraine, nadanie od niego lub może jeszcze od Zdobywcy mający, w nadziei, że grunt nie rozstąpi się więcej, lub nie wiedząc, że rozstąpił się kiedykolwiek, zbudował sobie dom mieszkalny, niby strażnicę, z której czuwać mógł nad należącą do niego ziemią. Bez wątpienia schronienie to, wzniesione w owych pięknych czasach, kiedy rycerz obowiązany był wystawić dla siebie zamek, musiało być obronnem i do ówczesnego życia należycie przysposobionem.

Bardzo być może, że troszeczkę zazdrości względem przyjaciela de Braose'a, (którego nadanie obejmowało większy obszar gruntu, chociaż on sam pochodził z mniej dawnego rodu i zabił kilku ludzi mniej, niż Sir Roland) skłoniło owego przedsiębiorczego założyciela do postawienia tej twierdzy tak wysoko. W każdym razie, umieścił swoje Penaty na takich wysokościach, że gdyby Bramber Castle stał naprzeciwko, mógł-by zaglądać w jego kominy z równą łatwością, jak w owczarnie swoich *willanów*. Ale los chciał mieć, że zamek Bramber stał za górą.

Koniec tego samego rycerza, zgodnie z podaniem rodzinnem, nie był tak zupełnie pokojowym, jak na to zasługiwało życie całe, w trudach wojny spędzone. W pewien piękny wieczór jesienny, Sir Roland, wraz z przyjacielem swoim i sąsiadem, Williamem de Braose, jechali do domu na spokojne spożycie wieczerzy, obaj w wybornych humorach, pełni dobrej myśli i rozkosznej pogardy dla zdobytego kraju. Księżyc w pełni wznosił się nad łąkami zboża, nadanemi im przez przywilej królewski, nad stadami bydła i owiec, których strzeżli *willanowie*, dziś obu panów poddani, niegdyś łąnów tych i stad posiadacze. Obaj panowie wzajemnie sobie winszowali spokojnego wejścia w posiadanie i życzyliwego przez miejscowych przyjęcia, gdy nagle zastąpiła im drogę gromada ciężkich Anglo-Sasów.

Ci nieokrzesani prostacy nie błagali o łaskę, ani nawet o sprawiedliwość; chcieli tylko, aby depeć po nich, deptano z jaką taką sprawiedliwością i pod jakim takim pozorem słuszności.

— Będziemy po was deptać tak, jak się nam podoba — gniewnie krzyknął de Braose, nauczwszy się już wcale dobrze po angielsku —

takie, jak wy, bryły, na to są, aby po nich deptano. Z drogi mi, albo dobędę miecza!

Ludzie zwrócili się teraz do Sir Rolanda, który z dobrego serca był znany.

— Żle robicie, mówiąc do nas w ten sposób — odpowiedział najlepszą angielszczyzną, na jaką się mógł zdobyć — to jest źle, nie dlatego, że mówicie to, com słyszał, ale że mówicie tak gwałtownie.

I tak mówiąc, ubódł konia ostrogą, a przywódzcy małej gromady napastników usunęli mu się z drogi. Ale był tam jeden, który łuk miał już napięty i strzałę na cięciwie drżącą, z zamiarem, jak to później księdzu wyznał w więzieniu, zabicia de Braose'a, i tylko samego de Braose'a. Gdy dwaj rycerze odjechali cwałem, on w bladym półświecie księżyca, puścił za nimi strzałę i wyrzucił ją tak silnie, że przeszła pancerz, plecy okrywający, i uwięzła w krzyżach Rolanda de Lorraine. Taką śmiercią zginął, a potomkowie jego lubią powtarzać to opowiadanie.

Nie jest jednak prawdą, chociaż utrzymują to potomkowie de Braose'a, że on-to był zabitym, a rycerzem, który ocalał się ucieczką, był Sir Roland. Pobożne modły pięciu pocziwych mnichów z Fécamp mierzyło w niebo za duszę Sir Rolanda z równą pewnością, jak strzała mierzyła w ciało jego towarzysza. Ale po ośmiuset prawie latach, niech korzyści, ztąd wypadające, pójdą do równego między obu podziału.

Jakimkolwiek sposobem zdarzyć się to mogło w owym wieku nieustalonych zasad, pewną jednak jest rzeczą, że zacny ów rycerz umarł, bądź to w tedy, bądź później. Pewną także jest rzeczą, że człowiek jakiś powieszonym został na miejscu, dziś jeszcze pokazywaném, i że człowiek ten, który i tak już chybił celu, wziął to za taką zniewagę własnego poczucia sprawiedliwości, że dziś jeszcze, na pełni księżyca, widują go często, jak wielki swój łuk napina i do jakiegoś celu mierzy, uważając jednak, by nie wypuścić strzały.

Wszystko to, są to tylko legendy, z którymi nic do czynienia nie mamy. Można-by było równie dobrze zostawić je śpiące spokojnym snem przeszłości, gdyby można bez nich dowieść, jakim sposobem dom tak wysoko zbudowano. A przytém mógł-by ktoś mylnie pomyśleć, że tkliwy jakiś i rycerski wojownik sam, własną choć niewyraźną, znajdował przyjemność w tak pięknym a rozległym widoku. Co się tycze tej kwestyi, jesteśmy może za surowi dla naszych przodków, przypuszczając, że nie umieli patrzeć takimi, jak my, oczyma na

„sceneryą“, po prostu dlatego, że wiedzieli, jak dalece niemożliwą jest rzeczą odmalować ją słowem.

ROZDZIAŁ III.

Rodowód i charakter rodu.

Czy praojcowie jego czuli piękność krajobrazu, jaki się przed oczyma ich roztaczał, czy też dojrzyć jej nie umieli, pewną jednak jest rzeczą, że właściciel domu tego i sceny, w czasach, o których mówić mamy, zasługiwał na istotny szacunek wszystkich, nad którymi górował, i że szacunek ten posiadał.

Nieraz się słyszy, że nie istnieje już dzisiaj, albo przynajmniej dowiedzieć nie może, że istnieć ma prawo, żaden w prostej linii z pradziada do prawnuka potomek rycerza, a choćby nawet kucharza, o którym wiadomo, że przyszedł do Anglii za zdobyczą.

Kwestya to niesłychanie delikatna, a co za tém idzie, głęboko drażliwa. Trzeba jednak przyznać z całą szczerością, że na wszystkie strony, tu i tam, są ludzie, mogący jakichś dowodów dostarczyć. Obecny Sir Roland Lorraine mógł ich także na swoją korzyść dostarczyć tyleż, co każdy inny w Anglii szlachcic. Istniało nazwisko, istniała stara siedziba rodowa, istniał też należący do obojga człowiek, istota od obojga przelotniejsza.

Czy można było, czy nie, dowiedzieć rodowodu w prostej po krwi linii, Sir Roland Lorraine był ostatnim z mogących się przytém upierać. Miał on swoje własne przekonania w tym przedmiocie niezmiernie dla niego ważnym i miał niemniej własne uczuć objawy, ilekroć kwestya ta pod rozbiór przychodziła. Duma jego była tak niepospolitego gatunku, że rzadko potrzebował okazać się dumnym. Miał też w sobie żyłkę bardzo miłej żartobliwości, lekko dotykającej wszystkiego, zupełnie wolnej od przedrwiwania, bardzo drażliwie granic swoich strzegącej. Prócz tego, chociaż nie rościł sobie prawa do zbyt rozległej wiedzy, ani wyłącznie klasycznej uczoneści, był to człowiek wielostronnie czytany, obeznany z klasykami i niedozwalający, aby ta znajomość rozplynęła się w mgłę niepamięci.

A ponieważ łączył do tych zasobów uzupełniające je zalety pięknej powierzchowności, ujmującego obejścia, dobrego stanowiska i pięknych dóbr; przeto przypuszczać można, że we wszystkich zapotrzebowaniach towarzyskich Sir Roland mocny miał popyt u sąsiadów.

On jednak, nie przez żadne grymasy, ani chęć wyłączenia się, ale z własnego jedynie upodobania coraz więcej siadywał w domu i trzymał się w nim coraz spokojniej, w miarę im starszym się stawał. Tym więc sposobem, nim doszedł lat sześćdziesięciu, właściciel Coombe Lorraine'u przestał ukazywać się na wielkich zjazdach w okolicy, lub nawet na gościnnych zebraniach w najbliższym sąsiedztwie.

Towarzystwo, zbierające się u jego stołu, składało się z niego samego i córki jego, Alicyi. Żona jego nie żyła już od dawna; żyła jeszcze i dotąd pełną była życia matka jego, Lady Walerya i, dobiegłszy właśnie ósmego krzyżyka życia, uzyskała już prawo robić, co jej się podobało. Prawem czy bezprawiem, umiała ona zawsze urządzać się tak, aby przywileju tego używać do syta, i teraz nawet, choć żyła na uboczu, mało co działo się, a mniej jeszcze dzieć się mogło w domu bez niej.

Hilary, jedyny syn Sir Rolanda, był teraz właśnie w Temple, przygotowując się do zawodu prawnika, czy może co innego zbroić zamierzając, a Alicya, jedyna pozostała przy życiu córka, była ulubioną towarzyszką baroneta i najukochańszą jego pieszczoszką.

Niewiadomo skutkiem czego, czy to czystości rodu, czy jakiegś doboru płciowego wyłączności, czy przemieszkowania od tak dawna na owę górę, gdzie podlegali wpływom północnego klimatu, czy z jakiegś bądź innęj przyczyny, którą wolno filozofom upatrywać w czysto zwierzęcych analogiach; to jednak pewną jest rzeczą, że tak dziś, jak i od bardzo już dawna, Lorraine'owie ci wcale nie byli podobni do reszty otaczającego ich światka. Nie w skutek-to dumy rodowej;—byli oni mało ambitni, łatwo zadowoleni z trudu w daniu ludziom dostępu do siebie. Nie było to także skutkiem jakich niechętnych dla rodzaju ludzkiego usposobień;—spotkawszy uczciwego człowieka, umieli go polubić, a naturalnie lubili go tém więcej, im trudniejszą staje się rzeczą spotkać takiego. Świadczyli też wiele dobrego ubóstwu okolicznemu, byli dobrze znani kościołom, i w ogóle postępowali tak, jak postępować przystoi. Ale na długo przedtém, nim na świat przyszedł Sir Roland, całe Sussex wiedziało i wiadomością tą musiało się zadawałniać, że „ci Lorrainowie“ z zasady „nigdzie nie bywają“.

Sąsiedzi, dumni świadomością tego, co teraz trzeba zacząć nazywać „pochodzeniem od współdziałania“, czuli to dobrze, że choć sami wykazać mogą w rodzie swoim sędziów, szeryfów i herbową starą szlachtę, to jednak nie mogą przeskoczyć przez ową zaporę wichrów, która ma własność nadawania rodowi takiego blasku, dlatego może

że sama w takim cieniu się kryje. Nie bardzo im też chodziło o narzucanie swego towarzystwa ludziom, tak różnym od nich i tak mało skłonnym do podziwiania ich. Ale gdyby kto spytał, na czém zasadza się owa różnica, od tak dawna wybitnie cechująca stary ów ród, na górze osiadły, nikt prawdopodobnie (a najmniej Lorraine'owie) nie był-by zdolny odpowiedzieć na to. Pełno jest ludzi, trzymających się zdala od życia publicznego. Dosiadłszy niezmordowanego konia, można-by też w różnych miejscach świata natrafić na prostotę, dobroczynność i prawdziwe szlachectwo duszy; w owych nawet czasach trafiało się jeszcze gdzieś uczucie, zbliżone (o ile na natura ludzka pozwala) do pogardy marnego kruszcza. Czémże zatem różnili się owi Lorraine'owie od innych ludzi tegoż samego, co oni, stanowiska i téjże saméj sfery?

Zdawało-by się, że istnieje w naturze jakieś prawo, na mocy którego ludzie, różniący się od ogółu bliźnich swoich, czują się tą różnicą urażeni i nie chcą się do niej przyznawać. Ci zaś, którzy przez dumę chełpią się tą swoją odmiennością od typu ogólnego, niewiele się od nich różnią. Ztąd więc wynika, że w roku Pańskim 1811, kometta, która przerażała świat cały, nad złymi zarówno jak i nad dobrymi ogon swój rozposcierając, nie przyswiecała domowi, mniej się poczuwającemu do jakiegokolwiek pod dachem swoim osobliwości, jak dom, noszący nazwę Coombe Lorraine.

U tych Lorrainów istniało podanie (i, jak wszystkie stare podania, stało się nieledwie artykułem wiary), że należy zachować pewien porządek w nadawaniu chrzestnych imion potomkom rodu, jeżeli Opatrzność potomków tych udzielać raczy. Właściwym porządkiem imiona te następowały po sobie: Roland, Hilary i Roger, a rodzina i wraz z nią domownicy i podwładni jój wszyscy, niezłomnie od bardzo dawna wierzyli, że z dziedzictwem następujących po sobie imion wiąże się pewne, odpowiadające imionom, dziedzictwo charakterów, oraz następstwo z charakteru wynikających zdarzeń. Każdy Roland bywał zwykle łagodny a dumny, tkliwie kochający dom i rodzinę, lubownik spokojnego życia i uczuć więcej głębokich, niż gorących. Każdy Hilary, w rodowej kolei imion, zaraz po Rolandzie następujący, skłonny był do przeciwnych ostateczności, choć w rzeczy saméj nieodrodny syn starego szczepu. Każdy Sir Hilary bywał zazwyczaj okazały, uprzejmy i romantyczny, pragnący dokonać coś wielkiego, rad dogodzić każdemu, a dzieciom obrachunek kosztów tych upodobań swoich przekazujący. Po nim zaś zjawiać się był powinien Roger, wybawca rodu, w kołysce już zaczynający rachować szelągi, ro-

snący o cały łokieć rozsądku na każdy cal wzrostu, niechętny każdej myśli, która nie była myślą o pieniądzach lub ziemi i wążący siebie, swoją żonę, oraz większą część swoich zasad, na szalach aptekarskiej wagi.

ROZDZIAŁ IV.

Ojciec i ukochana córka.

W pamiętnym dniu (bo takim był dla tego małego światka) 18 Czerwca 1811 roku, Sir Roland z zadowoleniem spożywał obiad w towarzystwie córki swojej Alicyi. W owych czasach ludzie nie znajdowali upodobania w karmieniu się na wzór puhaczy, lub dzikich kaczek, śpiących gdzieś w gnieździe przez dzień cały. Zimą czy latem, dzwon obiadowy w Coombe Lorraine dawał się słyszeć o pół do piątej, wzywając domowych do przebierania się; a drugi raz o samą piątą zwołując wszystkich na dół do salonu. I nie było obawy, aby się kto spóźnił, bo powietrze gór Southdownu dodaje apetytu i natura przewidywała snadź żądania ludzi, zaopatrując tamtą okolicę w najlepszy gatunek baraniny.

Gdy pocziwy stary kamerdyner odszedł nareszcie, a długą, mroczną jadalnią zaległo milczenie, Alicya podbiegła do ojca, by mu złożyć przy kieliszku wina, te stare, wszelkich pomyślności życzenia, które tak łatwo z ust dzieci w ucho rodziców padają.

— Ojczusiu najdroższy, życzę ci wielu, wielu jeszcze takich dni imienin i dobrego zdrowia przy każdym.

Sir Roland kończył właśnie w tym dniu lat sześćdziesiąt, a ponieważ, mimo pewnej wrodzonej powściągliwości charakteru, miał dobrą myśl, jednostajny, a nawet wesoły humor, nie widział zatem wcale, dlaczego by nie miano wzywać na jego głowę wszystkich błogosławieństw szczęścia. Jeden z ważniejszych składowych żywiołów tego szczęścia patrzył teraz właśnie na niego, niewątpliwie był obecnym i nawet miał zamiar i nadał takim pozostać.

Wyraz jego spojrzenia świadczył, że wszystko to żywo czuje, ale nie był on człowiekiem, nawykłym do objawiania swoich uczuć, a zresztą nie miał żadnej szczególnej racyi żywiej to odczuwać, niż zwykle. Nie mając jednak owę racyi, w istocie żywiej czuł się wzruszonym, niż zwykle; odwrócił więc oczy od twarzy córki, usiłując odpowiedzieć jej obojętnie.

Ale ukochana córka, Alicya, nie myślała się tém zadowolnić. Była ona wtedy w téj właśnie przelotnej chwili życia, kiedy dziecięta na wszystko zwracają uwagę, choć nie zawsze chcą to okazać. Przynajmniej tak dawniej bywało i tak dotąd bywa w porządnym domach. Alicya zawahała się przeto chwilę, nim znowu myśleć zaczęła. Jedynym wiadomym jej kłopotem, jaki mógł trapić jej ojca, był nieustalony i zbyt romansowy charakter młodego Hilarego. O tém jednak nigdy z nią ojciec nie mówił, nie wzmiankował nawet o tém; było-by to bowiem naruszeniem przepisów, na których gruntuje się należyte obwarowany konserwatyzm: spadkobierca rodowy, głowa domu, chociaż-by nawet był szaleńcem lub głupcem, musi mieć głupotę swoją i szaleństwo święcie strzeżone od szyderskich uśmiechów młodszych członków rodu. Hilary zaś, nie był wcale głupcem ani szaleńcem; był to tylko młody człowiek niepospolitego umysłu.

Widząc, że ojciec nie miał żadnych złych wiadomości od Hilarego, od którego rano właśnie otrzymał był list bardzo serdeczny, Alicya uczuła się przykro zdziwioną, lecz nie śmiała zadawać ojcu pytań. W owych czasach, na barbarzyńskiej téj wyspie, dzieci okazywały jeszcze rodzicom uszanowanie i czuły je dla nich; Alicya też, choć takie pieszczone dziecko ojca, przejętą była temi szlachetnymi uczuciami. Przytém, dopiero zaczawszy rok siedemnasty, wiedziała, że choć wyrosła już z rozkosznej swobody dzieciństwa, nie posiada jednak jeszcze znaczenia dorosłej dziewczycy, a tém mniej powagi, jaką ma dojrziała już kobieta. Dlatego też słoneczny jej uśmiech znikł w cieniu westchnienia; zamiast położyć śliczną główkę na ramieniu ojca, przyniosła sobie niziutki stołeczek i ulubioną od dziecięcych czasów poduszkę, i tak siedząc, spoglądała na ojca całym sercem, ufając, że przytuli ją do piersi z tą samą, co za lat jej dziecięcych, miłością.

Jakiebaż mógł mieć Sir Roland kłopoty, nie zaprzętały one jednak myśli jego tak zupełnie, aby z ich powodu zaniedbać miał ukochanego dziecka. Na smutnie pytające jej spojrzenie odpowiedział uśmiechem, którego szczerości uwierzyć mogła Alicya: pogłaskał ją staromodnym obyczajem i pocałował w czoło.

— Alinko, taką strasznie poważną masz minkę! Skończy się na tém, że, nie zważając na twoje westchnienia, na łzy i szlochy, ubiorę cię w czepeczek. Główna, tak już dojrziała mądrością, musi się nawet powierzchownością swoją stosować do mądrości dojrzalego wieku.

— Ojczulku, czepki, to taka szkaradna rzecz! zresztą wiész

dobrze, że sam ich także nie cierpisz. Parę dni temu dopiero mówiłeś, że nawet zamężne kobiety nie mają prawa robić z siebie takich straszylek.

— Zamężne kobiety mają prawo myśleć tylko o podobaniu się mężom. Może to zbyt ciasne pojęcie słuszności, ale to znowu inna kwestya. Alicyo, nigdy nie uważasz, gdy próbuję nauczyć cię czegośkolwiek.

Sir Roland urwał tak nagle dlatego, że córka jego, więcej niż on sam, uważała na to, co mówił. Podobnie, jak wielu mężczyznom, zdarzało mu się czasem zbyt zapędzić w mowie; przy córce jednak starał się zawsze ostrożnym być, dlatego, że była ona sierotą bez matki i nie miała nikogo, kto-by sprostować mógł jej pojęcia.

— Ojcie! — zawołała Alicya, wymawiając tytuł ojcowsstwa z tym akcentem, jaki tylko pieszczone dziecko nadać mu może — ojcie, tyś dziś zupełnie niepodobny do siebie.

— Kochanko, ludzie często bywają niepodobni do siebie, z wielką dla siebie korzyścią. Ale o mnie nigdy tego nie pomyślisz. A teraz, wyjaw mi zdanie, jakie masz w tej kwestyi, wyjaw, pieszczoszko moja.

Ojciec dlatego tak pieszczotliwie mowę swoją zakończył, że ujrzał w oczach dziewczęcia coś, co migotało niby łzy, dziwném jego obejściem wywołane.

— W jakiej kwestyi, ojcie? W kwestyi czepków? O! nie! w kwestyi twego obejścia się ze mną, ojcie. Ha! dobrze, ale czy pewny jesteś, ojcie, że będziesz zdolen wysłuchać wszystkiego, coś zrobił.

— Nie, kochanie, wcale tego nie jestem pewny. Ale spróbuję słuchać cierpliwie wszystkiego, choćby to wszystko było najmocniej przesadzone i najmocniej mi rozdzierało serce.

— Kiedy tak, ojcuzku, to wszystko usłyszysz. Powiedz mi tylko, kiedy mam przestać. Po pierwsze nie odmówił-żeś, ojcie, wprowadzenia Hilarego do domu na dzień twoich urodzin, chociaż wiedziałeś, jak mi go bardzo potrzeba? Przyznajesz, żeś to zrobił. I nie wytłómaczyłeś się z tego, ojcie, tylko przebaknąłeś o *examinach* w *Trinity-college*, coś straszliwie niezrozumiałego. Powtóre, kiedy chciałam, żebyś miał dzisiaj jaką zmianę, żeby na obiad był wuj Struan i Sir Remnant, i jeszcze z parą osób...

— Moja duszko, jakże-bym mógł zjeść tyle „na obiad“. Pomyśl, jakich jest wuj Struan rozmiarów?

— Ojczy, probujesz tylko, czy ci się nie uda mnie rozdrażnić, dlatego, że nie jesteś zdolny odpowiedzieć. Wiiesz, co chcę powiedzieć, wiesz to równie dobrze, jak ja, może nawet lepiej. Chcę powiedzieć, że wypadło-by mieć jednego lub dwóch najdawniejszych twoich przyjaciół, żeby ci uprzyjemnili dzień urodzin; ale ty, ojczy, odpowiedziałeś z niezwykłą u ciebie srogością... „Kochanko, nie chcę mieć nikogo, prócz ciebie“.

— Słowo daję, powiedziałem to! Jak to kobiety... chcę powiedzieć, jak to dzieci... umieją wprawić w podziwienie człowieka, uchwyciwszy nawet akcent wypowiedzianych przezeń wyrazów, kiedy jemu samemu one już wyszły z pamięci.

— Nie rozumiem, ojczy, do czego to mówisz. I nawet zdaje mi się, że tę uwagę robisz dla siebie tylko, jak zresztą wszystko, co mówisz od tygodnia przynajmniej, a nawet mogła-bym powiedzieć...

— Alineczko, miej-że trochę wyrozumienia...

— No, to powiem tylko, że przynamniej od dwóch. Już tyle tylko powiem i dam pokój, choć wiem, że za mało, zanadto mało powiedziałam. A kiedy już sam to przyznajesz, ojczy, to jakąż słuszną racją usprawiedliwić możesz takie obchodzenie się ze mną... kiedy ja... ja... jestem najlepszym w świecie dzieckiem?

— Czy „ja, ja, ja“, przeżywszy takich utrapień całe dwa tygodnie (które w rzeczy samej nie trwały dłużej, jak cztery godziny) zdoła wysłuchać małego opowiadania bez zbytniego wzruszenia?

— O, ojczy! opowiadanie, opowiadanie! To mi wszystko wynadgrodzi... Co to za rozkosz, ojczy! Nic tak nie lubię, jak słuchać opowiadania o starych czasach. Wydaje mi się wtedy, że swoją własną starość przeżywam piérwój, nim starości doczekałam. Ojczy, wszystko ci przebaczę, wszystko, tylko mi co opowiedz.

— Alicyo, tego to już za wiele. Wiem, że jesteś bardzo, bardzo dobrą dziewczynką; ale, pomimo to, powinna-byś starać się myśleć. Kiedy byłaś zaledwie dwuletnim małym, wyglądałaś na dziecko zawsze o czémś myślące.

— I teraz téż taką jestem, ojczy! zawsze myślę, jak ci się przypodobać i wszystko robić jak najlepiej.

Sir Roland uznał się teraz zwyciężonym, bo wiedział, że te słowa są prawdą najistotniejszą. Alicya i tak już za wiele myślała o wszystkim, o czém tylko myśleć mogła. Ojciec jój wiedział, że źle jest, gdy słoneczną dobę młodości zachmurzą troski niewczesne; i często trapiły go dojmujące obawy, czy czasem najukochańsze jego dziecko nie za wiele ma samotności. Ale ona śmiała się tylko, gdy ojciec

proponował jój wynalezienie nowych towarzyszek i zapewniała, że kuzynki z plebanii zupełnie jój wystarczają.

— Proszę ojca — pytaniem przerwała mu teraz zamyślenie — jak to długo trzeba będzie jeszcze czekać, nim ojciec zacznie mi opowiadać tę przesłiczną historią?

— Kochanko moja, zapomniałem; myślałem o tobie, nie o żadnych wymyślonych historyach. Ale dzień dzisiejszy jest najwłaściwszym do wykrycia naszej małej tajemnicy. Naturalnie słyszeć musiałaś nieraz o naszym starym astrologu.

— Słyszałam, ojcze, naturalnie słyszałam. I kocham go z całego serca: wszystko, co mi o nim mówili pastusi, dowodzi, jak był nawskróś dobrym.

— To dobrze, bardzo dobrze, że go kochasz... całe moje opowiadanie będzie o nim i o jego czynach.

— O! kiedy tak, ojcze, staraj się, proszę cię raz w życiu, staraj się śpieszyć trochę. Tak lubię wszystko, co się do astrologa odnosi i tyle już o nim słyszałam.

— Nie wątpię, że słyszałaś dużo, ale może rzeczy cokolwiek na bajkę zakrawających. Może to jego mądrość, lub sposób obejścia się, lub powierzchowność, ale w każdym razie, zdaje się, że coś niezwykłego zrobiło tak długotrwałe wrażenie na prostym ludzie tutejszym.

— Większe, niż pełny garnek pieniędzy; parę dni temu mówiła mi jedna stara kobieta, że kiedy się komu astrolog przyśni, to lepsze, niż gdyby znalazł pełny garnek złota.

— No, garnek przydał-by się im więcéj bezwątpienia. Ale dzisiaj nie miałem jeszcze ani zdźbła tabaki. Jużes mnie do szczytu ujarzmiła, Alicyo, ale zawsze pozwalasz mi jeszcze na jedną szczyptę, kiedy zaczynam ci opowiadać coś ładnego.

— Pozwolę ci na trzy, ojcze; i dostaniesz trzy teraz, i zaraz możesz zażyć wszystkie od razu, bo nigdy jeszcze przez całe twoje życie nie opowiadałeś mi takiej historyi, jak jestem pewną, że będzie ta, którą teraz opowiesz. A teraz chodź, ojcze, tu, na słońce, żebym mogła widzieć, z jaką miną będziesz wymawiał każdy wyraz; a jak ci będę zadawała pytania, to musisz, ojcze, kiwnąć głową, ale się nie waz, ojcze, odpowiadać na żadne, chyba będziesz zupełnie pewny, że możesz odpowiedzieć, nie przerywając ciągu opowiadania. A teraz, ojcze, zaczynaj już bez żadnej zwłoki.

ROZDZIAŁ V.

Legenda o Astrologu.

Na dwieście lat przed owym dniem, w którym Alicya zasiadła do słuchania, jeden z jój przodków szeroko zasłynął w Anatolii.

Najwykształceńszym i najuczeńszym w całej Azji Mniejszej księciem był Agarykles Siennensis, potomek Mauzolusa (unieśmiertelnionego przez swoje Mauzoleum) i znakomitego monarchy, Siennesisa z Cylicyi. Gdy ci obadwaj pomarli, a sława ich znacznie się z biegiem czasu zmniejszyła, potomkowie ich łączyli się z sobą; przez ciąg dwudziestu dwóch wieków zawarło się między nimi nie jedno przystojne i szczęśliwe małżeństwo, których najlepszy wynik i owoc wcielonym był obecnie w osobie księcia Agaryklesa.

Ksiązę nie tylko opiekunem był, ale i gorliwym uczniem najtajniejszych sztuk i nauk, jakie za jego czasów uprawiano. Głównie zaś skłaniał swój umysł do chemii (włącznie z alchemią), do mineralogii i astrologii. Poświęciwszy się całkowicie tym szlachetnym naukom i przytém wielu innym jeszcze, zdawał się zupełnie zaniedbywać antropologią, i dlatego w pięćdziesiątym roku życia był tylko bezennym samotnikiem.

Kłopotany w tój dobie życia licznemi napomnieniami (szczeremi ze strony przyjaciół, ze strony krewnych natarczywemi) długą odbył naradę z gwiazdami i idąc za ich radą tak, jak ją otrzymał był i zrozumiał, pojął następnego dnia żonę. Przekonał się (o ile się na tém mógł poznać), że nie omylił się w wyborze. Małżeństwo wyszło mu na dobre. Żona rozstała się z tym światem, zaraz po pierwszej słabości, zostawiając mu córkę, urodzoną w roku Pańskim 1590 i przez wszystkie kobiety za piękność uznaną.

Odtąd spędzał ksiązę wszystkie wolne chwile, zatopiony w myślach i obliczeniach. Już był prawie zdecydował, że z pewnością syna mieć będzie, a oto umarła mu żona, i czyż mógł powtórnie narażać tak swoje życie? Wszystko rozważywszy, zdecydował, że mogło być daleko gorzej, chociaż powinno było być daleko lepiej, i że należy mu podziękować gwiazdom i na nic się zbytnio nie użalać; skutkiem czego znowu się zatopił w naukach i poznał je prawie wszystkie.

W tym odwiecznym zakącie świata, w starożytnój Karyi, piękny

pierwotny lud Lelegów uważał księcia i miłował gorąco, i w dzień, jak w nocy, gotów był zawsze służyć mu lub go okraść. Przyszli oni do przekonania, że najlepszą dla nich sposobnością zadośćuczynienia obowiązkom rodzinnym było okradanie księcia (w tedy, gdy on sam patrzył w gwiazdy, a nie było żony, coby własności jego patrzyła). Spełniali więc ten obowiązek z należytą wygodą i poczuciem, że wracają do domów tak, jak mężom wracać jest najwłaściwiej.

Księżę Agarykles, starzejąc się, coraz silniej odczuwał podobne przykrości. Ogólną jest to zasada, że człowiek, starzejąc się, rozleglejszej nabywa świadomości o tém, iż z natury rzeczy okradanym być musi, a jednak rzadko kiedy zdaje się godzić z tym faktem, którego konieczność wykazać mu powinna większa dojrzałość rozumu. Toż samo zdarzyło się i dobremu księciu panu; nie dla tego, aby dbał tak dalece o drobiazgi, ściągające na siebie oczy ludzi dobrego smaku i ręce ludzi wielkiej zręczności, ale dla tego głównie, że nawet z pomocą gwiazd nie mógł już znaleźć żadnej rzeczy tak kosztownej, aby ją ukraść było warto. Ztąd więc, ponieważ jego córka, Artemiza, rozkwitła już całą pełnią młodej piękności, uznał za rzecz roztropną wnieść pomiędzy nią a zewnętrznym światem najmocniejszą, jaką wystawić mógł, przegrodę.

Trafiło się wtedy właśnie, że okolica tameczna otrzymała świeży zasilek rabusiów. O tym fakcie, wcale zresztą zwyczajnym, księżę mógł się przekonać osobiście, oderwawszy oczy od gwiazd i rzuciwszy je na ciasne łono macierzystej ziemi. W ten, czy w inny sposób, ostrzeżony o miejscowych bezprawiach, karyjski księżę przedsięwziął środki ostrożności bardzo silne a nawet wcale świętokradzkie. W roku naszej ery 1606, czy coś około tego, córkę swoją, razem z innemi skarbami, ogrodził na pewnym półwyspie, własność jego stanowiącym. Półwyspu tego, wyraźnie oznaczonego na mapach, również wyraźnie okopywać i ogradzać zabraniała w starodawnych wieszczkach biegła Pythia, która, jak się zdaje, musiała być osobą wyjątkowo wyraźnych przekonań konserwatywnych.

Księżę, jako jedyny mędrzec owych stron, wybornie wiedział o tym zakazie, dotąd utrzymującym się w całej sile, która wzmódzić się nawet musiała dwudziestokrotnie przez dwudziestowiekowy przeciąg czasu; a ponieważ przez ten czas, tak zresztą niedługi, morze cofnęło się było cokolwiek, oczywiście, więc Jowisz nie zmienił poglądu swego na tę kwestyą: „Wcale nie miał zamiaru zmieniać półwyspu na wyspę, inaczej był-by go stworzył wyspą”. Agarykles wątpiewał zatem trochę o prawowierności swego postępku, bo zaró-

wno jak i sąsiedzi jego, miał jeszcze pewne poszanowanie dla starych bogów klasycznego świata. Większe jednak poszanowanie miał dla gwiazd, a te mu obwieściły, że młodziuchna Artemiza zdolną jest uciec z jakim śmiałym awanturnikiem. Półwysp przeto najlepiej odpowiadał księcia zamiarom, a nigdzie nie mogło być piękniejszego i dogodniejszego nad ten, do niego należący, sławny jako miejsce starodawnego Knidos, kędy przed wiekami Wenera była królową.

Nie zważając na miejscowe uprzedzenia, ani nawet na przestrogę Delfickiej Wyroczni, uczony książę wziął się do dzieła, i za pośrednictwem pięknego płotu z różanych krzewów, uczynił pięcio-stadyczne międzymorze niedostępnym nawet panom, w grube spodnie zaopatrzonym, a cóż dopiero tuziemcom, niewyposażonym spodniami. Zagrody tej przesadzić też nie mogli konni włóczęgowie: Turcy, Cylicyzcy, Pamfilijscy, Karamańcy, ani też zbójcecy górale Taurusu.

Uczyniwszy więc ogrodzenie po swojej myśli, postawiwszy u furtki dwie placówki, a u każdego końca po jednej, — co zaś najważniejsza — umieściwszy po-za ogrodzeniem młodą osobę, zaopatrzoną w mnóstwo zdań moralnych, książę Agarygles wyruszył w odwiedzinę do pewnego armeńskiego mędrca, który uchodził za równie uczonego, jak sam książę. Wiódł z nim uczone spory o Al-Hacenie, Witelliuszu, o współczesnym Keplerze i spędzał tak znaczną ilość godzin na przebywaniu w wyższych sferach myśli, że gdy powrócił w rodzinną okolicę, przekonał się, iż małą popułnił pomyłkę. Była ona jednak rzeczą tak prostą, że popełnić jej nie mógł nikt inny, prócz mędrca i wielkiego filozofa. Uczony mąż zapomniał, jak się zdaje, że po morzu pływać można. Zdarzyło się więc, że pewien szlachetny młody Anglik, na uzbrojonym statku, to krążący wśród wysp Egejskich, to na Karpatyjskim morzu uganiający się za rozbójnikami morskimi, usłyszał o tej drogocennej perle Wschodu i o jej obwarowanej samotni. Naturalnie, tego mu tylko trzeba było. Wylądowawszy pod przylądkiem, na którym Knidyjska Wenera stawała, wpadł w dziki obłęd miłości i, padając, drugą jeszcze istotę za sobą pociągnął.

W oczach ludzi obojętnych uchodziło bezwątpienia tych dwoje za szaleńców nieledwie, i w samej rzeczy wyglądali jak ludzie, pomieszani na umyśle. Im samym jednak zdawało się, że zostali przeniesieni na jakiś świat nowy, wysoko wieszony po-nad poziom i pojęcie zwyczajnego świata. Artemiza zapomniała o swęj dumie, o zdaniach moralnych i pretensjach swoich; zbiła się z toru, po którym sztybowała na wyżynach życia; nie już nie wydawało jej się takim samém

jakiem je wczoraj jeszcze widziała. Z duszą i sercem, z wyżyną i głębią, oddała się w ręce Anglika; zostawiła nawet klejnoty swoje.

Puściło tedy tych dwoje łódź swoją na nieznane wody; dziewica, z sercem wstrząsaném burzą przełamanych obowiązków córki, a jednak w znacznej części silnie zahaczoném na szlachetnej kotwicy miłości; młodzieniec, dyszący żądzą waleczenia bodaj z olbrzymem, byle tylko podnieść się aż do niej.

Nierozważnej Artemizie powiodło się daleko lepiej, niż na to zasługiwała za zostawienie tkliwego ojca po drugiej stronie żywopłotu. Okazało się, że śmiały młody żeglarz był Baronetem Hilarym Lorraine, dziedzicem owego starego domu, czy też zamku, stojącego nad rozpadliną gór South-downu. Posiadając awanturniczego ducha przodków, puścił się na morze z Raleighem, tu i owdzie nabroił nie mało i widział tyle prawie świata, ile jemu lub światu mogło to być potrzebném.

Ponieważ umysł jego rozwinęły podróże, był więc zdolen powściągnąć nieprzystojną ciekawość co do życzeń nieobecnego księcia; i odkładając do właściwszej pory przyjemność poznania go, odpłynął z książeczą córką na pokładzie, jak to już wyżej wspomniano. Połączono w jedno tych dwoje starożytnym obrządkiem Greckiego Kościoła w klasycznym cieniu góry Idy. I aż do dnia śmierci, żadne z nich nie żałowało tego... niebardzo przynajmniej.

Gdy książę powrócił i nie zastał córki, która-by go z drogi witała, nie potrafił zachować przez krótką chwilę tego panowania nad sobą, którym zwykł był się chlubić od lat wielu. Ale, poprawiwszy stan swego ducha przez hojną bastonadę sług, chłopów i ludzi na warcie stojących, uczuł, że znowu dostojnie powraca w sferę czystego rozumu. W parę nocy potem wypadło zajmujące zbliżenie się ciał niebieskich i zaćmiło mglisty ten świat, na którym istnieją kobiety.

Po kilku latach zaczął przyjmować podarunki pitne, jadalne i brzęczące. Stopniowo objawiał mądrość swoją, zbywając mało-ważnego gniewu, a gdy go wezwano na spotkanie gwiazdy, mającej rządzić losami jego wnuka, rad nie rad, kazał podać sobie konia.

ROZDZIAŁ VI.

Dalszy ciąg legendy.

Chociaż książę wiedział dużo więcej o niebie nad ziemią, niż o ziemi pod niebem, nie spodziewał się jednak, aby całą drogę do Anglii odbyć mógł konno. W Smyrnie wsiadł na okręt i, po różnych trudach i niebezpieczeństwach, wylądował w Shoreham, pełen radości, że oglądać będzie swoich czworo wnucząt, których, jak się pokazało, było już pięcioro w chwili, gdy je ujrzał. Drogi w Sussex były tak złe, jak można, a gorsze niż gdziekolwiek indziej być mogły; ale silne woły przyłożyły karku do przewiezienia go przez wszystkie stałe i płynne zawady; a książę trzymał się powozu równie mocno, jak powóz jego się trzymał. Nigdy przedtém żadnych dróg nie widziawszy, uważał je za godne podziwu urządzenie, a chociaż, światłem naturalnych popędów zbłąkany, zżymał się niejednokrotnie na doznawane wstrząśnienia, jednak, po małej chwile namysłu, wracał z wolna do stanu zadowolenia. Umysł „niepoprawnie analityczny” od razu wykrył pierwiastek mądrości w rozumowaniu tamecznych ludzi:

— Gdyby te drogi były lepsze, ludzie-by zaraz gotowi codziennie jeździć po nich. Pan Bóg nie po to stworzył drogi, żeby lada kto mógł jeździć po nich, jak mu się podoba, nie będąc zmuszonym wysiadać i naprawiać, co się w drodze popsulo. Rozpróżniaczyli-by się ludzie bez roboty.

A gdy rozumowanie powyższe zostało przetłómaczone Jego Książęcej Mości, tak go uderzył zawarty w niém zdrowy rozsądek i logika wniosków, że zaraz się uspokoił i przez resztę drogi podziwiał już tylko wielkoduszność charakteru Anglików. Uczuciu temu, na tak silnych ugruntowanym podstawach, nie mogła prawdopodobnie zagrażać dalsza znajomość z wielkim Anglików narodem. Więcej niż rok zamieszkiwał książę Agarykles w hrabstwie Sussex, i niejedna z oryginalnych jego uwag, przechodząc z pokolenia w pokolenie, przechowywała się do dziś dnia w ustach pastuchów miejscowych, tém łacniej, że zalecała je wrodzona wyższość książęcego rozumu. Nauczył się bowiem po angielsku o tyle, że mówić mógł rzeczy po dziecinnemu zabawne i po dziecinnemu téż z prostotą wypowiedziane. Z tą wszelako różnicą, że podczas, gdy najśmielsze malców poglądy, przechowywane w pamięci pyszniących się nimi matek, są tylko wyrazem

szczęśliwego niedoświadczenia, mądre słowa starca były przeciwnie wynikiem nieszczęśliwego doświadczenia.

Mimo to, musiał on uznawać dobroczynne siły niestrudzenie czynnej przyrody. Lubił bowiem, gdy zimny wiatr ciągnął po wzgórzach, schodzić w opłotki wiejskie i czekać tam przede drzwiami chat, dopóki nie wybiegną dzieci, ciekawe przypatrywać się starcowi. Niebawem dzieci te odważyły się wysledzić, że, mimo cudzoziemskiego ubrania, miał jednak na sobie kieszenie, i zaczęły szeptać o tém pomiędzy sobą, jednocześnie szperając mu oczyma po kieszeniach.

Innym razem, gdy ciepły wietrzyk powiewał, gdy delikatne przejrzyste obłoczki goniły się po niebie, a wielki ten mąż, który znał świat cały i wszystkie zawieszone nad nim gwiazdy, znajdował przyjemność w przebywaniu krętych, spadzistych, lub w górę biegnących ścieżek górskich, w dziwne pokrzyżowanych sploty, i zielenią gór oczy swoje napawał. A potem, gdy zachodnie słońce złotem oblewało szczyty, a doliny pogrążały w uroczystej pomroce, człowiek ten, u schyłku życia stojący, rad spoczywał na darni pagórków, przypatrując się cichych owieczek gromadzie. Myśl jego często zwracała się wtedy do kraju, kędy mu zbiegło dzieciństwo, a otaczający go spokój przyrody ukajał starca, jakby piastunki objęciem. A jeżeli zdumę jego przerwał chrzest ziół, szczypanych przez owce, lub figle baranie, świetnością wybrykom ludzkim równe, wtedy obracał się i rozmawiał, jak umiał, z samotnymi trzód pastuchami.

Ci prostaczkowie bawili go prostemi swemi gadkami, niezależnością swoją i dziwném z losu swego zadowoleniem; on zaś wprawiał ich w zachwyt niezwykłym sposobem mówienia, zwrotami myśli, przechodzącemi ich pojęcie, i umiejętnością, z jaką stosował do życia rozległą, oderwaną mądrość swoją. Takim-to i wielu innemi sposobami starodawny ten książę, szlachetnej postawy, śnieżnego włosa rozwianego, i odzieży dotknięciem krawieckich rąk niepokalaną, zostawił po sobie w górach tyle śladów, że długo potem wierzono, iż duch jego nawiedza ścieżki, przez owce wydeptane.

Upodobawszy sobie Anglią, krajobraz jój i obyczaje, rad z posiadania pięciu gwiazd dzieciannych, wielki ten astrolog postanowił osiedlić się w Anglii na czas możebnie najdłuższy. Wysłał zaufanego sługę, Memla, kupieckim okrętem po przybory swoje i papiery, po różnorodne kosztowności i nieprzeliczony zapas osobliwości. Memeł przywiózł w całości wszystko prawie, z wyjątkiem jednej lub dwóch małych rzeczy, które w jego mniemaniu były drobnostkami, ale których strata mocno obeszła księcia.

Ksiązę jak najstaranniej rozpakował swoje rzeczy, w swoim własnym ośmio-sciennym pokoju, nikogo, prócz córki, nie dopuszczając do pomocy i jęj nawet nie dowierzając w zupełności.

Poczem udał się natychmiast na wędrowkę pomiędzy gwiazdami Southdownu, i od tęg chwili dzwon, wzywający na obiad lub wieczrę, znaczył dla niego tyle, ile szczekanie psa. I tak tęg przepędzał i noce, zapomniawszy, niestety! o różnicy klimatu; spędzał je pod chłodnemi gwiazdami, kiedy po słuszności należało mu je spędzać pod kołdrą.

Szło tak coraz gorzėj, aż wreszcie około połowy miesiąca Czerwca roku Pańskiego 1611, umysł starca podniósł się do temperatury dużo wyższėj nad właściwą. Na niebie gotowały się wielkie rzeczy, które mogły służyć za sprawiedliwą wymówkę zaniepokojeniu ludzkiemu. Ksiązę, który, stosownie do pogody, zawsze miał swoje przybory w pogotowiu, bądź to w ośmiościennėj swojėj komnacie, bądź to na ulubioném miejscu wśród gór, z każdym dniem niecierpliwiej wyglądał chwili, w którėj słońce zejdzie mu z drogi i z każdą nocą mniej miał pobłażania dla chmur. Sam z sobą w rozterce, przybity i skwaszony (z wyjątkiem krótkich chwil, w których rozjaśnione sklepienie niebieskie zmieniało jego posępność w nerwową radość) nikł i wiadł ciałem w miarę tego, jak świetniej błyszczał umysłem. Po nocy przyspieszonėj pracy, ostatkiem sił przywłókł się rano do domu, a twarz jego, upadek sił zwiastująca, postrachem przejęła domowników. Nikt nie śmiał go zapytać, co się zdarzyło i dlaczego tak wyglądał; on zaś, jako prawdziwy filozof, wszelkie objaśnienia schował dla siebie. Potem podniósł się znowu i, otulony w Samijski płaszcz swój, poszedł za oczy, na najwyższy, najciemniejszy i najsamotniejszy z górskich szczytów.

Było tam miejsce, które lepiej od innych nadawało się do usposobienia jego i zamiarów. Miejscowość, dziś dobrze znana i widownia niejednego wesołego pikniku, Chanctonburg-Ring, była wtedy samotną ustronią, którą otaczał postrach przechadzającego się tam ducha; a był to duch starca z długą białą brodą, i przechadzał się nawet w popołudniowych godzinach, z głową schyloną, jakby czegoś szukał po ziemi, w bezowocném ubiegłych stuleci przeszukiwaniu. Skarb ten, szukany od tak dawna, został teraz znalezionym; nie duch go znalazł wszakże, ale szczęśliwe lemieszka w ziemi zarycie, i od tęg już porry widmo właściciela zaprzestało wędrowek swoich. Przypuszcza się, na podstawie danych, potrzebnych do zamiany przypuszczenia w pewność, że duch ten to dzierżawił niegdyś Chancton-Manor od

hrabiego Gurtha, brata Haroldowego, a ponieważ zginął pod Hastings, zapomniał przeto, gdzie skarb swój zachował.

Jak za dawnych czasów tak i dzisiaj, Chancton-Ring jest najspokojniejszym miejscem do przyglądania się okolicy przez teleskop, przy lekkim wietrzyku pogodnego dnia. Jest to najbardziej wystający i na przód wysunięty punkt całego łańcucha nagich szczytów, uwieczonych ciemnymi wierzchołkami drzew, burzą miotanych. Ale wtedy, gdy astrolog Agarykles obierał tam sobie główną siedzibę nocną, nad szczytem owym nie zwieszały się jeszcze drzewa, a okopy brytańskiego obozu (jeżeli on istniał tam kiedykolwiek) były wyraźniejsze i wolne od najścia plantatorów drzew. Tak więc dla lubiącego spokój mędrca było to najwłaściwsze miejsce do długiego w nim przebywania; miejsce, z kąd dalekie mógł widzieć widnokręgi i gdzie nie potrzebował obawiać się przeszkadzających. Do téj twierdzy nauki, strzeżonej postrachem duchów, nawet córka jego, Artemiza, nawet zaufany sługa, Memel, ledwo-by się ośmielili pójść za nim; a cóż dopiero wieśniacy z nizin, którzy, widząc błyszczące w górach światło, zginali się pobożnie,—bo piękny ten stary zwyczaj utrzymywał się jeszcze wśród nich. Tu zatem rozpiął namioty swoje i tu przepędzał noce, patrząc w gwiazdy, a często nawet i dnie na obliczaniu dróg ich, nie dla własnej, lecz dla potomków swoich korzyści; aż wreszcie cielesna jego powłoka poczęła niknąć, a wielkie ciemne oczy straciły blask, w nich płonący.

ROZDZIAŁ VII.

Dokończenie legendy.

Zarówno Artemizę, jak i wszystkich otaczających księcia, zatrwożyło ukazywanie się wielu drobnych na pozór symptomatów. Zawsze był on skłonny do nierozsądnego lekceważenia posiłku i odzieży, ale teraz przebrał wszelką miarę i nie chciał zezwolić, by ktokolwiek uważał na niego, lub śmiał odezwać się w téj mierze. Ztąd, nie słuchając żadnego bałamuctwa, wszystkie kobiety pewne były jednéj rzeczy: tego mianowicie, że książę sam się zabija.

Lud wiejski, który go znał i, kochając, otaczał pewną tajemniczością, mawiał, iż nie dziw, że książę sam się zabija, będąc tak długo na obczyźnie w obcym kraju i wśród obyczaju obcego: „Pewnie

ciężko to musi być dla niego, całą noc pod gołym niebem, na mgle i wilgoci, i nawet nie wie, co to spodnie!“

Było w tém bezwątpienia dużo prawdy, ale po-za tém było i coś więcej jeszcze. A jednak nikt nie był zdolny zrozumieć szczególnego stanu umysłu, w jakim się książę znajdował! Często wyrzucał on sam sobie swoją szorstkość, ale powstrzymać się nie mógł. Każdy miał jednak dla niego to wyrozumienie, jakie zwykle miewają Anglicy dla cudzoziemca, jako istoty, pod wielu względami, niższe stanowisko w rządzie twórców zajmującej. Mimo to, uwielbiali go jednak coraz więcej, raz mocno postanowiwszy to czynić.

Wielkomyślność jego charakteru w tém się głównie ujawniała, że nigdy teleskopu swego nie nastawił na obserwowanie własnej swojej planety. Serce jego tak daleko sięgało w przyszłe wieki, że usiłował śledzić bieg dziewięciu czy dziesięciu kolei gwiazd. Pragnął wiedzieć, co się stanie ze wszystkimi jego potomkami;—wysoko to zajmująca, ale razem i bardzo męcząca kwestya. Ciągły ten wysiłek dał się we znaki jego zdrowiu, bo jedne tylko nieszczęsne to zmordowanie mogło do tego stopnia uszkodzić wrodzony mu wdzięk obejścia się i pańską grzeczność jego.

Przecież zanim nagle nadeszła dlań ostatnia chwila, świeciła pewnego wieczoru łagodniejsza jakaś i dobroczynniejsza gwiazda. Gdy zbliża się dla kogoś pewność, czy to mocą ziemskich zmysłów powzięta, czy przez wpływy niebieskie zesłana, że szala już się przeważa, cienka nić życia już się niebawem wyprzedzie, wtedy tkliwe myśli i serdeczne życzenia biorą nad nami górę. Pod ich wpływem opuszczają nas maluczkie troski, skrzywione pojęcia o życiu, chęć widzenia w drugich zalet, o których posiadanie sami dbamy niewiele, wszystkie drobne wybiegi zbawiennego oszukiwania samych siebie, i zwolna ogarnia nas uczucie, żeśmy już życia dożyli i że nie mamy czém tak dalece się pysznić.

Bądź jak bądź, dnia 18 Czerwca w roku 1611, książę Agarykles powrócił do domu, zgrzany i bardzo znużony i rad przespać się trochę, jeżeli się uda, by pozbyć się zmęczenia. Czekala go jeszcze tej nocy duża robota, bo świeżo ukazała się była olbrzymia kometa, obficie postrachem siejąca; teraz jednak miał parę godzin wolnych, których mógł użyć na przyjemność własną. Posłał zatem po córkę, by przyszła dejrzyć jego posiłku i tym podobnych potrzeb, a potem posiedzieć z nim chwil parę, przypatrując się zachodowi słońca.

Artemiza, dotąd jeszcze młoda i ładna, przejęła naturalnie mądrość Wschodu i wiedziała, że kobieta ma prawo nie robić nic złego.

Przyszła więc natychmiast, gdy ją zawołano, i uczuła, co zresztą czuć powinna każda matka, że dała ojcu tém większy dowód posłuszeństwa, przyprowadzając z sobą wszystkie dzieci. W łagodném będąc usposobieniu, starzec cieszył się, że widzi wszystkich koło siebie, i pozwolił im igrać z sobą, o ile dozwalał na to postrach, jaki budzą w dzieciach siwe włosy. Położył téż rękę na głowie Rogera, dziedzica rodu, i błogosławił go, idąc już do łóżka po zjedzeniu wieczerzy, do której usługiwała mu Artemiza, niezmiernie wdzięczna za łaskawość, okazaną jej dzieciom. Podawała mu więc te właśnie rzeczy, jakich żądał, w téj saméj chwili, w której je mieć pragnął, nie nużąc go zbytniém nadskakiwaniem; potém nalała mu ognistego wina, dała wygodę strudzonym jego nogom i nałożyła mu przewyborną fajkę perskiego *meconopsis*, wolnego od wszelkiej trucizny opium, a jednak więcej niż tytuń usposabiającego do marzeń. Pokropiła go téż delikatną wonią werweny (lotniejszą i mniej silną od zapachu róż) i czyniła to wszystko dopóty, dopóki biała jego broda nie przestała drgać niespokojnie, a surowe linie jego twarzy nie wygładziły się słodkiém rozmarzeniem drzémki.

Upatrzwszy więc właściwą chwilę, gdy słodki sen już nadchodził, a wszelki pośpiech, gorączkość i zły humor były tak od niego daleko, jak tylko człowiek krwi wschodniej dalekim od nich być może, Artemiza, córka jego, tknęła go tym uśmiechem, który nawykł był lubić, kiedy ona miała lat dwa zaledwie; a myśli starca, bez wiedzy jego, zwróciły się do jej matki.

— Ojcie ty mój rodzony! ojcie najdroższy! — szeptała mu w tym ojczystym języku, który zatrzymuje moc czaru nad starcami, dlatego, że dźwiękiem swoim kołysał ich dzieciństwo — ojcie rodzony, powiedz, jakie zmartwienie spadło na ciebie w tym zimnym, obcym kraju?

Dość jeszcze zostawało melodyi w tym najmelodyjniejszym ze wszystkich języków ludzkich, aby dziecię zmiękczyć mogło ojca słodkimi wspomnieniami, które wywoływał dźwięk téj starożytnéj muzyki, ustami dziecka teraz wskrzeszonéj.

— Dziecię serca mego — odparł książę najpoprawniejszym językiem nowo-greckim — nieprzeparta żądza snu znowu ujarzmiła władze mego umysłu.

— To najlepiej nadaje się, ojcie, do rozmowy z takimi umysłami jak mój. Pozwól dziecięciu swemu wziąć udział w troskach ojcowskiej mądrości.

Dłużéj jeszcze przekonywać go musiała i zręczniéj, niż-by to

w słowach angielskiej mowy wyrazić można, zanim skłoniła mądrość ojcowską do wyjawienia swoich tajemnic; i wtedy nawet jeszcze mądrość ta nie raczyła wywnętrzyć się zupełnie.

— Przestań już zapytywać — rzekł w końcu starzec — dość, że przewiduję wielkie troski, wiszące nad świetnym tym domem.

— Ach, ojcze! kiedy i jakie? Jak zdołamy z nich wybrnąć i dlaczego spaść na nas mają? I czy małżonek mój lub dzieci...

Książę podniósł palec do góry, jakby chciał powiedzieć: „o jedno tylko naraz pytaj”, a tymczasem nieustannie obracał w czcigodnej swjej głowie wielorakie i smutne przestrogi, i w spojrzeniu jego głęboka litość łączyła się z ojcowską miłością i dumą. Poczém przemówił trzy wyrazy w języku, którego Artemiza nie rozumiała, choć dźwięk wyrazów utkwiał w jej pamięci. Przed samą śmiercią swoją dowiedziała się, że znaczyły: „Wiedza nieszczęścia potraja je”.

— A teraz, ojcze mój najukochańszy — zawołała, spostrzegłszy, że twarz ojca wyraża postanowienie nie powiedzenia nic więcej — zważ tylko, ilu bezbronnych istot los zawisł od mojej znajomości nieszczęść, od których mam je bronić. Dziecię to twoje, ta córka, którą miłowałeś zawsze tak pieczołowitą miłością, jest teraz przyczyną obaw twoich, jak nieraz już nią bywała. Ojcze, nie pozwalaj, by sprawy nasze ciążyły tak na myśli twojej; ulżyj jej wyjawieniem ich zupełnem. Częstokroć, jak się to u nas mówi, ucho głupoty jest skarboną klejnotów mądrości.

— Nie waham się już i nie wątpię, nie rozpoławiam ducha mego. Mądrość tych, którzy następują po mnie, unosi za sobą i przenosi mądrość moję. A zatém córa moja, Artemiza, małżonka szlachetnego Anglika, z którym uciekła z Kargi, i matka pięciorga wnucząt moich, godną jest wiedzieć wszystko, czego nauczyły mnie nieba, i zaprawdę wszystko to wiedzieć będzie.

— Tak, ojcze, sercu memu drogi! O! jak dobrym jesteś i szlachetnym!

— Wszystko wiedzieć będzie — mówił dalej książę, ze spojrzeniem naiwnej ufności, wolno rachując na palcach. — Może to nastąpić wcześniej lub później trochę, jednakowoż sądzę, że bezpiecznie przyrzec można jasną świadomość wszystkiego w pięć lat po upływie dwóch stuleci od dnia dzisiejszego. A teraz czeka na mnie wielka kometa. Daj mi buty, niech znowu je włożę. Grubiańskie, barbarzyńskie, straszliwe narzędzie! Potrzebne jednak w takim, jak ten, kraju.



Córka w miłości spełniła jego wolę, ukrywając przykrość, jaką sprawił jej doznany zawód.

— Do jutra tylko poczekać trzeba — myślała, a wtedy nałożyć mu większą fajkę i może więcej trochę mu się przymilać, i nalać mu więcej wina burgundzkiego.

Ale nie było już dla niego jutra na ziemi. Rano, nie znajdując starca, szukano go wszędzie i znaleziono zimnym i martwym obok największego teleskopu, jaki posiadał. Umarł na *Chanctonburg-Ring* i na chwilę przynajmniej przed zgonem wiedzieć musiał, że nadeszła jego godzina; bo między gwiazdami, na mapie niebios zaznaczonemi, znaleziono napis węglem, drżącą już ręką nakreślony: *Sepeli ubi cecidi*, „Pochowajcie mnie tam, gdzie padłem“.

ROZDZIAŁ VIII.

Astrologiczna przepowiednia.

Nie bez pewnego wzruszenia usłyszała Alicya Lorraine z ust ojca dzieje wspólnego ich przodka. Z podań okolicznych знаła już część powyższej historyi, ale po raz to pierwszy zestawiono jej szczegóły w całość skończonego opowiadania. Ciekawa też była, jaki powód skłonił ojca do opowiadania jej tego ustępu dziejów rodzinnych, z którym (pewną tego była) nie zwierzył się ojciec nigdy jej bratu Hilaremu; i, jak to zwykle młoda dziewczyna, mówiła sobie w duchu, słuchając ojca: Czy mnie też kiedy będzie można porównać z tą śliczną Artemizą, moją z dawien dawna prababką, jak ją ludzie więcej zowią? i czy ten kochany stary astrolog dopilnuje gwiazd, by nie chybiały swoich dla nas obowiązków? i czy ta wielka kometa, która go zabiła, była tą samą, która mnie tak co noc przestrasza? i dlaczego on wziął się umrzeć, nie objaśniwszy nikogo o niczem?

Mimo to, pytanie, jakie ojcu zadała, zupełnie było różnem od wszystkich powyżej wymienionych.

— Jakiś ty dobry, ojcze, żeś mi tę całą historią opowiedział! Ale co się stało z Artemizą, z „Lady Lorraine“ bo była nią, przypuszczam.

— Nie, moja droga, musiano ją nazywać „Mestress Lorraine“ lub może „Madame Lorraine“. Stary tytuł hrabiowski utracony już był od dawna, a syn jej Roger, który poległ pod *Naseby*, był pierwszym baronetem w naszym rodzie. A co się tyczy Artemizy, córki astrolo-

ga, a żony Hilarego Lorraine, to ta umarła w rok niespełna po ojcu, przy urodzeniu szóstego dziecka i wtedy się dowiedziano, dlaczego tak nie dał się nakłonić do powiedzenia jój czegokolwiek.

— O! jakże mi jój żal! Więc to ona, ta cudownie piękna kobieta, co wisi w galerji trzecia ode drzwi, z *riusami* jedwabnemi, tak ułożonemi przesłicznie, i z tą precudowną złotą koronką na głowie, i z długimi włosami, i z przepysznemi szmaragdami, porozrzucanemi po niej, jakby to nie były szmaragdy.

— Tak — odrzekł Sir Roland, uśmiechając się z opisu córki — tak, to ona naturalnie, a portret zdaje się być podobnym do niej! Była chwila, kiedy mieliśmy zamiar dać ci jój imię, „Artemiza Lorraine“, bo piastunka twoja dopatrzyła, żeś do niej podobna, gdyś doszła dojrzałego wieku trzech dni.

— Och, ojcze, jakby to dobrze było! Miała-bym imię daleko ładniej brzmiące, a przytém tak precudownie romantyczne.

— Właśnie tak, moje dziecko, a zatém imię w dzisiejszych prozaicznych czasach tak rozkosznie niedorzeczne! Co więcćj, mam nadzieję, że niczém nie będziesz do niej podobna: nie uciekniesz, jak ona, od ojca i nie... niczém, chyba dobrocią i wiernością serca.

Mało nie powiedział „i nie umrzesz tak wcześnie“; niewymówił tych słów jednak, tknięty nagle wrodzoną nam wszystkim zabobonnością.

— Ojcze, jak śmiesz mówić coś podobnego! Jakby był ktoś na świecie, kogo można-by porównywać z tobą. Ale musisz mi jeszcze powiedzieć, jedną tylko rzecz, maleńką... Dlaczego ten właśnie dzień wybrałeś, który powinien-by być dniem wesela, aby opowiadać mi historję tak smutną, że jeszcze trochę, a była-bym się rozpłakała?

— Powód do tego bardzo prosty, Alinko. Dzień dzisiejszy jest właśnie tym, w którym dobiega dwieście lat; można już zatém otworzyć testament astrologa, lub jaki tam jest ten dokument.

— Testament, ojcze? A więc zostawił testament! A myśmy nigdy nic o nim nie słyszeli!

— Moje dziecko, twoja znajomość charakteru astrologa nie jest może zupełnie wyczerpującą. Mógł zostawić nie jeden testament, a nie życzyć sobie, by je ogłaszano. W każdym razie, zanim się ściemni, trafi ci się sposobność zobaczenia, co tam jest.

— Mi, czy mnie? — nie wiem, jak lepiej powiedzieć, — mi, czy mnie zdarzy się rzecz podobna! Ojcze, jak miałam sześć lat, umiałam stać na głowie, ale teraz, niestety! zapomniałam téj sztuki!

— Alicyo, staraj-no się być rozsądną, jeżeli ci się to uda kiedy-

kolwiek. Wiész, że nie często postępuję nierozważnie, ale dzięki tobie, będę myślał, że tak postąpiłem teraz, jeżeli nie ustatkujesz się trochę.

— Ojcie, jestem statecznością uosobioną; ale musisz wybaczyć, że mi się trochę przewróciło w głowie od zwalonych na nią tyłu na raz cudowności.

— Moje dziecko, nie są to żadne cudowności; a w każdym razie nie takie, abys ty wiedzieć o nich mogła. Masz tylko pójść i przynieść pewien dokument, oto wszystko. Czy będziesz wiedziała coś więcej o tém, to jeszcze rozważyć muszę należycie.

— Ojcie, ach! ojcie, tak mnie podniosłeś wysoko, a teraz znowu tak mnie strącasz na dół! A ja już przypisywałam ci zasługę zupełnego we mnie zaufania! Prawdopodobnie nie był-bys nawet posyłał mnie po ten dokument, gdybys miał możność dostania go innym sposobem.

— Alicyo — odparł Sir Roland, który uśmiechnął się, widząc, że córka zna go tak dobrze — udało ci się trafnie odgadnąć tym razem. Nigdy-bym nie pomyślał o posyłaniu cię w miejsce samotne i nieuczęszczane, gdyby mi wolno było pójść samemu, lub posłać kogo innego. Sama myśl o tém już mi była niemiła i od rana psuła mi humor.

— Czy myślisz, ojcie, że mogła-bym się nie radować z takiego poselstwa? To właśnie, co najmilejzego dla mnie. Gdzie klucz, ojcie? Mów prędzej!

— Nie mam wcale zamiaru, drogie dziecko, przynaglać ciebie, ani sam zbyt się śpieszyć. Mamy dość czasu, aby wszystko obmyślić. Słońce jeszcze nie zaszło, a to właśnie jedna z rzeczy, na którą uważać musimy.

— O! co to za szczęście, ojcie! Przez to właśnie wszystko jeszcze się piękniejszym wydaje. Pójść mam naturalnie do pokoju astrologa?

— Moje dziecko, widzę, że wśród tych wszystkich zachwytów jakoś mi blado wyglądasz. Jeżeli się lękasz choć trochę, nie idź.

— Ja? lękam się, ojcie? Chcesz mnie chyba do niecierpliwości doprowadzić! Zapominasz, jak uważam, ile mam lat i z jakiej rodziny pochodzę.

— Pieszczoszko, nie pozwalasz nam nigdy zapomnieć na długo o żadnym z tych ważnych faktów. Mniemam jednak, że miałem je należycie w pamięci, i boję się, czy najniepotrzebniej w świecie nie

ubliżę twojej godności, jeżeli ci przeczytam wskazówki, których sam trzymam się teraz. Bo, jakkolwiek to dziwne, zawierają one jednak przepowiednie, dotyczące się twego charakteru, których ziszczenia (jakkolwiek kochamy cię bardzo) nie mogliśmy się jeszcze doczekać.

— Któż to są ci „my“ ojcze? Jeżeli każdy już wie o tém, na przykład i babcia, jakąż przyjemność sprawić mi może, to że jest mnie dotycząca się przepowiednia?

— Możesz używać téj przyjemności, Alicyo, jako wyłącznej swojej własności tyle, ile tylko zechcesz. Nawet babka twoja nie wie o kwestyi, którą w téj chwili rozbieramy, inaczej... to jest powinienem powiedzieć, że *może* inaczej...

— Była-by tu naturalnie przyszła sama, i we własnej osobie udała się do owéj komnaty; ale jeżeli ta czynność mnie wyłącznie przypada, czyż może być dla mnie co miłszego nad to, że jestem przedmiotem przepowiedni, szczególnież przepowiedni, zawartéj w wyrazach tak ognistych, które to wyrazy, błagam cię, ojcze, zechciej mi przeczytać z podobnym-że ogniem w głosie.

— Alicyo, nie lubię, gdy używasz podobnego sposobu mówienia... jakże go mam nazwać?... *persiflage*, jak mniemam, i rad jestem, że na określenie go niéma nazwy angielskiej. Nigdy nie dodaje on wdzięku kobiecie, szczególnież zaś tak młodej, jak ty, dziewczeczce. Hilary najpierwszy go wprowadził, nauczwszy się go w Oxfordzie, w przekonaniu, że to coś bardzo pięknego. Proszę cię raz na zawsze, oducz się tego! Ma to nadzieję udać coś bardzo mądrego, ale nikogo na chwilę nawet nie zwiedzie.

Na te ostre słowa, wypowiedziane tonem, który stanowczo pragnął być surowym, Alicya straciła rezon; spuściła więc tylko oczy, dziwiąc się, co mogło ojca naprowadzić na taki zły humor, i to jeszcze w dzień jego urodzin? Ale gdy minęło dojmujące wrażenie pierwszej chwili, zaczęła wyznawać sama przed sobą, że ojciec ma słuszość, nie ona. Ten zaczepny styl był u niéj rzeczą nową i z urokiem jego rozstać się wypadało.

— Proszę o przebaczenie kochanego ojca — rzekła niebawem, podnosząc na niego łagodne spojrzenie — wiem, że nie jestem rozumna i nigdy nie miałam zamiaru uchodzić za taką.

— To właśnie dobrze, Alicyo; nigdy nie próbuj rzeczy niepodobnych. — Mówiąc tak do niéj, Sir Roland, rzekł sam do siebie, że radby jednak wiedzieć, gdzie można znaleźć dziewczynkę, w połowie tak

mądrą, jak jego Alineczka, albo dziewczynę w czwartéj części tak dobrą, kochającą i słiczną.

— Słońce schowało się już prawie za wierzchołek wzgórza i zaskarłowało buki i wrzosowisko. Wiész, Alicyo, że tylko w drugiej połowie Czerwca widzujemy je w tém miejscu zachodzące.

Zbliżyła się Alicya; w oczach jój nie było już śladu łez; obrażona miłość własna i wszystkie drobiazgowe wrażenia ustąpiły miejsca poważniejszym myślom. Piękność otaczającej ją przyrody nieraz tak pochłaniała w nią inne wrażenia i działała wkoło siebie.

— Słońce nie ulega zapewne żadnym zmianom — rzekł Sir Rolland z pewnem powątpiewaniem, poczekawszy chwil parę, czy nie usłyszysz czego od Alicyi. — Nie ulega im bez wątpienia, a jednak wielki Herschell zdaje się mniemać, że i w słońcu zmiany zachodzą. Jeżeli żywi się ono kometami (jak to starzy astronomowie twierdzili) to teraz właśnie powinno-by się mieć wybornie. Patrz, Alicyo! słońce jest jeszcze wysoko nad ziemią, jeszcze ze szczytu gór widzieć je można, a kometa już oto świecić zaczyna!

— Naturalnie, ojcze, zaczyna; kometa nigdy nie czeka na pozwolenie słońca. Ale nie powinnam tak mówić... zapomniałam. Czy i na kometę niéma angielskiej nazwy? co, ojcze?

— Ty mała tyranko! dałbym ja się tobie we znaki, gdybym trudnił się badaniem gwiazd! Ale ja ledwo umiem rozróżnić Przepaskę Oryona od gwiazdy polarnéj. Astronomia nie puściła, jak się zdaje, zbyt głębogich korzeni w naszej rodzinie; ale patrz-no: oto słońce ukazuje się znowu z po-za Chancton-Ring! Za pięć minut już go wcale widać nie będzie; teraz więc właśnie pora przeczytania ci tych dziwnych instrukcyi, które zawierają tak poetyczny opis twojój osoby.

Alicya, skutkiem poprzednich słów ojca już się mająca na ostrożności i do właściwego stanu pokory sprowadzona, milczała podczas gdy ojciec otwierał niewielki zwitek pergaminu, na który oddawna już zerkala okiem ciekawie.

— Pisane po łacinie—rzekł Sir Rolland—i jak widzisz, z ojca na syna przechodziło niezapieczętowane, od czasów księcia, aż do dni naszych.

— Czy mogę zobaczyć, ojcze? Co to za wyraźne pismo! Ale musisz mi je przetłómaczyć...

— Słuchaj więc:

„Ojcu i głowie domu Lorraine, ktokolwiek nim będzie w roku, wedle rachuby Chrześcian, 1811, Agarykles Syennensis, Karyjczyk,

śle pozdrowienie. W dniu 18 Czerwca, kiedy słońce zajdzie lub zniknie, (*decesserit* stoi w oryginale), ślij najstarszą córkę twoją, zupełnie samą, do *coenaculum* astronoma, (nieborak nigdy tam nie jadał wieczery, chyba tę jedną, z której umarł) i każ jej szukać w schowaniu czyli szafie w murze, (*in secessu muri*, dosłownie, tak przynajmniej zdaje się stać napisane), a znajdzie tam niewielki dokument, który u mnie w wielkiej był cenie. Znajdzie się tam jeszcze coś innego, z czém postąpić należy, *pro re nata*, (co znaczy: stosownie do okoliczności) i stosownie do rozkazów, zawartych w powyżej wspomnionym dokumencie. Dziewica będzie odważna i piękna, gotowa siebie oddać domowi i szybko w roztropność rość będzie. Jeżeli podówczas dziewczyci takiej nie będzie, będzie to znakiem, że nie jest ona potrzebną. Młodzieniec bowiem żaden posłanym być nie może i dokument leżeć ma ukryty przez całe sto lat jeszcze. Albowiem ktoś, kto własnej umiejętności pewien nie jest, niczego pewnym być nie może. Ale palić się w owe czasy powinna na niebie wielka kometa, téjże samėj natury, co ta, która obliczenia moje wątpliwemi teraz czyni. Żegnaj mi, ktokolwiek będziesz, ty, który ode mnie pochodzisz, i bądź mi posłusznym!”

— Ojcie, oświadczam, że strach mnie bierze. Jakimże sposobem mógł on przepowiedzieć mnie naprzykład, i tę wielką kometę, i ciebie nawet, ojcie?

— A zatem myślisz, że charakter twój zgodny jest z powyżej opisanym? Tak, kochanko, przekonany jestem, że zgodny. Ale ty nigdy „nie oddasz siebie domowi“ choćby nawet było pięćdziesiąt tysięcy tych domów. A teraz, chcesz mieć co wspólnego z tą dziwną sprawą, czy nie chcesz? Wolak-bym raczej usłyszeć cię mówiącą, że nie chcesz mieszać się w to wcale i że księga starca może leżeć w spokoju jeszcze co najmniej sto lat.

— Ojcie, sam wiesz najlepiej, jak bardzo zawiódł-bys się wtedy na mnie. A czy sądzisz także, że mogło-by mi zostać wtedy choć trochę szacunku dla samėj siebie? A przytém jeszcze, jakże-bym mogła przypuszczać, że usnę w mojem łóżku w pośrodku tych wszystkich tajemnic, które wiszą nade mną?

— To ostatnie jest szczególnie ważne. Z tak wrażliwą, jak twoja, naturą, lepiej od razu kończyć z taką rzeczą. Taką samą była droga matka twoja. Oto są klucze, córko moja. Istotnie wstydl mi, że prostym przesądem zajmujemy się tak długo.

jąc się dalszego namysłania, prędko, leciuchno jak obłoczek, wbiegła na schody.

Kilkadziesiąt schodów przebiegła, zanim się opamiętać zdołała: na niektórych przyswiecały jej w murze znajdujące się strzelnice, na innych panował pomrok, lub niepewne, migotliwe pół-swiatło. Na górze już będąc, przystanęła chwilkę, by dech złapać i rezonu trochę odzyskać. Tu odpychały ją od siebie wysokie drzwi czarne; знаła je dobrze z tej strony zewnętrznej, ale o stronie ich odwrotnej najmniejszego nie miała pojęcia. Zaczęła więc znowu myśleć, a myśli te za ciężkie były dla niej.

Z leciutkiem westchnieniem, zdolném wzruszyć wszystkich, jakich tylko wyobrazić sobie można wrogów, wrażliwa dziewczeczka, wezwwała na pomoc hart ducha, cechą jej rodu będący, i własne swoje wszelkiej romantyczności zamiłowanie. Połączenie obojga nie byłoby jej dało siły obrócenia klucza w zamku, gdyby wypadkiem ojcu nie było przyszło na myśl wprowadzić wewnątrz oliwę napuszczone białe piórko gołębie.

Gdy posłyszała obracający się klucz w zamku, postanowiła nadrobić miną. „Kiedy wisieć to za obie nogi”, „u tchórza dusza na ramieniu”, „z wielkiej chmury mały deszcz”, *) przed innemi zaś *no-blesse oblige*. W towarzystwie takich-to myśli, popychających ją na przód, śmiało przestąpiła próg pokoju.

I oto pokazało się, że nie miała czego się lękać. Wszystko miało tam pozór tak stary i nieszkodliwy, jak starym był i nieszkodliwym człowiek, który lubił to wszystko, co było dziełem jego, lub przedmiotem upodobania. Własny jego warsztatik tokarski na podstawie z metalu (przez niego ulanej z mieszaniny, którą sam wymyślił, a zdolnej opierać się rdzy wieków) potrzeba tylko było okurzyć i napuścić oliwą. Modele, wzory, formy, odlewy, z których wiele mogło-by świadczyć, jak powoli postępowały przechwalone nasze odkrycia, ulubione narzędzia i przeróżne graty, dziś już na nic nie przydatne, leżały w towarzystwie podobnych sobie, także już do niczego dziś niesłużących, dlatego, że człowiek, który je wszystkie w ruch wprowadził, krótsze miał życie, niż one.

*) W oryginale stoi: *In for a penny, in for a pound*: dałeś penny, daj funt; *faint heart is fair* w tchórze serce skacze; *two bites at a cherry* jedną wiśnię dzielić na dwa kęsy. Zamiast tłumaczyć dosłownie, starałam się raczej oddać myśl autora, przytaczając odpowiednie polskie przysłowia.

Obecnie stała wśród tego młoda Alicya, poszanowaniem przejęta. Wiedziała naturalnie, że są to tylko przedmioty takie same, jak wiele innych, które człowiek, wedle tego, jak mu z tém wygodniej, na bok odkłada, by je rdza zjadła. A jednak nie mogła się odważyć gospodarować wśród nich. Rozglądała się więc tylko wokoło i zaczynała obeznawać się ze sprzętami.

Żywy jój umysł gotów był każdej chwili dać się opanować prędkiemu, młodzieńczemu interesowaniu się każdą rzeczą. Było to wielkim błędem jój charakteru, że nigdy nie mogła pojąć, jak mało godnemi jój uwagi powinny być wszelkie drobnostki. Teraz zaś istotnie za wiele ją otoczyło rzeczy, by wszystkie naraz ogarnąć mogła uwagę.

Ale podczas, gdy tak stała zdziwiona, zapominając prawie, z czém tu była przysłana, w natłoku myśli, obłok, na niebie stojący, zagarnawszy w siebie jaskrawe blaski zachodu i wywnętrzając się z nich teraz nieodmiennym obłoków obyczajem, dokazał tego, że spuścił na ziemię promieniste wspomnienie nieobecnego już słońca. Takim więc sposobem miły odbłask dziennego światła, przypominającego sobie ziemię, zajrzał w północno-zachodnie okienko starożytniej, ośmiościennej komnaty. Alicya, stojąc w poprzek temu odbłaskowi zachodu, namyslała się, co ma robić, dopóki nie ujrzała własnego cienia na wygłębionej w tém miejscu ścianie. Tu, pomiędzy oknami, ciemniejszymi trochę po prawej stronie drzwi, zauważyła migotanie odbitego w jakimś przedmiocie, jak w lustrze, odbłasku słonecznego. Przypatrzywszy się lepiej, dojrzała na błyszczącej powierzchni dziurkę od klucza, umieszczoną w grubym załomie muru, na pozór nic nieznanym. Na mocy prawa, wynalazcom przysługującego, podbiegła, przesunęła paluszkami po blasze z polerowanego żelaza angielskiego, i naturalnie klucz w otwór włożyła.

Zamek był może należycie napuszczany oliwą i przez przeciąg owych ubiegłych lat dwustu, od czasu do czasu, w ruch wprowadzany. Mimo to jednak tak się jeszcze zaciął, że Alicya musiała kręcić kluczem na obiedwie strony i obydwiema rękoma, zanim zdołała obrócić go w zamku. Potém nawet, gdy już otworzyła z klucza, nie mogła drzwi otworzyć od razu, dlatego może, że zawiasy zardzewiały a u górnych trzpień wygięty był na przód. Mimo braku stanowczości ze strony drzwi, Alicya nie pozwoliła na to, by jój posługi odmówiły. Przekręciła klucz na poprzek zamku, przez ucho klucza przeciągnęła róg płócienną swą chustkę do nosa i, zwiąawszy oba jój rogi w węzeł, zaczęła ciągnąć obydwiema rękoma. Ponieważ jój chu-

stka do nosa nie była ani z gazy, ani téż z koronki lub tiulu, a ona téż sama nie była z wątlęgo materyału, ciężkie drzwi ustąpiły więc nareszcie i wszystko ukazało się jéj oczom,

— To już wszystko? o! czyż to wszystko? — krzyknęła z uczuciem doznanego zawodu, a jednak śmiejąc się sama z siebie. — Żadnych klejnotów, pereł, broszek, sprzączek? niéma nawet złotego zegarka! A przecież wielki astrolog powinien był przewidzieć, jak bardzo, w tym roku ery chrześcijańskiej 1811-tym, wzdychać będą do złotego zegarka! A niestety! bez zegarka co komu z tego za pożytek, że jest „piękną i odważną“. Niéma tu nic, prócz kurzu, zaplesniałych starych szpargałów i brudnej poduszki!

Alicya miała z razu wielką ochotę pobiedz do ojca i powiedzieć mu, że koniec końcem nie znalazła nic takiego, co-by warto było znieść na dół. Obróciła się nawet i obejrzała po całym pokoju, by znaleźć poparcie dla tak stanowczego wniosku. Ale brzemie starodawnéj mądrości (stęplem tajemnicy młodą jéj wyobraźnią przyciskające) przyniatało ją sobą i powstrzymywało od wydania samodzielnego o tém sądu. „Musiał on bez wątpienia więcej wiedzieć ode mnie. Można to widzieć po tych misternych narzędziach... Pewna jestem, że mogła-bym przemieszkąć w tym pokoju cały tydzień i nie bać się tu niczego“.

Ale w chwili właśnie, gdy to sobie mówiła, pięknie o własnéj odwadze przeświadczona i rozumem sercu rozkazująca, usłyszała, czy téż wydało jéj się, że usłyszała, jakiś szmer cichy, lekki, zupełnie nieodgadniony. Może to nic nie było, tak przynajmniej mniemać usiłowała, skoro tylko trochę przyszła do siebie; mogło także być coś zupełnie nieszkodliwego, coś, czego przyczyna najlaciej odkrytą być mogła. Ale co bądź to było, potrafiło jednak w mgnieniu oka pokrozić w niéj ochotę mieszkania w tym pokoju. Zwinnemi rękoma, które się teraz pozbyły zwykłej im niezmiérnej na brud i kurz drażliwości, chwycić zaczęła wszystko, co było w szafie; zatrzasnęła żelazne drzwi i zamknęła je na klucz, rzucając spojrzenie wyzywająco-trwożne, najpiérw przez ramię cieszące się większym bezpieczeństwem, a potem przez drugie, szmeru owego bliższe.

Teraz wiedziała już, że bardzo odważnie dokonała obowiązku i że było-by okrucieństwem spodziewać się po niéj, że dłużej bawić tu będzie. A zatém, aby zasłonić sobie wszelką zdarzyć się mogącą sposobność oglądania rzeczy, których widzieć nie miała prawa, nasunęła na oczy pasmo przepysznych swoich włosów i, pod ich zasłoną, zaczęła się mieć do odrotu.

ROZDZIAŁ X.

Chłopiec i osiel.

W tym samym właśnie czasie zdarzyło się, że chłopiec pewien, niewiadomo do jakiego stanu należący i wcale nie urodzony, spokojnie włókł się do domu. Różnił się on mało od innych chłopców i zdawał się nie zasługiwać na żadną uwagę, dopóki ktoś nie raczył zwrócić jęj na niego. A to dlatego, że był to chłopiec bynajmniej ani enotliwy, ani dzielny, ani téż przez naturę uposażony wrodzoną jakąś zdolnością stania się cudowném dzieckiem. Nie mając żadnej pomocy, która-by go skutecznie wspierała, żył on rzeczami, wśród których się znajdował, korzystając z nich, o ile się dało, i nigdy nie odmówił kęsa dlatego, że ten kęs mógł być lepszym kąskiem. Nieraz także, gdy znalazł do tego sposobność (a po-za nią nie widać było nic, prócz dalekiej perspektywy wykrycia zdrożnego czynu) pomawiany był może i o to, że ściągnął rękę na jakąś zarzuconą drobnostkę, która mu się na oczy nawinęła i, zasługom jego słusznie przynależna, nie była mu jednak przyznana. Nikt nie wiedział, zkąd ten chłopak pochodził, ani nawet czy pochodził zkadkolwiek, lub może był tylko płodem ziemi czy nieba, weszłych w nieprawie jakieś związki. Nie wiedziano téż o nim nic pewnego, to jedno tylko, że był i miał zamiar pozostać; lubiony był przytém ogólnie. Niejedna z kobiet rada-by go nawet pokochała opiekuńczą miłością, gdyby nie obawa, jaką każda z nich przejętą była ze względu na władze miejscowe.

Te oddawna już uradziły, na wszelkiego rodzaju posiedzeniach, że chłopaka tego (choć był stosunkowo uczciwym) nie należy zbyt cznie ośmielać. Miał on bowiem taki szczególny dar wyszukania sobie wszystkiego, i zużytkowywania szczęśliwych sposobności, a przede wszystkim miał tak wyczerpującą znajomość jabłoni, kartoflanych kopców, krów potrzebujących wydojenia, zarówno jak płochliwych pstrągów i wypadkowo zabłąkanych kacząt, że, wypróbawwszy należyte swą wyrozumiałość i pobjaźanie dla dziecka, tak dalece zaniebdanego, sędzia nie mógł już dłużej mieć szerokich i zdrowych poglądów na takiego, jak Bonny, chłopaka.

Bonny niewiele zważał na sędziego (a nawet i na samę sprawiedliwość, przez sędziów w liczbie mnogiej uosobioną), ile tylko razy mógł na niego nie zważać. Rodzaj jego urodzenia i żywienia się był

taki, że wyrabiał w nim powierzchowne na wszystko poglądy. Lubił on tych, którzy jego lubili i kradł-by u nich ostatni, a w każdym razie pozwolił-by im być ostatnimi z okradanych przez niego. W głębi sumienia był on tak uczciwym, że prawie zawsze spodziewał się, iż spotka go jaka wielka krzywda, zanim zamarzył o własnowolném rozporządzaniu cudzemi kaczkami.

Jakkolwiek ogólnie go znano i zapatrywano się nań często ze złego punktu widzenia, jednak najniższy z jego potwarców nie mógł dać etymologicznego wyvodu jego nazwaniu. Wielu próbowało twierdzić, że przez Szkota, bogatą wyobraźnią obdarzonego, mógł zostać nazwany *Bonnie* (*bonnie* poszkocko: piękny, dziarski) w przystępie rodzicielskiej czułości. Inni znów wysmiewali tę myśl pogardliwie i pewni byli, że prawdziwém jego imieniem jest *Boney* dlatego, że żył, mimo nieustannéj trwogi, jaką wszystkich przejmował *Bonyparty*. Ale prawdziwém rozwiązaniem zagadki (jak zwykle w analitycznych badaniach) było dopiero trzecie: że naprawdę nazywa się on *Bonny*, dlatego, że ojciec jego, jakkolwiek całkiem niepochwytym był cieniem, musiał jednak kiedyś może chodzić, wołając: „Gałgany i kości! kupuję!” *Ragsand Bones*.

Na tak wykwintne pochodzenie swego źródła Bonny zważał tyle, ile na wiatr, górą przeciągający. Pysznił się on swoim imieniem i pięknie ono brzmiało; gdziekolwiek się obrócił, panie zdawały się go lubić, był dla nich liczbą niewiadomą. A także (co obchodziło go daleko więcej) lgnęły do niego wszystkie kobiety służące. I z niejedną z nich tak umiał wychodzić, że ze dwa razy na tydzień zaopatrzone był w wiktuały.

Mimo to jednak, tego lata zmuszony był pracować tak ciężko, jak tylko można. Ciężkie brzemie beznadziejnej wojny (za jaką zaczęli uważać ją wszyscy, z wyjątkiem dzielnych fermerów) coraz silniej naciskało arterye przemysłu i dodawało jeszcze wagi ogólnym ciężarom narodowym.

Pocziwy ten chłopiec zamieszkiwał stok góry, czy skały (jak ją nazwać zechcą niektórzy), a ta, z właściwego widziana oddalenia, wyglądała przesłicznie białą. Miał on tu jedną z owych dziwnych jam odwiecznych, nad którymi łamie sobie głowę najmędrszy archeolog i jeszcze z mędrszym geologiem zażarte wiedzie o nie spory. Ale mimo to wszystko, jama istniała, a w jamie téj mieszkał Bonny.

Czémże jest życie bez towarzystwa? Nie napróżno dane nam zostały najtkliwsze i najtrwalsze uczucia nasze. Najsilniejszą z żądz ludzkich jest chęć mieć cobądź do ukochania; a los (w drobniejszych

rzeczach tak dla chłopca tego surowy) wiedział jednak, kiedy zmięknąć powinien i obdarzył go owym przedmiotem; był zaś nim, wyraźnie mówiąc — osieł.

Osieł tak mądrego gatunku, tak uposażony umysłowemi władzami i piękném sercem osłem, że prawie zawsze wnioski jego utrzymywały się dopóty, dopóki ich z niego nie wypędzono biciem. *Jack* mu było na imię, charakter miał w grubym i poziomym gatunku, pamiętał bowiem urazy, przyjmował łaski wdzięcznością wszystkich, jakie miał, zębów, i ryczał (jak to jest wszystkich mądrych osłów zwyczajem) na każdą zmianę pogody. Powierzchnowość miał niemniej uderzającą, szlachetną i romantyczną; a oblicze jego przypominało patrzącym pięknie malowaną fajkę, do góry dnem obróconą. Całą bowiem mordę i nos miał białe, tak śnieżnie białe, jak-by zawsze na nosie miał worek, świeżo w najbliższym wiatraku umączony. Ale akurat pod oczyma i na kościach szczękowych miał pręgi brunatne, a po-nad nimi ani jednej centki białej, tylko na całém ciele coraz to ciemniejszą czarność. Ztąd to, podobny do kity *Hektorowej*, jeżył się groźnie czub gęstej grzywy, i sterczały wojowniczo uszy, jak rogi długie, ale wesoło machające; reszta zaś korpusu i nogi, w jak najlepszym smaku pojęte, uzupełniały wrażenie całości i pięknie do niej pasowały.

Drobne słabostki przeciwważały niepospolite zalety zwierzęcia: ciasnota pojęć, dbałość o samego siebie jedynie, zbytńia mściwość pamięci, upór więcej niż osli, żadnego pojęcia o honorze i nawyknienie do rozstrzygania wielu kwestyj zębem lub kopytem. I te-to właśnie ujemne strony doprowadziły go do obecnego poniżenia, jak to w dalszym ciągu wykazać możemy.

Dla każdego, kto z umysłem strudzonym i stroskanym wyrwał się na wieś, było-by rozkoszą nielada natknąć się gdzie wypadkiem (na jakim zakręcie drogi, gdy słońce dłuższe już rzuca cienie) na *Bonny* i jego osła. W chwili ustalonej już pory przedwieczornej, kiedy słońce bywa najłagodniejsze, ziemia najwdzięczniejsza, a cień każdy naturalne przybiera rozmiary; kiedy letnie powietrze tchnie nadzieją, że mrozu nigdy już nie uczuje; kiedy każdy krzak, każda kępa i pagórek każdy, wiedzą, jak stać i wyglądać mają; kiedy każde źdźbło przydrożnych traw, czy od skwaru pożółkłe i skurezone, czy też zielenią świeże, czeka jednak spokojnie objaśnień, jakie deszcz z sobą przyniesie; gdy w cichém powietrzu żadnego szmeru wydać nie mogą gęste żywopłoty, chyba zając po nich myszkuje lub królik; gdy wszystko to po swojemu wskazuje drogę niewyraźnym cie-

niom wieczoru i przeciągle znikający dzień żegna: w takiej chwili coś ducha ukoić może skuteczniej nad widok chłopca, na osła jadącego?

Bonny zatem dostrojony był do harmonii z otaczającym go światem (zawsze starał się być takim), gdy tego właśnie wieczoru, po całodzienną pracę w Shoreham, wracał do domu na osła.

Nigdy może nie wyglądały piękniej opłotki polne, całe okryte tym kwieciem, co chętnie wschodzi na gruntach krédowatych i bierze w objęcia kwiaty, rosnące na glinie, lekko krédą zabielonej. Pomiedzy takimi-to opłotkami jechał Bonny, wesoło pogwizdując, jak to czynić miał zwyczaj i, zanim jeszcze stanął w cieniu góry, gwizdaniem uwiadamiając duchy gór, że to przybywa on sam, nie zaś kto inny, kto-by je spłoszył i rozgonił. Zmiękczonej pięknością krajobrazu i wspólnym widokiem zachodu, Jack położył po sobie uszy i, sennie rozmarzony, przysłuchiwał się gwizdaniu swego pana. *Britannia! rule the waves* (Brytania, panuj falom) było wtedy zwrotką narodową, a ponieważ, chociaż dzielnie walczyła, przecież zdawała się Brytania niczem więcej nie panować podówczas, przeto wszelki patriota brytański znajdował skuteczną pociechę w panowaniu nad falami.

Szczęście tych obu, chłopca i osła, należało do rzędu tych szczęśliwości, na przywidzeniu opartych, które są najmiłsze ze wszystkich. Ta zaś miała jeszcze wyłącznie swój urok, którego ubóstwo tylko dostarczyć może, a którym łaska tylko losu rozkoszować się pozwala. Tak jak bogacz, który, z nienaćką zimnem przejęty, lubuje się dreszczami swemi i, cisnąc się do sutego ognia, przechwala tym, że ogrzać się nim nie może; tak i biedak przekładać może nad wszystko dom swój własny i czuć się w nim panem niezależnym, głównie dlatego, że w domu tym braknie wszystkiego, coby ku wygodzie swojej mieć żądał, a co się mieć na przyszłość spodziewa. Bonny zaś był tak dalece wszystkiego pozbawionym, że wszystkiego na świecie spodziewać się miał prawo. Mieszkał w jamie, umieszczonej w rozpadlinie krédowej, u stóp wąwozu Coombe Lorraine, i niejeden z rozkosznych jego postępów mógł być dostrzeżonym z wysokich okien pańskiego dworu, gdyby komukolwiek przyszło na myśl, że Bonny zasługuje, aby go obserwować przez teleskop. Ale nikomu nie zależało na tym, by, zwróceniem uwagi na Bonny, rozproszyc pokornie i jego szczęście, nad które niema istoty płochliwszej, ani bardziej się ciekawego oka sromajaczej.

Z natury płochliwy i niczem się ukrócić nie dający, Bonny nie przestawał śpiewać i gwizdać przez całą drogę, jadąc trawą i wrzo-

sem wśród różnobarwnej zieleni letniego wieczoru; Jack tymczasem, mrugając oczyma najweselój, jak umiał, wybierał sobie tę drogę, która dlań była najdogodniejszą. Zachodzące słońce świeciło im w same oczy, które obaj mrużyć też przed blaskiem musieli i, tu i owdzie, wszędy potrosze rzucało cienie długich uszu, poruszających się nóg i zwieszanych głów. Wcale przyzwoite jakieś zawiniątko dawało się widzieć na cieniu, tuż po-za nogami Bonny, z tylnéj części oślego korpusu zwisające; przed sobą zaś wiózł Bonny wyborowe jakieś przedmioty.

Wszystko to, razem wzięte, znaczyć miało, że dzisiejsza całodzienne wędrowka nad brzegiem rzeki Aduo, powiodła się należycie; wracając zaś do domu, wędrowcy odbierali hołd, zasługom swoim należny, tak w miasteczku Steyning, jak i wzdłuż całej drogi.

Jack nie dźwigał na sobie kosztów, bo pan jego nie mógł sobie na takie zbytki pozwalać; miał jednak coś równie, a może i więcej odpowiedniego: długi i wiernie mu służący wór od mąki, mocno zeszyty u góry, a na środku trochę wzdłuż nadcięty, tak, że gdy, zachowując potrzebną równowagę, wisiał na zdobytém swém stanowisku, dało się weń wsunąć przeciotko wszelaką rzecz, pod ręką będącą. Wszystko to musiało wewnątrz worka zgodnie z sobą przestawać i zbijać się w pięknie skruszoną całość.

Co zaś samego Bonny się tycze, to cień, od ich obu postaci padający, wyrządzał mu wielką niesprawiedliwość, taką, do jakiej nawykł był już od świata i którą mało sobie ważył. Cienie pokazywały bowiem obdartą jakąś postać, kiwającą się na wszystkie strony i w zarysach swoich ciągle zmienną. Ale w szczerym blasku zachodu, prosto mu w twarz padającym, przedstawiał się wcale inny Bonny. Zarzucić mu włóczęgowsstwo było-by tém samém, co zarzucić je ziemi i słońcu; był to jedynie chłopaczek, lubiący dom własny, jakimbyś-by on był, świadomy tego, a zresztą mało czego świadomy; brudny może i troszeczkę tu i owdzie, z powodu długiej suszy, kurzem umorusany, ale czyż brzydkim będąc, mógł-by był przynieść do domu tyle rozmaitych okapków?

Dla młodzieniaszka tego, kwestya ubrania była, jak dotąd, jeszcze ważniejszą od kwestyi jego urody. A strój jego był dlań obfitém źródłem różnorakich przyczyn dumy i zadowolenia z siebie. Spodnie jego bowiem posiadały niewyczerpane siły żywotne, zarówno jak śmiałą oryginalność koloru, i przez żonę jednego z jego protektorów, Bottlera rzeźnika, przerobione były dla niego z Bottlerowych spodni, uszytych ze skóry, należącego doń wieprza. Skóra ta należała pier-

wotnie do wieprza nad wieprze, czystej krwi Kaledonczyka, który, uciekwszy z folwarcznego podwórza, przez kilka miesięcy dzikie wiódł życie w lesie. Ztąd rzucał postrach na całą okolicę, dopóki nie wezwano Bottlera, by powstał jak Meleager, przynosząc z sobą nóż rzeźniczy. Bottler starł się z nim w pojedynku, zabił, nim ten miał czas kwiknąć i, upomniawszy się o niego, jako o łup wojenny, szynki jego nasolił w najdogodniejszej dla siebie chwili. Wtedy-to wyprawicę kazał skórę, tak grubą, że nigdy pęknąć nie mogła, i zrobił z niej dla siebie spodnie, równie długotrwałe, jak i sława bohaterskiego jego czynu.

Temi-to spodniami z bogacił teraz Bonny większą część dolnej połowy swego ciała. Gardził on, ma się rozumieć, pończochą i trzewikiem, ale małe jego łydki czyste były i czerwone, podczas gdy ramiona i piersi tonęły we wspaniałościach szkarłatnej furmańskiej kamizelki. Przynajmniej bywały one przed ludzkim okiem zakryte, gdy Bonny wyruszał z domu o świcie, bo zbierał mnóstwo szpilek i dawał dowody genialności we wpinaniu ich; ale po całodzienną pracę, jak to obecnie nastąpiło, powietrze i światło upominały się zawsze o należne im prawo wejścia. Zawsze jednak pozostawało jeszcze dość szkarłatu i tkaniny, by w tklivych łonach niewieścich budzić wspomnienie chwil minionych, chwil rozkosznych, których żłoby świadkami były!

Sądząc jednak chłopczyka, bez żadnego złudzenia romansowej czułości, wyznać trzeba, że szeroki otwór ust i kształt jego nosa przemawiały na jego niekorzyść. Miał jednak taki sposób pokazywania świetnie białych zębów w wesołym uśmiechu, podchwytywania do góry kędzierzawych włosów i nadawania bystrym niebieskim oczom wyrazu zdziwienia, gdy potrzebom chwili odpowiadało, a co najważniejsza, takie miał policzki i śmiech tak strasznie zaraźliwy, i takie opowiadał rzeczy, że nie jeden dumny kamerdyner dał się namówić do zwrócenia nań oczu.

Nawet kamerdyner z Coombe Lorraine... ale lepiej o tém potem. Tyle tylko powiedzieć wypada, że Bonny spoglądał na dwór na górze z delikatnym zaciekawieniem i pojmował, że przedwstępne do znajomości kroki mogły być cokolwiek nieprzyjemne, lub co najmniej przedwczesne, gdy świeżo przyjęty młody lokaj, biorąc skutki swego postępków na siebie, kopnięciem nogi zrzucił chłopca z góry aż na dół. Ten mały brak uprzejmości, zdawając, ma się rozumieć, szacunek i poważanie, jakie miał Bonny dla dworu, zaprowadził jednocześnie pewien przymus w następne jego z dworem stosunki. W tej jednak

chwili nic nie przedsięwziął zaiste dla upomnienia się o swój honor, chociaż na jedno słowo (wiedział o tém wybornie) Bottler, rzeźnik, byłby wziął bat i dojrzał całej sprawy. Gdyby nawet której z dziewcząt służebnych powiedziano, by doniosła o tém panie Alicyi, nie wątpił Bonny, że otrzymał-by należną mu sprawiedliwość, zlitowanie i nawet pół korony.

Jakkolwiek skory do zapomnienia i przebaczenia wielu rzeczy, na szkodę jego popełnionych, chłopiec, stanawszy nad otworem rozpadliny, bystro rozejrzał się wkoło, czy niema tam gdzie śladu tego straszego człowieka, który tak dzielnie nogami wywijać umiał. Mając teraz Jacka w odwodzie, oraz kopyta jego i zęby, Bonny nie obawiał-by się tak bardzo; bo ostatniemi czasy dowiedział się, że silnym jest poplecznikiem. Koniec końcem jednak, po długim dniu pracy, na morzu i na ziemi, wędrownik rad ujrzał zamek swój nieoblężonym.

Przedśionek owego zamku miał łokieć blisko wysokości, a może z jakie piętnaście cali szerokości, a rozmiary nie wszędzie jednokowe, ale tu wklęsłe, tam zato wystające, stosownie do tego, jak były wyżłobione przez różnokształtne przedmioty, lub nawet samego Bonny. Mieszkać tu miał podobno świątobliwy jakiś pustelnik, jeżeli prawdę mówiło podanie. Ale jeżeli tak było istotnie, musiał on być równie mały ciałem, by się tu móżdż wsunąć, jak wielki duchem, by tu chcieć przebywać. W każdym razie Bonny był tu teraz pustelnikiem i większym grzesznikiem, niż świętym.

Ostatnie spojrzenie słońca przebijało jeszcze wieczorną pomrokę, gdy dwaj ci pielgrzymi dobili się domu i odpoczynku w przystani spokojnego zakąta. Z podnóża stromej białej skały smug zieleni staczał się po łagodnej pochyłości, tu i owdzie sterczącym wzgórzem najeżonej, dopóki nie dotarł do równin uprawnego pola, na których ukazywał się już puszysty obłok zbożowego kwiecia, (bo lato było gorące), które, kołysząc się na ciasno-zwartych łodygach, mieniło się srebrzysto-szarą barwą w przedwieczornego mroku zwojach. Nie było teraz widać, ma się rozumieć, pyłem osutych gniazdeczek pszenicznego kwiatu, ani drżenia długich wąsów żyta, ani złotawego obłoku, co w skwarny dzień letni unosi się po-nad zbożowemi łąny. W powietrzu unosiła się tylko woń, delikatny ów zapach pszenicy, dający się uczuć tylko tym, którzy w sposobnej godzinie na pojawienie się jego czekają.

Ale Bonny i Jack nie mieli teraz usposobienia do czekania na cokolwiekbydz. Zapach pszenicy niczém był dla nich; natomiast za-

pach bochna chleba znaczył wiele. A Jack to wiedział, prawie równie dobrze, jak Bonny, że niech sobie czasy będą, jak chcą, ciężkie, (a istotnie były już bardzo ciężkie, choć niczém w porównaniu z późniejszymi), mimo to znaleźć się mogły dwa białego chleba bochenki, zespolonemi obu towarzyszy urokami zdobyte na dziewczynach służących, które miały już wymówioną służbę. A także, w drodze ku domowi, nie wiodło im się tak źle znowu, aby im się nie nadarzyło kilka chrząstkowatych golonek wieprzowych, i skórka z polcia słoniny, i coś przytém więcej, dotąd jeszcze nieznanego, ale w najwyższym stopniu pobudzającego ciekawość. A dostało im się to wszystko w pewnym miejscu, gdzie w tym tygodniu właśnie bito wieprza, choć pora roku nie sprzyjała temu wcale.

— A teraz, Jack, weź-no się, jak trzeba — rzekł Bonny z miną dorosłego prawie człowieka, wsuwając własne swoje szczupłe barki, pomiędzy okryte wytartą sierścią boki zwierzęcia, a zwisający z nich wór. Jack wiedział, czego się spodziewa po nim Bonny, bo rozumnie białym nosem zawróciwszy tak właśnie, jak trzeba było, podsunął go pod jeden koniec woru i ostrożnie przerzucił go sobie przez grzbiet, tak, że wór ślicznie zsunął się na ziemię.

Gdy ogromny ten wór legł na ziemi (a raczej stanął na niej kossławo, z powodu tego, co we wnętrzu jego się znajdowało), pierwszą wszystkich obecnych czynnością było podejść ku niemu, szturchnąć weń i obwąchać go. A chociaż wszyscy obecni, byli to tylko Bonny i osiek jego, jednak obowiązek ten nieźle został spełniony, dlatego, że obaj byli głodni.

Gdy rozcięto wiązadła, a wór rozsnurowany odetchnął, zaczęły zeń wyglądać rozmaite rzeczy i wysnuwać się na swobodę. Najpierw wyszły dwa snopy morskiego ziela, które wybornie spełniły swoje zadanie, utrzymując wszystko w stanie ściśnienia i świeżości, głód pobudzającym zapachem morza. Następnie pojawiła się mieszanina wszystkiego prawie, co chłopiec, nie znający wybredzania mógł uważać za jadalne, oraz co przez dziecko, nic nieumiejące, mogło być za rzecz rzadką poczytane. Bonny był pierwszorzędnym zbieraczem, takim, który wszystko kolekcjonuje. Była więc tam żywność, i ziemskiego, i morskiego, i rzeczniego pochodzenia, razem z pożywieniem dla ducha dziecka, które wcale ducha nie miało, a przynajmniej nie czuło go w sobie. Pokornie, omackiem szukał Bonny około siebie i wszystko prawie podziwiał.

Teraz zaś miał do podziwiania rzeczy, które w upale dnia i zapale pracy pojmał był i byle jak pochował. Chłopiec i osiek pracowali

na dźwigany przez siebie plon z tak szczerém utrudzeniem, że teraz nie mogli sobie przypomnieć połowy nawet tego, co mieli. Jack, zaprzężony do sieci, wyciągał ją z wody, a Bonny, drepcąc po piasku nadbrzeżnym, dodawał mu ducha, własnymi barkami razem z osiołkiem holował, bosemi nogami przydeptywał i podrzucał koleczaste i ogoniaste morskie stworzenia, które pożegnalny wysilek konających na mieliźnie fal wypchnął był z otworu sieci.

Bo tego właśnie dnia odbywał się w Shoreham wielki letni połów ryb. Był to stary zwyczaj miejscowy, ale nawet stare zwyczaje muszą się zastosowywać do przyboru i opadania wód, a najwyższy przybór letni (wtedy, kiedy ryba jest najżwawszą) przypadał w roku 1811 na dzień 18 Czerwca. Od wielu już tygodni Bonny dnia tego wyglądał, i oto miał teraz przed sobą hojną za oczekiwanie zapłatę.

Gorzkim doświadczeniem złych i dobrych losów nauczony, chłopiec ten w dziecięcym jeszcze wieku chwycił się roztropności. Z początku było to wrodzoném i sercu jego drogiém upodobaniem, uraczyć się do syta, (gdy się zdarzyła sposobność), a potem, powrotu jęć oczekując, z pustym chodzić żołądkiem. Ale teraz, już dojrzałszych lat doszedłszy i po należytem rzeczy rozważeniu, co najmniej za dwunastoletniego przez jedynego masarza w Steyning uznany, Bonny zaczął znać się na rzeczy i przechowywać zbywające zapasy.

Do téj rozumnej czynności miał teraz większe pole, niż zwykle; bo, wśród dziennego upału, nie odstąpił od najpiérwszój i silnie ugruntowanej swojej zasady: nigdy niczém nie gardzić. Wiele zatem i wcale pięknych rzeczy pomieszało się i w kupę prawie zbiło z rozmaitościami, które fala rzeczna do sieci naniosła. Wszystkie te rozmaitości porozkładawszy teraz każdą z osobna (o ile mu na to młodość żywość pozwoliła) na umieszczonym kawałku miejsca, na ziemi, do tego zaszczytu już przywyklój, Bonny odstąpił w tył, trzymając się za kolana, a Jack, wyciągnąwszy nos, obwączywać zaczął niektóre z leżących tam przedmiotów.

Bułki prawdziwego pszennego chleba stawały się już wtedy rzadkością. Kilkoletnie złe zbiory nastąpiły po innych zadawnionych niepowodzeniach i, uczepiwszy się ciężkiej dłoni desperackiego opodatkowania, postawiły kraj, fermerów i ludzi jeść potrzebujących w takim położeniu, że my (którzy się dziś lada czém zadowolnić nie umiemy) bynajmniej nie postępujemy nagannie, jeżeli z pogardą prawdziwych wykwintnisiów klaśniemy językiem, gdy o dziadach naszych mowa.

Bonny dobrym był zawsze dla Jacka, obchodząc się z nim tak, jak

tęgo wymagał wzajemny ich do siebie stosunek; to też i teraz z najcenniejszego łupu wybrał dlań spory bochen chleba, którego miękkość była rzeczą zębom obudwóch niezwyčajną. Jack prznosił to nad wszystkie w świecie lucerny, nawet wtedy, gdy zręczną kradieżą zdobyć mógł sobie ten przysmak; teraz więc podreptał ze swoim bochenkiem pod najbliższy głąz, pod którego cieniem próbować miał w silnych szczękach spulchniającej siły drożdży. Tu bochenek o głąz oparłszy, odstał parę kroków, by podumać nad nim i upewnić się, że każda okruszynka jest jego wyłączną własnością. Potem zaś bez skrupułu, oraz bez straty czasu, wystawił wargi i zaczął z pośpiechem dobierać się do ośrodka.

„Co nagle, to po dyable,” jest to przysłowie, którego, na pierwszy rzut oka, na samym końcu nauczyć-by się powinien osieł. A jednak pokazało się w tym wypadku, że Jack powinien był znaleźć sobie wolną chwilę na tę naukę; albowiem nie upłynęło jeszcze i chwili, gdy biegł już do Bonny, szeroko roztworzywszy i tak już szeroki pysk, chrapiąc z bólu i bardzo sobie życząc ryknąć po osłemu, lecz, z powodu wyjątkowych okoliczności, nie mogąc tego uczynić. Ostrego coś wbiło mu się mocno w podniebienie, i chociaż nad wydobyciem tego kolca pracował, jak mógł, skaleczonym od pokłuc językiem, wbił go tylko coraz mocniej. Wielkie czarne oczy zdyszanego ze strachu zwierzęcia, jęklive sapanie drgających z bólu nozdrzy, takim strachem przejęły biednego Bonny, że o mało co nie uciekł. I byłby to zrobił niewątpliwie (bo koniec końcem był jeszcze malcem prawdziwym), gdyby nie trafiał zrzędził, że bystrém okiem dojrzał nagle jakieś błysnięcie, coś co żywym świeciło blaskiem w głębokościach rozwartej mordy osłój.

Dosyć tego było dla chłopca. Wrodzony mu instynkt skrobania, grzebania i chowania, obudził się w téjże samój chwili. Wsunął opaloną rękę między potężne szczęki osła i wydobył ją dość szybko, by w porę ująć kłapnięcie zwiastującego radośne ich połączenie. A w ręce téj trzymał coś, co dziś właśnie wydobył z sieci, ale na co ledwie spojrział przelotnie, holowaniem i wyciąganiem jój zajęty. Leżał więc przedmiot ów wśród wielu pięknych darów morza, wśród rozlicznych gatunków raj, psów morskich, sepii, głowonogów, konch, muszli i wśzystkiego, na widok czego rybacy kląną, złością się i znowu na dłoń sobie plują.

Wśród tego leżały jeszcze w owym worku rozmaite podarki życiodawczej ziemi, macierzyńskiemu jój sercu przez zręcznych oprawców wydarte.

Bonny niczego nie odrzucał. Ryby, mięsiwo, ptactwo, a nawet nieświeże śledzie, co tylko w drodze łaski otrzymał, wszystko mile przyjmował pobłażliwym nosem, a niekoniecznie czystymi palcami. Tak, że sąd jego z trudnością mógł być „z góry powziętém zdaniem błędnego przesądzania obalamucony“ (jak się najlepsi nasi pisarze wyrażać lubią), gdy, rzuciwszy ów przedmiot na ziemię i wachając wielki swój palec, wykrzyknął: „O Boże, jakże mnie ręka świerzbi”.

Po tak dosadném wyrażeniu, cóż więcej mieć mu możemy do powiedzenia? Przywilój to naszej epoki, że depcemy po wszystkiém, czemu wolimy nie patrzeć w oczy, a jednocześnie udajemy, że lubimy to bardzo i że chcemy je podnieść, za pomocą oświaty. Mimo to, można-by powątpiewać, czy wnukom biednego Bonny (jeżeli spodziewał się mieć je kiedykolwiek) posłuży ta nauka równie dobrze, jak jemu posłużył chleb miłosierdzia.

ROZDZIAŁ XI.

Kancelarya prawnika.

Istniał niedawnemi czasy cały szereg domów, stojących wprawdzie wewnątrz obwodu, przez świątynią prawa zajmowanego, (dzielnica sądowicza w Londynie zowie się *Temple*) ale używających mimo to rozległego widoku na bulwary nadrzeczne. Tu przez długie czasy bujnie kwitło prawo na odchodach bezprawia, jak pokrzywa na dobrze ugnionej ziemi.

Teraz jednak zaszły ogromne zmiany na lepsze w tamtej części miasta, a żyjący ze zbrodni attorneyowie, o których dowiadaliśmy się od klasycznych naszych powieściopisarzy, ustąpili miejsca ludziom głośnego imienia i gruntownej nauki, cieszącym się znaczną klientelą. Wśród nich najbardziej był znanym i szanowanym Glanvil Malakide, K. C. (*King Counsel*: Radzca Stanu) znakomity mówca przed kratkami, który nie chciał już teraz dla łada sprawy przywdziewać peruki. (Adwokaci angielscy stają u krated w togach i perukach). Ma się rozumieć, że i on, podobnie jak reszta ludzkości, musiał dobijać się sławy, ale skoro ją sobie zapewnił, natychmiast wziął rozbrat z hałaśliwyszemi zawodu swego stronami. Ale zamiłowanie subtelności prawa, (które cieby pajak sprawiedliwości rozsnuwa w coraz to przejrzystszą tkaninę) oraz moc przywyknienia, nie pozwoliły mu zu-

pełnie zrzec się długoletniego zajęcia; został więc adwokatem, u siebie porady udzielającym, i miał klientelę większą, niż jój był zdolen podobać.

Sir Roland Lorraine znał go z reputacyi w Oxfordzie, kiedy Glanvil Malakide, będąc młodzieńcem, uchodził za jednego z najzdolniejszych studentów i kiedy (co rzadko kiedy się zdarza) zdolni studenci dojrzewali w uczonych ludzi. Dzisiaj bowiem zdolność musi ciągle być utrzymywana w stanie młodzieńczości, by zadowolnić drobne wymagania nauczycielstwa.

Przyszło więc do tego, że skoro tylko Hilary Lorraine spuszczonej został z pasków oxfordzkiego kierownictwa i dochrapał się jakiegoś stopnia naukowego, ojciec, który (dla jakichś sobie tylko znanych powodów) pragnął trzymać młodzieńca zdala od wojska, wpisał go z zadowoleniem na listę aplikantów na przykład Glanvila Malakide. Nie dla tego wcale, by spodziewać się miano po Hilarym, że często używać będzie peruki (chyba-by chorobliwa ku temu żądza utorowała sobie drogę do otwartej na oścież duszy jego) ale dlatego, że niezrównana doskonałość prawa mogła padać na niego, jak pada rosa niebieska, i rozwinąć go na Sędziego Pokoju.

Hilary zapatrywał się na tę kwestyą, jak zresztą i na wiele innych, z łagodną obojętnością. Gdyby mógł mieć swoją wolą, był-by od dawna został żołnierzem; bo były to czasy, kiedy wszystek duch w Brytanii pobudzony był do stawania pod bronią. Ale największą tego młodzieńca wadą było to, że składał się z tak wielu żywiołów, iż nie w nim nie było ustalonego. Miał „wielkie dary”, jak mawiał pan Malakide, „nadzwyczajne” jak my teraz mówimy, ale nikt nie umiał (a najmniej sam posiadacz) zużytkować ich właściwym sposobem. Jest to jedna z najnieszczęśliwszych ludzkiego ducha kombinacyi: mózdz się przydać do wszystkiego, a nie być do niczego przydatnym. Gdyby ktoś wziął był Hilarego w karby i zwrócił go w stale oznaczonym kierunku, Hilary musiał-by zostać wybitną jednostką.

Tego widzieć nie mógł jego ojciec. Ogólną jest zasadą, że ojcowie nie umieją poznać, do czego są zdolnymi ich synowie i, zawiódłszy się na nich, sami siebie (na krótko przynajmniej) uważają za głupców, dlatego, że wierzyli wszystkiemu, co o chłopcu mówiła matka. Mimo to biedna matka wie, że ona-to miała racyą, i że świat grubo się myli.

Ale Hilary Lorraine od lat dziecięcych nie miał matki, która-by mu była pomocą. Miał tylko do pomocy dobre urodzenie, przyjemną powierzchowność, dobre zdolności, badzo miły humor, oraz dobry

i prawdziwie dobroczynny charakter. Miał także dość wytrwałej woli (gdy się w nim serce odezwało) ale wstydził się występować z nią śmiało w sprawach mniejszej wagi. I tém głównie błędził, że każdą prawie rzecz uważał za sprawę mniejszej wagi. Z powodu łatwości obejścia miał naturalnie mnóstwo przyjaciół, ale czasem zrobił rzecz taką, że najlepszy z nich, albo nawet i najgorszy, nie mógł zadawać się z nim dłużej. Nie były to rzeczy złe, owszem, za daleko we wręcz przeciwnym kierunku idące: podnosił naprzykład z ziemi zupełnie obnażone dziecko i pieścił je, lub w obliczu całego Chrześcijaństwa popełniał czyn jaki, równie jak ten, hańbiący. Takie to robił rzeczy i gorsze jeszcze, na które nikt, jako tako się szanujący, nie mógł patrzeć z uśmiechem w biały dzień i które wystawiały młodzieniaszka na pośmiewisko dobrego towarzystwa. Jeden z najlepszych jego przyjaciół mawiał, że Hilaremu potrzebna jest jedna lub ze dwie wady, dla zrównoważenia cnót jego. Mogło to być prawdą; ale mimo to miał i Hilary swoje porcyą ułomności.

Jakby na dowód tych ostatnich, wszedł w przyjazne bardzo związki z jednym ze swoich biurowych kolegów. Był nim niejaki Grzegorz Lovejoy, młodzieniec całkiem nie na miejscu wśród modnych wykwintnisiów salonowych. Niestosowna ambicja pomysłowej matki wysłała go, wbrew jego przeznaczeniu, do Londynu, i tu stał się kamieniem, na którym szlifowali jego koledzy błyszczące ostrza swoich dowcipów; nie był bowiem w żadnym uniwersytecie, nie był nawet w szkole publicznej i nie miał wstępu do nikogo, bo nikt nigdy nie słyszał o nim.

Otóż im więcej koledzy pomiatali tym młodzieńcem, tém więcej ważył go sobie Hilary, czując to uczuciem zbyt delikatném, by z zastrawienia powstać mogło, że wstydem jest dla dobrego urodzenia, gdy się o niem zanadto pamięta, i że w wielkich okolicznościach czynić to tylko wolno. Tak więc, nie obrażając nikogo i nie pragnąc uchodzić za obrońcę, Hilary zwykł był zasłaniać młodego Lovejoy od dokuczliwych pocisków dowcipu, nieustannie przeciwko niemu wymierzanych.

Mieszkanie, przez pana Malakide zajmowane, było może najlepszym, jakie w tamtęj dzielnicy miasta znaleźć się dało. Aplikanci jego, zawsze w liczbie dziesięciu, bo więcej mieć nie chciał, a mniej, z powodu rozgłosu swego imienia, mieszać nie mógł, zacił młodzieńcy, mieli dla siebie pokój najdłuższy, trzema oknami na skwer wychodzący. Z okien tych wzrok, pomijając wszystkie „użytkowe gmachy“, swobodnie mógł bujać po téj Letejskiej rzece, na której bulwarach

takim niepotrzebnym jesteśmy chwastem, bo żadne inne budynki nie zasłaniały jeszcze podówczas widoku, który oczom siedzących miłe przynosił wrażenia.

Ale aplikanci pana Malakide czasami zaledwie spoglądali przez te okna. Niechaj nikt wszelako nie śpieszy z naganą ich obojętności. Rzadko wprawdzie patrzyli przez okna, ale dlatego, że rzadko znajdowali się za temi oknami.

A najpiérw, pomoc ich była dobrowolną i od wielu rzeczy zaletną. Płacili wprawdzie za siebie, ale od ich woli zawisło, czy robić będą co więcej. Każdy z nich wnosił (albo ojciec wnosił za niego) opłatę stu gwinei, by mieć „wstęp do biura“, ale, po większej części, uzyskawszy prawo wstępu, czémprędzej wynosili się z tamtąd. Im rzadziej przychodzili, tém mniej miał z nimi kłopotu pan Glanvil Malakide, który téż zawsze dawał im to do zrozumienia, gdy uiszczali wstępną opłatę. „Jeżeli chcesz pan zostać prawnikiem — mawiał — zrobie, co będzie w méj mocy, by panu do tego dopomódz. Ale jeżeli pan chcesz tylko nazywać się prawnikiem, nie mam nic więcej do powiedzenia panu“. Było to naturalnie bardzo słuszném i nie więcej nie należało wymagać od niego; aplikanci jego byli to bowiem po większej części młodzieńcy dobrze urodzeni, lub téż w angielskich hrabstwach dobre zajmujący stanowisko, dla których maleńkie liźnięcie prawa, lub téż sława, że liźnęli, dużo znaczyć mogła na przyszłość. Ma się rozumieć, że znajomość wybiegów prawnych więcej mogła im się przydać w dalszych starciach ze światem, niżeli zbadanie ducha praw; ale tego smacznego specyału napili się już do syta w Izbie Obrońców i przychodzili tu splókać smak jego czystszeimi wodami znajomości samego prawa.

Hilary mógł zatém być uważanym (i niewątpliwie uważał sam siebie) za niesłychanie pilnego, bo można go było zastać z jakie cztery lub pięć razy na tydzień w kancelaryi, gdzie przychodził na tyle czasu, ile go potrzebował do przeczytania dzienników przed swoim obiadem o piątéj. Tymczasem zaś dwóch jego kolegów: wielmożnego Roberta Gumptona i Sir Franciszka Kickabouta, widziano w kancelaryi raz tylko, odkąd wpis za siebie opłacili, i to jeszcze przyszli dlatego jedynie, że z nieprzewidzianych powodów nie mogli zagrać partyi bilardu w niedalekim od kancelaryi zakładzie. Dependenci, w kancelaryi pracujący, mawiali między sobą, że „ci młodzi panicze muszą być strasznie głupi, żeby płacić po sto gwinei, dlatego, że piérwszy lepszy elegant mógł zawsze przejść się po biurze, a nikt-by

się nie domyślił, czy to swój czy obcy, ani jego niby-koledzy, ani sam nawet „stary w peruce”.

Mimo to, było jednak kilku młodych ludzi, dla których kancelarya była czémś inném, niż drogo kosztującym miejscem przechadzki. Jednym z takich zacnych młodzieńców był Rice Cockles, który od dwóch lat już sam prowadził sprawy i jednej nocy nie przespał, jak należy, dopóki nie zasiadł na parlamentowym wańtuchu, z kąd spadł prosto do grobu, a drugim był Grzegorz Lovejoy. Cockles był najmocniej przekonany, (jak to zresztą skończonemu obrońcy przystało), że posiada ogromne zdolności, Lovejoy zaś to wiedział o sobie, że matka jego była pewną, iż syn jój cudów dokaże.

Hilary nie mógł znosić Rice’a Cocklesa, który był oschłego, sarkastycznego usposobienia, ale za to z każdym dniem lubił więcej młodego Lovejoya, a lubił go tém bardziej, że bronić go potrzebował. Młodzieńcy, którzy nie mieli szczęścia być w szkołach publicznych, rzadko umieją trzymać język za zębami, świat ich dopiero milećć nauczy. Grzegorz zatem nie przypuszczał, aby w tém było co złego, że piękny majowy poranek uznał za porę stosowną (ktoś zobaczył był tylko co kwitnące kędys drzewo) do chwalenia się pięknoscią wiśniowych sadów ojcowskich. „Jak pyszne, jak wspaniałe muszą one być teraz — mówił — wszędzie biało, biało i biało, na przestrzeni tak ogromnej, jak cała dzielnica sądownicza, razem wzięta! A jak wśród nich brzęczą pszczoły, dobrze wiedząc, z jakiego kwiatu najpiérw miód spijac! i pstre motyle letnie pewno już wyleciały na słońce. Ale w noc księżycową, a szczególniej w taką, kiedy trzech dni brak tylko do pełni, była to dla nieszczęśliwych mieszczuchów najlepsza pora do zgłupienia z radosnego podziwu. Wtedy-to przechadzka wśród drzew wiśniowych zdawała się być przechadzką po zaczarowanej krainie, albo śród chmury śniegowej, nim jeszcze śnieżnemi płaty sypać poczęła. Był to jakiś cudowny świat miękkiej bieli, jakieś fantazyjne z przejrzystych koronek cienniki; ta biel rzucała czarodziejskie jakieś uroki, i lęk prawie przejmował na widok tych białych kwiatuszków, mających nad człowiekiem tak wielką czaru potęgę”.

— Gdzież znaleźć-by można ten raj wspaniały? — spytał Rice Cockles takim tonem, jakby trudno mu było powstrzymać nogi od wejścia na prowadzącą tam drogę.

— O pięć mil od Sevenoaks — śmiało odpowiedział Grzegorz.

— Znam tę okolicę. Czy ojciec kolegi wysyła wiśnie na targ owocowy w Covent-Garden?

I odtąd Grzegorz Lovejoy znany był w kancelaryi pod przydomkiem „Cherry Lovejoy” (jest tu gra słów: „Cherry” znaczy *rumiany* „Lovejoy” *lubiący wesołość*) i zdumą na to zawołanie odpowiadał.

Było to już pod koniec Czerwca i wiśnie musiały dojrzewać. Dzień był gorący i parny, i Hilary przyszedł do kancelaryi później trochę, niż zwykle, ale świeży, jak zwykle, i wesoły, jak skowronek. Nawet i pan Malakide, uczuwszy na sobie wpływ upału oraz siódmego krzyżyka, drzemał w swoim pokoju. Trzój dependenci, w dziurze swojej siedzący, byli także do niczego prawie, mogli-by tylko pokłaść się gdzieś daleko za miastem, na łące, pod cieniem olch i popijać sen sprowadzające piwo. Nawet Rice Cockles rozpoczął sprawę z jednym z owych niezwykłych bólów głowy, które rodzą się w upał z usposobienia do satyry (rzecz ta bowiem kwaśniej w temperaturze powyżej zera); w długim, gorącym pokoju nie było więc nikogo, prócz spokojnego i statecznego Grzegorza.

A i ten nawet, mimo niezłomnej woli ziszczenia przepowiedni macierzyńskich, ledwo był w możności powstrzymać myśl od słabnięcia a usta od ziewania, podczas gdy śleczął nad niesłychanie pracowitą odpowiedzią na prośbę o wymierzenie sprawiedliwości (dla pospolitych umysłów to już było niesprawiedliwością, że prośba taka podaną być mogła). Ale pan Malakide, ma się rozumieć, zapatrywał się na to ze stanowiska fachowego człowieka.

— Lovejoy, na imię ci Love-misery (lubiący niedolę) — zawołał młody Lorraine, który nigdy nie nazywał kolegi „Cherry”, choć tamten chętnie-by na to zezwolił. — Dopiero co przechodziłem koło sklepu optyka, na termometrze jest stopni 96 (Fahrenheita). To pióro twoje musi być chyba strusie, że może się ruszać na to gorąco. Nawet sam Radzca prawny uległ potędze żywiołów. Słyszysz, jak dmie w swój róg zatkany? Nie powiedział-że wielki i głęboki pisarz: „Zaprawdę, pióra u pisarza, są najbardziej ze wszystkich strzał złego ducha zabójcze!” Chodź więc, będziemy puszczać strzały!

Grzegorz niewielką miał ochotę do tak męczącej zabawki; wszelako nabrał już był zwyczaju ustępowania pomysłowemu i popularnemu koledze, który kilka już razy wciągnął go w małe awanturki, a z jakie parę razy i w niemałe. Niezwykła żywość charakteru Hilarego, uroda jego, słodycz obejścia, również jak wrodzona łatwość zadawalniania się każdym towarzystwem, dawały mu pewność podobana się rozmaitego gatunku ludziom. Mógł-że więc młody Lovejoy, pięknym lecz jeszcze niewyrobionym charakterem obdarzony i nigdy nieprzyjmowany w najskrajniejszym obrębie dobrego towarzystwa,

nie spoglądać na obrońcę swego, Hilarego, jak na bożyszcze czarujące?

Ustąpił zatem od razu nagłemu zachcaniu Hilarego. Ponieważ w całym świecie wrzała podówczas wojna (co się przeciętnie w każdym pokoleniu przytrafia) przeto i Cherry Lovejoy obrał sobie za tarczę, do której celować mieli, kalendarz sądowy na rok bieżący. Wziął potem cztery długie pióra, odarł je z chorągiewki, ponakrawał paleczki, i każdą obdarzył czterema skrzydłami z papieru, bardzo zręcznie powycinał i w równowadze obsadził w nacięciu pióra. Zręczność, przy tém zajęciu okazana, była dowodem, że nie po raz pierwszy niēm się trudni; jakoż istotnie ciężkiem to było okrucieństwem, że musiał teraz znowu przysposabiać strzały dla siebie. Ale dependenci mieli stały zwyczaj wykradania strzał z niezamkniętych na klucz szuflad, bądź-to dla praktykowania téj zabawki pomiędzy sobą, bądź-to przedewszystkiē dla dogodzenia osobom, do rodziny ich należącym.

— Kapitalne! Cudowne! — wołał Hilary z takiē ożywieniem, jakby wszystek ogień podniebny w jego tylko wnętrzu płonął. — Nigdy piérwē nie mieliśmy tak wybor nego zapasu; ja nie umiem tak dobrze robić strzał. A teraz, do ostrzy, Grzegorzu!

— Łada głupiec potrafi to, com dotąd zrobił. Ale nikt nie potrafi tak ściąć ostrza, żeby utkwiło w tarczy, zamiast od niēj odskoczyć. Pan jeden umiesz to, panie Lorraine.

— Panie Lorraine! słuchaj, Gregorzu Lovejoy, myślałem, że lubimy się nawzajem dosyć, by oddawna zaprzestać takiego mówienia. Jeżeli tylko zechcesz dołożyć uwagi, zobaczysz, jak przycinam ostrze, tak, żeby silnie rzucona strzała przeszła nawet okładkę z cielecēj skóry.

I zrobił to w jednē chwili, misternie a prędko, ze zręcznością po księciu Agaryklesie w spadku otrzymaną; poczem stanęli obadwaj na miejscach.

Z najdalszego kąta pokoju, z odległości trzydziestu może stóp lub więcej, rzucać zaczęli strzały po przez dwa wielkie stoły, okryte bliznami, które im zadało niejedno pokolenie prawników. Hilary silniēj wyrzucał strzały, ale Grzegorz staranniēj celował, tak dalece, że, mimo zabójczego skwaru, spór o piérwszeństwo stawał się coraz żywszym.

— Bodaj ich licho! Te osłaki nie umieją chyba rozróżnić upału od mrozu! — rzekł starszy dependent, któremu w małym jego po-

koiku spokój przerywało tupanie i chodzenie i głośne wołanie aplikantów.

— Prędjéj oni, *niż panu albo mnie* — mruknął na pół przez sen dependent drugi. (Kto-by potrzebował najniegramatyczniejszego mówienia, niech się po nie uda do dependenta-kopisty).

Pomimo nieprzyjaznej krytyki, żwawa, niezmordowana walka toczyła się dalej, a każdy pocisk zaznaczano na długiej ćwiartce wexlowego papieru.

— Szesnaście tobie, mnie ośnaście! — wołał Grzegorz, ustawiając w równowadze na dłoni długą uskrzydloną strzałę, gdy tymczasem tużurek jego i kamizelka spoczywały obok aktów, niewiadomo kiedy skończyć się mającego procesu, a szeroka Kentyjska twarz jego czerwienią była od najczerwieniejszej wisien odmiany. W téj samej chwili w otwartych z nienacka drzwiach stanął pan Malakide.

— Otóż-to — rzekł ze zwykłym sobie spokojem — rozumiem teraz przyczynę hałasu, któremu się nieraz dziwiłem. O, Lorraine! cóż to z ciebie za dziecko.

— Czy dziecko zrobiło-by coś podobnego? — odparł Hilary, stając na miejscu biednego Grzegorza i sadowiąc strzałę w samym oku Kancelerza, stanowiącém środek ich tarczy, czyli kalendarza, który młodym ludziom służył zamiast tarczy.

— To ci się udało! — odpowiedział pan Malakide — może to jedyny trafny pocisk, jaki ci się uda rzucić w ciągu twego zawodu!

— Spodziewam się, że nie będzie jedyny, Sir. Pod troskliwém kierownictwem pańskim kładę kamień węgielny olbrzymiego *pocztu nauki*

Stary prawnik rad słyszał te słowa. W samej rzeczy był on przekonany, że pracuje nad powierzoną mu młodzieżą, i pocziwe serce jego radowało się ich pochwałami. Po swojemu okazując więc zadowolenie, schwycił Hilarego na słówko:

— Kamień węgielny *pocztu*, Lorraine? Chcesz chyba powiedzieć: kamień węgielny *gmachu*, a jak dotąd *lusiści pilis*. Ale możesz mi jeszcze przynieść zaszczyt. Trzeba mieć pewien wzgląd na takie, jak ten, upały. Jutro dłużej pomówię z tobą.

Z temi słowy i z miłym na ustach uśmiechem, znakomity prawnik wyniósł się do swego pokoju, udając, że nie widział wcale oblanego rumieńcem Lovejoya. Bo wiedział on wybornie, że Grzegorza nie stać na marnowanie czasu; to też (jak prawdziwy gentleman) cze-

pił się Hilarego, którego stać na to było. Hilary zrozumiał jego powody i jak zwykle pośpieszył uwielbienie swoje wyrazić.

— Co to za człowiek! — rzekł, jakby sam do siebie jedynie — od dnia, kiedy zostanie Kanclerzem, przestanę puszczać strzały do kalendarza sądowego. Dzisiaj jednak... ale, za gorąco jest, żeby o nim mówić. Lovejoy, pójdziesz ze mną? Muszę wyrwać się za miasto.

— Co? — zawołał Grzegorz, zrywając się na te magiczne wyrazy ze swego pokutniczego siedzenia i podnosząc schyloną ukorzeniem głowę. — Coś ty powiedział, Lorraine?

— „Piękną jest zaiste rzecz, którą powiedziałaś, i pięknym jest sposób, w jaki wypowiedziałaś ją”. Cóż znowu! nigdy-ż całkowicie nie pozbędę się obcej mi znajomości dramatów greckich? z języków, które istnieją, lub istniały, ocalały na taki skwar, na ulicach Londynu, dwa tylko wyrazy: jeden *rus* a drugi *country* (wieś).

— „Słodko jest i przystojnie umierać za ojczyznę”. (Gra słów: *country* ma podwójne znaczenie: wieś i ojczyzna). Te słowa pamiętam dobrze; znasz je pewno?

— Pamiętam je od najmłodszych lat, a wspomnienie to niekoniecznie słodkie. Ale tam jest mowa o „country: *patria*”, ojczyźnie, a nie o „country: *rus*” wsi. „Patria” jest człowiekowi ojczyzną, „rus” macierzą. Nikt, kto nie mieszkał w Londynie, nie zrozumie tej paraboli.

— Hilary — odezwał się Grzegorz, nieśmiało wprawdzie, ale z błyskiem ciemnych oczu i stanowczym w ustach wyrazem zdobywając się na to oświadczenie — wiem, ma się rozumieć, że jesteś wyższym ode mnie.

— Czuję się niepospolicie dumnym, słysząc to — odparł Hilary z najsłodszym swoim uśmiechem — bo w takim razie musiał-bym być dużo wart więcej, niż się to kiedykolwiek marzyło.

— Daj-że pokój! wiesz wybornie, co mam na myśli. Chcę powiedzieć, żeś wyższy ode mnie pozycją, to jest urodzeniem, stosunkami i tam dalej.

— Bez wątpienia — poważnie odparł Hilary, zwijając w trąbkę kawałek bibuły — jakież więc wyliczysz mi korzyści?

— Pięćdziesiąt, gdybym je chciał wyliczyć wszystkim. Widzę jednak, że chcesz rozpocząć dyskusję. Widzisz, dyskusja jest to rzecz taka, która zawsze...

— Słuchaj, Grzegorzu, przyznaj tylko, że mam wyższość nad to-

bą w dyskusyi, a ja sam się obwinie dobrowolnie o wyższość nad tobą we wszystkim inném.

— Wiész dobrze, Lorraine, że nie wiem, jak to zrobić. Dopiero niedawno temu się zdarzyło...

— Otóż-to—przerwał Hilary—trafiło się.... Bardzo nawet niedawno temu, zapędziłeś mnie w myślą dziurę. A zatém, przyjacielu mój, Grzegorzu, powiedz, co masz do powiedzenia, nie kopiąc dółków pod podeszwą nóg moich.

— Bo widzisz, ja miałem do powiedzenia to jedno, że może, jeżeli zechcesz rozważyć.... to jest, zważywszy pogodę i także to, że cały wielki świat wyjechał z miasta i że na ulicy upiec się można żywcem, i że prawnikom strachu napędziła kometa, zupełnie tak, jak gdyby, prawie jak gdyby....

— Jak gdyby to był zły duch, po nich przychodzący.

— Tak właśnie. I jeszcze, jeżeli zechcesz rozważyć, że jutro rano będzie tu znowu duży tłok—to jest, może nieduży, ale zawsze lepiej unikać podobnych rzeczy, dopóki się trochę nie ochłodzi, myślałem więc, a przynajmniej zacząłem myśleć....

— Co takiego, kolego najmiłszy? Niepewność zamienia się na taki upał w gorączkę.

— Nic Hilary, zupełnie nic. Ale ty masz najmiłszy humor, jaki u kogo w życiu spotkałem, dlatego też myślał, że nie będziesz na to uważał, a przynajmniej nie bardzo, i że może..

— Najmiłszy mój humor całkiem się już wyczerpał, Grzegorzu. Brak mi uwagi na uważanie na co bądź! Chodź i zjedz ze mną obiad.

— Zawsze mi przerywasz w ten sposób. Nie mogę przecie zawsze chodzić i iść jeść obiad z tobą. Zawsze mi to przyjemnie; ale wiész...

— Bezwątpienia wiem, że i mnie to będzie przyjemném. Czas już nawet pomyśleć o tém. Któż-by mógł jeść dzisiaj obiad w miejskiej restauracyi i wypić swoją butelkę zgrzanego na ukrop piwa?

— Ja-bym mógł i mogło-by stu innych. I zrobię to, chyba-by...

— Chyba-by co? Tajemniczy Grzegorzu, po minie twojej się domyślam, że masz mi zaproponować coś nadzwyczajnie pięknego. Czy masz serce trzymać mnie w zawieszeniu, a do tego niepospolicie głodnym?

— Niéma z czego robić wielkich rzeczy. Ty, Hilary, chcesz wystać się z miasta, by trochę odetchnąć świeżem powietrzem. Ja także

chcę zrobić to samo, i całkiem niespodzianie coś mi przyszło do głowy.

— Są to sprawy natchnienia. Zbądź się raz tego, miły Grzegorzu!

— Oto, widzisz, jeżeli mam ci prawdę powiedzieć, tak-by mi było miło, żebyś ze mną pojechał przejechać się trochę po wiśniowym sadzie mego ojca!

— Pyszna myśl! — zawołał Hilary — tylko w poetycznej wyobraźni mógł się urodzić taki pomysł. 96 stopni na termometrze i wiśnie! Czy mogą być kwaśne teraz?

— To niepodobna — z całą powagą odparł Grzegorz — nawet gdy lato jest wilgotne i zimne, o tej porze dochodzić już potrosze zaczynają. Ale na tak przepyszną, jak obecnie, pogodę, nie można wątpić, że dojrzałe. Chciał-byś je widzieć?

— Słuchaj, Grzegorzu, wiele znieść mogę, ale nie zniosę pytań, zwracających mi głowę.

— Chcesz powiedzieć, przypuszczam, że smakowało-by ci z pół tuzina chłodnych wisien, gdybyś miał sposobność sam je rwać wpośród długich zielonych liści?

— Z pół-tuzina! Z pół-garnca, a potem jeszcze z jakie pół-korca! I gdzieżem ja podział kapelusze? Jadę, choć-bym miał wydać ostatni pozostały przy życiu szeląg.

— Hilary, dziś nie idzie już żaden dyliżans! Ale tobie zawsze tak jest pilno. Powinien-byś może zastanowić się trochę, zanim zdecydujesz się pojechać. Pamiętaj o tém, że dom mego ojca jest porządny i urządzony tak, jak tylko można sobie życzyć; ale pomimo to, odmienny może od domów, do których ty jesteś przyzwyczajony.

— Niewarto myśleć o takich rzeczach. Zwyczaje i tym podobne rzeczy na pogardę nawet nie zasługują, i już zaczynamy tak je traktować. Największym błędem naszym w życiu są zwyczaje; a największym szczęściem jest pospychać je z drogi naszej. Czy twój ojciec rad mi będzie?

— Słyszał nieraz, jak mówiłem o tobie, i chętnie byłby przyjechał do Londynu (choć go szkaradnie nienawidzi), żeby się z tobą poznać i zaprosić cię, gdyby sądził, że tego wymagasz. U nas w domu wszystko po staroświecku, i bądź łaskaw, miej to zawsze w pamięci. Mój ojciec także, i matka, i wszyscy domowi, są ludźmi starzej daty i żyją sobie cichutko. Ty-byś więcej dokonał w godzinę, niż my tam przez rok cały. Lubimy, nie wiem ile razy, obrócić rzecz każdą, (jak

kółko na kiju) nim się namyślimy, jak ją postawić. Ale gdy już raz postawiona, stoimy na miejscu, nie tak, jak to u was bywa.

— Grzegorz, to za ostro, Grzegorz. Kiedy-żeś ty widział, że-
bym ja nie stał na miejscu? Tym razem tylko gotów jestem, zamiast
stać na miejscu, natychmiast ruszyć w drogę i na zawsze wśród wiśni-
owego sadu zamieszkać.

W niewielu więcej słowach, ułożyli się obaj młodzieńcy, że szczę-
ścia próbować będą. Lovejoy nie miał nic do stracenia w kancelaryi
przez parodniową niebytność, a Hilary od dawna się tém niepokoił,
że mu zalega rachunek wakacyjnej należności. Szybko tatém postano-
wili wczesny wyjazd nazajutrz rano, zanim rozespiane miasto pocznie
kiwać klapami kominów, jak próżniak palcem w bucie.

— Grzegorz — rzekł w końcu Hilary — twój umysł jest ogro-
dem, w którym rosną genialne pomysły. Usiądziemy obaj na wielkich
korcowych koszach i z po-za worów patrzeć będziemy na wschód
słońca, bo miejsce spotkania przypadnie na targu Covent-Garden
o 4-tęj rano. Nim słońce wzejdzie, gotowi już będziemy spojrzeć mu
oko w oko z wozu podróznego, który wcześniej obejmiemy w posia-
danie. O dniu, godny, by cię na zawsze białą kredą zapisać!

— Nie wiem, jakim sposobem zrobić to potrafisz — odpowiedział
mniej gorączkujący się Grzegorz. Na gruntach naszych wcale niema
kredy, a kredy czarnej nigdy nie widziałem. Ale czy mogę być pe-
wnym, że stawisz się na umówione miejsce? Jeżeli nie przyjdiesz,
ja nie pojedę bez ciebie i trzeba będzie całą rzecz odłożyć na
później.

— Nie lękaj się, nie lękaj o mnie, Grzegorz. Skowronek będzie
jeszcze siedział w gniazdeczku... ale poczekaj, przyjacielu, muszę
pójść powiedzieć o tém Radzcy, żeby nie wyglądało, że stanąć
w jego obliczu się obawiam.

Lovejoy domyślił się, że tak postąpić jest obowiązkiem gentlem-
na, ze względu na owo małe upomnienie, którego uczony prawnik
przyrzekł udzielić młodzieńcowi nazajutrz rano. Prawdopodobnie
byłby o tém zapomniął; ale naturalnie, tém większy był obowiązek
nie dać mu zapomnieć o tém.

Zapukał tedy Hilary w stoczone przez robaki drzwi swego mistrza
trzy razy:—stosownie do ustanowionej skali pierwszeństwa. Według
tęj skali, pod-dependent pukał raz jeden; dependent starszy—dwa ra-
zy; aplikant (wcale niebędący dependentem i płacący a niepłacony)
pukał tyle razy, ile to uważał za właściwe w granicach rozsądnego
umiarkowania.

Hilary zaczął, ma się rozumieć, od tego, od czego zawsze, z każdym prawie, zacząć mu się udawało.

— Przykro mi, że przerywam panu, nie mam nawet nic ważnego do powiedzenia...

— W takim razie, po cóż przyszedłeś tutaj, Lorraine? Jest to zwykły stan twego umysłu.

— Tak, panie — odparł Hilary, śmiejąc się ze stanowczego o sobie sądu — ale myślałem, że pan masz coś do powiedzenia mnie... Co jest niezwykłym stanem umysłu pańskiego — o mało co nie powiedział, ale wstrzymał się w porę, z tém poczuciem niewłaściwości, jakie ma dobrze wychowany młody człowiek.

— Tak, mam ci coś do powiedzenia. Przypominam to sobie doskonale. W pokoju aplikantów grałeś z Grzegorzem Lovejoy w jakąś dziecinną grę. Bardzo to dobre dla ciebie, który może nie więcej robić nie będziesz. Twój ojciec nie żąda od ciebie, żebyś pracował; gdyby nawet żądał tego, zawiódł-by się na tobie. Może ci z tém być jak najlepiej, bo mając wrodzony dar obojętności, ze wszystkiego nie wiele sobie robisz. Ale są tacy, co muszą i umieją pracować poważnie. Czy to uczciwie z twojej strony odwozić ich od tego? Pewno myślisz, że za surowo mówię do ciebie? Być może, ale czuję, że mówię z prawdziwym gentlemanem.

— To wielka biada — rzekł Hilary, którego jasne błękitne oczy przez pół się poczuwały do jakiejś wilgotniejszej mgły, watydem je przejmującej — że człowiekowi zawsze z tém ciężej, jeżeli usiłuje postępować jak gentleman.

— Wielką powiedziałeś prawdę — odrzekł pan Malakide, z trudnością powstrzymując uśmiech — ale tak już pozostać musi. Mój chłopcze, przykro mi, że cię to obeszło, ale lepiej jest, gdy nas co obejdziesz, niż gdy zmartwi. Lubisz młodego Lovejoya, nie rób-że z niego próżniaka.

— Sir, odtąd ile razy zobaczę, że próżnuje, na niego wypuszczę strzałę, zamiast na nieboszczyka Lorda Kanclerza, który teraz wśród asfodelów przebywa (*asfodel* złotogłów, kwiat u starożytnych, zmarłym poświęcony).

— Lorraine — żywo spytał znakomity prawnik, nagle zainteresowaniem ożywiony — świeżo wyszedłeś z Oxfordu. Tam oni teraz różnych rzeczy dochodzą; czy już doszli, co to asfodel?

— Nie, sir, i zdaje mi się, że nigdy nie dojdą. Mają jeszcze prócz tego różne kwestye sporne. Ale jeżeli pan łaskawie pozwolisz, tę właśnie kwestyą sporną spróbuję jutro rozstrząsnąć.

ROZDZIAŁ XII.

Wśród przekupniów.

Marcin Lovejoy, ojciec Grzegorza, posiadał i obrabiał ładny folwarczek w téj części Kentu, którą ludzie tam urodzeni lubią nazywać „Ogrodem Edenu“. W dolinie górnej Medway, o kilka mil od Maidstone, wzdłuż kręto płynącej rzeczutki, wznoszą się ładne wioseczki. Starodawne plemię osadników, spokojnych a roztropnych, obrało tu sobie siedzibę, wybrało ją dobrze i kocha ją po dawnemu gorąco.

Prowadzić z takimi ludźmi spory, jest to stawać się niegodnym ich łaski. Stoją oni we drzwiach swego domowstwa, równie pogodni dziś, jak pogodne było trzydzieści pokoleń ich przodków, którzy w tych samych drzwiach stawali. Czasami szalały nad nimi burze, pod których gwałtownością uginali się; ale nigdy nie trwało to długo. Cienniki z chmielu i kapryfolium, strzyżone szpalery, różane gaje, wzdłuż dróg kwitnących drzew rzędy, z łąk prawdziwie zielonych najzieleniejsze, bogactwo rozległych sadów, które, jak wszyscy bogacze, usuwają się trochę na ustron, by się swemi skarbami nacieszyć, a tam, gdzie ziemia raczy zniżyć się do rodzenia pszenicy, bezmiar wdzięczności plonu;—i czyż jeszcze można się dziwić, że ludzie, czujący się tego wszystkiego twórcami, czują téż swoją wartość?

Wstawało już ranne słońce i oblewało światłem dachy kamienic miejskich, ale czyniło to z obowiązku jedynie, przestawszy już całkiem interesować się robotą, której ono nawet należycie odrobić nie mogło. Ożywcze powietrze poranku przybywało zastąpić całonocną parnotę i duszące wyziewy mieszkań i, zważywszy swe prądy na nieustannie ruchmiej szali angielskiej pogody, rozprzestrzeniało je coraz szerzej.

Świeże, chłodne tchy nowo-narodzonego dnia, jak uśmiech niemowlęcia niewyraźne, szły dokąd im się podobało, i właśnie jeden z nich, najczytszy, najlepszy dążył ku Covent-Garden, uległy przyciągającej sile téj ogrodowej zieleni, wśród której dotychczas przemieszkiwał.

Tutaj, zanim się noc skończyła, zebrał się już niezmierny tłum ludzi. Targowy poranek w „porze jagód“ jest taką wieżą Babel, że w końcu człowiek pragnie nie rozumieć niczyjej macierzystej mowy.

Wiele jest tam rzeczy ładnych i miłych: owoce i kwiaty świeżutkie są i przesliczne; życie szybkim płynie prądem, a tętno bieżącej ceny wszędzie czuć się daje. Ale koniec końcem, rozsądniej się postąpi, nie mówiąc o tém za wiele.

Marcin Lovejoy rzadko się puszczał w ten świat tak burzliwy. W lecie i w jesieni zmuszony był posyłać część swego owocu do Londynu, ale przysyłał go zawsze pod opieką starego zaufanego sługi, imci pana Johna Shorne, którego mrukliwy humor i cięty dowcip w zadziwienie wprowadzały miejskich przekupniów. Na całym targu znany był ten człowiek pod poufałym przezwiskiem: „Kentyjskiego Mruka“, i przezwisko to nieraz mu było pomocą w interesach.

A teraz wczesnym porankiem letnim, Hilary Lorraine, najłżejszym i najżywszym chodem swoim, szukał sobie drogi wśród przemyków, natłoczonych rojem sprzedających i kupujących.

Nawet największy między grubiańskimi tu bywalcami grubianin (a podaż zarówno jak i sprzedaż grubiańską są rzeczą) choć nie ustąpił mu z drogi, nie potrafił go jednak gburowato. „Elegant jakiś, przyszedł kupić owocu dla bohdanek“ taki przebiegał sąd o nim w rzucanych nań z boku spojrzeniach. „Panie, panie, proszę pana tutaj! ja-gody za darmo, a z wiśniami się prosimy“.

Przy pomocy uczynnych tych ludzi, Hilary trafił wreszcie do Johna-Shorne i do wozu. Konie, z uprząży oswobodzone, stojąc nieopodal, przegryzały dobrze zasłużony obrok; bo w owych czasach na Covent-Garden nie było takiego, jak teraz, ścisłu i rygoru. Tylina ściana odkładała się, tworząc kłapę i na téj ruchomej mównicy „Kentyjski Mruk“ rozprzedawał resztki swego towaru. W owych czasach, rynek nie był jeszcze zarzucony nędznym produktem zagranicznym, ponętym dla oka, lecz zawodnym dla żołądka i hojnym sprawcą najniebezpieczniejszych boleści. W owych czasach, Anglicy nie wysilali całego swego sprytu na wymyślenie najnowszych i najszybszych sposobów odebrania zarobku bratu Anglikowi, i krajowiec kupował od sąsiada i ziomka równie ochoczo, jak od śmiertelnego wroga.

Imci pan John Shorne miał po prawej stronie spodni płócienny worek, u wierzchu wiszący na oczach ludziom, jakby na urągowisko wszystkim złodziejom kieszonkowym. Były to jeszcze czasy stosunkowej uczciwości, pomimo to jednak miał John na podorędziu potężną pałkę z twardego drzewa. Za każdym razem, gdy coś sprzedał, dorzucał otrzymaną monetę do worka z takim brzękiem, jakby się wkoło wozu roje pszczoł zwoływały. Skuteczność takiego postępowania okazywała się w tém, że prowadziło ono do nowój zaraz sprze-

daży. Pieniądz bowiem znajduje w brzęku własnym hojną i nieprzewyciężoną uciechę.

Hilary z prawdziwą przyjemnością patrzył na to wszystko, dotąd dla niego obce. Miał on nieszczęsną owę zdolność stawiania się na miejscu drugich i niewiedzenia, jak ma tam sobie poczynać. (Nie taką zdolność, jaką ma wielki poeta, który, nie roniąc nic z własnej siły, gra na strunach serc nierównych mu potęgą, ze słodyczą, która w miłości dla nich ma swe źródło). Hilary był poprostu dzieckiem, które radę bawi się z drugimi, jak ono, dziećmi; przyjmował więc żywy udział w nagłych zmianach humoru Johna, zastosowanych do mowy kupujących, do ich żądań, a przedewszystkiém do znaczenia, jakiego na rynku używali. Tymczasem wszystkie wiśnie zostały już rozprzedane, jedynym po nich śladem było kilka plam czerwonych, widocznych tam, gdzie z przetaków, przejrzałym owocem nałożonych, ściekło trochę soku. Ale stary sługa miał jeszcze kilka koszyków grochu, młodych kartofli, wczesnej kapusty i marchewki, a przytém kilka tuzinów, jak śmietana białych, kalafiorów, i parę półkopków delikatnej sałaty głowiastej. Kręcił się więc wzdłuż całego wasągu z wielkiém ożywieniem, bo nie był-by zniósł wracania do domu z nieopróżnionym do szczętu wozem; niektórzy téż z przebieglejszych jego kundmanów spostrzegli, że, poczekawszy jeszcze trochę, będą mogli dostać wszystkiego za połowę ceny. John widział to, ma się rozumieć, wybornie, i robił, co mógł, dla ukrycia pozostałego jeszcze towaru, za pomocą worków, mat i próżnych koszy, które poustawiał na pełnych.

— „Crusty“, (*crusty*, mrukliwy) musisz nam co opuścić — krzyczał jednooki przekupień, kiwając najpiérw ręką na Johna, a potém wsadzając głowę przez drabinkę wozu, a nawet wskakując na osie — połowa towaru odejdzie z powrotem do domu, albo pójdzie na użytek krowiarni, jeżeli będziesz się upierał przy takich strasznych cenach.

— Aha! to ty na to czekasz, Joe? Idź do krowiarni i tam czekaj, póki kolój twoja nie przyjdzie. Bydło jednookie najpiérw zawsze jeść dostaje. Panowie, proszę... dopóki jeszcze jest trochę! Najlepsze schowaliśmy na sam ostatek, bo tak się trafiło, że wóz ładował Irlandczyk, a oni mają przysłowie: „Co piérwsze na wóz, to piérwsze z wozu”, Paddy, a jesteś ty tam, żeby ich przekonać, że to prawda?

— Gadajcie zdrowi, a gdzież-był się miał podziać, kiedy się ruszyć przez was nie mogę? I dalibóg, mówiłem prawdę, bo tego, co piérwsze wlażło, jeszcze pełno na wozie.

— No, skończyłeś już, Johnie? — nagle spytał Grzegorz, przeciskając się przez tłum, rozśmieszony naiwną odpowiedzią — jedzie z nami ten pan, któremu nie mogę kazać czekać.

— To niech panicz wlezie na wóz i pomaga sprzedawać, kiedy panicz lepiej wie ode mnie, że pora jechać, — John Shorne był w złym humorze, inaczej nie był-by mówił takim tonem do syna swego pana.

Ku wielkiemu jego zadziwieniu, znalazł się na wozie jednym skokiem, nie Grzegorz Lovejoy, zawsze się niby trochę sromający sprzedawania na targu, ale Hilary Lorraine, którego ubranie i obejście (tak stanowczo inne, jakim już dzisiaj być nie może) okazywały, że pochodzi z innego stanu, niż otaczający go ludzie.

— Pozwól pan, ja pomogę — rzekł Hilary — przypatrywałem się długo i pewny jestem, że rozumiem, o co chodzi.

— Ja już czterdzieści lat koło tego chodzę, a ledwo się na tém rozumiem. Potrzeba się znać na rzeczy, sir, bo ceny ciągle się zmieniają.

— Bez wątpienia; a jednak, choć-by dla zabawki tylko, pozwól mi pomagać sobie, Master Shorne. Listka jednego nie sprzedam niżej ceny, którą mi poszepniesz.

W takim rozruchu i ścisiku, dość było jednej chwili, aby się tłum zbił wkoło wozu, skoro tylko cały rynek obiegła wieść, że na wozie Marcina Lovejoya, jakiś wielki pan sprzedaje włoszczyzny. Naturalnie musi to być zuch nielada! to też nadbiegał, kto mógł. Hilary dał im się zebrać, i czekał, dopóki nie zobaczył, że ich pieniądze śwędzą. A tymczasem Mrukliwy John wykrzywił się najbardziej wykrzywionym długiego doświadczenia uśmiechem.

— Nie pozwalaj mu na to, John, nie pozwalaj — na całe gardło zawołał Grzegorz, widząc, że Hilary stoi na wozie z wiązką marchwi w jednej, a kłafiorami w drugiej ręce. — Cóż-by powiedzieli znajomi jego, gdyby się kto o tém dowiedział?

— A dlaczego mam nie pozwalać? — nie domyślając się niby niczego, odparł John Shorne — dlaczego? Jemu to nie zaszkodzi, a nam wyjść może na korzyść.

W przeciągu dziesięciu niespełna minut, nie było już ani korzonka na wozie, a wszystko rozebrano po takich cenach, jakich jeszcze Marcin Lovejoy nie brał tego lata za swój towar. Tak to współubiegano się o zaszczyt kupowania od *noblemana* (szlachcica), którego świeża cera, uprzejmość i wesołe odezwanie się wprawiły w zachwyt przekupki, ciasném kołem wóz otaczające.

— Dobrze, jasnie panie, doskonale! — wołał Crusty John dla zmistyfikowania słuchaczy, pierwój wszakże schowawszy pieniądze do kieszeni. — Panowie i panie! na przyszły tydzień *mylord* znowu będzie sprzedawał... poszedł o to w ogromny zakład z księciem Reg... szal jakież ze mnie głupiec! dostał-bym się do kozy, gdybym się z tém wygadał.

Ogólna to zasada, że ludzie, w niektórych rzeczach najpodejrzliwsi, we wszystkich innych bywają jak najłatwowierniejsi. Mruk Kentyjski dobrze o tém wiedział, to téż nie zawiodł się na oczekiwaniu, że jakie parę miesięcy towar jego będzie miał niesłychany popyt.

— Dlaczego jesteś markotny, o! przyjacielu mój, Grzegorzu? — pytał Hilary młodego Lovejoya, podczas gdy konie, o podwiązanych ogonach znowu w uprząż ubierano. Lorraine nie posiadał się z radości, raz dlatego, że przed chwilą tak świetnie się uwinął z rzeczą dotąd dlańego całkiem obcą, a więcéj jeszcze dlatego, że bujna jego wyobraźnia rozwijała przed nim liczne a ponętne obrazy téj zamiejskiej wycieczki. Każdemu uderzeniu podków końskich odpowiadał uderzeniem własnego serca.

— Lorraine — z pewném wahaniem odpowiedział mu rozsądny Grzegorz — przykro mi jest, że zrobiłeś tak wielkie szaleństwo. Nie dlatego, aby ono w czémśkolwiek ubliżać miało tobie, lub twojéj rodzinie, ale świat je za takie poczyta; a do świata stosować się musimy.

— Musimy? — spytał Hilary z uśmiechem — skoro musimy, to pomyślimy o tém na wozie.

Z temi słowy wskoczył na wóz tak lekko, że ten nawet nie drgnął pod jego ciężarem, a i Grzegorz nie miał nic leszego do roboty, jak pójść za jego przykładem. „Eee-wugg!” krzyknął na konie imci pan Shorne i nie potrzebował powtarzać tego; wyczyszczone mosiądze uprząży błysnęły w słońcu, a konie wesoło dzwoniły kopytami na drodze, wiodącój je z powrotem w rodzinne strony Kentu.

ROZDZIAŁ XIII.

W wiśniowym sadzie.

Hilary Lorraine tak się głośno radował swojém wyzwoleniem z niewoli miejskiej i rozkoszną świeżością pól, rosą jeszcze zwilżo-

nych, tak hałasliwie okazywał lekkość, jaką na sercu uczuwał, że nawet Crusty John, siedząc na wysokim koźle swoim, nie mógł wytrzymać, by od czasu do czasu nie spojrzeć po-za siebie i nie udarować koni wyrazem swojej opinii. „To mi dopiero dzielny chłopak, niejednej z naszych dziewcząt mizdrzyć się zechce do niego. A tu właśnie wczesne wiśnie dojrzały, a sercówki już się rumienia!”

Hilary siedział na próżnym przetaku, postawionym na próżnej pół-korcówce i, ze zwykłą sobie przystępnością obejścia, rozkoszował się rozmową z *Paddy from Cork* (*Paddy* jest to przydomek, nadawany Irlandczykom) bo tak każdy nazywał starego Irlandczyka, który był parobkiem folwarcznym, a przytém furmanił i pomagał przy sprzedaży, odgrywając rolę „chłopca do wszystkiego”. Ale Grzegorz Lovejoy, należący do rzędu ludzi milczących i statecznych, zaczynał już powątpiewać, czy roztropnie postąpił, stykając zapalonego przyjaciela z pewną ładną kuzyneczką, obecnie przebywającą pod gościnnym dachem jego rodziców, a żywo Grzegorza obchodzącą. Nieborak Lovejoy lękał się, że nie wielkie będą jego szanse w porównaniu z tym świetnym przybyszem, i z niepokojem rozważał sobie w duchu: czy nie lepiej-by było przy pierwszej sposobności napomknąć Hilaremu coś, odnoszącego się do téj delikatnej materii. Chwilami już się na to decydował; ale znowu skromnemu rozumieniu, jakie miał o sobie, wydawało się zarozumiałością przypuszczać, że młodzieniec, tak urodzony, jak Hilary, i z takimi nadziejami przyszłości, zechce zapłatać się w ich świat wieśniaczy.

W Bromley przystanęli popaść „ludzi i bydła”, a mianowicie: trzy dzielne konie i czterech pocciwych ludzi, wspólnie ciekawych przyczyny, dla której-by nie mieli dostać śniadania. Lorraine, chociaż gonił ostatkami gotówki, (co było u niego rzeczą zwyczajną) prosił o pozwolenie poczęstowania wszystkich, i uparcie przy prośbie swojej obstawał. Uzyskał nareszcie ów przywilej (co jest zwykłą wytrwałości nagrodą) poczem uczuli wszyscy, że nie można przeczyć i nadał Hilaremu oczywistego prawa do powożenia. Nieraz już powoził cztero-konnym dyliżansem, z Brighton do Londynu chodzącym, i było-by zupełną niedorzecznością przypuszczać, że nie potrafi dać sobie rady z trzema końmi. Imci pan John Shorne ustąpił miejsca na koźle, z pozoru ulegając sile powyższego rozumowania, lecz w gruncie najzupełniejszej tylko pewności, że, po tak długiej podróży, konie, wracające do stajni, szły spokojnie, jak pod wieczór jagnięta.

Ułożywszy się więc na wozie, usnął snem człowieka, który całą

noc był na nogach i, dla cudzych interesów, oka na chwilę nie zmrużył.

Konie znały wybornie drogę do domu, nie dały więc powodu do użycia bata; a chwilami zdawało się nawet, że podzielają przyjemność, jaką w przemawianiu do nich czuje Hilary. Podnosiły ogony, nastawiały uszy, a czyniły to przy właściwej sposobności i wesoło; aż wreszcie skwar dzienny usiadł im na grzbietach, skóra im pociemniała i okryła się pianą. Mucha, (która zazwyczaj odmawia sobie aż do Lipca przyjemności dokuczania koniom), z powodu niezwykle skwar nego lata, spełniała już poważne swoje posłannictwo. Ztąd więc, będąc powolnego usposobienia (jak to wszystkim prawdziwym synom roli przystało) imci pan Shorne nakazał przystanąć i przeczekać upalne południowe chwile, przed rozpoczęciem walki z *Backbone of Kent* (pacierzową kością Kentu) bo takie nosi miano przepyszny łańcuch *North-Downu*. Tu w ocienionej dolinie schronili się przed żarem kanikuły pod godło „Wieprza i Świstawki”.

Popołudnie dobiegało już kregu, gdy przybyli do *Sevenoaks* i, minawszy miłe to miasteczko, wjechali w cienistą okolicę Kentu. Z pomiędzy podróżnych, jednego tylko Hilarego zajmowała cudowna piękność i bogactwo krajobrazu, gdzie, pomiędzy obszarami sadów, widniały tu i owdzie chmielniki lub zbożowe łąny, a wzdłuż krętych wybrzeży Medway leżały pastwiska, okryte zielenią, świeżą, pomimo słonecznego skwaru i nieugaszonego pragnienia komety, która rose z ziemi wypija. Na lewo z gościńca wzięli się drezyną wśród żywopłotów, nie przeświecających już krédą, lecz obrzuconych wszystkimi odcieniami zieleności. Zaniebane róże polne igrały nad ich głowami ze zwykłą swoją swobodą, a kapryfolia były już prawie gotowe wypuścić na wolność gronami rosnące jęczyczki swoje. Ale ta polna roślina, zwana *Travellers Joy* (uciecha podróżnika), owa uciecha, która sprawia, że każdy podróżny pragnął-by wypoczywać w Kent, jeszcze się kryje w pełnym nadziei pączku, jak wisząca w powietrzu ulewa szmaragdów.

Czterej mężczyźni, podobnie jak i trzy konie, niebardzo zważali na to wszystko, co jednak z przyjemnością przyjmowali. Wszyscy oni czuli zarówno, że świat stworzony jest dla nich i stworzony po to, by się nim cieszyć do woli; niewiele więc dbali o zgłębianie przyczyn téj uciechy, kiedy im do niéj sposobności nie brakło. Tak szerokie mając pojęcie o tém, jak co być powinno, stanęli przed wrotami folwarku Old Applewood, a były to wielkie wrota białe, na kłódkę zamknięte. Zamykały one drogę i po to właśnie tam stały; bo Marcin

Lovejoy, ojciec Grzegorza, którego posiadłość gruntowa tu się właśnie zaczynała, wzbraniał zarówno przejazdu jak i przejścia każdemu, ktokolwiek-by to był.

Z drugiej znów strony, parafia dopominała się o tę drożynę, jako o współwłasność gminy, a dwóch farmerów, dalej trochę mieszkających, przysięgało, że to była droga gospodarska, i że, co więcej, jako takiej używać jej będą. Ale *Grover Lovejoy* („grover” hodowca; zachodzi tu jednak gra słów, albowiem *grow* zarówno znaczy *hodować* jak i *rosnąć*) jak go zwano w sąsiedztwie, nie dlatego, aby sam jeszcze mógł urosć, ale dla wiśniowych sadów swoich, był właśnie tego rodzaju człowiekiem, że mógł postawić na swoim, pomimo wszystkich przeciwników. Gdy mu wrota przepiłowane, on je prędko zastąpił nowymi, z lanego żelaza: gdy zaś i te podkopano, powstrzymał przedwczesny tryumf przeciwników mocną baryerą z kutego metalu, którego nie chwytala się piła ani dłuto. Co więcej, pomalował wrota na białe, dlatego, aby każdą napaść nocną dojrzyć można, z wielkiej nawet odległości.

Skoro Paddy otworzył te wrota kluczem, który wozik z sobą do Londynu, wjechali w sad wczesnych May-Duke wisien, których dojrzale owoce zwieszały się prawie na drogę.

— Nie dziw, że zamykacie wrota — rzekł Lorraine, gdy Jan Mrukliwy, teraz znowu na koźle siedzący, podał mu przepyszną wiązkę wisien, których ciemny sok obficie zbierał pod szkarłatnym skórki połyskiem.

— Czy przypuszczasz, że ktoś mógł-by je kraść? — zapytał Grzegorz z niejakiem oburzeniem, bo dumę Kentyjczyka niemile podrażniły w nim te słowa — o nie! nikt-by tu kraść nie przyszedł. Niema w tych stronach nikogo, ktoby się na to odważył!

— Widać nie znają się na tém, co smaczne — odpowiedział Hilary, wspinając się po nową wiązkę — po to przyszedłem na świat, aby ludzi tutejszych nauczyć, jak najlepiej kraść wiśnie.

— Zdarza się wprawdzie, że ktoś narwie sobie wisien — wyznał prawdomówny Grzegorz — ale my tego nie nazywamy kradzieżą. Przecież i ptaki biorą wiśnie, a nie mówimy, że je kradną.

— Nieoceniony kolego-Studencie, prawo kryminalne nie będzie najsilniejszą twoją stroną. Musisz mieć jednak zbrodnicze do prawa zamiłowanie, kiedy z tych drzew wiśniowych wyskoczyłeś na studia prawne

— Wiiesz dobrze, że to jest dziełem mojej matki. A! otóż i ona, a z nią kuzynka moja, Filis.

Na tę chwilę, Grzegorz zapomniał obowiązków gościnności względem przyjaciela i swojego wyłącznie gościa i, zsunawszy się z wozu, pobiegł co sił pomiędzy wiśniowe drzewa. Hilary sam nie wiedział, co robić. Żeby ktoś miał być względem niego niegrzecznym, to było ostatnią z rzeczy, które mu do głowy przyjść mogły; jednak niemilo trochę było jechać, a raczej być wiezionym przed drzwi cudzego domu, siedząc na pół-korcówce i nie mając z sobą nikogo, kto-by go mógł gospodarzowi przedstawić. Ale gorzej-by jeszcze wyglądało wyskakiwać z wozu, dopędzać Grzegorza i chwytając go za kołnierz, w chwili, gdy witał się z matką! I téj nawet szansy nie miał długo; bo konie, którym tak już blisko pachniał obrok, ruszyły żwawym kłusem i, wesoło pobrzękując uprzężą, strzygąc uszami, biegły prosto przed siebie. Stały wtedy dopiero, gdy zawróciły w duży dziedziniec folwarczny, na którego najdalszym końcu stał spichlerz. Sam zaś dom mieszkalny był, jak można najbardziej, staroświecki, słomą w środku posyty, z facyatkami w szczytach, miejscami kryty dachówką, a gdzieindziej znowu gontami. Wszystko jednak razem wzięte sprawiało, że dom ten wyglądał na wygodny, suchy i miły przebywającym w nim mieszkańcom. Tu jednomyślnie zatrzymały się konie, zabrzęczały uprzężą i odpowiedziały na rzenie zamkniętych w stajni przyjaciół.

Hilary, śmiejąc się z własnego kłopotu, i czując, że mu pocierpły kolana, wstał ze swego koszyka i spojrzał wokoło siebie, ale pierwsza rzecz, jaką oczy jego spotkały, zniweczyła do szczytu zwykłą jego przytomność umysłu. Było nią wejrzenie, pełne głębokiego zadziwienia, połączone z nieśmiało-pytającym powątpiewaniem, wejrzenie, rzucone z oczu, które Hilary uznał od razu za najpiękniejsze, najśłodsze, najwyrazistsze piwne oczy, jakie tylko są na całym świecie. Młodą dziewczynę oblał rumieniec, gdy w téjże samej chwili odwróciła twarzyczkę, jak-by nie chcąc okazać się zbyt ciekawą; ale świetna barwa jój policzków słabą była, w porównaniu z rumieńcem biednego Hilarego. Błyskawiczna ta chwila tak odebrała przytomność wesołemu młodzieńcowi, że, nie mogąc znaleźć nic do powiedzenia, uciekł się do arcy-zbawiennego sposobu, udając, że nie zobaczył nic bardzo osobliwego. Ale zadawała mu kłamstwo gorąca, z pod serca wytrysła, krew, dla której ukrycia odwrócił się, przewracając coś między koszykami, spodziewając się, że otrzyma nowe spojrzenie i przygotowując się sam do spojrzenia raz jeszcze, skoro tylko uczuje, że to się da znowu uczynić.

Tymczasem, groźna owa istota, której wzrok tak pięknie posku-

tkował, prędzej jakoś przyszła do siebie ze zdziwienia i uczuła zapewne słuszną dumę z powodzenia, oraz ochotę do pogoni za uciekającym. Na wszelki jednak wypadek była zupełnie gotową usłyszeć wszystko, cokolwiek mógł mieć do powiedzenia za sobą.

— Muszę panią prosić o przebaczenie — zaczął Lorraine z nerwowym pomieszaniem, unosząc kapelusza i ciągle nie żałując sobie rumieńców — za to, że tak nagle wyskoczyłem z pod ziemi, to jest z tego wozu raczej; chociaż powiedzieć tego nie mogę, bo jeszcze na nim stoję. Sądzę, że mam przyjemność mówić z Miss Filis Catherow. Kuzyn pani, pan Lovejoy, jest na prawdę wielkim moim przyjacielem, i bardzo mnie grzecznie prosił, albo raczej... chciałem powiedzieć, zaprosił, żebym z nim przyjechał na jakie parę dni w te rozkoszne strony świata, co mi dotąd tyle sprawia przyjemności, iż pewien jestem, że... że... w samą rzecz...

— Że, jak się spodziewam, sprawi to panu i większą. — Nie miała bynajmniej zamiaru naśmiewać się z Hilarego, albo też powiedzieć mu przytyk, tyczący się jego zmieszania; ale jemu się zdawało inaczej, dopóty, póki łagodne spojrzenie, tak słodko z ciepłego serduszka płynące, nie przekonało go, że nigdy-by nie potrafiła być tak okrutną.

— Mam już przed sobą nadzieję największą, jaką sobie wyobrazić mogłem — odparł Hilary ze spojrzeniem, nadającym niewinnym jego wyrazom znaczenie tego, co się dzisiaj zowie „najbardziej niedozwoloną osobistą alluzją“. Ale ona słów jego za alluzją nie wzięła, czy może wziąć nie chciała.

— Jakże to uprzejmie ze strony pana, zadowalniać się tak łatwo! Ale robimy wszystko, na co nas stać, by ugościć tych, którzy nas łaskawie odwiedzają.

— Sądziłem, Miss Catherow, z tego co mi kuzyn pani opowiadał, że pani sama jesteś tu tylko gościem na jakiś czas.

— Nie mylisz się pan, co do Miss Catherow. Ale ja nie jestem moją kuzynką Filis; jestem tylko Mabel Lovejoy, siostrą Grzegorza.

— Na Jowisza, jakżem rad temu! — ze zwykłą swoją porywcznością zawołał Hilary — jakiż ja niemądry być muszę, żem się tego nie domyślił, kiedy widziałem przecież, jak pobiegł w sad na spotkanie kuzynki! Ale ten zdrajca, Grzegorz, nigdy mi nie mówił, że ma siostrę. Dam-że ja mu za to!

— Nie gniewaj się pan na biednego Grzegorza, panie Lorraine, bo... bo, widzisz pan, Filis jest także śliczna dziewczyna...

— Nie chcę słyszeć o żadnej ślicznej dziewczynie! Tak jak gdyby... jak gdyby jakakolwiek...

— Mogła być dość dobrą dla Grzegorza — wtrąciła, zrećtnie przychodząc mu na pomoc, bo sam już czuł, że się za daleko zapędził — zaczekaj pan jednak, póki nie zobaczysz mojej kuzynki Filis.

— Jest jednak rzecz, z którą nie mogę zwlekać, gdyby nawet miał mnie czekać zaszczyt zobaczenia tysięcy pięknych kuzynek, a to jest z uściśnieniem ręki siostry mego przyjaciela Grzegorza, do czego mam słuszne prawo.

Przedtém jeszcze wyskoczył był z wozu, a teraz wyciągnął do uścisku dłoń (silną i męzką, tu i owdzie wiśniowym sokiem malowniczo powalaną), a ona, uprzejmie gościnna, złożyła w niej ładną swoją rączkę. Hilary uczył, że była to rączka ładna, miękka i szczerą; nie uważał więc tego za rzecz zdrożną, że przytrzymał ją w swojej na chwilkę, zadając panience pytanie:

— Poczém-że, proszę, poznałaś pani, że to ja, kiedy ja się tak niemądrze pomyliłem co do pani?

— Po tych jasnych niebieskich oczach — miała już odpowiedzieć z wrodzoną sobie prawdomównością, ale spojrzenie tych oczu ostrzegło, że szczerą prawdą może być niebezpieczną. Na ten raz zatem, na pytanie pytaniem odparła:

— Jakżeż-bym mogła nie poznać pana, kiedy tyle się o panu nasłuchałam? — To się także dość podobało Hilaremu, bo, chociaż do zbytku (jeżeli to jest rzeczą możebną) wolny od zarozumiałości i arrogancyi, nie był jednak pozbawiony pewnej dozy próżności. Dobrze się zatem stało, że właśnie w téj chwili (co nawet było dowodem, że umie pilnować swego dobra) nadszedł gospodarz Lovejoy, chcąc się dowiedzieć, co się dzieje z wozem.

Marcin Lovejoy nie był to jeden z owych dzierżawców, którym kilkoletni kontrakt nadaje *prawa* dzierżawcy, będące najczęściej tém samém, co *krzywdą* właściciela. Nie należał też do owych na wielką skalę dzierżawców, którzy wtedy już pojawiać się zaczęli, a którzy sądzą się być równymi właścicielom ziemskim. Folwarczek jego był niewielki, w porównaniu z innemi, ale był najzupełniejszą jego własnością, jako spadek wielu nieżyjących już pokoleń. Marcin Lovejoy należał więc do owéj znikającej już klasy drobnych właścicieli ziemskich, (*franklins*), którzy oddali Anglii wiele usług, nie otrzymując za to podziękowań, ani ich potrzebując.

Folwark Old Applewood obejmował około sześciuset morgów,

z których przynajmniej dwie-trzecie leżało sobie spokojnie w dolinie rzeki Medway i mogło dorównać żyznością wszelkiego płonu każdej glebie w hrabstwie Kent, a zatem i w Anglii całej. Pod korzeniami wszelkiej rosnącej tutaj rzeczy, kryła się taka płodność przyrody, że nie było obawy, aby tu kiedykolwiek co wymokło, lub na pniu spalonym zostało. Nic tu nie chorowało na tę niedokrwistość, od której karłowacieją drzewa, na jałowych gruntach rosnące; żadne tu drzewo nie bujało, nie pędziło młym wysiłkiem, (który niebawem chorobliwym się okazuje) dlatego, że korzeniami trafiło na coś, co jednej tylko części oganizmu roślin przydatnym być może.

I nie tylko drzewa jedne, ale i wszystko inne, rosło tu we właściwych granicach tej bujności, naturalnymi warunkami spowodowanej, (a jednak krzewiło się bujniej, niż gdyby też same pomyslnie warunki sztucznie wywołanemi były), która kraj i glebę angielską czyni najżyźniejszą w świecie, choć innych krajów gleby uległej przyjmują cudze sposoby ulepszonej uprawy, zarówno jak i nawozy cudze. Jest to rzecz, którą Anglia słusznie szczycić się może; ale w tych niefortunnnych starych czasach, o których teraz mówimy, umysły brytańskie nie pojmowały jeszcze słuszności swych praw do szczycenia się takim stanem rzeczy.

Marcin Lovejoy nie więcej też jak inni wiedział o tém, że cała Europa zmówiła się przeciw wyspom Wielkiej Brytanii, i że jeżeli Anglia chciała pozostać Anglią, każdy syn starzej ziemiцы musiał bronić jej krwią lub pieniędzmi. Marcin dałby był chętniej krew, niż pieniądze, gdyby tylko był o jakie trzydzieści lat młodszym.

Hilary Lorraine zobaczył to odrazu, (gdy Marcin Lovejoy podał mu rękę i powitał go, jako miłego gościa w Old Applewood) że ma przed sobą człowieka, na którym polegać, a słowu jego i rozumowi zaufać można. Był to człowiek umiarkowanego wzrostu, ale barczystej budowy i pełnej godności postawy, gotów traktować każdego akurat tak samo, jak sam był traktowany przez niego.

— Miło mi widzieć cię — rzekł — nieraz słyszałem już o tobie, młody panie Lorraine, i dobrze to z twojej strony, żeś przyjechał. Spodziewam się, że jesteś uczciwie głodnym, panie Hilary?

— Śmiertelnie — odparł Hilary — przekąsiłem ja wprawdzie raz i drugi, ale niema o czém mówić, gdy się przy takim powietrzu przejechało kawał drogi.

— Posłużyło ci paniezu powietrze; widzę to po kolorze oczu twoich i policzków. Aha! dziesiątki razy widziałem, że już z jakie dziesięć mil za Londynem daje się uczuć różnica powietrza. A my

tu już jesteśmy o dobre mil trzydzieści od tego szkaradnego miasta. Wybacz, młodzieńcze, mam nadzieję, że nie obraziłeś się tém, com powiedział.

— Panie kochany, czémże się miałem obrazić? Nienawidzę Londynu serdecznie. Musi tam być najmniej milion ludzi, którzy warci są mieszkać gdzieindziej. W tym roku rachują wszystkich, i słyszałem, że po obliczeniu pokaże się, że nas jest milion i ćwierć.

— Nie mogę temu wierzyć! Nie! nie mogę. Przedtém nigdy nie było tak wiele. Zkądże-by wzięła się teraz potrzeba aż tylu ludzi? To rachowanie ludności jest rzeczą bezbożną, która sprawdza klęski. Wszyscy proboszczowie nasi opowiadają, że to właśnie spowodziło kometę. I nawet mają na to dowód; stawiają za przykład Jerozolimę, zanim miała zostać zburzoną. Poprzedzali nam wszystkie dziewczęta. Cóż mówią o komecie w Londynie?

— Niewiele, panie Lovejoy, całkiem niewiele. Widujemy ją zresztą rzadko, z powodu dymu, który jest między nią a nami. A gdy się zdarzy, że można-by ją widzieć, to zawsze wtedy mamy własną robotę, której pilnować trzeba.

— Dziwy! dziwy! — odpowiedział Lovejoy — kto tych Londyńczyków zrozumié? Żeby ziemia połknęła w ich obecności Koze-go, Datana i Abisona, oni jeszcze patrzyli-by swojej roboty. Lubie ich za to, lubię; ale pójdź pan na skromną naszą wieczerzę.

ROZDZIAŁ XIV.

U r o k i w s i.

Nazajutrz była niedziela. Hilary (przywiózłszy z sobą niewielki tłumoczek rzeczy) spędził znaczną część chwil porannych na przyozdobieniu własnej osoby. Mógł-by to był licznemi usprawiedliwić przyczynami, gdyby tylko był o nich pomyślał; ale jedyne badanie siebie, na jakie się zdobył, odbyło się przed zwierciadłem. W niém-to ujrzał własną osobę, wyglądającą czysto i świeżo, jak to miał we zwyczaju, a jednak nie był tak zadowolony swoją powierzchownością, jak-by być był powinien. „Można-by jeszcze sporo zmienić na lepsze — zawołał z goryczą prawie — wyglądam szkaradnie, ordynaryjnie. Ale za to w jój twarzy niéma ani jednego rysu, który-by zmieniać potrzeba. Ot! i znowu! Tu i tu, i wszędzie wło-

sów pełno! Piękne dziewczęta nie mają wcale tego kłopotu! Jak one muszą brzydzić się nami! Ich włosy służą tylko do ozdoby, a my zarastamy tak szkaradnie!”

Hilary zawsze rozmawiał sam z sobą, gdy nie miał z kim rozmawiać. Zawsze był przytém przekonany, że znał lepiej siebie, niż go znał ktokolwiek inny. Do tego zupełne miał prawo, i teraz więc go używał, przyglądając się sobie powątpiewająco i kiwając głową nad sobą.

Nareszcie zaczął nabierać mniemania, że może już czas było zejść na dół, chociaż jeszcze nie zupełnie był pewny, czy nie należałoby się lepiej trochę przystroić, co właśnie wielką mogło stanowić różnicę. Zdawało mu się, że wygląda wcale nieźle; zawsze jednak chętnie był-by spytał o to Grzegorza, póki był czas do zmienienia co trzeba, to jest dopóki nie spocznie na nim spojrzenie pewnych słicznych oczu. Ale Grzegorz czekał na niego ze wszystkimi razem w jadalnym pokoju, gdzie nikt nie pozwolił sobie okazać Hilaremu, jak dalece wypróbował ich cierpliwości.

Młody Lovejoy złożył dowody wielkiej zręczności, nie dopuszczając, by Hilary usiadł po drugiej stronie stołu, obok Filis Catherow, a Hilary był wcale rad z tego, że siedzi obok Mabel. Jego zdaniem Filis była dość ładną panną, dość, jak na siebie, wykształconą, wesołą,żywioną; ale, mówiąc o Mabel, godziło się użyć jednego tylko słowa „prześliczna“. Prosiła go właśnie, by wziął łyżkę miodu, by podzielił z nią plasterek masła, a prosiła go takim głosem, z takim spojrzeniem, że gdyby była powiedziała: „oto są dwie uncye bobrowego stroju, weź pan jedną, ja zażyję drugą“ był-by pewno dla połknięcia jęj otworzył usta.

I szło tak coraz dalej, a żadne z nich nie wiedziało, w jak śmiertelny grzech popadają, w ów straszny grzech śmiertelny, którym jest miłość wtedy, gdy dwa życia ludzkie nie na jednym stoją poziomie i wśród innego rozwijają się krajobrazu.

Zadowolone z siebie to gronko poszło do kościoła przez pola, bogatym plonem okryte, i przez mały, bystro biegnący strumyczek, który nie miał prawa robić czwartej części tego hałasu, jaki robić sobie pozwalał. Dokładna znajomość tego, co czynić wypada, zarówno jak dobre wychowanie, oraz mocne postanowienie zachowania wytwornej delikatności obejścia, skłoniło przybyłych z Londynu młodzieńców do przebywania płotów, w sposób, prawdziwie zaszczyt im przynoszący. Panny umiały to ocenić i każda rzekła sobie w duchu: niema porównania pomiędzy młodzieżą ze stolicy, a młodymi hodowcami chmielu, którzy, stając okrakiem na przełazach, każdym ca-

lem nóg swoich rumieńce na lica dziewic wywoływali. Delikatność młodzieży była tém większą, o tyle téż przyjemniejszą, że przezacny „Gospodarz” był nieobecnym, zarówno jak i Mistress Lovejoy. Ta ostatnia bowiem, najlepszego serca kobieta, za pierwszym uderzeniem dzwonka kościelnego dostawała reumatycznych bólów w krzyżu i plecach; nie mogła-by dać rady przełazom i Marcin Lovejoy musiał ją wieźć do kościoła jednokonną dryndulką.

Zanim stateczna owa młodzież stanęła u furtki, na cmentarz kościelny prowadzącą, wszystko już było ułożone pomiędzy nimi, tak nieodmiennie, jak-by układ podaniem ręki i przyłożeniem pieczęci zawarowali, chociaż ani jedna fala powietrzna, ani jeden poszept wiatru nie wmieszał się pomiędzy tych czworo. Treścią owęj ustawy, nie-ujętej w wyrazy i nawet w marzeniu nieistniejącej, było to, że Grzegorz musi iść obok Filis, mieć na nią oko i patrzeć na nią do woli, ona zaś nie ma mieć żadnych myśli ubocznych, dotyczących się Hilarego. Z drugiej znów strony, Hilary miał być uznany za kawalera Mabel, pomagać jej, gdy potrzebowała pomocy, mówić z nią, gdy zapragnęła rozmowy; chociaż z całą prawie pewnością twierdzić można, że w wielu razach sama sobie wybornie rady dać mogła. Przejęci uczuciem téj siły, jaką dobre urządzenia nadają, wszyscy czworo stosownie do tych urządzeń weszli do kościoła.

Tymże samym porządkiem wyszli z kościoła, gdzie zachowywali się jak trudno lepiej, ledwie spojrzawszy jedno na drugie, gdy celebrant wyznał, że skwar niezmierzony nie pozwolił mu napisać w tym tygodniu nowéj mowy; ale ponieważ dla téjże saméj przyczyny i oni téż zapomnieć musieli, co mówił zeszłej niedzieli, (wielu albowiem zdawało się nie uważać) przeto proponuje im teraz, że, przy pomocy Bożkiej, to samo kazanie ponownie zgromadzeniu odczyta.

W umysłach niepoprawnie tkwi sprężyna, podobna téj, która podrzuca lalki, z pudełka wyskakujące. Ta, odskakując (przy wyjściu z kościoła, gdzie się tyle czasu przesiedziało) podrywa w nas owę ku wszystkim życzliwość, owę *dobrą wolę*, będącą jednem z najszlachetniejszych naszych uczuć. Każdy jest rad ze spotkania każdego (prawie), a z wielkiej radości ludzie (choć jedną zamieszkują parafią) zapominają drobnych nieporozumień. Uczucie wydobyć się na swobodę, oraz sumienie do czysta na cały tydzień wytarte, sprawia, że w całym zgromadzeniu wszyscy kochają się nawzajem... aż do progu furtki kościelnej.

Ale nasza młodzież wielką miała ochotę kochać się nawzajem. Im dłużej szli, pod palącym promieniem słońca, wśród

łak, na które padały krótkie, wyraźne cienie ich postaci, im dłużej działał na nich urok lata, tém się dalej posuwali na niebezpiecznej ścieżce, topniejąc jedno obok drugiego.

Z romansowój dumy uczuciem, widział Hilary, że Mabel nie zwalnia kroku i na białych, świeżych policzkach nie ma ani kropelki potu; kiedy jednocześnie Filis, bodaj od czasu do czasu przystawała dla odpoczynku... ale Hilary nie powinien był tego zauważyć. Takie rzeczy nie są godne uwagi!

W tym staroświeckim gościnnym domu, uprawnionym było zwyczajem, że gość oznaczał godzinę obiadową, o ile na to gospodarskie zajęcia pozwalały. Ponieważ zajęć takich nie było w niedzielę, Hilary więc wybierać miał chwilę, będącą najważniejszą z codziennych wydarzeń ludzkiego życia. Ma się rozumieć, że było to umówione, zanim ktokolwiek wziął za książkę do nabożeństwa; a rezultatem téj umowy było podane o drugiej, przewybornie smakujące, jedzenie. By się ochronić przed potęgą skwaru, odbyli obrzęd uczutowania w wielkiej sieni domu, która teraz nawet rozkosznie była chłodną, bo podłogę miała kamienną, a ocieniał ją wspaniały, o wonnym liściu, orzech włoski. Pani Lovejoy miała ten dowcip (jakiego zdaje się nie posiadać nikt jedna z dobrych nawet gospodyń dzisiejszych), że, chcąc utrzymać chłód w pokoju, nie ma potrzeby otwierać okien w chwili, gdy w nie południowe słońce bije. „Zlitujcie się, trochę powietrza na taki skwar!” — wołają. Mogli-by tak samo zawołać: „Otwórzmy drzwi-cki od pieca, żeby chłodniej było w kuchni!”

Lorraine był jednym z tych rozumnych ludzi, którzy wszystko biorą z dobrej strony; a jest to najrozumniejszą pod słońcem rzeczą, jaką istota ludzka zrobić może. Nie doszedł téż był téj pory życia, w której nic nie wydaje się dobrém, jeżeli niema dobrego obiadu; usiadł więc do stołu wesoło, i wszystkich wprowadził tém w dobry humor.

Ma się rozumieć, że mówiło się tam i robiło wiele rzeczy, których-by nigdy nie powiedziano (a nawet i pomyśleć nie śmiano) przy obiadowym stole w Coombe-Lorraine. Ale Hilary (choć bardzo w podobnych kwestyach wrażliwy) nie dopatrył, nie dosłyszał, nie doznał niczego, coby mu nie w smak poszło. Nikt z obecnych tu nie miał w sobie nic niskiego, a coś, jak samo niebo wzniosłego, jadło obiad, na obok stojącym talerzu. Hilary starał się, jak mógł, być przyjemnym, wyjąwszy chwil, w których tracił wszelkie panowanie nad własną przypodobania się zdolnością. Wtedy bowiem milkł i spoglądał na swój widelec (z owych pięknych staromodnych,

dwa zęby mających) i bał się oczu podnieść i zapytać, o czém *ona* myśli.

Myślała zaś właśnie o takich rzeczach, o których, mając rozum, powinna była nie myśleć. Cóż jednak złego być mogło, myśleć, marzyć raczej, o rzeczach, które mogły nie mieć żadnego znaczenia? Czémże ona była — ona, prosta dziewczynka wiejska, aby się mieć za coś wielkiego i zachowywać tak, jakby każdy zaraz coś miał na myśli? A przecież jego oczy, i to pochylanie ku niej głowy, i ten przez niego dla niej wybrany kartofel (jakby się gospodarzem rodził) i sposób, w jaki jój piwo nalewał, jeżeli w tém wszystkiém nie było nic... no! to i na całym świecie nie było nic, nic wcale, prócz zawodów i serc złamanych.

Hilary, siedząc po jój lewój ręce, odczuwał cały szereg podobnych-że wzruszeń z uwzględnieniem różnicy płci. Jak ślicznie używała noża, z prawdziwie niewieścią tkliwością usiłując nie kawałkować niczego zbyt okrutnie. A jak okrągłą była jój rączka, zgodnie z ruchem łokcia, zakryta rękawkiem, lub z niego wyglądająca ciekawie; nigdzie nie widać było sterczących na niej kości, jakie miewają najmodniejsze nawet eleganterki. Jak blisko jego twarzy znalazły się jój włosy! (gryzła właśnie jakąś chrząstkę) mógł-bychwycić je pełną garścią, gdyby tylko tamci państwo byli umieli być przyzwoici i nie patrzali w tę stronę. Ach! jakie to były śliczne włosy! takie jedwabiste, bujne, jasne, tak coś po nich, migocząc, biegło wesoło przy muzyce jój śmiechu! Sądził nawet Hilary, że nigdy nie widział ładniejszego sposobu jedzenia (choć zdawała się nie myśleć o tém, jak je). Widocznie ze smakiem każdy kawałek spożywając, i zachęcając wszystkich do jadła, okazywała jednak myślący umysł za każdym kęsem, a wielkie serce za każdą na talerz dokładką. Lecz głównie zachwyconym się czuł Hilary, gdy podniosła oczy i, zupełnie zapominając o widelcu i nożu, spojrzała tak, jak gdyby w nieczyje inne oczy nigdy tak spojrzeć nie mogła; z tak łagodnym wahaniem, z tak nieśmiałym pragnieniem, żeby nie powiedzieć nic nad to więcej, a jednak z nagłym błyskiem radości, co z młodego, niewinnego jój serca światłem jój do oczu strzelała! Nie! nie mogło być nic piękniejszego od Mabel, podnoszącej oczy, chyba Mabel, te same oczy spuszczałą!

Te drogocenne spojrzenia dostawały mu się rzadziej i krócej, im więcej się o nie dobijał; i Hilary pytał wtedy sam siebie w podziw: czy był kiedykolwiek, ktokolwiek, tak, jak on, traktowany? A gdy zdawał się już wpadać w zwątpienie i zanadto być już skłonny do

zaprzestania owęj oburzającej za spojrzzeniami Mabel pogoni, wtedy spojrzenie pełne zadziwienia, albo lekkie zwrócenie główki, kusiły go, by pogoni nie zaniechywał. Bywały téż czasami i chwilki, (które się obojgu zdarzały) że spoglądali na innych, jak-by się z kradzioném bogactwem talli, jak-by mieli poczuciejakiegoś ogromnego skarbu, który we dwoje zdobyli i który do nich dwojga wyłącznie należy; jakby dumnie żądali, by reszta ludzi patrzała tego, co do kogo należy, a wtedy jednomyślnie i jednocześnie spotykały się ich oczy, które coraz to częściej zaczynały się porozumiewać spojrzzeniami.

Było to bardzo ładne i ładnie téż wyglądało. Jednakże na tym świecie, który pozwala najwznioslejszym swoim zasadom kapitalizować się na jak najniższy procent (dla każdego pokolenia być raz jeden niepotrzebnym na rynku życia towarem), na tym świecie, powtarzam, „miłość” znaczy mniej więcej to samo, co „wielkie nic”. Wszyscy kochankowie nasi (wychowani tak, jak wychowują ich dzisiejsze pensye) wiedzą dziś bardzo dobrze, o co im chodzi i na czém zależy wygrana. Ale dawnymi czasy matki w to wglądać musiały.

Chociaż nic wcale nie mówiła, i zdawała się na nic nie uważać, pani Lovejoy miała jednak pojęcie o tém, co się działo pod jęj bokiem. Rzekła więc do siebie: „Trzeba się w to wdać. Teraz nie zdało-by się to na nic. Ale za trzy kwadranse wezwę ja Miss Mabel na osobność.

ROZDZIAŁ XV.

0! czerwiesze od wisien!

Zdawało się, że nauczka, jaką zamierzała dać córce pani Lovejoy, przyjdzie trochę za późno, co się nieraz zdarza najlepszym w świecie nauczkom. Albowiem skoro tylko zobaczył, że wszyscy już jeść skończyli, gospodarz podsunął projekt, przez wszystkich, z wyjątkiem gospodyni domu, z niemałą radością przyjęty.

— Młody panie Lorraine i ty, Filis, siostrzenico moja, cobyście na to powiedzieli, żebyśmy sami sobie narwali owoców w cienistych miejscach; to jest, my sobie usiądziemy nad strumykiem w sadzie, w chłodzie i cieniu, i możemy tam wypić po kieliszku wina, a dziewczęta zrywać będą dla nas owoce.

— Doskonale! — zawołał Hilary — co za pyszna myśl, panie Lo-

wejoy! Ale to naszym jest obowiązkiem rwać dla pań, zamiast pozwalać im trudzić się dla nas.

— Nie sir, niech mają z naszej łaski przyjemność usługiwania nam. Taki tu panuje porządek w okolicy i taki wszędzie powinien być zachowanym. My pracujemy na kobiety przez cały tydzień, usługujemy im, słuchamy ich i okazujemy im szacunek. W niedziele one robią to samo dla nas i bardzo to przyjemna zmiana ról. Mabel, a nie zapomnij-że fajek! Palisz pan, panie Hilary? Jeżeli palisz, moja córka nałoży ci fajkę.

— Choć-bym nawet nie lubił fajki, dał-bym się skusić tą obietnicą, a cóż dopiero, kiedy bardzo lubię palić. Nie palę jednak, bo mój ojciec ma silnie wkorzenione uprzedzenie przeciwko paleniu. Niedawno temu, przyrzekłem mu, że wyrzeknę się palenia przez cały rok. A co w tém najlepszego, to, że sam nie tak nie lubi, jak szeptę dobrą tabaki. Tym więc sposobem wziąć mogę z ojca odwet. Moja siostra robi wszystko, o co ją poproszę, on znowu robi wszystko dla córki; i tak ojciec sam tego nie wie, że go odzwyczajam od tabakerki.

— A! doskonale, doskonale! To właśnie lubię! I ciebie także lubię, młodzieńcze, za posłuszeństwo dla ojca. Cnota to bardzo dzisiaj rzadka, z każdym rokiem radszą się staje. Gdyby mnie ojciec był szturchańcem przewrócił na ziemię, leżał-bym, chociaż-by to były nawet pokrzywy, dopóki-by mi nie pozwolił się podnieść. A ty, Grzegorz, co-byś ty zrobił, mój chłopcze?

— Hm! zdaje mi się, ojciec, że zerwał-bym się jak najprędzej i poszedł do matki.

— Aha! i wtedy pokrzywy dostały-by się *mnie*. Dobrze, chłopcze, dobrześ odpowiedział; zdaje mi się, że każdy młodzik dzisiejszy zrobił-by to samo. Ma się rozumieć nie do pana to mówię, panie Lorraine. Choźmy jednak, chodźmy! Mabel, ty wiesz, gdzie stoi ta stara Madera, którą biedny stryj Ambroży trzy razy brał z sobą do Kalkuty? O! nieborak! chciał-bym mieć go z nami... To mi zuch, panie! nie każdy tak umie celować armatą na Francuzów. Sam Nelson nie potrafił-by lepiej. I nieborak, nie ma nawet grobu własnego! Wola Pańska! Mabel, pamiętaj zabrać nowy patentowany korkociąg.

Z niekłamaną przyjemnością przyjęła Mabel ojcowskie zlecenie do piwnicy. Prawdziwy instynkt dziecięcy ostrzegał ją, że niewątpliwie „oberwie”, jak tylko matka znajdzie po temu sposobność. Nie poczuwała się wprowadzić do winy. O! nie, bynajmniej,

sumienie miała czyste... Miała-ż być wyraźnie niegrzeczną dla gościa swego ojca, dla przyjaciela swego brata? I zresztą, czyż w swoim już wieku (lat osiemnaście i kwartał jeden) nie mogła mieć własnego zdania w kwestyach tak dziecinnie małych, jak zachowanie się u stołu!

Na brzegu strumienia, który, tryskając z głębokich źródeł górskich, bystro i świeżo toczył nieopodal od domu wody swoje, znaleźli miejsce, jak-by naumyślnie do wygodnego spoczywania przeznaczone: strumień wrzynał się pół-okręgiem w brzeg, bujną trawą porośły, a gościnnie ocieniony gęsto tam zbitymi brzoźami, jabłoniami i wiśniewymi drzewy; ruchliwa fala z głośnym szemraniem uciekała krętym łożyskiem. Tutaj-to, w miłej chłodnej zacięni, gospodarz postawił na ziemi wszystkie cztery nogi, to jest cztery nogi swego krzesła, albowiem, podobnie jak wszyscy za wiele przebywający w ogrodach, znajdował, że matka ziemia zbyt hojna jest w reumatyzmy, szczególnież podczas upałów, kiedy wszystka wilgocia podskórną paruje. Gospodyni dostało się także krzesło, niesione przez usługowego Lorraine'a. Reszta zaś, niby pasterze i nimfy, kształty swemi zaległa zieleń trawnika.

— Wszechmocny — odezwał Marcin Lovejoy, w obawie, że może więcej sobie pozwala, niż na dzień Sabatu przystało — Wszechmocny zaprawdę cudownych natworzył rzeczy, któremi nam, stworzeniom Jego, wolno się rozkoszować w obfitości, chwale i dziękczynieniu. Mabel, wstaw-no te dwie butelki do strumienia! nie tutaj, dzieciaku głupi; czyż nie widzisz, że na te stare korzenie pada słońce? Wstaw tam w kątku, gdzie ten kamień wystaje, naksztalt półki. Dziękuję ci, panie Lorraine! Co to znaczy mieć głowę na karku. Ale Wszechmogący Bóg stworzył taką nieskończoną moc dziwów, wody i wieloryby ogromne, i drzewa, wydające owoc, w którego wnętrzu jest nowych drzew nasienie, i trawę, która tuczy nasze mięso i w mięsa postaci na stoły nasze przychodzi, Bóg, którego łaska trwa na wieki, nie stworzył nic lepszego i nigdy większej łaski Swój nie okazał, jak stwarzając tytoń i glinę, na fajki przydatną, tę samą białą glinę, z której utworzył człowieka. — Złożywszy powyższe dziękczynienie, zapalił fajeczkę.

— A wiész, Marcinie — odezwała się pani Lovejoy — ja nigdy zrozumieć nie mogłam: największe i najlepsze dzieła Stwórcy powinny być należeć się kobietom.

— Poczciwa żono, toż-by tém dziełem musiało być chybajabłko! Widzisz, Grzegorzu, złapała się twoja matka. Jednakże, nie będziemy

sprzeczać się w niedzielę; psuje to całą korzyść bywania w kościele i nigdy do niczego nie doprowadza. Mabel, pobiegnij teraz po owoce, a Grzegorz spróbuje, czy wino już zimne. Panie Lorraine, mam nadzieję, że nie widzisz nic złego w naszym postępowaniu i nie gorszysz się tém, żeśmy tu może za weseli w niedzielę?

Hilary w téj właśnie chwili wyglądał na człowieka, który w niczem nic złego nie widzi: leżał u stóp Mabel, na brzegu lekko pochylonym, a bujną trawą porośłym, goniąc słuchem jój głos, milój dzwoniący mu w uszach, niż słodkie szmery strumyka. Gonił go słuchem, lecz nie słyszał; jedna bowiem z tych nagłych zmian, które (w chwili krótszej niż jedno pół-odetchnienia) zaćmiewają zwierciadło kobiecych umysłów, wywierała teraz swój wpływ na dziewczę. Mabel czuła, że nie pilnowała siebie, dla siebie saméj, jak to zrobić była powinna. Któż to był ten panicz i kimże był, żeby miała się nim zająć tak nagle, że aż jój tchu brakło za każdym razem, gdy jój na myśl przyszła matka? I to jeszcze panicz z Londynu, z owego Londynu, gdzie na dworze cały czas spędzano jedynie (Imię pan Shorne co tydzień wieści przywoził) na rzeczach, o których opowiadania zamężne tylko kobiety słuchać mogły. Ma się rozumieć, że w tym wypadku, wszystko było inaczej, jak to Mabel wiedziała wybornie. Jak to wzniosłe, jak to wspaniałomyślnie, bać się nawet patrzeć na nią za wiele!... a przebież, mimo to, nie od rzeczy będzie pokazać mu, a przynajmniej dać mu widzieć, że... że w każdym razie, jak na teraz...

— I cóż, Mabel, czy pójdziesz po wiśnie? Filis, żyjesz jeszcze? Grzegorz, czy zasnąłeś na dobre? Z czego-to ta młódzież zrobiona, kiedy, ledwo ich upał dotknie, już oni do niczego! leżało-by to tylko jak długie!

— Mabel, przynieś trzy gatunki wisien — zawołał za nią Grzegorz. — Panu Hilaremu musiał się już przejeść ten wczesny gatunek *May-Dukes*. Musiały już dojrzeć czarne *Black-Geans*, i gatunek *Elton* i wczesne żółte *Early Amber*. A pójdz téż i obacz, czy sercówki białe, *White-hearts*, dojrzewają już na drzewie pod murem!

— Bardzo on się zna na wiśniach! — mruknął pan Lovejoy — lada proces więcej mu do smaku, niż najpiękniejsze *Grifiny*. Co temu chłopcu w głowie? W sercówkach białych pestki jeszcze nie stwardniały! — Było to główném utrapieniem Marcina, że jakoś żaden z jego synów nie okazywał ochoty do ojcowskiego zajęcia. Starszego oto wykierowała matka na „złodziejskiego radcę“, a młodszy był daleko na morzu, a ile razy wrócił do domu, tyle razy dziwy opowiadał o różnych zagranicznych owocach, co ojca do ostatnéj pasyi do-

prowadzało. Teraz więc jedyném pragnieniem Marcina było wydanie jedynaczki córki za kogoś, ktoby mógł zostać jego następcą, i wydzierzawić grunt od Grzegorza, który po ojcu dziedziczył.

Miła to jest rzeczą dla młodego człowieka, a nawet i staremu przyjemność sprawić to może, gdy widzi ładną pannę, ładne a naturalne postawy, przy użyteczném zajęciu przybierającą; téj zaś przyjemności można teraz było użyć do woli i to w dwóch exemplarzach. Bo i Filis Catherow była ładną, a raczej piękną kobietą; wysoka była, wysmukła i białej cery. Zdaniem Hilarego, można było porównywać ją z Mabel; nieskończenie ją przewyższała pięknością, zdaniem Grzegorza. Ma się rozumieć, że zależało to od gustu ich jedynie; ale piękność Mabel zdawała się sposobniejszą do przetrwania pierwszego brasku młodości, posiadała bowiem dłużej trwale zalety pogody i słodyczy w wyrazie twarzy, oraz łagodnego blasku w roztropnych oczach.

Poszły więc obie pomiędzy wiśniowe drzewa, należycie uwiadomione, co robić mają: włożyły na głowę leciutkie chusteczki, pozakładane za uszy i związane pod brodą, samotnicą, podbródka pozbawioną. Wiedziały bowiem obie, że korzonki i gałęzie poplamia ładne ich kapelusiki, choćby nawet nie kapnął na nie sok z jagody, skałeczonej przez spragnionego drozda. Kos połyka całą wiśnię od razu, szpaki robią to samo; ale drozd usiada i dziobie ją; na mieniącą się pierś sok mu kapie, a w gardziółku smak, który potem w wolną chwilę wyśpiewać ma zamiar. Ale te ptaszyny, które teraz na wiśni upadły, życzyły sobie mieć je całe i nietknięte. Filis, odrobinę wyższa i mniej zręczna w paluszkach, nachylała liściem okryte gałęzie, a Mabel obrywała jagody. Mabel wiedziała naturalnie, że musi je zrywać od strony północy z gałęzi, do których nie przedarł się przez liście upał słoneczny i nie wygrzał owocu. Wiedziała także, że nie powinna dotykać owocu ręką, co-by śmiło połysk jagody; przede-wszystkiém zaś wiedziała, że należy uważać, jak z ową kurą, złote jaja niosącą, aby nie uszkodzić pączków, zawiązujących się przy osadzie korzonków każdego grona wisien, albowiem te pączki są obietnicą przyszłorocznego zbioru.

Hilary wdychał do tego, by pójść pomagać pannom; ale jego gospodarz, dumny doskonałością swojej madery, ani chciał o tém słyszeć. Pani Lovejoy, z innych znowu powodów, okazała wielką zręczność w zatrzymaniu go na miejscu; tak, że nie pozostało mu nic innego, jak usiąść i podziwiać żywy ten obraz, do którego i sam chciał należeć. Ztąd jedynie dano mu było oglądać, z odległości widzeniu

sprzyjającój, w pośród drzew doskonale prowadzonych, wdzięk i zręczność, i zwinne ruchy, i wysoko podnoszone koszyczki, i zgrabne pulchne ręce, naginające gałęzie, lub w podskoku w górę sięgające, oraz wiele innych rzeczy, równie pięknych, które bezpieczniej jest pozdziwiać z oddalenia.

Niebawem też nadeszły i dziewczęta, niosąc soczyste skarby swoje, rozfiglowane tajemniczém jakimś porozumiewaniem się za pomocą śmiechu. Czy sobie żarcik jakiś usnuły, czy może zdarzyło się coś, co je rozbawiło obie, a gdy się coś podobnego przytrafi dziewczętom, nigdy się dosyć naśmiać nie mogą, i naturalnie trzymają w tajemnicy żarcik tak niewinny, że nikogo, prócz nich, nie ubawi. Pani Lovejoy spojrzała na nie surowo. Nadszedł już był dla niej czas zdrowego rozsądku; myślała więc, że dziewczęta, wymykając się z pod jej władzy, wiódą z sobą jakieś szeptu o młodzieży, co było ostatnią z rzeczy, o jakich myśleć miały prawo.

A tymczasem dziewczęta nieboraczki nie myślały o niczém podobném. Nie były-by nawet myślały ani odrobiny więcej, niż to w ich mocy było, o tém, co do nich nie należało, gdyby starsi, stanowiący dla nich prawa, chcieli byli zostawić je w spokoju. Niebawem też rozkoszną tę swobodę im zapewniono. Albowiem, po kilku kieliszkach wina, upał dzienny zaczął się dawać czuć, mimo chłodku, panującego nad strumieniem, téj zacnej parze, która ręka w rękę spokojnie schodziła teraz po spadzistości życia. Spodziewało się każde, że długajeszce przed niém droga, i każde z nich to samo o drugiem myślało. Żadne z nich nie było obarczone wiekiem, nie doszedłszy jeszcze szóstego nawet krzyżyka, w sam raz dość byli starzy, aby umiec patrzeć rozsądnie na idące po nich pokolenie. Ale gdy, drogo za ten przywilej zapłaciwszy, otrzymali go teraz narreszcie, cóż im ztąd dobrego przyjść mogło, jeżeli młodzież wydalala się po-za obręb ich sądu? Tak rozmyślając, zdrzemnęli się oboje; a młodości głosy, spojrzenia i uśmiechy zagłuszone zostały muzyką nosa.

Ten wiaterek, co pociąga w popołudnie każdego skwarne go dnia, (o ile w górze nie miesza się przed burzą) zaczynał ukazywać spodnią stronę liści, i ów połysk, jakim po wierzech świeci trawa, i słabemi podmuchy jął wprawiać w ruch (podobny drganiu płomienia świecy) powietrze, upałem obciążone. Z początku każde jego tehnienie było gorące i zdawało się gorąca dodawać jeszcze powietrzu, aż wreszcie nadbiegł jakiś prąd ożywezy, niewiadomo czy od łąk mokrych ciągnący, czy też przybyły z gór, kędy chłodne leżały krędy.

— Upał już przeszedł — odezwał się Marcin Lovejoy, przyjemną tą zmianą obudzony — popołudnie będzie przepyszne. Ej! czy to można nazwać upałem? Pamiętam wybornie, że nie dalej, jak trzy lata temu, w roku 1808...

— Mogło wtedy być daleko goręcej — spokojnie przerwała pani Lovejoy — ale dlatego nie zapominałeś o fajce i nie zapominałeś dziękować Opatrzności za mnie.

— To dobrze, ale gdzież mogą być dzieci? — zawołał Lovejoy. Zdawało mi się, że dopiero-co były tu wszystkie. To dziw doprawdy, jak oni zemknęli wszyscy razem! Myślałem, że i Lorraine, i Grzegorz, śpią równie smacznie, jak ty i ja! Aha! są... słyszę ich gdzieś daleko... Pewno są przy dziewczętach, w dobrym humorze i weseli...

— Tak, tak, trochę może za weseli — odparła pani Lovejoy — trochę w zanadto dobrych humorach, jak dla mnie. Hm! zdaje mi się, że teraz muszą być w inspektach! Panie Boże! weseli! i ja myślę, że weseli, a niéma tam komu ich pilnować!

— No, to mi tam wielkiej szkody nie zrobią, Niech zdrowi zjedzą wszystko, co znajdą, wyjąwszy tych sześciu truskawek skrzyżowanych, a Mabel dopilnuje, żeby mi ich nie zjedli.

— Doprawdy! skrzyżowane truskawki! Słuchaj-że, Marcinie! (pani Lovejoy nigdy nie była zdolną zrozumieć, co to jest krzyżowanie) zrobią oni coś gorszego, niż skrzyżowanie twoich truskawek, jeżeli nie dasz na nich trochę lepszego baczenia. Pokrzyżują ci oni twoje plany, panie Marcinie Lovejoy, a niewesoło będzie temu, kto się takięj rzeczy dopuści.

— Żono, nie rozumiem ciebie zupełnie tak, jak ty nie rozumiesz krzyżowania truskawek. Jakże-by mogli pokrzyżować je w téj porze roku?

— A czyż nie widzisz, że ten trzpiot, młody Lorraine, zakochuje się po same uszy w naszej pieszczoszcze Mabel?

— Fiul! to był-by smutny interes — niedbale odpowiedział Marcin — lubię tego młodzieńca i przykro-by mi było, żeby go taki zawód spotkał. Bo naturalnie, nie mógł-by on nigdy dostać naszej jedynaczki, chyba-by się zdecydował zostać gospodarzem na folwarku. Shorne powiada, że Hilary urodził się na kupca; może także urodził się na gospodarza.

— Słuchaj, mężu, dlaczego doprowadzasz mnie do niecierpliwości? Wiész, równie dobrze jak i ja, że to jedyny syn baroneta, że należy, jak mówi Grzegorz, do jednej z najdumniejszych rodzin w An-

glii; chociaż to pewna, że nie znać po nim wielkiej dumy. Czyż to możebne, żeby mu pozwolili ożenić się z Mabel?

— Czyż to możebne, żebyśmy pozwolili Mabel wyjść za niego? Ale to w tém wszystkiém sensu niéma; ty, żono, zawsze wynajdziesz klacz, na jajach siedzącą. Cóż znowu! ja dopóty nie zakocham się w tobie, dopókiśmy trzy razy razem z konia nie spadli.

— Ma się rozumieć, że tak było. Ale było dlatego, że wszyscy starsi życzyli sobie naszego pobrania się, a jak nikt sobie tego nie życzy, to zakochanie przyjdzie od razu. Nie powiesz, że nie ostrzegałam cię, Marcinie, choć śmiejesz się tylko z mojej przestrogi. Sobie tylko jednemu podziękuj, jeżeli to stanie w poprzek twoim projektom i planom. Co do mnie, ja-bym była bardzo rada, gdyby Mabel się nim zajęła, i gdyby ci wielcy państwo zmiękli w końcu, jak to zawsze bywa prędzej albo później. Bardzo niewiele jest w królestwie takich rodzin, które potrzebowały-by się wstydić mojej córki; tak mi się zdaje! A to jest młodzieniec bardzo dobrze wychowany. Wczoraj wieczorem, zaraz po pacierzu, powiedział, że mogła-bym spróbować i porozmawiać z nim jeszcze z godzinę, a będzie mnie słuchał z największą przyjemnością, a potem nie mogłam i nie mogłam go przekonać, że mi już czterdziestka minęła. A zatem, mój mężu, pilnuj się sam. Co do mnie, pozwalałam, aby wszystko szło własnym trybem.

— Spuść się na mnie, spuść się na mnie, kochana żono — rzekł Marcin — i ja widzę równie daleko, jak drudzy. A cóż to za zmokłe kury z tych chłopców i dziewcząt, żeby się upędać za wodnistym owocem, a porzucać takie wino, jak ta moja madera. Wypij-no jeszcze kieli-szek, pocziwa moja niewiasto; doda ci ducha po twoich przepowiedniach.

Tymczasem, w dużym staroświeckim tym ogrodzie, który leżał od wschodniej strony domu, ktoś, w krzakach pończekowych zaczajony, mógł być zobaczyć, kto z tych dwojga ma słuszość: czy nieromansowy gospodarz folwarku, czy téż ambitniejsza od niego, ale rozsądna żona. Grzegorz i Filis siedzieli sobie spokojnie, w pysznej stariej altanie, romansując na własną rękę statecznie i przyzwoicie i na nie więcej nie zwracając uwagi. Filis bywała często usposobioną do zadumy i nigdy piękniej nie wyglądała, jak wtedy właśnie, kiedy smętne jęj zamyślenie potrzebowało silnego drugich współczucia. Teraz je właśnie otrzymywała, udając naturalnie, że wcale o nie nie dba; paluszki jęj igrały z mchem i korą, bo płody ziemi niegodne były jęj uwagi: zbyt niebiańską na to była istotą.

Z drugiej znów strony, pomiędzy Hilarym a młodziutką Mabel działy się w przyzwoitej odległości wcale ładne sztuczki, tantalową męczarnią przypominające. Usadowili się oni pomiędzy grzędami truskawek, gdzie nikt-by zobaczyć ich nie zdołał, i mogło się zdawać, że spędzą tam bardzo znaczną ilość godzin, jeżeli nikt po nich nie przyjdzie. Truskawki owe należały do gatunku, noszącego miano: „czerwone ananasowe“, które, wśród niezliczonego mnóstwa innych gatunków, nie mają wyższych od siebie, ani nawet równych sobie, chociaż teraz wyszły już prawie z mody, może dlatego, że tak nieśmiało owoc rodzą.

Co mówi o nich najpierwsza nasza powaga? (*Znakomity pisarz, doktor Hogg*): „Owoc średniej wielkości, gładki, jajowaty, foremny, polyskujący, z wierzchu ciemno-czerwony, wewnątrz blado-różowy, twardawy i mięsisty, z bardzo wyraźnym i miłym smakiem i zapachem ananasowym”. Jest-że piękniejszy owoc, który włożyć w perłowe ząbki mógł-by zapragnąć młodzieniec, szczególnie, jeżeli zastrzeże sobie prawo zjedzenia reszty, w razie, gdyby został kaseczek „mięsistej i twardawej” jagody? Jest-że owoc, przywołujący na myśl wytworniejsze komplementa dla dziewczicy, która na przyjęcie go otwiera usteczka i dołki ma w obu rumianych policzkach, (usteczka są czerwieniejsze, niż zewnętrzna strona jagody) a policzki, chociaż twardawe i mięsiste, wcale nie tak blado-różowe, jak jagoda w środku. Co się zaś tyczy wyraźnego smaku całości, łatwo go sobie wyobrazić, ale czyż nie jest to rzeczą najzupełniej już dowiedzioną?

— Teraz muszę ja narwać panu truskawek, panie Lorraine! Doprawdy pan mnie oddajesz wszystkie. A jakoś ich niewiele... nie! dziękuję panu, sama wstać potrafię. Nie mogę mieć tarni we włosach: Panu się doprawdy zdaje. Zkąd-żeby się tam tarni wzięła? Ale, jeżeli pan tego pewny, to naturalnie możesz ją pan wyjąć... Jakoś mi się zdaje, żeś pan ją sam tam włożył? No! może niesłusznie krzywdzę pana podejrzeniem.

Wyznaję, nieładnie się znalazłam, mówiąc to... Niechże pan teraz troszeczkę zaczeka, a ja pobiegnę zerwać liść kapusty...

— Tego już za wiele. Nie skosztuję nawet czubka jednej truskawki, jeżeli mi jęj pani nie podasz na tém, na czém ja chcę. Jak pani je swoje truskawki?

— Ustami, ma się rozumieć. Ale niech się pan jaśniej wytłuma- czy. Na czém mam podać panu truskawki, których pan z czego innego jeść nie będzie?

— Z niczego na świecie jeść nie będę, jeżeli nie z téj prześlicznej własnej pani rączki.

— Cóż to za niedorzeczność! Moje ręce spocone.

— Niech mi pani pozwoli ich dotknąć i samemu się o tém przekonać. Proszę pani o rączkę jedną... a teraz drugą. O! jakie miłutkie w dotknięciu, jakie chłodne. Jak można mówić taką nieprawdę... Mabel, przesliczna Mabel!

— Nie jestem wcale przesliczna i nie chcę być tak nazywana. Nie wiem, jak się postępuje w Londynie, ale doprawdy, mnie się zdaje, że ze względu .. to jest, jeżeli ktoś będzie miał na względzie...

— Co na względzie? Dreszcz strachu mnie przejmuje, tak pani wyglądasz srogo. A! myślałam, że pani nie potrafisz tak długo mieć takiej miny! Istoto, względów dla ludzi nieznająca, cóż to takiego mieć na względzie należy?

— Nie wiesz pan? Więc proszę, przypomnij pan sobie! przypomnij pan to, że niema jeszcze dwudziestu czterech godzin, jakęś mnie pan zobaczył po raz pierwszy w życiu, i że z pewnością nie jest to ani dobrze, ani przyzwoicie, żebyś pan zaczynał nazywać mnie „Mabel”, jak gdybyś pan mnie znał od urodzenia.

— Musiałem panią znać od urodzenia. I mam zamiar znać panią całe życie, i nawet jeszcze dłużej.

— Może dlatego, że pan jesteś przyjacielem Grzegorza, pozwalasz pan sobie trochę więcej. Ale cóż-byś pan pomyślał o mnie, panie Lorraine, gdybym zaczęła pana nazywać „Hilary”. Nigdy by mi to na myśl nie przyszło!

— Pomyślał-bym, że pani jesteś najlepszą, najukochańszą w świecie istotą i poprosił-bym, żebyś mi pani szepnęła tak w samo ucho „Hilary, Hilary” o! tak... a ja-bym wtedy tak samo odpowiedział pani „Mabel, Mabel, najdroższa Mabel kocham cię.” Cóż-byś odrzekła na to?

— Musiała-bym zapytać mamy — odrzekła panienka — co mam na to odpowiedzieć. Ale szczęściem, wszystko to tylko w wyobraźni pana istnieje. Z łaski téj wyobraźni, przepadły panu truskawki...

— Alboż ja dbam o truskawki? — zawołał Hilary, gdy sprytnie dziewczę wymknęło mu się i odbiegło — Nie dzielasz moich uczuć, inaczej nigdy-byś tak nie uciekła ode mnie. A wiesz dobrze, że nie mogę pobiedz za tobą, dlatego, że są tam: Grzegorz i Filis. Masz tobie! poszła już i nie wróci. Jakiż ze mnie głupiec, że się tak śpieszył? Ale cóż mogłem zrobić innego? Sam nie wiem, na jakim stoję świecie, gdy zwróci na mnie te głębokie, ogromne oczy swoje. Pewno ich już teraz nie pokaże, będzie je zasłaniała temi

długimi rzęsami. A tak nam było dobrze razem! ot! tutaj są korzonki truskawek!

Z każdej truskawki, którą zjadła ze śmiałych jego palców, chował korzonek i osadę, owiane świeżym wonnym jój oddechem, i wkładał je ukradkiem do kieszeni, a teraz wziął się do całowania ich. Potém położył się na ziemi, wśród truskawek, których liści dotykała jój suknia; zmęczonemu upałem, zarówno jak nieznanym wzruszeń najściem, zjawilo się pocieszenie pod snu postacią. Gdy się obudził, znalazł w otwartej swój dłoni, leciutko tam zapewne, położony, niewielki, kształt muszli mający, liść kapuściany, pełen owocu, zewnątrz połyskującego.

ROZDZIAŁ XVI.

O! słodsza niż jagody.

Te sprawy Hilarego i jego miłość, (bo miłość to, jak zaręczał, całe życie trwać mająca, czy Mabel zechce wziąć ją sobie na własność, czy nie zechce) zabrały więcćj czasu w opowiadaniu, niż w samęj rzeczy potrzebowały. Chociaż był to długi dzień letni, dla nich on zleciał z szybkością sennego marzenia. Tak im się przynajmniej wydało, gdy zaczęli spokojnie spoglądać po-za siebie, zapominając tych bajecznych, złotych chwil, tak szybko przebytych skrzydlatą stopą miłości.

Marcin Lovejoy miał na oku swoją córkę, przez cały czas wieczery, w owę pamiętną niedzielę, i nabrał zupełnej pewności, że jego żona jest w błędzie. Cóż znowu! dziewczyna zaledwie się odzywała do Hilarego, i nawet tak dalece zapominała o jego talerzu, że aż matka była zmuszoną przypomnieć jój, dość ostro, obowiązki gościnności. I wtedy-to wysłał Marcin do żony pod postacią uśmiechu, depeszę dowodzącą mężkiej roztropności, która-to depesza (odecyfrowana na poczekaniu z pomocą małżeńskiego klucza) zawierała to wszystko: „A widzisz! wystrychnęłaś się na dudka, jak zawsze, ile razy zachciewa ci się dawać mi nauki. Dziewczyna traktuje z góry młodzieńca, zupełnie tak samo, jak i młodych plantatorów chmielu. I nawet umie się brać do tego... Po ojcu wzięła rozum. A teraz proszę cię, pani Lovejoy, na drugi raz nie wyrrywaj się z radą, póki cię o nią nie poproszę”.

Prócz tego, mniemał jeszcze, że gdyby Mabel znajdowała choć

trochę przyjemności w towarzystwie Hilarego, była-by mu innym to-nem udzieliła odpowiedzi, gdy pobożny ten młodzieniec, wyraził szczerą chęć swoją być obecnym na wieczorném nabożeństwie.

— Nie wyobrażałem sobie — rzekł prostoduszny Grzegorz, — że tak uważasz na to, by co niedziela chodzić przynajmniej dwa ra-zy do kościoła. W Londynie rzadko cię widuję w niedzielę ale gdy-bym cię chciał znaleźć, kościół naszej dzielnicy jest ostatniem miej-scem, w którym-bym cię szukał.

— Czyż nie widzisz, że to zupełnie co innego. Kościół na wsi, a kościół w Londynie tak się różnią od siebie, jak łąka od placu tar-gowego.

— Lecz bezwątpienia bywanie w kościele uważasz pan za jednako-wo obowiązujące? — To rzekła pani Lovejoy, która rzadko opuszczała sposobność powiedzenia młodym ludziom obowiązkowego morału.

— Ma się rozumieć, że jednakowo, pani Lovejoy! Ale obowiązki nasze wypełniamy lepiej wtedy, gdy są razem przyjemnościami. A prócz tego mam specjalny powód, dla którego uważam sobie, że tak powiem, za większy obowiązek, regularnie uczęszczać do kościoła, będąc na wsi.

— Przypuszczam, że nie należy ośmielić się zapytać pana, jaki to jest powód?

— O, dlaczego nie! Powodem jest to, że mam wuja, brata mo-jej matki, który jest proboszczem na wsi.

— Dobrze, dobrze panie Lorraine! — zawołał Marcin, podczas gdy wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. — Masz bardzo rozsądny pogląd na rzeczy. Zanadto weszło teraz w modę zaniedbywanie sto-sunków i interesów rodzinnych. Grzegorz z panem pójdzie, pójdzie też Mabel i Filis. My starzy zostaniemy pilnować domu, bo i słu-gom zawsze iść pozwalamy.

— Ojcie! — zawołała Mabel — biedna Filis jest tak zmordowa-na upałem, że trzeba koniecznie, by została, a ja zostać muszę dla niej, będę ję czytać głośno.

Tak więc pocziwy Hilary nie nie zyskał na swojej nagłej gorą-ciej pobożności: przeszedł się tylko w towarzystwie Grzegorza i od-był drzemkę w stęchliwą cuchnącą ławce, gdzie nie miał na kogo patrzeć.

U hodowców owocu poniedziałek bywa najpracowitszym dniem w tygodniu, z wyjątkiem piątku. Popłaciwszy wszystkich robotni-ków w sobotę wieczorem i pouprzątawszy wszystkie narzędzia ogro-dnicze, dają im wypocząć, póki nie minie niedziela. Tak pićrwi, jak

i drugie wysłużyli w lecie ten wypoczynek pracą, tak dzienną, jak i nocną, przez wszystkie robocze dni tygodnia. Ma się rozumieć, że nie wszyscy są w tém samym położeniu. Wielu właścicieli ogrodów pozwala owocom dojrzewać, poczem sprzedają je, po tyle za akr, lub za sto akrów, nabywcom, którzy zupełnie zdejmują im z głowy kłopot zbioru i sprzedaży na targu. Ale dla tych, którzy sami handel plonem sadów swoich prowadzą, praca tygodnia zaczyna się wpiérw jeszcze, nim zorza poniedziałkowa zawita. Tak przynajmniej bywa przez jakie sześć tygodni, stosownie do pogody i trwania owocowej pory. Zanim gwiazdy pogasną na niebie, już pomiędzy grzędami truskawek jawią się ludzie, zrywać je mający: każdy niesie dwa płaskie koszyeczki — i, więcej ziewając niż gawędząc, nogą otrząsa z krzaków szarą rosę, płoszy gnieźdzące się w brózdach skowronki, a sięgając po owoc pomiędzy szeleszczące liście, często, zamiast niego, ślimaka pochwyci.

Dla prawdziwego amatora owoców, teraz właśnie pora próbować smaku truskawki. Musi to być jedna z takich, które nie chciały dojrzeć w dziennym skwarze wczorajszym, lecz zwolna dobroć w sobie wyrabiały pod okiem gwiazd, za świadka im służących. Teraz zato, (jeżeli była traktowana, jak należy to jest: zerwana bez dotknięcia jój ręką i w koszyk niedbale nie ciśnięta) gdy słońce wyjrzy z po-za płotu, truskawka ta, jeżeli dobrego jest gatunku, powinna wyglądać jak następuje: łodyżka będzie sztywna, płateczki kielicha wilgotne i chrupiące; przy samój osadzie, tam, gdzie dostać się rosa nie mogła, pokaże się wązki obwód połyskującego rumieńca jagody; brzuszek jój będzie gładki i powabny, a jednak mężnie godzący się ze swym losem; ale na części, która miała do czynienia z rosą, i na bokach, na które spływa rosa, z wypukłej powierzchni ściekająca, leżać będzie taki blask chłodnej brylantowej czystości, że usta, zarówno jak i oczy ludzkie, niecierpliwie zetknięcia się z nią pożądają.

Każdy tak był zajęty robotą, a każdy tak dowodził, że ledwie ma czas odetchnąć (szczególniej wtedy, gdy miał na siebie zwrócone oko właściciela) i robota tak prędko poszła, że „jagody” zerwano, spakowano i, zanim słońce przygrzało, ruszono z niemi w drogę do Londynu, zjadacza wszech-rzeczy.

Hilary dopomagał z całych sił i rozkoszował się tą robotą, z owém tryumfującym rzucaniem się ku wszelkiej nowości, którem się zawsze odznaczał. Z koszykami w ręku, pilnował się swojej brózdki (tak jak mu pokazano) niegorzej od innych, i rozdzielał owoce na gatunki, piérwszy, drugi, osobno cdkładając najlepsze, na wierzch iść mające

jagody. Ma się rozumieć, niejedną gałązkę zniszczył zupełnie, razem z dojrzałą jagodą odłamując zielone i nawet ledwie zawiazane, dopóki nie nauczył się „uszczipnąć“ łodyżki, jak trzeba, nie ciągnąc gałązki silnie. Mając trochę sprytu, można się tego nauczyć po parogodzinnej praktyce.

Ale jest jedna rzecz, której najsprytniejszych nawet ludzi żadne doświadczenie nie nauczy — to jest: jakim sposobem godzinami całemi można trzymać głowę, na dół spuszczoną, nie nabawiwszy się bólu. Trudna-bo to rzecz, tak w sobie mózg zatwardzić, aby ani drgnął z miejsca, albo tak go zmiękczyć, żeby z wierzchu był taki sam, jak od spodu. Nielada to zadanie dla wielkiego nawet lekarza, który, chcąc je rozwiązać, musi także pilnować swojej brzozy i zrywać, gdy się dobra trafi gratka. Wtedy niech powie, czy potrafi wytłómaczyć ów niezaprzeczony fakt, że kobieta zrywa dwa razy prędzej, niż mężczyzna? któż bowiem mógł-by się zgodzić na owę, wspaniałomyślnie przez mężczyznę podaną, racją, że „kobiety przyzwyczajone już do tego, żeby mieć zawsze w głowie wszystko do góry nogami”.

Zostawiając podobne dociekania i nadal nierozstrzygniętymi, Hilary (który za wiele miał rozumu, by się z czémś podobnym odezwać) przyszedł na śniadanie o szóstej i jadł je równie sumiennie, jak sumiennie na nie zarabiał. Pan domu, jak prawdziwy Kentyjczyk, uparty, spokojny, serdeczny i prawdomówny, wypowiedział żonie i wszem obecnym swoją teraźniejszą opinią o Hilarym. Marcin Lovejoy nigdy się nie zaklinał, ani nie kłął. Nie przekraczał on nigdy „Bogu wiadomo” albo „widzi to Pan Bóg na niebiesiech”, albo tym podobnych niezdrownych wykrzykników, przez wikarego parafii dozwolonych. Ogólna to zasada, wielu wyjątkami stwierdzona, że Kentyjczycy rzadko się zaklinają.

— Zuch z ciebie, panie! — wołał i, mówiąc, nakładał talerz Hilarego galaretowatemi delicyami zimnego pasztetu z gołębi — pracowałeś za dwóch cały ranek. Nie śpiesz-no się tak, moja jejmość. Nie potrzeba nam tu kawy, ani herbaty... Nie! dziękujemy za wszystkie pomyjki... zanadtośmy się na to napracowali. Mabel! co się tobie stało, że się tak ciągle trzymasz na uboczu?... nie widziałem, żebyś się zbliżyła do koszyków. Nie rób-że zaraz takiej miny, dziecko! nie mam zamiaru cię łąać, jeżeli się trochę pobawiłaś w śpioszka. Chodź-mo do mnie, dziewczynko, masz klucz. Ah! mądrój głowie, dość dwie słowie... oho! wie ona już dobrze, co ma z nim zrobić!

Bo Mabel rada była zejść z oczu jak najprędzej, dygnawszy bardzo układnie Hilaremu, którego nie widziała cały ranek — z pewno-

ścią nie jego to było winą—i, nie mówiąc ani słowa, podeszła ku półce kuchennej (w taki czas roboczy jadano tam śniadanie w kuchni, co było bardzo rozsądną rzeczą) i z drewnianego haka zdjęła oryginalnie wyglądający dzbanuszek z wąską szyją, srebrnym nosem i uchem. Z tym w rękę, poszła cichą sioneczką i kilku schodami, do małej, kamieniem wyłożonej piwniczki, gdzie trzymano wyborowe, w domu warzone, piwo. Chociaż piwniczka leżała poniżej poziomu gruntu, chociaż ani jeden promień słońca nie przedzierał się przez odrutowane okienko, jednak troskliwa gospodyni kazała poobwijać baryłki mokremi płachtami. Dziewczę, podniosłszy czyściutką sukienkę, bo była zawsze uosobieniem porządku, przystąpiła uważnie do beczułki, w rogu stojącej i odwinęła mokrą płachtę, żeby wypadkiem brudna woda nie kapnęła jej na rękaw od sukni. Wtedy dopiero zakręciła kurek, z którego polał się, cienki jak nitka, strumyczek, napotykając może przeszkodę w główkach chmielowych, otwór zatykających, lub może w braku powietrza, niemającego dostępu do płynu. Ale Mabel trzymała dzbanek z całą cierpliwością, choć ręka jej trzęsła się odrobinkę.

— A teraz — rzekł Marcin do Hilarego, gdy Mabel, wróciwszy, postawiła w milczeniu dzban ojcu pod ręką — teraz, panie Lorraine, pozwól nalać sobie kropelkę, która nie ma równiej w całym Kencie, ani nawet, jak sądzę, w całej Anglii. Z własnego jęczmienia z własnego chmielu i z miękiej wody ze strumienia, który brał powietrze i światło przez jakie siedm mil, nie spotkawszy nigdzie rur drenowych. Ci nasi piwowarzy miejscy nie dokażą téj sztuki. Oni muszą kupować sól i kupować zatęchły chmiel, i pompować sobie wodę, i gotować ją, żeby zmiękla i krzemień z siebie wydzieliła. A nasz poczciwy strumyk po drodze pozostawiał kamienie i krzemienie swoje wszystkie. To nie lada różnica! W każdej wodzie pełno jest kamieni; gdy się ją wypompuje prosto ze źródła, kamienie w niej pływają, jak żywe, ale niech przebiegnie jakie siedm lub ośm mil, wtedy zdarna jest do waru.

— O! z pewnością; i to mi objaśnia wiele rzeczy, których dotąd nigdy nie rozumiałem. — Hilary był-by wolał w téj chwili połknąć wielbłąda, niż spierać się o cokolwiek.

— Zaraz ci tego dowiodę, młodzieńcze! Tylko patrz, jakiego to piwko jest koloru i ile piany jest na wierzchu, Panie! zmiłuj się! toż ona nam nie dała szklanki, ani nawet kubka rogowego z nad kominka! I cóż, Mabel? Mabel, dziecko? czyś sobie poszła? Nikt się tu nie chce otruć.

— Zdaje mi się, że widział córkę pańską, przechodzącą tam koło kociołka, z tej strony, gdzie miotła wisi.

— No! niema co mówić, spłatała nam figla. Ale biedactwo okrutnie się napracowało w zeszłym tygodniu, a i wczoraj ciągle była na nogach, chociaż w dzień Pański nakazany jest odpoczynek. Muszę prosić, byś jej pan wybaczył, panie Lorraine: nasze kentyjskie dziewczęta zawsze są gościom na posługi. Kiedym chodził do szkoły, uczyłem się w gramatyce, że kobietom panuje księżyc; ale teraz zaczynam wierzyć, że to nie księżyc, lecz kometa, Niechaj będzie i kometa! Kiedy interesa tak źle idą, czuję, że na wszystko jestem przygotowany. A teraz, przypuszczam, że musimy pić ze dzbana?

Hilary widział niezadowolenie swego gospodarza; ale w głębi serca był pewny, że Mabel nie mogła-by nigdy być do tego stopnia niegrzeczna, lub taką mieć urazę, za owo trochę za wiele uprzejmości z jego strony, żeby aż odejść miała naprawdę zagniewaną i obudwóch, ojca i gościa, rozgniewać tém na siebie. Mogło się zdarzyć mnóstwo innych rzeczy, które jej prawdopodobnie popsuky humor, lub trochę ją zwarzyły, i własny jej ojciec powinien był znać ją lepiej, niż, jak się zdawało, znał ją... Aż tu raptem, zanim gospodarz skończył gderać, Mabel, niewidzialna oju, sięgając mu przez ramię, postawiła przed nim ulubioną jego szklankę; potem zręcznie przesunęła się obok Hilarego, do którego nie zbliżyła się jednak za nadto, i poczysta szklanica domu, w niezliczone rznięta załomy, jak Plejad gromada, błyszczyć mu poczęła przed oczyma.

— Otóż tak lubię! — zawołał gospodarz — to jest, co się zowie, pocziwa dziewczynka! Dziewczęta, panie Lorraine, zawsze są na to, żeby z nimi wszystkim dobrze było, a jak kto je ma za co innego, to się z nich nie doczeka pociechy. Mabel, daj buziaka, kochanko... zasłużyłaś na niego i masz go... A teraz ruszaj, jak dobra, pocziwa dziewczynka, i popatrz, co tam ludzie robią w dolnym sadzie, a my tu sobie tymczasem, z młodym panem Lorraine, podumamy troszeczkę nad temi dwiema szklankami.

Przez całą resztę dnia zbyt wiele było zajęcia, i za wiele bystro patrzących oczu, aby się zdarzyć mogła chwila, do umizgów sposobna. Wszyscy bowiem zabrali się do drzew wiśniowych, wzięwszy z sobą drabiny, haki, kosze na drągach osadzone, i lekkich chłopców, którzy mogli-by wdrapywać się na cieńsze gałęzie, obrywać je, a potem spadać na rozpostarte na ziemi piernaty. A chociaż słońce przecięło gorącym i jasnym promieniem mgliste opary poranku i szybko spiło perlistą świeżość z powierzchni traw i liści, jednak zrywano, układa-

no w koszyki i (według gatunku i wzrostu) pakowano do drogi tych tancerzy, co na długich łodyżkach zwieszają się z gałęzi i w słońcu tak hożo wyglądają.

— Musisz już mieć tego po uszy — rzekł młody Lovejoy do Hilarego, gdy zastawiono południowy posiłek i spożyto go wśród pa-proci, rosnących nieopodal od gaiku, z kąd chłodny zawiewał wiaterek — gdybym się tak napracował, jak ty, nie był-bym zdolny utrzymać w palcach strzały, gdy znowu przyjdzie pora wziąć pióro do ręki

— Przyjacielu najdroższy, proszę cię, nie bądź tak gwałtownie docwipny. Mózg, skoro go raz coś obrazi, z większą trudnością odzyskuje siły do działania, niż palce. A prócz tego mam nadzieję, zanim się do pióra weźmiemy, trzymać w palcach coś szlachetniejszego, niż pióro, choćby nawet na strzałę obrobione.

— Przodek twój, Sir Hilary, szedł na wrogą pod Azincourt; sądzą, że nie zrobisz nic podobnego — rzekł Grzegorz z mimowiedną i nigdy przedtém nieobjawioną poetycznością wspomnień.

— Grzegorzu, umysł mój nie czuje się na siłach do téj szermierki. Bujność twojej rodzinnej gleby tak ci uderzyła do głowy, że musiał-bym i ja powrócić w rodzinne strony Southdown'u, zanim-bym się ośmielił wymierzyć pocisk na ciebie. Mimo to jednak, na własnym twoim gruncie pobiłem cię w zrywaniu wisien.

— Pobiłeś! niemniej jak i w zrywaniu truskawek. A jeszcze więcej w zjadaniu jednych i drugich! Ale, jeżeli łaska twoja, musisz zatrzymać się trochę. Moja matka, prosi jak o wielką łaskę, o rozmowę z tobą na osobności.

Rozpromieniona twarz Hilarego straciła wyraz zadowolenia, ukłuło go bowiem sumienie. O co chodziło? o Mabel? Naturalnie, że o nią. I cóż u licha miał odpowiedzieć? Nie mógł wywinąć się kłamstwem, nigdy bowiem nie poniżał się do tego. Nie mógł zaś nie przyznać się, że pokochał Mabel, a co stokroć jeszcze gorzej, że robił, co mógł, aby młode, niewinne to dziewczę rozkochać w sobie. A jeżeli będzie spytany o ojca — co naturalnie nastąpi? jako uczciwy człowiek, wyznać musi, że ojciec był-by gorzko niezadowolony, gdyby, on, Hilary, żenił się nieodpowiednio swemu w świecie stanowisku. Musi téż wyznać, że jakkolwiek jest jedynakiem, są jednak w spadkobierstwie dóbr Lorraine'ów pewne szczególne zastrzeżenia, skutkiem których może być pozostawiony własnym siłom, w razie, gdyby ojciec zwrócił się przeciw niemu, i więcej jeszcze: że chociaż ojciec jest jednym z najlepszych ludzi pod słońcem, a z pewnością niema czło-

wieka bardziej honorowego, to jednak ma on w sobie wiele chłodu i stanowczości. A co z tego wszystkiego najgorsze (jeżeli już całą prawdę wywnętrzyć trzeba, jak wywnętrzyć ją będzie musiał) to to, iż Hilary wiedział jak najwyborniej, że ojciec przynosi mały paluszek jego siostry, nad wszystkie, razem wzięte, członki jego własnej, do zbytku dowcipnej osoby.

ROZDZIAŁ XVII.

Stworzenie bardzo płochliwe.

Pani Lovejoy siedziała zupełnie na boku, z dala od wszelkiego hałasu i rwetesu, oraz od całej przyjemności zrywania owocu, układania go w koszach i pakowania tych koszy na wóz. Nigdy ona nie oddawała się zupełnie rozkoszom hodowania owoców, nigdy nawet nie było sposobu przekonania jej, żeby była w tém rozkosz jaka. Należała ona do rzędu ludzi, wyższe zajmujących stanowisko, niżeli tacy Kainow synowie. Ojciec jej był kapitanem marynarki, a brat cioteczny Generalnym Prokuratorem. W umysłach parafiańskich urząd ten brano nieraz za jedno ze stanowiskiem w mniej swarliwym zawodzie. Pani Lovejoy myślała nawet, widząc kraj pełen „wojennego ludu”, że brat jej był generałem *piękielnego wystawnia* tej epoki. Z tego powodu była przekonana, że zna się lepiej od wielu innych na prawie, zarówno jak i na wojskowości, oraz, ma się rozumieć, i na marynarce. Wysokie stanowisko, jakie tak blizki krewny zajmował w szeregach armii prawniczej, dopomogło też niemało do podsycania nadziei, tyjących się wyniesienia Grzegorza.

— Przepraszam pana, panie Lorraine — zaczęła, gdy Hilary wszedł do altanki, do której się przed chwilą właśnie schroniła — że odwołałam pana od widowiska, które pana bawi zapewne swoją nowością, i przy którym, nie wątpię, że jesteś pan niezmiernie czynnym i użytecznym. Ale ponieważ, na nieszczęście musisz pan wkrótce powracać do Londynu, obawiałam się przeto, że mogę nie znaleźć innej sposobności spytania pana o szczerą pańską opinią w kwestyi, która mi bardzo leży na sercu.

— Licho nadało! — pomyślał Hilary, nieuspokojony bynajmniej tym zwrotem mowy — daleko jest sprytniejsza, niż myślałem. Zamiast rzeczy obwijać w bawełnę, od razu się tu ze mną załatwi, a ja nie miałem zamiaru odjeżdżać, aż dopiero za tydzień przynajmniej!

Pani Lovejoy rada patrzała na jego zdziwienie, gdy wybąkał, że wszelkie opinie, jakie tylko mógł powziąć, zupełnie na jój usługi oddaje.

— Jestem pewna, że pan już wiesz, o co idzie. Musiałeś pan naturalnie domyślić się od razu, jaki to przedmiot jest najbliższym serca matek, i dla czego pozwoliłam sobie być tak niegrzeczną, żeby aż pisać po pana. Oto, chciałam się pana zapytać, co tam w Londynie myślą ludzie o moim synu Grzegorzu?

Lorraine nie wiedział jakoś na razie, co na to pytanie odpowiedzieć. Jego przytomność umysłu, wystawiona przed chwilą na próbę niezwykłego natężenia, zaczynała teraz chwiać się i szwankować. A przytém, jakkolwiek kochał bardzo swego kolegę, nie dopatrywał w nim jednak dotąd przedmiotu godnego uwagi.

— Sądzę... w samą rzecz sądzą — zaczął, czekając na chwilę, w której coś już naprawdę osądzi — sądzą, że prowadzi się tak dobrze, jak tylko można.

Gdyby chciał być dokuczyć samej gospodyni domu, co, przy jego łagodnym charakterze, było ostatnią z rzeczy, jakich pragnął, nie mógł być znaleźć zdania, lepiej do podobnego celu trafiającego.

— Cóż znowu, panie Lorraine! mówisz pan zupełnie tak samo, jak nianka o dziecko zapytana? Mam nadzieję, że możesz pan powiedzieć coś wiele lepszego o Grzegorzu.

— Zapewniam panią, Mrs Lovejoy, że trudno prowadzić się lepiej, niż Grzegorz. Jego uwaga, punktualność, statek i tam dalej, nie pozostawiają nic do życzenia, mówiąc stylem przez kupców winnych używanym. Pan Malakide wskazuje go nam, jako przykład, którego nie naśladowujemy, bo Grzegorz pracuje do zbytku usilnie... Myślę więc, że, w tej porze roku i podczas takich upałów, należy mu się, co najmniej, tydzień świeżego wiejskiego powietrza.

— Biedny chłopiec! Po cóż on się tak zapracowuje? Więc pan myślisz, że trzy-dniowy wypoczynek to za mało, by go postawić na nogi?

— Potrzeba mu, co najmniej, dwa tygodnie. Ma on jakiś suchy kaszel, który stara się powściągnąć, jak może. A doktorzy mówią, że odor atramentu z cynowego kałamarza i oddychanie wyziewami bibuły, któremi cały dzień oddychamy, mogą z pewnością wywołać, w takie upały, przekrwienie, albo przynajmniej zaflegmienie wewnętrznych organów.

Na panią Lovejoy wywarły te słowa wrażenie bardzo silne, dzie-

sięciokrotnie silniejsze, gdy sprobowała wyobrazić sobie, co to są w samą rzecz za choroby.

— O, ja nieszczęsna! — westchnęła — strach myśleć o tém. Aż nadto dobrze wiem, jakie-to okropne choroby! mój dziadek umarł z obudwu razem. Czy pan myślisz, panie Lorraine, że pan Malakide dał-by się uprosić, by się obszedł bez was obu przez resztę tygodnia?

— Wątpię, czy będzie mógł, Mrs. Lovejoy. Jesteśmy prawą jego ręką i lewą. Syn pani, ma się rozumieć, jest prawicą; moja zaś nieudolna osoba jest upośledzoną lewicą. Jednakże, gdybyś pani napisała do niego, z uprzejmą prośbą, (jak z pewnością pisać pani będziesz), może zdoł będzie się na to, by sobie dawać rady z pomocą innych aplikantów.

— Zrobi się to przez idącą furmankę... przez najpiérwszą okazją, chciałam powiedzieć. A jeśli się tam potrafią obejść bez pana, czy pan sądzisz, panie Lorraine, że mógł-byś pan kilka dni dłużej wytrzymać w takich, jak u nas, niewygodach?

— Nigdy jeszcze nie miałem takich wygod i nigdy nie było mi tak wygodnie — odparł, z wybuchem szczerości, okupującej dużo drobnych kłamstewek. Tym sposobem utwierdził się na zawsze w łaskach pani domu: jeżeli bowiem pani Lovejoy miała choć trochę dumy, (a zawsze mówiła o sobie, że nie ma jój ani krzty), to duma ta gruntowała się na jój wybornych pierzynach.

Uśmiech, godzien jój małżonka, również jak gościnnego jój domu, rozpromienił jój twarz zamysłoną, i po raz piérwszy zobaczył Hilary, że, bądź-co-bądź, Mabel była jój córką. Cóż bowiem może być słodsze nad uśmiech, od rozsądnój a tkliwój niewiasty otrzymany?

— Więc robisz pan nam nadzieję, że możemy się starać zatrzymać pana kilka dni dłużej?

— Ja-to starać się o to powinienem — odparł Hilary z najwytworniejszym swoim ukłonem — bo z mojej strony wielka do tego ochota.

— Mam nadzieję, że pan Malakide robi, co będzie w jego mocy, aby się obejść bez was obu. Chociaż smutna to, bardzo smutna rzecz, stracić od razu prawą rękę i lewą.

— O! pani Lovejoy, dla prawnika nie to nie znaczy; my nie dbamy o takie bagatelki. Gotowiśmy waleczyć, choć nam brak obu rąk, a nawet i wtedy, gdy nam nóg braknie.

— Tak, bezwątpienia, żyjemy bowiem tak, jak biedni marynarze

i żołnierze. General-attorney, to mój cioteczno-rodzony... Nie wiesz pan czasem, jakie jest jego zdanie o moim Grzegorzu? Ma się rozumieć, mnóstwo musi być osób, które usiłują nie dopuścić mego chłopca do pierwszeństwa... Zawsze tak robią zazdrośnicy, odpychają drugich, jak mogą. Ale ciotecznemu bratu matki ufać może Grzegorz, że mu da poparcie należne... Jak pan myślisz?

— Trudno to powiedzieć — odparł Hilary — im prędzej ktoś z młodych wspina się na drzewo, tém zawzięciej ciskają w niego zawistni wszystkiém, co im pod rękę wpadnie. Ale gdybym ja miał chociaż czwartą część zdolności syna pani, nic-bym sobie nie robił z nikogo, poczynawszy od samego Ministra Sprawiedliwości.

— O! nie, nie, panie Lorraine, nie dawaj mu pan tak złej rady. Grzegorz nie stawiał jeszcze dotąd przed kratkami, a zresztą powinien pamiętać, że są przed nim starsi i zasłużeńsi. Nie! nie! niech Grzegorz czeka, aż we właściwej porze przyjdzie jego godzina, i niech się pnie w górę ciągle, ale powoli. Cierpliwość, jak pan wiesz, panie Lorraine, cierpliwość wszystko przetrzyma. Ale muszę pójść natychmiast do domu i napisać do pana Malakide. Czy pan sądzisz, że obraził-by się, gdybym go prosiła o przyjęcie koszyka najwyborniejszych naszych wisien i truskawek?

— Nie przypuszczam, aby chciał to poczytywać za śmiertelną obelgę, szczególnie, jeżeli pani złożyysz mu to w dani od wdzięcznego ucznia, Hilarego Lorraine.

— Jaki-żeś pan dobry, że pozwalasz mi użyć swego nazwiska! A Grzegorz zawsze mi opowiada, że pan masz tyle nad nim wpływu. Bez wątpienia przyjmie je od pana...

Jednakowoż, bliżej rzecz rozpatrzywszy, pani Lovejoy dopuściła się zdrady, posyłając owoce, jako upominek nie od wdzięcznego ucznia, ale własnego jój syna; na Hilarego zaś złożyła całą odpowiedzialność za przedłużenie rekreacji, co wreszcie było może i słuszném. Co więcej, postarała się, aby Shorne nie miał sposobności pojawienia się w biurze, do czego mu nie brakło ochoty; bo bystrością rozsądku przewidziała, że, znajdujący się tam, żartownisie wezmą go sobie za przedmiot żarcików, któremi Grzegorzowi jój dokuczać będą.

Nie potrzeba zapewne dodawać, że przez resztę tygodnia, Lorraine robił, co mógł, aby się jak najczęściej spotykać z Mabel. Ona zaś, postanowiwszy trzymać go odtąd w oddaleniu, czuła, że ją to postanowienie zobowiązuje do ukazywania mu się na chwilę, od czasu do czasu. W samą rzecz bowiem, dużo miała do czynienia i było-by okrucieństwem zaprzeczyć jój nawet prawa mówienia o tém. A Hi-

lary, tak o wiele lepiej, niż ktobądź inny, umiał nosić jój koszyczek, tak miał lekkie dotknięcie, tak zręcznie i tak posłusznie szedł w tę lub ową stronę, i zawsze tak grzecznie odwracał oczy, gdy się cokolwiek przytrafiło jój sukni, co naturalnie od czasu do czasu zdarzyć się musiało, że Mabel co dzień już teraz myślała, jak straszliwie braknąć jój go będzie

A przytém, jak-by nie dosyć było tego, że umiał się przypodobać jój oczom, uszom i sercu, potrafił jeszcze zniewolić sobie najwdzięczniejszą, zarówno jak i najinteligentniejszą część ludzkiego organizmu. We wtorkowe bowiem popołudnie, kolejno przypadające zajęcie i poszukiwanie owocu, przywiodły ich w pobliże krzaków czystego zakątka, przez który przemykał się zwinny strumyk. Trudno o dogodniejszy i miłszy zakątek, w którym-by młoda para mogła się zejść przypadkiem, z dala od oczu i uszu ludzkich. Tutaj bowiem sad kończył się urwiskiem stromém, ale porośłém trawą, porytém bruzdami, tak, że dzieci, wzięwszy się za ręce, zbiegać-by po niém mogły. Ale, gdyby to zrobiły, niezawodnie spotkał-by ich jakiś przypadek, chyba-by, stanąwszy na dole, przesadzić mogły jednym skokiem trzy-łokeciową przestrzeń, co niełatwém było-by dla nich zadaniem. Tutaj bowiem strumień, nie robiąc żadnego hałasu, natrafiał na pokład wybornéj brunatnéj gliny, i płynął wśród brzegów o łagodnéj pochyłości, łożyskiem, którego dno z przyjemnością pozwalało mu przepływać po sobie.

— Pstrągi! jakem grzesznik żyjący! — krzyknął Hilary z radością, gdy pochylił się nagle nad strumieniem i w wodzie mignęły mu jakieś pręgi ruchome a szybkie, podobne do czółenka tkackiego. — Że téż ja się tego piérwój nie domysliłem! Ale ja chyba teraz o wszystkim zapominam. O, Miss Lovejoy! Miss Mabel Lovejoy! Mabel Miss Lovejoy, dlaczegoż pani znasz mnie od stu lat, albo może i od więcéj, a nie powiedziałaś mi pani nigdy, że w tym strumieniu są pstrągi?

— O! niech-że i ja je zobaczę; proszę, pokaż mi pan, gdzie są? — wołała Mabel, schodząc z urwiska ostrożnie, w obawie, by się jój drobna nóżka nie poślizgnęła — pokaż mi pan te śliczności! Matka i ja, obie przepadamy za niemi, ale ojciec powiada, że w nich nic niéma, prócz ości i ogona.

— Pokażę je pani z największą przyjemnością, tylko musisz pani stosować się do moich poleceń. Bardzo to płochliwe stworzenia, jak pani zapewne wiadomo, tak prawie płochliwe, jak ktoś...

— Mabel, Mabel, gdzie jesteś? Mabel, Mab? — odezwało się

głośne wołanie u góry na urwisku, i jednocześnie ukazały się szerokie ramiona Grzegorza, najmniej pożądany z widoków.

— Naturalnie, że tu jestem — odparła — gdzież indziej przypuszczasz, że być-bym mogła? Ludzi dojrzyć przecie potrzeba, a skoro ty tego zrobić nie chcesz, muszę ja...

— Nie wiem, kogo tak dalece tu doglądasz, chyba-by... ale musiałaś doglądać pracowicie, bo się cała zarumieniałaś, dalibóg!

— Daj-no pokój, Grzegorzu — wtrącił Hilary, nagle z pomocą śpiesząc — ja tu wezwałem twoją siostrę umyślnie po to, by mi powiedziała, co to tu widać w wodzie. Wygląda to jakoś, niby ryby.

— A toż to pstrągi! Jakto! nie wiedziałeś tego, Lorraine? Myślałem, że z ciebie rybołowca nielada. Jeżeli chcesz poprobować się z nimi, mogę ci dostarczyć wszystkiego, co trzeba, choć nie przypuszczam, abyś w ten upał dokazał wielkich rzeczy.

— Miss Lovejoy, kosztowałaś pani kiedy pstrąga? — zadał Hilary to pytanie, jak-by ani jednego słowa nie wymienili jeszcze w tym przedmiocie.

— O! tak — odparła Mabel, nie mniej do zapomnienia skłonna — brat mój, Karol, łowił ich nieraz sporo. Dla mamusi mojej to przysmak nad przysmaki i bardzo zdrowiu jój służy, ale nie sędzę, aby ojciec cenił go, jak na to zasługuje.

— Pozwól mi pani pomódz sobie pod tę stromą górę. Bardzo to było nieuważnie z mojej strony, że panią na dół prosiłem, Miss Lovejoy.

— Proszę, nie mów pan tego, panie Lorraine. Grzegorzu! jaki ty jesteś nieuważny, że pozwalasz, by pan Lorraine tak się trudził dla mnie! Aleś ty nigdy nie słyszał z wyszukaną grzeczności.

— Jeżeli się kiedy jeszcze wmieszam pomiędzy nich — pomyślał Grzegorz — bodajem zbrzydkł, jak mawia ojciec. Z tém wszystkim muszę dawać na nich baczenie. Dziewczyzna zaczyna się robić coraz samowolniejszą, a ja... o! mnie, zupełnie ma za nic! A teraz pójdę zobaczyć, co Filis myśli o tém.

Ale Mabel, która mu jeszcze nie przebaczyła impertynenckiej uwagi o jój rumieńcach, pozbawiła go i téj nawet pociechy.

— Mój drogi Grzegorzu, cały dzień nie robiłeś nic innego, prócz chodzenia z miejsca na miejsce w towarzystwie Filis. Posiedź-no tu teraz z parę godzin; jeżeli sam robić nie możesz, to twój nadzór innych napędzać będzie do pracy. Co do mnie, wstydzę się doprawdy, że tak przez całe popołudnie zaniedbałam pana Lorraine: jestem pewna, że,

po takiem umęczeniu, musi potrzebować wypić szklankę piwa, a nim je wypije, ja mu wynajdę wędkę i haczyki Karola. Wiem gdzie ich trzeba szukać, a ty nie wiesz... Pamiętasz pewno, że Karol zostawił je pod moją wyłączną opieką.

— Pierwszy raz o tém słyszę. Bądź jak bądź, jeżeli Lorraine potrzebuje pokrzepić się piwem, no, to i ja go téż potrzebuję. Wyślij mi tu dzbanuszek przez Filis.

— Wyślę z pewnością, mój drogi! z pewnością. Z jaką ona uciechą przybiegnie!

— Z taką samą, z jaką ty odchodzisz — odciał Grzegorz, ale tego nie dosłyszała już Mabel i jedyną odpowiedzią, jaką otrzymała, było spojrzenie Hilarego, pełne oburzenia.

Jeden z najwprawniejszych i najcierpliwszych amatorów-rybaków zwykł był mawiać, że największa rozkosz téj pokojowej sztuki polega na przygotowaniach do łowienia ryb: na przyrządzaniu sztucznych owadów, na wiązaniu włosienia, na rozważaniu, co i jak zrobić tym razem należy. Skarby pamięci promieniają na nowo, a lśniące zasoby nadziei, współzawodniczą z niemi gorliwie.

W myślach Hilarego wszystkie ryby, w strumieniu przebywające, zostały już bezpiecznie na stały ład wydobyte i złożone u stóp Mabel, zanim ta wynalazła wędkę i wszystko przysposobiła, jak należy. Nareszcie miał już właśnie wyruszać (z wrodzoną żywością swoją, do najwyższego teraz stopnia podniesioną) gdy Mabel, odrobinę ledwie mniej od niego ożywiona ważną tą sprawą, nadbiegła po raz pięćdziesiąty już może, ale tym razem mając na sobie cieplejsze wieczorowe okrycie. Było ono blado-dzikiego koloru, a Mabel podejrzewała je trochę, że podnosi przezroczystość jęj cery, oraz głęboki i słodki urok jęj spojrzenia.

— Musiałeś się już pan znudzić tém patrzeniem na mnie, jestem tego jak najpewniejszą. Ale teraz przyszedł nie po to, aby wiązać lub rozwiązywać węzłki... zresztą pan już rozumiesz wybornie wszystko, cokolwiek ja wiem o pstrągach, i wszystko, co mówił kochany brat mój Karol. Ach! panie Lorraine, szkoda, że go pan nie znasz! Grzegorz jest gieniuszem, to się wie, ale Karol zupełnie nim nie jest i może dla tego taki miły! A jaki miał mundur, gdy szedł z nami do kościoła!... ale chcąc takie rzeczy zrozumieć, trzeba je koniecznie widzieć. Ale to przecie możesz pan teraz zrozumieć.

— Nie mogę rozumieć nic, gdy patrzę na panią. Cały mój rozum pogrąża się w... w... nie mogę pani wypowiedzieć w czém...

— To idź pan i pogrąż go w łowieniu pstrągów. Chociaż nie-

wierzę ja w to, żebyś pan złapał bodaj jednego. Trzeba na to ogromnej zręczności i cierpliwości, i wody niezmiernie czystej, i suchego powietrza. Tak przynajmniej zawsze mówił Karol, gdy złowić ich nie mógł. Chyba założysz pan na haczyk robaka, albo coś dużo jeszcze brzydszego.

— Robaka! Wolał-bym chyba brać pstrągi na lep! Nie posądzasz mnie chyba pani o coś podobnego?

— Zkąd-że mogę znać rozmaite stopnie okrucieństwa, przez ludzi ustanowione? przyszedłam tu prosić pana, żebyś i pan wziął z sobą małą przekąskę... będziesz pan kilka godzin za domem, i z pewnością zmylisz drogę.

— Jak cudownie dobrą jesteś, Mabel! teraz musisz już nazywać się Mabel?

— Przypuszczam, że nazywałam się Mabel, odkąd na chrzcie dano mi to imię! Ale to nic nie ma do rzeczy! Przyszedłam tu po to tylko, żeby panu włożyć w koszyk pół zimnego gołąbka, i odrobinę soli, i kawałek placka jęczmiennego, i kropelkę naszego piwa w tej kamiennej buteleczce. Chcąc się z niej napić, musisz pan tak ją przechylić...

— Czy wiesz, Mabel, czego będę potrzebował przez cały ten czas i zawsze?

— Ach! musztardy? jakąż ja jestem nie mądra! Ale myślałam, że ja panu farsz zastąpi...

— Zamiast połowy zimnego gołąbka, potrzebować będę każddziutkiego żdźbła całego gołąbka, żyjącego...

— Znajdziesz je pan, panie Lorraine, na folwarcznym podwórku. Ze czternaście ich tam, może i więcej. Weź pan jednego, jeżeli pan potrafisz zjeść go na surowo. Ale mama każe panu zapłacić sobie za niego.

— Zapłacę za swego gołąbka — odparł, unosząc kapelusz — choć-bym miał oddać co do grosza wszystko, co mam, lub kiedykolwiek mieć będę na tym i na tamtym świecie.

I poszedł na ryby, a ona pobiegła do siebie na górę i płakała cichutko, patrząc za odchodzącym; a potem padła na łóżko, ciskając ręką głośno bijące serduszko.

ROZDZIAŁ XVIII.

K l u c z o d b r a m y .

Pstrągi nie a nie o tém wszystkiém nie wiedziały. Od miesiąca już ani pokosztowały robaka, chyba wtedy, gdy wpadła w wodę grudka zeschłej od upałów ziemi. W muchach nawet nie było żadnego smaku: gdy upadły na wodę, upadały na płask, i nawet w cieniu krzaków schwywane, parzyły w podniebienie.

Hilary szedł ścieżyną, przez łąki wiodącą; w czystém, jasném świetle zachodu, cień od jego postaci padający słał się na trawie, za ledwie po skoszeniu odrastającej, wspinał się na żywo-płoty, lub na popekane od słońca brzegi rowów przydrożnych. Niósł na plecach koszyk na ryby, zawierający jego przekąskę, a w prawej ręce miał krótką sprężystą wędkę, nieobecnego marynarza najulubieńszą. Po długiej naradzie z Mabel, postanowił iść w górę strumienia, aż do miejsca, gdzie się spotykały dwa strumienie, i gdzie było dość wody, by mucha, umiejętnie na haczyk osadzona, mogła swobodnie spłynąć z biegiem fali. Tutaj wędkę zarzucił, a szmer wody był mu miłą muzyką po hałasie londyńskim.

Strumień był przejrzysty, jak szkło rżnięte, a światło, łamiące się na powierzchni wody, czyniło ją jeszcze przejrzystsza; wił się krętem łożyskiem, z którego brzegów zwieszała się nawodna zieleń, to traw wybujałych kiście, to polnych owsów kępa, to wreszcie wodnych rzeżuch kobierzcyk, lub inna jaka z owych roślin, co kąpać się w wodzie i przeglądać się w niej lubią. Ale pstrągi, na które głównie Hilary miał widoki, same zanadto były na widoku. Gdy padł na wodę, drżący cień zdźbła trawy, lub nawet cień włosienia, one znikwały natychmiast i najbardziej pokojowe zapewnienia nie mogły im wyperswadować żeby pozostały. „To wszystko na nic — rzekł do siebie Hilary, który często, w braku lepszego towarzystwa, sam z sobą rozmawiał — oto co się nazywa, nie mieć szczęścia! Złodzieje! nie wypłyną na wierzech, dopóki się nie ściemni. Jeżeli tak pójdzie i dalej, zdejmę kłatwę, rzuconą na fajkę. Ach! jak-by mi teraz fajka smakowała! Mógł-bym siedzieć sobie teraz na płocie i myśleć. Nie! lichy niech porwie myślenie! nie cierpię myślenia. Kłopoty jakieś wiszą nade mną... to równie niezawodne, jak to, że ogon komety rośnie z dniem każdym. Nienawidzę téj komety! Nie dziwnego, że

ryba nie chce wypływać na wodę. Ale choć-by mi przyszło odłożyć wędkę i łowić was po ciemku ręką, nie odejdę ztąd, póki nie złowię kilku dla niej.

Na szczęście nie potrzebował brać na sumienie ciężaru takiego przestępstwa; nagle bowiem doszedł jego uszu najmelodijniejszy z dźwięków, pluśnięcie ciężkiej ryby, podskakującej w górę po jakąś wyborną muchę lub robaczka.

— Aha, kochanku! — zawołał Hilary — zachciało ci się kolacyi, nie prawdaż? Ale ja nie śpię! widzę, jaki krąg zrobiłeś na wodzie... Jeżeli prawa moja ręka nie straciła dawniej władzy, zrobisz ty krąg niebawem... ale na patelni.

Dał rybie trochę czasu do zastanowienia się nad smakowitością połkniętego kaska i przygotowania się na drugi, a tymczasem, zamiast niebieskiej muszki, zakładał na haczyk białą ćmę, dołożył jeszcze szarą gasienicę i spróbował węzełków, czy dobre, wiedział bowiem, że na ogromną sztukę godzi.

Poczęm, ostrożnie, boczekiem, chyłkiem, jak umieją tylko ci, którzy łowią pstrągi jedynie w bardzo przejrzystej wodzie, podczas letniej pory (w porównaniu do której-to sztuki, gruba robota łowiącego łososie, ma się tak, jak malowanie dekoracyi teatralnych do artystycznego wodnemi farbami malarstwa), z tą oględnością w ruchach, nie dającą się opisać tym, którzy jęj nie studyowali, Hilary zbliżył się wreszcie do wody, nie wznieciwszy w umyśle ryby żadnego powątpiewania o roztropności jęj apetytu. Wtedy zarzucił wędkę ruchem nie nagłym, lecz pewnym, choć lekkim, i dozwolił przynęcie pójść pod wodę i zajrzeć do kryjówki poczciwego pstrąga. Oczigodny pstrąg spojrział na ponętą ćmę, spojrział téż na gasienicę i zadumał się; miał on bowiem własne ulubione miejsce, z którego przyglądał się światu, zupełnie tak samo, jak i my mamy, każdy, swoje. Pozwolił więc szaręj gasienicy przepłynąć o cal od wierzchniej swojej wargi, uderzyło go bowiem to, że ogon jęj był zadarty, w sposób nie zupełnie naturalny, a w każdym razie chorobliwy. Przyjrzał się téż i ćmie białej, i pomyślał, że nigdy w życiu takiej nie widział. Schował się znowu pod swoje korzenie, winszując sobie własnej mądrości i, nie ruszywszy nawet skrzela, wiosłował tylko ogonem, w tę i owę stronę, zwracając tłuste, plamami upstrzone boki.

— Tego już nadto, słowo daję! — zawołał Hilary, trzy razy przepysznie, a zawsze nadaremnie zarzuciwszy wędkę, z którą jak najwyborniej się obchodził — wszystko, co Kentyjskie, oporem mi idzie. Gdyby to był jeden z naszych pstrągów, złapał-bym go... ja-

kem żyw! Raz jeszcze zarzucę wędkę... Ten panicz wart trochę cierpliwości.

Podczas gdy mówił, muchy jego wypłynęły na przezroczyste wodne, jak komary, taniec miłosny zawodzące, a on, zręcznym pół-obrotem dłoni, wciągnął je pod powierzchnią wody i pozwolił im spłynąć w głąb' w cienistą kryjówkę, w której ogromny pstrąg przebywał. Muchy, ulegając ciągnącej je w głąb' sile, rozłożyły skrzydełka i drgać poczęły pod wodą, jak mucha w pajęczynę uwikłana; ale mimo to, stary pstrąg, spokojnie ogonem wiosłując, podejrzliwie na nie spoglądał. Dla czego, myślał, te same muchy zaglądają tu tak często i dla czego mają takie pozakręcane ogony i... mógł-że być pewnym, że tam, o jakie dwanaście łokci w górze, nie widnieje mu cień kapełusza ludzkiego? Rozważając to wszystko, mógł był doczekać sędziwej starości, gdyby nie szlachetna żądza nauczania, dla największych nawet mędrców zgubna. Zuchwała rybka, młodzik jakiś z pod różeg ledwo zbiegły, rzucił się z dziecięcą żarłocznością na gasienicę i przez zbyt ni pośpiech chybił jęj. „Poczekaj, ja ci pokażę, jak się chwyta owady — rzekł do niego pstrąg stary — otwórz tak usta, jak ja, synu”.

To mówiąc, chapnął gasienicę i, ogonem wiosłując, zawrócił w stronę domu. Niestety! nie ujrzy go więc ję miła sercu strzecha domowa: nagle bowiem zdziwiło go niezmiernie nieprzyjemne uczucie czegoś szorstkiego, napełniającego mu pyszczek, oraz bolesne ukłucie w podniebienie. Rozgniewany, dał w górę susa, na łokieć przynajmniej nad wodę, poczem całym ciężarem pogrążył się w głębokościach swojej kryjówki.

— Aha! złapałem cię, kochanku — zawołał Hilary, najżywszemi wzruszeniami miotany — spodziewam się, że węzełki pozwiązane były, jak należy. Ogromna z ciebie sztuka i równie mądra, jak duża. Nie łatwo mi przyjdzie wyciągnąć cię na brzeg, ale nie użyję do tego sieci, ani haka, ani nic podobnego. Ach! żeby tu tylko palów nie było pod wodą! Aha! zmykasz? No... teraz ciągnąć trzeba!

Ogromny pstrąg popłynął z biegiem wody, z szybkością trudną do prześcignięcia, a za nim popędził Hilary, wiedząc, że wędkę ma trochę za krótką i że będzie po wszystkiem, jeżeli pstrągowi przyjdzie ochota skierować się na środek wody. Utkwiwszy więc oczy w wodzie i w rybę, na oślep zmykającą, sam na oślep przewrócił się przez pał, a o drugi skaleczył się dość silnie. Ledwie poczuwszy skaleczenie, zerwał się natychmiast na nogi, podniósł wędzisko, które mu było wypadło z ręki, i z obawą znalezienia jęj próżną, wędkę przycią-

gnął ku sobie. „No! nie zemknął mi jeszcze” — wykrzyknął, gdy wędzisko wygięto mu się w kabląk.

Teraz znajdował się już o dobre sto łokci od miejsca, w którem rozpoczął był utarczkę z przeciwnikiem. Szybkości swego biegu i zręcznemu manewrowaniu wędką zawdzięczał to, że ryba nie znalazła dotąd sposobności wyszarpięcia mu wędziska z ręki. Na szczęście jego, brzeg ogołocony był z zarośli, bo inaczej cała jego zręczność na na nie-by mu się nie przydała; ale teraz dotarł do miejsca, w którem krzaki leszczyny zwieszały się nad wodą.

— Przepadłem! — westchnął — ten ładaco umie sobie radzić. Już po wszystkiém!

Chociaż tracił ostatnią nadzieję, skoczył jednak w wodę i, trzymając wędzisko tuż nad nią, a nawet przyciągając ku sobie rybę (która już była osłabiona), ominął szczęśliwie leszczynowe zarośla. W kieszenie ubrania nalało mu się pełno wody, czerwone jakieś smugi zabarwiały falę po jego przejściu, mimo to wydostał się szczęśliwie na płytszą wodę i brzeg piaszczysty a niski.

— No! teraz cię już dostanę — zawołał — chociaż ja jeden wiem, jakie z ciebie nic dobrego i coś ty ze mną wyrabiał.

Nie dowierzając wędce, czy udźwignie ciężar martwej już ryby, a tém bardziej czy podoła ostatnim rozpaczliwym pstrąga wysiłkom, obejrzał się Hilary wokoło i, na szczęście, zobaczył niewielki płytki rowek, z którego tryskało małe źródółko. Tam-to, zręcznym ręki obrotem, wprowadził raczej, niż wciągnął, rybę, radą z tego, że chwil parę wypocząć może, poczem utkwiał wędzisko w ziemi, skoczył w strumień i, oburącz trzymając kapelusz, stanął u jedyne go wyjścia, jakie z rowka do strumienia prowadziło. Teraz więc koniec już przyszło monarsze strumienia. Gdy rzucał się i podskakiwał na zielonych trawach nadbrzeżnych, migocąc świetnie żółtym brzuchem, połyskując srebrną czystością boków, radość, wdzięczność i chluba z najwyższej zasługi własnej napępniały serce Hilarego. „Musisz ważyć niemało, paniczu! I teraz właśnie najlepsza na ciebie pora! Jaką maleńką masz główkę! jakie jasne plamy!” przemawiał do niego Hilary, zadając mu cios śmiertelny, „Wsamój rzeczy, odważnie się bronieś, i mądrze! Przypuszczam, że potrafiaś usmażyć cię, jak należy“.

Wyjmując gasienicę z pyska pstrąga, poczuł po raz pierwszy ból w kolanie, w miejscu, gdzie się o ostrze pała uderzył. Z pod sprzączki, spodnie u kolana przytrzymującej, krew mu się sączyła w kamusze, i teraz dopiero zobaczył, jak krwią swoją zaczerwienił wodę.

Obmywszy ranę, przyłożywszy na nią liści i przewiązawszy ją chustką, idąc z biegiem strumienia, przebył jeszcze kilka łąk, bo, z zapadającym mrokiem wieczornym ryby zaczęły się uganiać po wodzie tak, że gdy wreszcie, przy świetle księżyca na nowiu i komety, ujrzał dachy starego domowstwa, miał już Hilary w koszyku z jaki tuzin pstrągów, wcale przystojnych o srebrzystych bokach młodzieńców, z których jednak żaden, wyjąwszy pierwszego, trudnego do pokonania jeńca, nie miał więcej nad funt wagi.

Tém już postanowił się zadowolnić; bo kolano dokuczało mu bolem i zdrętwieniem, a wzrastająca ciemność stawiała mu na przeszkodzie; a przytém, zapomniawszy o przekąsce, co było do niego podobne, czuł z przyjemnością, że jest należycie do wieczery przysposobionym. Usiadłszy przy stole, musiał, ma się rozumieć, opowiedzieć (i to ze trzy razy przynajmniej) swoją utarczkę z Trytonem, który, jak się pokazało, ważył trzy funty i ćwierć, i został poznany jako dawny przyjaciel i dwukrotny zwycięzca nieobecnego Karola. Pani Lovejoy (jak się tego spodziewać należy) narobiła wiele hałasu, z powodu skaleczenia kolana, które to skaleczenie w samą rzecz nie było bagatelką, podczas gdy Mabel nie odezwała się ani słowa, ciężko wyrzucając to sobie, że sama wysłała Hilarego na tę niefortunną wyprawę.

Przez kilka dni następnych, młody Hilary musiał trzymać ruchliwą swoją postać w spoczynku, spokojności i poddać się troskliwej kuracyi. Nawet sam gospodarz, człowiek zahartowany na wszystko, a przywykły do skaleczeń, kosą, sierpem lub siekierą zadanych, przyznał, że jest to wypadek, wymagający rosołków, delikatnych potrawek i tym podobnych spraw niewieścich. Gdyby bowiem wdała się gorączka, młody człowiek mógł-by zostać na resztę życia z jedną tylko nogą. Dla syna domu był to już jednak najwyższy czas powracać do ulubionych mu ksiąg prawnych; musiał więc oderwać się od Filis, i w piątkowe popołudnie ruszył w drogę na wozie, przyrzekłszy, że, przez wracającego Johna Shorne, nadeśle wszystko, co kolega mieć potrzebował.

Hilary znalazł niebawem, że mało jest rzeczy miłszych gospodyni nad pacyenta dobrej myśli, posłusznego, a krwi niezepsutój; odrzucał zatem ze wzdargą wszelkie wzmianki o potrzebie sprowadzenia „właściwego lekarza“, w czém znalazł poparcie u gospodarza.

— Bodajem zbrzydł, jeżeli który z nich dotknie mnie kiedy palcem, tak samo, jak i mego ojca przede mną. Ma się rozumieć, mają nas oni w rękę, gdy przychodzimy na świat i nie znamy się jeszcze

na niczém; ale jeżeli im pozwalamy obmacywać się później, wari jesteśmy za to wpiérw od nich schodzić ze świata.

Ta zbawienna powściągliwość (połączona z sowitém używaniem zimnej wody i ziół leczniczych) postawiła Hilarego na nogi w przeciągu dziesięciu dni najwyżej. Przez cały ten czas niewiele widywał Mabel, (nie umiał powiedzieć, ona-li, czy kto inny był tego przyczyną) dość, że tak było. Ilekroć pani domu zostawiła go samego, Filis Catherow, albo téż pokojówka, starały się zastąpić ją przy łóżku chorego; często przychodził także i sam gospodarz wypalić spokojnie fajkę i trochę gościa rozruszać. Postępując z nim szczerze, poprostu, okazywali mu, że w tym nawet roboczym czasie, nie był żadnym dla nich ciężarem.

Po tém wszystkiém, całkiem naturalną było rzeczą, że Hilary powziął dla gościnnych gospodarzy domu wdzięczność, zarówno jak i przywiązanie wielkie. Porzucono wszelkie ceremonie, a różnica stanu znikła wobec serdecznego zbliżenia się i kochającej serdeczności. Młody Lorraine z zachwytem spoglądał na powabne a liczne enoty, w ciszy i spokoju pod strzechą starego domu kwitjące tém rozkoszniej, że w pałacach wielkich tego świata nie zawsze umieją się poznać na ich nieobecności.

Niewątpliwie miłość to enoty wznieciła w Hilarym takie uczucie smutnego przygnębienia i osierocenia, gdy wreszcie nadszedł czas rozstania się z tylu doskonałościami.

— Wozem przyjechałem i wozem ztąd odjadę — odpowiadał na wszystkie przedstawienia, a Gospodarz polubił go więcej jeszcze za tę wierność, wozowi dotrzymywaną. Stało więc na tém, że John Shorne pojedzie na targ czwartkowy z niewielkim ładunkiem, że na wozie położy się dla Hilarego materac i dera, aby miał się czém okryć, na wypadek zimnej nocy; od kilku dni bowiem przechodziły deszcze i zdawało się, że pogoda dłuższej ulegnie zmianie.

— Muszę państwu znowu dostarczyć półmisek pstrągów — odezwał się Hilary do pani Lovejoy — kiedyż będę miał znowu sposobność po temu? Woda po deszczach najlepsza, a dzięki niezrównanej pani troskliwości i umiejtności leczenia, mogę już chodźć doskonale.

— Tak, byle niedaleko; musisz pan jednak uważać, aby nogi nie męczyć. Możesz pan przejść wzdłuż jednej łąki, ale nie więcej. Poczekaj-no pan: możesz pójść na dużą łąkę, tam nie znajdziesz ani płotu, ani palików na brzegu. Tu od téj strony znajduje się w ogrodzeniu furtka; przysłę panu Filis, aby pana tamtędy wpuściła i oszczę-

dziła ci niepotrzebnego chodzenia dalszą drogą. Przysłę ją o pół do siódmej. Pan wieś, że wóz wyrusza o ósmęj, musimy więc sięś do wieczery akurat o siódmej.

Tak się umówiwszy z gospodynią domu, ruszył Hilary na ryby około piątej po południu i, spotkawszy po drodze Miss Catherow, prosił ją, jak o szczególną łaskę, aby, przez następne dwie godziny, unikała spotkania z panią Lovejoy. Filis wcale dobra panienka (trochę może zanadto dumna z piękności swojej) chętnie przyrzekła spełnić żądanie Hilarego i schroniła się na ławeczkę pod jawory, by tam oddać się czytaniu poezyi i rozmyślaniu o nieobecnym Grzegorz.

Był to szczęśliwy jakiś dzień dla Hilarego, bo, idąc łąką wzdłuż strumienia, nałowił pełen koszyk pstrągów, i stał właśnie w miejscu, gdzie przez ostatnie przeszło płotu przeświecała już srebrzysta woda strumienia, teraz lekko ozłacana dotknięciem zachodnich promieni słońca, gdy nagle, z drugiej strony płotu, dały się słyszeć leciutkie kroki i tuż okok Hilarego pojawił się na trawie cień, od ślicznej padający postaci.

— Miss Lovejoy! — zawołał Hilary — cóż to za niespodzianka! Myślałem, że to Filis po mnie przychodzi. Mogę nazywać ją Filis... tak! mogę, pozwala na to, nie jest przesadnie ceremonialną. Ale nie-które osoby nigdy nie zapominają o ceremoniach.

— Chcesz mi pan, widzę, dokuczyć na pożegnanie? A w domu wszyscy mówią, żeś pan tak miłego charakteru! Tak mi przykro, że najdroższa pana przyjaciółka zawód panu zrobiła. Wiś pan, szukałam ję wszędzie, nim ujrzałam się zmuszoną przyjść tu sama. Spodziewam się, że panu nie było tak trudno dogodzić tym biedakom, pstrągom, jak nam, dogodzić panu.

— W każdy razie nie unikały mnie tak, jak pewna osoba, przez te dwa tygodnie. Zapewne to dla tego, że byłem chory i zmartwiony i przypuszczałnie w złym humorze?

— Jak pan możesz mówić mi tak przykre rzeczy? To dowód, jak pan mało dbasz... ale nie to chciałam powiedzieć.

— Cóż tedy, jeżeli spytać wolno, chciałaś pani powiedzieć?

— To, że oto pan masz klucz od furtki, a ojciec będzie pana czekał o siódmej.

— Ale może zechcesz pani rzucić okiem na moje pstrągi? Ja gryźć mogę, ale one nie ugryzą.

Postawił na ziemi koszyk, nad którym Mabel pochyliła się, chcąc mu nie pokazać oczu, które (wbrew roztropności i dziewczęj dumie) były niekoniecznie takie, jak-by sobie życzyła. Ale pokazało się, że są

właśnie takie, jakimi widzieć je pragnął Hilary, który też, z nienacka spojrzem ich pochwycawszy, zapomniał o wszystkiem, co nie było niemi, i podstępnie zmusił je aby zwróciły się na twarz jego.

— Słuchaj, Mabel Lovejoy — przemówił powoli i z cicha, jakby się lękał usłyszeć dźwięk własnego głosu — czy możesz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że cię nie a nie nie obchodzę?

— Nie mam zwyczaju być niegrzeczną — odparła, ukradkiem z pod kapelusza spoglądając — zostawiam to innym.

— Dobrze... a teraz: jest-żeś mi życzliwą, lub nie?

— Dziwne zadajesz pan pytania! Obowiązkiem jest naszym być życzliwemi dla gości.

— Jeszcze dziwniejsze zadam pytanie: czy kochasz mnie, Mabel?

Przez długi czas nie było innéj odpowiedzi, prócz stłumionego łkania i dwóch wielkich łez, które uparły się spłynąć po twarzy.

— Mabel najdroższa! spójrz na mnie i odpowiedz. Dla czegoż miała-bys się wstydić odpowiedzieć? Ja dumny jestem z miłości, jaką mam dla ciebie. Mabel, kochanko! kochasz mnie?

— Obawiam się... że... że... prawie.... kocham.

Odsunęła się od niego, uciekając od oczu, zarówno jak i od objęć, jego i pragnąc chwili samotności. Ale wtedy przyszło jęj na myśl, jak to nieszlachetnie korzystać z tego, że ból nogi nie pozwala mu pogonić za nią. Powróciła więc i, chcąc zmienić rozmowę, rzekła:

— A teraz, Hilary, pokaż mi w strumieniu pstrąga.

— Zasłużyłaś swoją dobrocią na zobaczenie pięćdziesięciu! Pomoż mi trochę; wiesz, że mi jeszcze noga nie dopisuje... A teraz stań tu i pozwól się potrzymać... ostrożnie i mocno... Nie, nie tak! to się na nie nie zda. Muszę objąć cię przynajmniej jedną ręką, albo wpadniesz w wodę, a ja będę odpowiadał za to, żeś utonęła!

— Utonęła! Chcesz mnie na śmieszność wystawić? woda ledwie tu na sześć cali głęboka! Ale gdzież pstrągi?

— Tutaj! o! tu... Widzisz ten biały kamień? Wpatrz się w niego uważnie, a możesz być pewną, że ani zobaczysz pstrąga. Teraz obróć trochę główkę, troszeczkę... nie zanadto. Cóż, teraz widzisz jak najwyraźniej.

— Nie! tylko nas dwoje, stojących tu w cieniu tego dębu nad wodą, jakbyśmy nie lepszego do roboty nie mieli.

— Przynajmniej razem stoimy. Czy ci się to nie zdaje pewnym?

— Nawet i wodzie zdaje się to samo. A cóż jest od wody zmienniejszém?

— Teraz patrz na mnie, nie na wodę. Mabel, wiesz jaki jestem?

— Pragnęła-bym wiedzieć to, Hilary, ale właśnie, żeby się tego dowiedzieć, długo trzeba czasu.

— O! Mabel, czyż ja taki byłem dla ciebie? czyż ja patrzałem na ciebie i myślałem: w niej jest coś złego, co ja wynaleźć muszę?

— Ma się rozumieć, że ci to nigdy na myśl nie przyszło, nie masz tego w charakterze. A może też nie obchodzi to ciebie tak bardzo, jak mnie?

Jak-by chcąc wynagrodzić mu te słowa, odpłaciła miłosne jego wejrzenie spojrzeniem tak głębokiem, tak pełnem niewinnego zaufania, że wybaczyć można Hilaremu, jeżeli z jego powodu gospodarz czekał tego wieczora na posiłek, co istotnie nastąpiło.

ROZDZIAŁ XIX.

Cztery młode panny.

Zacni mieszkańcy Coombe Lorraine żyli dotąd w szczęśliwej nieświadomości znakomych czynów Hilarego. Sir Roland wiedział, naturalnie aż nadto dobrze, że jego syn i spadkobierca, był wysoce romantycznego, rycerskiego i awanturniczego usposobienia. Za czasów Etońskich i Oxfordzkich, nie jeden wybryczek (który na razie wydawał się strasznym) zapowiadał, że w miarę, jak się rozszerzać będzie młodzieńczy widnokrąg jego żądz, Hilary postara się niezawodnie całemi siłami o dopuszczanie się coraz to większych wybryków.

— Bądź jak bądź, mogę zawsze ufać memu chłopcu, że sobie postąpi, jak na gentlemana przystoi — zwykł był mawiać jego ojciec do siebie i do jedynego swego doradcy, którym był stary Sir Remnand Chapman. Sir Remnand zawsze potrzasał na to głową, poczem, jak-by z obawy, że powiedział za wiele, dodawał. — Tak, to rzecz najważniejsza! Za wiele już dziś mówię o tém, co chrzecijaninowi przystoi.

W każdym razie, najprawdopodobniejszém ze wszystkiego, a o czém nie myśleli wcale, było to właśnie, że Hilary zakocha się w poczciwej, prostej, słodkiej dziewczynie, która pokocha go dla niego samego

i przyłgnie do niego całą potęgą miłości. *Moralność*, przez którą my rozumiemy dzisiaj wszystko, co jest prawdą, słusnością i sprawiedliwością, była wtedy lekceważoną w życiu publiczném, więcej nawet, niżeli dziś w prywatném. Dla Sir Remnanta, kwestya dziewcząt, przez syna jego uwiedzionych, była kwestyą szylingów, które zapłacić im przyjdzie, i ubolewał nad Sir Rolandem, jako nad ojcem syna, dużo przystojniejszego, niż młody Chapman.

Jakkolwiek mało miał ze światem stosunków, znał go jednak Sir Roland i wiedział, co się na nim dzieje, a im lepiej to widział, tém mniej godzić się umiał z podobnemi rzeczami. Płaskie, tłuste anegdoty, grube żarty i dziecinne nierozsądne przysięgi, używane w stosunkach z damami (niejedna z nich dochowała się dotąd w pocziwój, choć nieraz obłudnej, mowie naszej), niemało się przyezyniły do upodobania, jakie miał Sir Roland w samotności obiadowego stołu i do troskliwej pieczy, jaką roztaczał nad ulubioną swoją Alicyą. I gdyby nie dawne nawyki i nie tradycya przyjaźni, nie by go nie było skłoniło do znoszenia towarzystwa Sir Remnanta, którego skala pojęcia nieporównanie była niższą. Człowiek może być jak najwyższym, a prawie ulegać musi wpływowi ludzi, z którymi ma stosunki. A więc i Sir Roland (jakkolwiek niezmiernie różny od swego otoczenia) czuł nieraz, że myśli cudze pełzają w koło niego i czasem go nawet dotykają, i nie umiał nie być ciekawym tego, jak drudzy o nim myślą.

Mimo to, dwóch tylko było ludzi, którym Sir Roland Lorraine dozwalał rzucić okiem na głęboko ukryte tajnie trosk swoich. Jednym z nich był Sir Remnant; drugim (z prawa swego zawodu, a wbrew skłonności Sir Rolanda) był wielebny Struan Hales, własny jego i wysoce poważany szwagier.

Struan Hales był wybitną w tej okolicy osobistością. Znał go każdy i każdy go lubił; był to bowiem człowiek wesołej myśli, serdecznego obejścia, często nawet zbyt hałaśliwie rubaszny; pełen życia takiego, jak je pojmował, i pełen miłości życia, ilekroć dobrał sobie równe mu ożywieniem towarzystwo. Nienawidził wszelkiego rodzaju szarlataneryi: pojęć rewolucyjnych, metodyzmu, ascetyzmu, humanitarnego zapału i zbyt górnołotnej mowy. A chociaż, podobnie jak wszyscy, szanował Sir Roland Lorraine'a za jego nieskazitelną charakter, wzniosłe pojęcie honoru i bystrość umysłu, a kochał go za jego wspańiałości, serdeczną dobroć i słodycz, to jednak i lekcewał go trochę, za jego stronienie od ludzi i cichy tryb życia. Rektor West-Lorraine lubił bowiem nad wszystko polować

z gończemi, a potem zjeść dobry obiad w gronie hałaśliwych towarzyszy. Żaden rodzaj mężkiej rozrywki nie był mu obcym, chociaż nawet główna jój przyjemność polegała na okrucieństwie (na czém prawdziwie mężka rozrywka nigdy nie polega).

Tutaj zatem, w ceglanyim swoim domu, w dolinie u podnóża gór stojącym, w otoczeniu drzew i przyjemność z pożytkiem łączącego ogródka (w którym tu i owdzie znajdował się wyborny kącik do wypalenia fajeczki), przemieszkował pan Hales, zadowolony z życia i rad obowiązki swoje pełniący. Lubił on polować dwa razy w tygodniu i lubił téż kazać dwa razy co niedziela. Nie zawsze jednak mógł robić jedno i drugie, za co wszelakoż nikt go nie potępiał.

Pani Hales była jedną z najlepszych istot, jakie znaleźć można na świecie. Dużo miała do powiedzenia na korzyść swoją, a jeszcze więcej na korzyść drugich; i gdyby znaleźć można doskonałość zupełną, tą doskonałością była-by ona w przekonaniu wszystkich, z wyjątkiem własnego, a zapewne i mężowskiego. Rektor zwykł był mawiać, że żona jego jest aniołem, jeżeli są anioły na świecie, i w głębi serca czuł, że to, co mówił, było prawdą. Mimo to, nie zawsze odzywał się do niej tak, jak ktoś zupełnie świadomy tego, że z aniołem rozmawiać ma szczęście. Był on z nią nie od dzisiaj i doskonale wiedział, że o wiele jest lepszą od niego; ale miał dość rozumu, żeby jój tego nie dać poznać; ona téż nieraz myślała, że mąż jój nauki daje. Tego jednak nie robił nigdy, i nie robi tego żaden uczciwy pastor, bo był-by to najbrzydszy ze wszystkich brzydkich postępów. Jednak niewiele jest żon pastorów, które-by każdej chwili nie były nato przygotowane; to téż i pani Hales wiedziała, że „ma swoje wady” i że panu Hales doskonale one wszystkie wiadome. Bądź jak bądź, mieszkali tu poczciwi ci ludzie i tutaj myśleli przemieszkować całe życie, mając ładny stary dom do pilnowania i dobrych dawnych sąsiadów, którzy ich pilnowali. Mieli także coś o wiele lepszego: troje własnych i dobrych dzieci, dosyć właśnie, aby dla nich pracować i myśleć o ich przyjemnościach, a nie tyle, by się niemi wiekuiście kłopotać, chociaż to wszystko były dziewczyny, trzy dobre, poczciwe dziewczyny, takie jak trzeba: myślące tak, jak im myśleć kazano, bez wątpienia wzorowe kiedyś żony.

Alicya Lorraine lubiła te trzy panienki. Takie były dobre, miłe, naturalne; nawet gdy nic wcale do powiedzenia nie miały, zawsze jakoś powiedziały to tak ładnie! Nigdy nie pozwalały sobie mieszać się do niej, zbliżać jój zdania, lub stawiać się na równi z nią, nigdy téż w jój obecności nie rozmawiały z jój ojcem dłużej, niż to znieść

była w stanie. Była ona bowiem dziecięciem niezmiernie zazdrośnem i one o tém wiedziały, a ojciec ich mógł-by stać się dziesięć razy bratem jęj matki, zanim-by ona dozwoliła, żeby „element Halesowski“ (jak go raz kiedyś nazwała) wniknął w jęj rodzinę głębiej, niż to dotychczas uczynić zdołał. Wiedziały też przytęm panienki, i nawet bardzo to źle uważały, że to młodziutka Alicya położyła koniec słodkomamiałym je nadziejom, iż ktęras z nich przybrać może kiedy tytuł Lady Lorraine. Ona-to nauczyła brata wysmiewać się z ich sztuczek, kiedy one najpewniejsze były, że się żadnych sztuczek nie dopuszczają; ona-to w takim dziwném świetle umiała wystawić najniewinniejszy ich postępek. Wszystko to jednak były zdolne jęj przebaczyć i przebaczyły też wszystko, teraz szczególnie gdy niezadługo wręcić miał do domu Hilary.

Lipiec już był, a od kilku tygodni nikt nie nie słyszał o tym-że Hilarym, nikt się tęm jednak nie trwożył, był to bowiem zwykły sposób postępowania młodzięńca. Czasami dawał o sobie wiedzicęć co pocztą, chociaż pocztą przychodziła trzy razy na tydzień; czasem znowu przez całe tygodnie nie raczył udzielić im ani słowa. Można jednak było uważać za zasadę ogólną, że kiedy zachowuje ściśle milczenie, wtedy mu się lepiej powodzi.

Nie miała więc Alicya żadnego na głęwce kłopotu, o którym wspominać-by warto, gdy wczesném popołudniem letnięm pracowała w kwiatowym ogrędku swoim, na stoku gęry położonym. Lato było już na schyłku, i słońce zaczynało już zmniejszać niewielkie dowody uszanowania, jakie składało staremu domowstwu Coombe-Lorraine.

Spoględało na dom wprawdzie od ósmęj rano, o tyle przynajmniej, o ile pozwalały na to chmury, i potęm jeszcze patrzyło w tę stronę z po-za gęry; czuło jednak, że promieniami swemi nie robi żadnego wrażenia (ziemia nawet zdawała się od nich uciekać), że leca one w głęb', w przepaść, jak słęnecznych blasków ulewa.

Rosły zatęm w tym ogrodzie delikatne, bojaźliwe roślinki i kwiaty o białych barwach, konające z wycięńczenia w słęnecznym skwarze. W każdym prawie ogrodzie, słońce zabiera kwiatom całą ich piękność; białością powleka wonne fiołki marcowe, pstrzy białemi plamami barwinki i pierwiosnki, wysusza aksamitne puchy bratków, śniadością okrywa śnieżną białęść lilii, i potęm jeszcze zmienia koloryt wszystkich róż, jakie otwiera... A jednak, mimo tych psot, które im wyrędzają, jest-że kwiat, co-by nie rad był słońcu?

Głęboka rozpadlina, przerzynająca pierś gęry, ma brzegi kamieniste i stromy spadek, i ciągnie się na jakie ćwierć mili poniżej domu,

stając się coraz to głębszą, w miarę, im bardziej się rozszerza. Główna droga, do domu prowadząca, wiedzie tuż po-nad rozpadliną, okrążając wschodni jej brzeg, lecz tu i owdzie oddalając się znacznie od niego dla większego bezpieczeństwa przechodniów. Stary dom, frontem na górę patrzący, stoi tak blisko miejsca, gdzie się rozpadlina otwiera, że tak za domem, jak pomiędzy domem a brzegiem rozpadliny jest najwyżej morg gruntu, w części zajętego pod dziedziniec, w części zaś pod stajnie, oficyny i tym podobne zabudowania, między które wliczyć należy i piec do wypalania wapna; resztę zaś wolnej przestrzeni zasadzono brzezina, oraz wszystkiem, cokolwiek przyjąć się chciało. Wśród tych zarośli wije się wąziutka drożyna, prowadząca w dolinę, za stroma, żeby jeździć nią mogły powozy, — coś trzymającego środek, między drożyną dla konnych, a koleją, utorowaną w celu spuszczenia sągów.

Ponieważ w promieniu kilku mil naokoło, droga ta nie prowadziła do nieczyjego mieszkania, wiedząc tylko na wierzchołek góry i stykając się ze ścieżkami, które stada owiec wydeptały, przeto na stu odwiedzających, dziewiędziesięciu dziewięciu przybywało do Combe Lorraine ową drożyną, i Alicya, z ogródka swojego, z kąd się rozlegał widok na dolinę i drogę, zawsze przewidzieć mogła każdego, kto jej przeszkadzać przychodził. Miała tu ładne ławeczki pod złotokapami ustawione, i altankę z jaśminów, i wspaniały widok, górujący nad wierzchołkami lasów górskich, i sięgający w dal, aż po łańcuch gór North-Down; i miłe to było schronienie dla wszystkich, którzy lubią miękkie trawniki i milczenie, i mają czas rozkoszować się tym rzadko się zdarzającym romansem kalendarzowego roku: kwaśném latem angielskiem.

I tu jednak była odwrotna strona medalu. Okna Lady Waleryi zaglądały prosto w milutką tę ustron, a Lady Walerya nigdy nie mogła pojąć, dlaczego nie miała-by zaglądać we wszystko, co jej w oczy popadło. Przedewszystkiem zaś, i po-nad wszystko, za wyłączny swój obowiązek uważała śledzenie czynności ukochanej wnuczki, Alicyi: tém więcej, że, rozpoczynawszy już osmdziesiąty drugi rok życia, mogła się pochlubić wyborynym wzrokiem i lubiła dawać dowody téj wyjątkowej zalety.

— O! znowu idą — zawołała Alicya, zwracając te słowa, czy to do siebie, czy do motyki swojej i grabi — czyż im nigdy nie dosyć? W poniedziałek jeszcze powiedziałam im, że nic nie wiem, a one nie chcą mi wierzyć. Mam wielką ochotę skryć się w mojej norze, jak

ten biedny Bonny... Już mi cierpliwości braknie: ciągle mnie wypytują, a nie dają mi wiary.

Osobami, które widziała Alicya, pnące się pod górę z utrudzeniem i przystające chwilami dla złapania tchu, były trzy jej pocziwe kuzynki z probostwa: Karolina, Małgorzata i Cecylia Hales, weale przystojne i ruchliwe dziewczęta, z twarzy i postaci do ojca, a z duszy do przeznacnej swjej matki podobne. Epoka ta, w której młode panny stroiły się w ogromne krzyże, morzyły się głodem i jak cierni dolegały kolcami rodzajowi męzkiemu, należała jeszcze do odległej, choć szczęśliwej przyszłości. Podówczas jeszcze córki rektorów zadawałały się pozostawieniem obowiązków parafialnych w ręku ojców, pomagając im tylko w Szkołach Niedzielnich, a co do reszty, pilnowały tego, co do nich należało: strojów swoich, przygotowywania lakoci i ploteczek.

Chociaż Alicya odzywała się z tém, że się gdzie schowa, wiedziała jednak wybornie, że chyba żartem zrobić to może, a szybko wychodziła już teraz ze świata żartów, zabaw i pieszczot dzieciństwa, zapadającego w tę głąb' odległą, z kąd dopiero zgrzybiała je starość wywołuje. To téż zamiast uciekać, zaczęła zbiegać z góry na spotkanie kuzynek, bo w samej rzeczy lubiła je o tyle, o ile tego przyzwyczajenie wymagała.

— O! jak się miewasz, duszko moja? Jakaś ty cudownie dobra, że naprzeciw nas wychodzisz. Małgosiu, jeżeli mi tak będziesz wycałowywać Alicyę, zobaczysz, zazdrościć ci zacznę. Cecyljo! a tobie co w głowie? Cóż znowu? nie pocałowałaś dotąd Alicyi ani razu?

— O! już! jużescie wszystkie ślicznie tego dopełniły. Czegoż więcć chcieć mogę? — odrzekła Alicya — lecz co to się stało, że tak wcześniej wybrałyście się iść pod górę?

— A widzisz! znasz przecie naszą mamusię?... Istotnie ułożyła sobie, że to będzie wyglądało na niegrzeczność i na oziębłość, nie dowiedzieć się do ciebie teraz, kiedy taka ważna nadeszła chwila. Ojciec był-by także przyszedł, ale ciężko mu wybrać się pod górę, jak nie na obiad przyjeżdża; a kucka nasza... Ach! żebyś ty wiedziała, co zrobiła! Niepocziwe stworzenie, dostała się do ogrodu i zjadła, za jakie dziesięć funtów sterlingów, tych ogromnych nowomodnych kwiatów, które w modę wprowadziła księżna, tych... „Dalii“ czy „Delii“... nie mogę wymówić ich nazwiska. Mama tak się tém zmartwiła, że i mama i kucka obie od téj pory nie domagają.

— O! „Dalie“! o Daliach mówisz? — odparła Alicya, dla któ-

rój winogrona te były za kwaśne, bo ojciec odmówił, gdy go o kupienie dalii prosiła — podług mnie, to kwiat pretensjonalny! Ale, Karolciu, Małgosiu, Cesi, widziałyście wy moją nową różę?

Ma się rozumieć, pobiegły wszystkie oglądać nową różę, która była nie inną, jak żółtą, znaną pod nazwiskiem „perskiej“, śliczną cudzoziemką, jeszcze u nas nie przyswojoną. Nieprzeliczone listeczki świetnie żółtej barwy, światło we wnętrzu kwiatu skupiające, i w samym środku wgłębienie, nieśmiało odskaniające oku dziewczęzą słupków swoich złocistość, i rozkoszna woń róży, zbyt wytworna, by ją lada nos wywachiwać był godzien, te i tym podobne rozkosze niepodzielnie zajęły umysł oglądających różę wielbicielek.

— Ta róża przywodzi mi na myśl astrologią — zawoła Karolina Hales — doprawdy przywodzi! Patrz na te niezliczone gwiazdeczki! Co za podobieństwo ze sklepieniem niebieskiem!

— Prawda, i ja to samo — dodała Małgosia. Ale Cecylia potrząsnęła tylko głową. Była ona najmłodszą i rzeczywiście najładniejszą, a pod wielu względami najlepiej wychowaną z pomiędzy trzech panien na probostwie. Cesia miała swoją własną opinią o wielu rzeczach, ale czekała, dopóki ta opinia nie nabierze wartości.

— Do jaskrów, niż do gwiazd, podobniejsze — z niechcenia odrzuciła Alicya. — Chodźcie teraz do mojej altanki, gdzie będziemy mogli przespać się chwilkę.

Dziewczęta były trochę zgrzane i spragnione, po męczącej przechadzce pod górę; w altanie zaś, jak o tém wiedziały, tryskała czysta woda źródłana, nadająca się wybornie do sorbetu i do xeresu, niemniej jak i do podlewania roślin, jak tego kiedyś dowiódł Hilary.

— Ach! jak tu ślicznie, jak miło! — zawołała najstarsza, najgadliwsza może, Miss Hales — i jak to dobrze, że zawsze masz tu w altanie szklankę! W tych górach tak trudno o źródło; ojciec powiada, że one pochodzą z innych pokładów. Nie mam najmniejszego pojęcia, co to są *pokłady*. Zdawało-by się tylko, że powinny leżeć równo jeden na drugim, a tymczasem podobno zachodzą jedne na drugie. Alicyo, duszko, potrafisz to wytłumaczyć? Pobierałaś wyższe wykształcenie i taka jesteś rozumna...

— Obejdziemy się teraz bez wykładu — przerwała szorstka zwykle Małgosia — za wysokośmy weszły na słuchanie go. Ani wątpić, że Alicyi nieobce wszystko, co się nauk i umiejętności tyczy... Ale

tyczasem umieramy z ciekawości dowiedzenia się, co zaszło w sprawie tego starego astrologa.

— Siódmy to, czy ósmy, już raz — odcięła się przyparta do muru Alicya — dopytujecie się o bagatelkę, z której służba tylko robi coś bardzo wielkiego. Ojciec mój najlepiej wie o wszystkiém; pójdźmy do jego pokoju, będziecie go się mogły spytać.

O! nie, za nic nie pójdziemy, za nic! Jakże mogły-byśmy zrobić coś podobnego? Cóż-by na to powiedział wujaszek? Ty powiesz nam wszystko, Alicyo! musisz przecie coś wiedzieć? Dlaczego jesteś tak tajemnicza? Tajemniczość jest już dzisiaj rzeczą, do zamierzchłej przeszłości należącą. Naopowiadano nam tyle dziwów, że nie możemy sypiać po nocach, dopóki nie dowiemy się prawdy. Powiedz nam, co tylko wiesz, Alicyo! Możesz nawet powiedzieć nam jedno tylko słówko, my z pewnością domyślimy się reszty... Wiesz, mama zawsze mówi, że nic lepszego od szczerości w bliskim stosunku rodzinnym.

— Czyż nie widzisz tego, Alicyo — wtrąciła Małgosia — że prędkiej, czy później, musimy dowiedzieć się prawdy, coż to więc znaczy, kiedy?

— Bez wątpienia — odparła Alicya — nic to nie znaczy. To też będziecie wiedziały o wszystkiém, ale później.

Usłyszawszy to, trzy siostry spojrzały na siebie wzajemnie. Wówczas-to, chwytając ostatni środek ratunku, szorstka Małgosia wlepiła oczy w Alicyę, i przeszywając ją wzrokiem, zawołała:

— Ty sama nie wiesz!

— Ma się rozumieć, że nic nie wiem — odpowiedziała Alicya — ileż razy sama to mówiłam, a wy zawsze chcecie dowiedzieć się czegoś więcej! Siostrzyczki drogie, teraz już musicie się zadowolić wnioskiem, do którego doszłyście same.

— Nie wiem dlaczego — rzekła Karolina.

— Tego zanadto! — krzyknęła Małgosia.

— Czy myślisz, że obchodzisz się z nami, jak przystało? — spytała Cecylia.

— Nie mogę dać rady trzem wam od razu — ze stanowczością odparła im na to Alicya. — Przypuście, że ja przyszedłam do was wtrącać się w jakąś o was plotkę, która mnie doszła przez drugich? Czy myślały-byście, że mam prawo to czynić?

— Nie, duszko, ma się rozumieć, że nie. Ale wiesz dobrze, że nikt się nie ośmieli rozgłaszać plotki o was. Ojciec położył-by temu koniec bardzo prędko.

— Naturalnie! Więc dla tego, że mój ojciec jest człowiekiem umysłu zbyt wyższego, aby raczył na plotki uważać, ja mam być wiekuiście wypytywaną? Chodźcie, Karolciu, Małgosiu, Cesi, chodźcie ze mną do domu; wiem, gdzie znaleźć ojca, możecie go o wszystko wpytać.

— Mam w domu trzy panienki w odwiedzinach przybyłe, słodkie jak cukierki — rzekła Karolina — zostawiłam je same na pół godziny, dlatego tylko, że byłam pewną, iż potrzebować nas musisz. Teraz jednak widzę, że umiesz zamknąć swoje wrażenia w skrytości, której nikomu przeniknąć nie dano. Nie obchodzi nas to bynajmniej... cóż nas to obchodzić może? Tylko, na miłość Bożką, błagam cię, dziewczátko drogie, nie zbiegnij kiedy z góry niespodzianie, prosić, byśmy twoje zwierzenia przyjęły.

— Dziewczátko drogie — krzyknęła Alicya, na chwilę z niewyćwiczonęj jeszcze cierpliwości wyprowadzona — nie przywykłam, by mnie takimi wyrazami przezywano. Nikt nie będzie mi mówił: „dziewczátko drogie“, chyba mój ojciec (który tego nie robi) i biedna staroizna, Nanny Stilgoe.

— Nie obrażaj się na nie! — spokojnie prosiła Cesia, pozostawszy na chwilę, podczas gdy starsze jej siostry, unioswszy spodniczki, pędem zbiegały z góry — nie miały one zamiaru obrazić cię, Alicyo. Tylko... wiesz niewątpliwie, jaka to Tantalowa męka nasłuchać się takich rzeczy, że człowiek zaczyna się bać własnego cienia, a w końcu usłyszeć, że nie wolno o nie zapytać!

— Przykro mi, jeżeli nie byłam dość grzeczną dla twoich sióstr — odparła pokojowo-usposobiona Alicya — ale bardzo mi nieprzyjemnie, że nie dowierzają memu słowu. A teraz, powiedz mi, cóście słyszały. To dziwna rzecz, jak się prędko rozchodzą, nie mające sensu, historie.

— Słyszeliśmy jako rzecz najprawdziwszą, że ci się pokazał stary astrolog, który przyleciał z komety na ognistej kuli, i ostrzegł cię, abyś była gotową na sąd ostateczny, bo jednej nocy zginie od czarnego moru wszelka żywa dusza, w Coombe-Lorraine przebyjąca; że skoro to posłyszałaś, zemdliałaś natychmiast; że Sir Roland przybiegł i znalazł cię, jak wosk błądą, leżącą na ziemi, i owiniętą w całun, z długiej, staroświeckiej opończy astrologa, obcym krojem zrobionęj.

— Jeżeli tak, to przeproś ode mnie Karolcią; teraz nie dziwno mi, że chciała usłyszeć coś więcej. A skoro tak długo leżałam w całunie, nie powinna-bym być tak drażliwą na punkcie mojej prawdomo-

wności. Ale doprawdy, nie jestem w możności powiedzieć wam nic, coby przewyższyło to, coście już słyszały, nic nawet, coby temu dorównywało. W całej tej sprawie nie było nic a nic cudownego, nawet nie na prawdę interesującego. Doznałam okrutnego zawodu i ze mną, naturalnie, wszyscy inni.

— Kuzynko Alicyo — odparła Cecylia, przyjaźnie na nią patrząc — jesteś całkiem odmienna od nas, a przynajmniej od moich sióstr. Zdawało-by się, że nie masz pojęcia o sposobie, jakim się spełniają najdrobniejsze z drobniotkich kłamstewek każdodziennych. Mnie ich mówienie sprawia zawsze przykrość, ale, mimo to, nieraz mówić je muszę.

— Nie, Alicyo, nie, nie masz wcale potrzeby popełniać je; postanów sobie tylko nie kłamać. Jesteś mało co starsza ode mnie i pewna jestem, że potrafiła-byś zawrócić z tej drogi. Spróbuj mówić co rano przy pacierzu: „Panie! daj mi siłę nie skłamać dziś ani razu!”

— Moja Alicyo, wiesz wybornie, że to-by się na nic nie zdało. Jeżeli wiem, że mam zamiar tyle a tyle razy skłamać, jakże mogę się spodziewać wysłuchania mojej prośby? Niema wątpliwości, że zmyślam, zupełnie tak samo, jak my wszystkie; a modlić się o prawdomówność, kiedy mam zamiar skłamać przy sposobności, było-by okrutnym postępkiem.

— Bez wątpienia. Nigdy mi się to jeszcze w takim świetle nie przedstawiło. Ale wuj Struan musi wiedzieć najlepiej, co trzeba robić w takim, jak twój, wypadku.

— Nie należy przywiązywać zbytnej wagi do bagatelek — oględnie odparła Cecylia — ojciec sam powie, co uzna za potrzebne i wybiera się z tém do was, jeżeli kuc sąsiada będzie do wzięcia. A teraz muszę biedz za siostrami, bo inaczej Małgosia nazwie mnie zdrajczynią. O! otóż i ojciec, oświadczam. Bądź zdrowa, kochanko, nie gniewaj się.

— Trochę już tego za nadto — pomyślała Alicya, gdy okazała postać rektora, siedzącego na pożyczanym kucu, dała się widzieć na zakręcie drogi wiodącej dnem, tuż obok rozpadliny, pustelni biednego Bonny — zanadto, żeby o wszystkiém, co się tu stanie, zaraz wszędzie głoszone. I wiem, jak ojciec będzie niekontent, jeżeli wuj Struan znowu nudzić go zacznie. My sami nie możemy powiedzieć, co to znaczy, a co bądź znaczy, to nasza tylko rzecz. Myślę, że ciekawość jest najgorszą, chociaż może być najmniejszą... z wad ludzkich. Naturalnie, wuj spodziewa się złapać mnie i wszystko ze mnie wycisnąć;

dał się nawet z tém słyszeć. Ale chociaż on dobre ma oczy, nie zdaje mi się, żeby, jak dotąd, potrafił we mnie coś odkryć. Pójdę do mojego ogródka i skryję się wśród głazów dopóty, póki nie ujrzę kopyt kucy, statecznie zstępującego z góry.

Po tych słowach znikła; a gdy przeznaczny rektor wydostał się na wierzchołek góry: „Alicyo! Alicyo!“ rozlegało się napróżno wołanie wpośród krzewów i kwiatów i odbijało się echem o ściany przepaści tej rozpadliny.

ROZDZIAŁ XX.

Staromodny rektor.

W rozpadlinie Coombe-Lorraine znajdowało się miejsce, słynne z echa, siedmkroć się tam powtarzającego, z którym to echem łączyło się podanie, posepnój grozy pełne. Mr-Hales, chlubiący się swoim głosem, wypróbował teraz wszystkie tego echa tony, całą skalę jego rozplywających się dźwięków. Wprawdzie zapytane: „jak się miewasz?“ nie mogło odpowiedzieć: „Doskonale, i tobie, Pad, zdrowia życzę“ i odpowiadało smętnie, jakoś nieskocznie, nie tak jak, inne echa; ma się jednak rozumieć, że wiele tu zależało od pogody, zarówno jak i od pory dnia; echo bowiem najczęściej usypia w dzień, a w dzwony swoje o zachodzie słońca uderza.

Nie znalazłszy tu żadnej satysfakcyi, Wielebny Struan Hales, dalej pojechał. Stałém jego życia godłem było: „Dalej, dalej“ i rzadko zawodziło go ono. Mimo to, gdy pociągnął za dzwonek (co ostatecznie uczynić był zmuszony) poczuł w zastawkach serca jakieś drganie, wywołane niepokojem, tyjącym się roboty, którą tu wykonać przyjechał. Nieraz się to zdarza, że natura pospolita pogardza szlachetniejszą, a jednocześnie boi się jój naprawdę. Mr Hales był przekonany, że służyło mu prawo uczyć Sir Rolanda znajomości świata, a jednak nie mógł się opędzić myśli, że każdej impertynencyi Sir Roland najspokojniej koniec położy.

Wielebny zastał szwagra, siedzącego samotnie (jak to aż nadto często zwykł czynić) w ulubionój jego biblioteczce, przepierzeniem oddzielonej od większej, nie tak wygodnie urządzonej, biblioteki. Sir Roland coraz to więcej ulegał rozkosznej pokusie samotności. Przed kilku miesiącami stracił był jedynego przyjaciela, z którym chętnie w zamianę zdań się wdawał, uczonego pastora z sąsiedztwa.

wielkiego znawcę starożytności i nader czytanego klasyka, i od téj pory coraz się głębiej pogrążał w moczarach odosobnienia i skrytości. Całemi godzinami siadywał sam, mając przed sobą książkę, na którą rzadko zwracał uwagę, dumając i rozmyślając, lub też pozwalając sobie miewać na jawie widzenia, w których wymarzony świat książkowy i świat rzeczywisty w fantastyczną spletały się całość. Ponieważ taka, jak doktor Johnson, powaga, wyrzekła: „To niewidzialne rozpustowanie umysłu, to tajemne marnotrawstwo sił ducha, nie lęka się wyrzutów i nie boi się odkrycia; marzyciel chroni się do swego przybytku, zamyka przed wszystkiemi kłopotami i wszelką od ludzi pochodzącą przeszkodą, i tam się cały na pastwę własnej wyobraźni oddaje“. A dalej: „Każdy, kto pragnie być mądrym lub użytecznym, musi zerwać z siebie pęta téj niewoli. By odzyskać swobodę, musi on znaleźć jakiś środek na to, by uciec przed sobą samym, musi, wbrew przepisowi Stoików, nauczyć się pożądać rzeczy zewnętrznych, musi przyswoić sobie radości i smutki cudze i podniecać w sobie potrzebę towarzyskich przyjemności i przyjacielskiego z ludźmi obcowania”.

Sir Roland Lorraine nie zaszedł jeszcze tak daleko, jak powyżej opisana jednostka; stawał się jednak tak już do niéj podobnym, że naprawdę nierad był oglądać jowialne szwagra swego oblicze, bo właśnie umysł jego wszedł był na kolój myśli, któremi mógł kroczyć aż do samego obiadu. Ma się jednak rozumieć, że był zbyt grzecznym, aby czémkolwiek dać poznać, że nierad z przerwania mu zajęcia.

— Rolandzie, muszę cię oderwać od tego! Co się z ciebie stanie, mój drogi? Książki, książki i zawsze tylko książki, jak-byś już nie umiał dwa razy więcej, niż potrzeba! Ilekroć ukarzę czytaniem własne ciało, nazajutrz zaraz czuję, że mnie ono opuszcza.

— Te samą uwagę spotkałem właśnie w książce, którą położyłem przed chwilą. Pozwól, przeczytam ci to, Struanie.

— Bardzom ci za to wdzięczny, ale wolę nie słyszeć czytania. Nie mógł-bym podołać moim obowiązkom, gdybym się zagrzebał w językach umarłych. Ale mam coś dla ciebie: umyślnie pożyczyłem kuca, żeby po ciebie przyjechać. Jak żyjesz, nie widziałeś takiego borsuka! Przyjdzie także Sir Remnant, i stary generał Jakes, i że dwunastu innych. Zabierze nam to z godzinę czasu, a potem zjemy późny obiad o szóstéj. Córkę moję przyszły, aż tu na górę, żeby zabrać twoją Alicyą i zabawić ją polowaniem; ale przemówiły się o jakąś drobnostkę, co się zresztą zawsze zdarza takim płochym

stworzeniom, i skutkiem tego śliczniutka Alicya stracić może rozrywkę. Niech sobie robią, co chcą, zawsze mówię: pozwól im robić co chcą, Rolandzie. Czy tak, czy owak, zawsze one okpią nas w końcu; niech więc przynajmniej okpią, nie narażając na nieprzyjemności.

— Zapatrujesz się na to bardzo rozsądnie, stosując się do tego, czém są twoje córki — odpowiedział Sir Roland, ostrzój może, niż chciał odpowiedzieć, i wnet sam się swój żywości zawstydził. Ale Mr Hales nie obrażał się za byle co; wiedział zresztą, że mógł liczyć na swoje córki.

— No! no! — odparł — mają one swoje figielki, jak ci to już mówiłem; są to są młode i kobiety. Ale przeszukasz ze trzynaście parafii, a nie znajdziesz lepszych i pocciwszych dziewcząt, jak moje; niech temu kto chce zaprzeczyć.

— Wiem, że dobre to bardzo dobre panienki — łagodnie odpowiedział Sir Roland — Alicya bardzo je kocha i wszyscy kochają je tak samo.

— To właśnie dowodzi, ile warte. Nikt nie kocha kogoś, jeżeli nie ma do tego żadnej racji. Naturalnie, muszą one mieć swoje wady, to wiadomo; chciał-bym jednak spotkać lepszą trójkę dziewcząt, wszystkie razem i każdą z osobna. A teraz, pójdź ze mną zobaczyć, jak Fox wypędza borsuka z jamy. Postawiłem na niego dziesięć gwinei przeciwko generałowi Jakes; Sir Remnant nie miał odwagi postawić. Chciał-bym mieć zupełnie bezstronnego sędziego. Nie odmówisz mi przecie, Rolandzie?

— Przeciwnie, Struanie, przeciwnie, wiesz dobrze, że odmówię. Wiesz, jaką mam nienawiść i wżgardę do tych okrutnych rozrywek, i nie robisz mi tém grzeczności, że mnie zapraszasz, wiedząc, że pójsę nie zechcę.

— Żałuję, że nie zostałem pod górą, tam gdzie mieszka ten chłopak ladaco. Kiedyż wykurzysz z jamy tego borsuka, Rolandzie, tę plagę doliny i okolicy całej?

— Struanie, ten chłopak jest o połowę mniej złym, niż-by mógł być. Nieraz już myślałem, że należało-by mi kazać go uczyć, żywić i cywilizować.

— Przyslij go do mnie, a ja go ucywilizuję! Urodził się złodziejem! Wszystkich innych złodziei i kłusowników wystraszyłem już kometa; ale ten mały łajdak nigdy nie bywa w kościele. Cztery parki ptaków, mnie wiadomych, gnieździło się w wyce John'a Gates

i nawet były już małe, bo mówiłem o tém z Johnem, a gdzie są teraz? Czy możesz mi powiedzieć, gdzie się podziały?

— Słuchaj, Struanie, oddałem ci polowanie, to rzecz całkiem naturalna, ale do ciebie należy pilnować zwierzyny. Ale to chyba okrucieństwo zabijać ptactwo, a szczególnie strzelać do małych, nim jeszcze latać mogą.

— Okrucieństwo! To, co tu się dzieje, to podług mnie gorsze okrucieństwo. W majątku, należycie zagospodarowanym, nie przyszłoby to na myśl nikomu

— Zanadto sobie pozwalasz — odezwał się Sir Roland, rzucając sobie właściwem spojrzeniem na szwagra, który, skręcając na miejscu, niezręcznie zmieniał przedmiot rozmowy.

— Mniejsza o polowanie, Rolandzie! zdaje mi się jednak, że chętnie posłyszysz zdanie moje w innej materii: dlatego potrosze przyjechałem.

— Tak? a ja myślałem, że bersuk był powodem twego przybycia, Struanie. Ale cóż to za kwestye, od polowania nawet ważniejsze?

— Dotyczą one twoich stosunków z szatanem, Rolandzie. Ma się rozumieć, nigdy nie daję ucha żadnym głupstwom; w interesie jednak mojej parafii, obowiązany jestem wiedzieć, jaką dać możesz wymówkę. Nie bardzo ja wierzę w czarnoksiężstwo, chociaż może nie jest to zupełnie prawowiernem, bo obowiązkiem jest naszym, jak mniemam, wierzyć w istnienie szatana.

— Mniemanie to zaszczyt ci przynosi — odpowiedział Sir Roland — ale, jak na teraz, nie widzę, jaki związek ma ze mną ta prawowierność.

— Rolandzie, mój kochany Rolandzie! wiesz równie dobrze, jak ja, co chcę przez to powiedzieć. Naturalnie, musi być w tém wszystkim dużo przesady, to téż, znając cię tak wybornie, na siebie wziąłem zaprzeczenie znacznej części tego, co ludzie mówią. Ale znasz stare przysłowie: „Nie masz dymu bez ognia“, a mógł-bym bronić cię daleko skuteczniej, gdybym wiedział, co się istotnie wydarzyło. A obok tego, nie sposób, żebyś nie czuł, że nie postępujesz ze mną tak szczerze, jak mam prawo oczekiwać od ciebie, na mocy naszej dawniej przyjaźni i blizkiego stosunku rodzinnego.

— Ostatni twój argument jest jedynym, który odpowiem mojej wymaga. Wszystkie inne, oparte na religijnych, towarzyskich, a nawet i parafialnych racyach, nie mogą znaleźć tu zastosowania. Ale przykro-by mi było, gdybym cię obraził, Struanie, lub gdybym ukry-

wał przed tobą coś, co wiedzieć masz prawo, przez wzgląd na pamięć twój siostry, ukochanej małżonki mojej. Ale kwestya ta, tak wyłącznie naszego tylko rodu się tyczy, a razem tak skuteczném stać się może zaklęciem milczenia dla plotkarzy, którzy tyle nieprawdopodobnych tworzą domysłów, a przytém wszystkiém taka to drobnostka, dla zabobonnych tylko umysłów coś znacząca; że ufać mogę twemu rozsądkowi, iż miło ci będzie nie więcej o tém nie słyszeć, dopóki wszystko samo na jaw nie wyjdzie... jeżeli to kiedykolwiek nastąpi.

— I owszem, Sir Rolandzie, rozumię się, że ty wiesz najlepiej, jak trzeba w tej mierze postąpić. Co do mnie, jestem ostatnim z ludzi, chcących się wtrącać w nasze sekreta familijne. Największemu nieprzyjacielowi memu (jeżeli mam jakiego) nie przyjdzie nawet na myśl posądzić mnie o wadę ciekawości.

— Rozumię się, że nie. Nie będziesz zatem miał mi za złe, że damy pokój kwestyi. Jakie wino pić będziesz, Struanie? białe, czy czerwone? Pocziwa, zacna twoja żona miała nieledwie ochotę wyłajać mnie za to, że zapomniał obowiązków gościnnego gospodarza, gdyś tu był przed kilku dniami.

— O! wtedy poszedłem piechotą, a dziś przyjechałem konno. Dziękuję ci, najmocniej dziękuję, Sir Rolandzie! ale czekają na mnie Generał i Sir Remnant.

— A co najważniejsza, borsuk. Bywaj zdrów, Struanie, zobaczysz się niezadługo.

— Nie wiem, czy się zobaczymy — zgryźliwie odpowiedział rektor — teraz właśnie pora, w której ci przekłęci złodzieje, kłusownicy zwierzyny, nie dają mi nocy spokojnej. A prócz tego, wywindowałem się na tę górę po to, żeby się niczego nie dowiedzieć. Przyznaj, że, jak na moje stare lata, to rzecz bardzo niemiła! Co niedziela dwa razy odprawiać nabożeństwo, a cały tydzień pilnować zwierzyny!

— Na twoje stare lata! — uprzejmie odrzekł Sir Roland — ależ ty jesteś najmłodszy w całej parafii człowiek, tyle w sobie masz życia i humoru! Dzisiaj tylko jakiś nie swój jesteś, Struanie, ani razu nie zakładeś tak od serca!

— Czyż może być inaczej, Rolandzie, z temi przeklętymi tajemnicami, które nad człowiekiem wiszą? Wszystko zważywszy, wypiłbym może szklanekę czerwonego wina, nim w dolinę zawrócę.

— Jest to nawet obowiązkiem twoim względem parafii! A teraz chodź, spróbujemy znaleźć Alicyą, żeby usłużyła wujowi. Zawsze ona rada cię widzieć.

— I jam też niemniej rad temu zawsze. Jak ważne są drzewa w tych starych waszych domach! Ci pradiadowie normandzcy musieli chyba wyglądać jak trzciny! No, a teraz, Rolandzie, jeżeli ci co powiedział szorstkiego, musisz naturalnie mieć dla mnie wyrozumienie: wiesz bowiem, dlaczego tak było.

— Chcesz powiedzieć, żeś trochę zawiedziony.

— Ani odrobiny; owszem, całkiem przeciwnie. Ale gdy się ma takie upały, a prócz tego nic, prócz obowiązków, i jeszcze obowiązków, i znowu obowiązków, człowiek rad nie rad traci humor. Proszę cię, jakąż rozrywkę mieć można? Polowania teraz, ma się rozumieć, niema i króliki familiami całemi przebiegają ci tuż pod nosem, ryba się kryje po kątach, woda opada, a pstrąg morski jeszcze nie nadpłynął. Psy za młode, żeby z nimi wyjść w pole, a ziemia tak rozpalona, że parzy konia w kopyta. Ślina mi aż do ust idzie, gdy strzelbę wezmę do ręki! na ptaki pójść jeszcze nie można, a choć się nawet tu i owdzie założy przynętę na borsuka i potem zaprosi się kogo na obiad, to się pojeżdżają, przypatrują, robią zakłady, a w końcu opowiadają kobietom, jakie to okrucieństwo okropne! I po całusińskim tygodniu tak spędzonym, spodziewajcie się jeszcze po mnie, że wam co niedziela rano powiem coś nowego!

— Daj-że pokój, Struanie! co też mówisz? Nigdyśmy się tego po tobie nie spodziewali. Ale otóż i idzie Alicya; robiła w ogródku. Dobrze wygląda, co? czy nie prawda, że wygląda dobrze?

— Nie jak czerwcową, ale jak majową różyczka — z galanterią odpowiedział rektor, przesyłając najpierw siostrzenicy pocałunek od rąk, a potem witając ją pocałunkiem zdrowych, życia pełnych ust swoich — robisz się coraz podobniejszą do matki, kochanko. Ach! gdy sobie przypomnę dawne czasy, zanim miałem żonę i córkę, przychodzi mi na myśl, że nigdy...

— Idź, Struanie, i zakładaj przynętę na borsuka, tylko wypij przedtem szklankę wina.

ROZDZIAŁ XXI.

Znamienita dama.

Przyroda niezłomnie, jak się zdaje, postanowiła, aby żaden na świecie człowiek nie dochował tajemnicy. Tu i owdzie trafi się wprawdzie wyrodek, zdolny słówka nawet jednego nie szepnąć; ale

taki, według naszego oszacowania ludzkości, powinien się spodziewać, że będzie usuniętym na stronę. Co, żeby się nie stało, potęgi niebieskie zaopatrują go najczęściej żoną, płodną w słowa.

W niektórych materyach dość jest słowo powiedzieć: im mniej bowiem się powie, tém mniej się złego wyrządzi. Któż z nas we własnym swoim, lub żony swojej, mniemaniu, nie jest niepospolicie mądrym? Któż z nas nie rości sobie do tego pretensyi, że jest w mowie równie powściągliwym, jak była sowa Minerwy; jednak któż w duchu nie przyzna, że z głębi jego serca tajemnice ulatywać są zdolne?

Przyroda pełna jest praw; a jeżeli powyżej wzmiankowane okaże się być jednym z nich, to ilustracyą jego był trzeci atak, na małomówność Sir Rolanda wymierzony. Zaledwie bowiem udało mu się, nie obraziwszy szwagra, zbyć go jednak wybijającemi odpowiedziami, wnet służący przyniósł mu wezwanie od matki jego, Lady Waleryi.

Według wszystkich tegoczesnych autorów, tak prozą, jak i poezyą, w przepysznym języku naszym pisujących, każda córka *earl'a*, hrabianka, zawsze jest przesłizną, pełną wdzięku, zachwycającą, i to zawsze o tyle, o ile jest niedostępną. Jest to tylko naturalny hołd, złożony przez naturę potędze, nierównie od jej własnych potęg wyższej. Tak więc i ta córka *Earl'a of Thanet* była we wszystkiém, co się powierzchowności tyczy, jak nie można więcej, zachycającą. Nie okazała też żadnej opieszałości w jak najlepszym zużytkowaniu na własną korzyść znamienitych tych darów. Krótko mówiąc, była ona niegdyś niezwykle piękną i na dobre użyła swojej piękności, idąc za własną wolą i zdaniem. Prawdę rzekłszy, w mniemaniu równych sobie, nie poszła za mąż dobrze, ale poszła, jak chciała, a nikt zarzucić jej nie mógł, że ród swój zamezciem poniżyła. Przodkowie Lorda Thaneta, przez jakie trzy lub cztery wieki po najeździe Normandów liczyli, się do *wilanów* rodu Lorraine; aż wreszcie, podlegając tak łagodnemu rodowi, potrafili wziąć nad nim górę.

Lady Walerya wiedziała o tém wszystkiém, a czując się, jak wszystkie kobiety, niepodzielną własnością swego małżonka, usadowiła się na dobre w gnieździe Lorraine'ów i, nie dostawszy posagu, wyrzekła się wszelkich obowiązków względem związków rodzinnych. Był to szlachetny z jej strony postępek, jak zawsze mąż jej mawiał. On sam, Sir Roger Lorraine, leżał pod pantofelkiem, tak spokojniutko, jak tego potrzeba; rad był jednak, gdy urodzenie dzieci rozłożyło na większą powierzchnią siłę tego ciśnienia. Hrabianka bowiem rządzi-

dziła domem, majątkiem i wszystkiem co w nim, i na nim było, jakby wszystko to z sobą w posagu przyniosła.

Chociaż Sir Roger spoczywał już od lat dość wielu pomiędzy ojcami swymi, wdowa jednak jego, Lady Walerya, nieczem nie okazywała gotowości zaśnięcia obok matek swego rodu. W ośmdziesiątym drugim roku życia, pani ta była równie ruchliwą i czynną (umysłem przynajmniej, jeżeli nie ciałem) jak była przed pół wiekiem. Wiele historyi (niektóre były nawet prawdziwe) opowiadano sobie, tyczących się słów jój i postępków, za czasów młodości jój i piękności. Postępki stały zawsze na pierwszym planie; z tych bowiem głośnieję słynęła, skorszą może będąc do czynu, niż mowy. I w téj jednak nie okazywała się opieszalą, zwłaszcza, gdy wprawiło ją w ruch działanie skrzydlatéj, w słowach zawierającéj się, trucizny.

Widziała ona tyle świata i tylu najwyżej postawionych z pomiędzy żyjących na nim ludzi (o tyle przynajmniej, o ile takich znaleźć można było na dworze Jerzego II-go), że przesiadywała teraz w sferze wyższej po nad wszystkimi, z kim miała do czynienia. A jednak nie był to umysł ciasny, gdy fałdy jego porozkładała.

Pokóje jój były najlepsze w całym domu, a przynajmniej na pierwszym piętrze, i tam-to czekała teraz na przyjęcie syna, z pewną uroczystością, którą we zwyczaju miała.

Przez ostatnie pięć lat przestała już ukazywać się u stołu, gdzie niegdyś jako pani wszechwładna rządziła; a służba, która nigdy jój przedtém nie błogosławiła, teraz, uszczęśliwiona ze zmiany, błogosławiła za nią Lady Waleryą, siebie téż za błogosławioną poczytując. Wymagała ona bowiem tego, co jój było należném równie sprawiedliwie i stanowczo (może nawet odrobinę więcéj) jak drugim oddawała to, co im się od niéj należało.

Siedząc tak na wyżynie, zaczynała teraz, nie niecierpliwić się, (była bowiem nad to wyższą) ale czuć, że jój pojęcie o prawach i obowiązkach (jój należnych) jest w niéj dotknięte tém boleśniéj, im dłużej przybycia syna oczekiwała. Od dawna już wiedziała, że nie może rządzić synem tak samowładnie, jak przywykła rządzić jego ojcem; a mając jaśniejsze zrozumienie swojej własnej woli, niż jakichkolwiek ogólnych zasad, ilekroć syna znalazła nieugiętym, tylekroć przyczynę jego nieugiętości nazywała uprzedzeniem. Mimo to, ostrożnie szukając drogi wśród tych uprzedzeń, odzywając się do obowiązków synowskich, a w ostateczności chroniąc się do twierdzy swoich lat sędziwych, zawsze prawie potrafiła we wszystkiém nieledwie postawić na swoim.

Z tych, którzy się chlubią umiejętnością czytania w fizyognomiach ludzkich, mało kto dopatrzył-by w twarzy téj pani rysu, niezłomną wolę znamionującego. Może wyraz uczucia tego znikł już z twarzy, podczas gdy uczucie samo osiadło wewnątrz, ale, jakbądź z tém było, twarz to dziś była przyjemna, spokojna i łagodna. Jój obejście się z otaczającymi było także grzeczne, miłe i pełne prostoty; i ludzie byli dopóty pewni, że Lady Walerya nie ma żadnej wady, dopóki nie wypadło im mieć z nią do czynienia. Oczy jój, nieobciążone zwisającymi powiekami, ale pięknego kształtu i delikatnie oprawione, były dotąd pełne życia i nie straciły blado-niebieskiego koloru; czoło jój nie oznaczało się wielkością, ale było wysokie i prześlicznie zarysowane, a cieniutką sieć jój zmarszczek osrebrały blaski, padające od śnieżyстых jedwabiów jój warkocza. Dotąd bowiem miała wielką obfitość włosów, koronę chluby dla późnego wieku, i—młodej dziewczynce w tém podobna—lubiła, gdy czesano jój warkocze i układano je, roztropnie dbając o to, by się naleźycie wydały.

Sir Roland wszedł do pokoju matki, ze zwykłym sobie starannym pośpiechem. Ona, ze starodawną dwornością, powstała z krzesła swego, o staroświeckiej prostej poręczy, i podając mu malutką rączkę, obdarzyła go na powitanie uśmiechem; ale on z rodzaju tego uśmiechu poznał, że wcale nie była zadowolona, jakkolwiek uważała za dobre zjednać sobie syna.

— Rolandzie — zaczęła głosem, który trochę, troszeczkę tylko drżać się zdawał — wiesz, że nidy nie zwracam uwagi na wieści, przez sługi mnie dochodzące, a nawet nie dozwalam im pomyśleć o doniesieniu mi czegokolwiek...

— Rozumie się, matko droga, że nigdy tego nie robisz; było-by to niegodnym ciebie.

— Dobrze, dobrze, mógł-byś poczekać, aż mówić skończę, Rolandzie, zanim zaczniesz sądzić mnie. Gdybym niczego nie słuchała, musiała-bym być zupełnie niepodobna do wszystkich innych kobiet.

— I taką też jesteś, matko, a jak to dobrze wypowiadasz! Zaczynasz wreszcie spostrzegać, matko droga, to, o co zawsze bezskutecznie nalegam na ciebie: twoję wyższość?

Od jakiej-że to matki można się spodziewać, że zniesie łagodną ironią syna, choć-by przez pół tak cierpliwie, jak ją znosi własna jego żona?

— Rolandzie, taki sposób mówienia... Nie wiem, jak mam go nazywać, ale przed laty słyszałam o nim od cudzoziemców... Jaki bądź on jest, proszę, nie przejmuj go od tego smyka, Hilarego.

— O poetyczna sprawiedliwości! — wykrzyknął Sir Roland, który zawsze umiał panować nad sobą, skutkiem właściwej mu jednostajności humoru — ten sam-to bicz, którym przed chwilą właśnie Alicyą moję chłostałem! Czuję tylko, że czyniąc to, byłem daleko sprawiedliwszym.

— Zawsze jesteś sprawiedliwym, Rolandzie. Niezawsze, ma się rozumieć, jesteś w możności postąpić rozumnie, ale co do sprawiedliwości, to poczucie jęj wzięłeś w spadku po drogim twoim ojcu i po mnie. I dlatego-to właśnie życzę sobie wiedzieć, co znaczą te dziwne plotki, w które każdy prawie, z wyjątkiem mnie, był-by z pewnością starał się wdać, lub o których był-by już oddawna uwiadomiony. Znana mi jest twoja zupełna prawdomówność. Teraz więc nie masz sposobności zbyć mnie wymijającą odpowiedzią.

— Postaram się naśladować, (choć zapewne dorównać jęj nie potrafię) szczerotę twoję, droga matko, zapewniając cię, że bez porównania wolę trzymać się w tęg kwestyi własnego zdania.

— Taką-to twoja odpowiedź, Rolandzie! Przyznajesz, że jest w tęg coś ważnego, a wiadomości o tęg odmawiasz rodzonęj matce?

— Wybacz, matko, ale nie przypominam sobie, abym powiedział, że jest „coś ważnego“. Nie jestem dość zabobonnym, abym przypuszczał, że rzecz ta ma jakąkolwiek wagę.

— Dlaczegoż więc tyle z tego powodu hałasu? Rolandzie, och! Rolandzie, trudno cię nieraz zrozumieć.

— Nie wiedziałem o tęg, że był jakikolwiek hałas — z powagą odpowiedział Sir Roland — ale jeżeli był, położę mu koniec. A teraz, droga matko, co myślisz o tym nadzwyczajnym rachunku Bottlera.

— Bottler, masarz, jest złodziej — stanowczo oświadczyła jasna pani — ojciec jego był pęirwęg jeszcze złodziejem, a takie rzeczy rodem idą. Ale nie przypuszczasz chyba, że taki jest właściwy sposób traktowania tego przedmiotu?

— Mojém zdaniem najniwłaściwszy: zarzucać nierzetelność rachunkowi człowieka, na zasadzie, że ojciec przekazał mu prawo do stawiania za wysokich cen.

— Słuchaj, *drogi mój synu* — rzekła Lady Walerya, (która wtedy mówiła do niego: *mój synu*, gdy już z nim tracić zaczynała cierpliwość, a *mój drogi synu* wtedy tylko, gdy już jęj się ostatecznie cierpliwości przebrało), mój drogi synu, są to wszystko niefortunne usiłowania nieodkrycia przede mną istotnéj prawdy. Ja prawdę znac

mam prawo i prawdę poznać postanowiłam. Sądzę zaś, że mogłeś wyświadczyć mi tę grzeczność, aby pierwój przyjść do mnie po radę.

Widząc ją w tym stanie umysłu i nie będąc w możności zaprzeczyć słuszności jej praw, Sir Roland ujrzał się wreszcie zmuszonym zrobić z potrzeby cnotę i jął się dziwować (jak to wielu przed nim czyniło) talentowi ludzi do wyśledzenia czegoś, co się zawsze źle wyśledzonem być pokaze.

— Więc to wszystko? — rzekła Lady Walerya, uważnie go wysłuchawszy — myślałam, że musiało tam być coś więcej, coby usprawiedliwiło tajemniczość, jaką się otaczałeś. Jakto! nie, prócz starego dokumentu i jakiejś dziwnych kształtów skrzynki, czy pudełka? Mimo to, nie mam ci za złe, drogi mój Rolandzie, że tak mało znaczące zrobiłeś odkrycie. Mojem zdaniem, stary astrolog musiał zdziecinnić na starość. A teraz, ponieważ ja się trzymam starodawnego porządku, zadzwon proszę, żeby mi podano herbatę, a podczas, gdy do niej nakrywać będą, będziesz mógł mi przynieść pudełko wraz z dokumentem do przejrzania.

— Przyniosę niezawodnie, droga matko, jeżeli zechcesz przyrzec, że będziesz posłuszną poleceniom dokumentu.

— Rolandzie, żyłam zbyt długo, abym jeszcze mogła cokolwiek przyrzekać. Przeczytasz mi te polecenia, a sama o tém osądzę.

— Nie będę się upierał przy takiej drobnostce — odpowiedział z uprzejmym uśmiechem — ma się rozumieć, że postąpisz, matko, tak, jak tego honor wymaga.

Bez wątpienia, do mężczyzn, jakkolwiek zajadle wypierają się téj ułomności, niewa czasami dostęp odrobina, chociaż boczkim zbliżającój się do nich, ciekawości; bez wątpienia téż i Sir Roland żadny był wiedzieć, co w sobie zawierało stare to pudełko, które Alicya wzięła za „brudną poduszkę” gdy leżało w głębi szafy w murze, a poczucie honoru nie dozwoliło mu stać się obojętnie nieposłusznym testamentowi. Jednocześnie czuł on kiedy niekiedy, że branie podobnej kwestyi na seryo było z jego strony dowodem zabobonności, a nawet i dziecinstwem. Teraz zaś, skoro mataka podobnie o tém sądziła, Sir Roland bynajmniej nie był pewien, że powinien wejść na nieprzyjemną drogę sprzeciwiania się jej woli.

ROZDZIAŁ XXII.

Niepocziwa szkatułka.

Sir Roland uśmiechnął się, widząc pozę matki i na jój twarzy wyraz natężonej uwagi, gdy wrócił ze swój biblioteki, niosąc małą, lecz ciężką skrzynkę dębową, którą umieścił na krześle i najprościej w świetle otworzył. Ale zaledwie odrzucił wieko i pokazał powyżej opisaną szkatułkę, gdy przejął go zdziwieniem wyraz twarzy Lady Waleryi. Było to więcej, niż strach: nagłe przerażenie, jakby na widok czegoś okropnego, okryło bladością jój policzki i dreszczem wstrząsnęło piękne jeszcze jój ciało.

— Droga matko! jakże jestem nieroztropny! — odezwał się — że cię trudzę takimi drobnostkami! Żałuję, żem odstąpił od swego zdania.

— Nie jest to drobnostka, i był-byś zbłądził, poczytując to za drobnostkę. Długo żyłam i widziałam wiele dziwnych rzeczy; więcej trzeba, niż drobnostki, aby mnie przerazić.

Parę minut przeleżała oparta na poręczy krzesła, nie będąc zdolną przemówić, ani słyszeć, co do niej mówiono; zaledwie zdołała powtrzymać syna, by nie dzwonił na jój służącą, lub na ochmistrynią zamkową. Sir Roland, który nigdy przedtém nie widział matki w takim przerażeniu, zaledwie mógł zrozumieć dawane mu przez nią znaki, że żadnej pomocy nie potrzebuje.

Jak po większej części wszyscy ludzie dobrzy i sprawiedliwi, tak i Sir Roland skłonny był raczej do łagodnego i spokojnego rozmyślenia, niżeli do szybkiego działania, i teraz też matka jego, tak w lata posunięta, mniéj od niego okazała wahania: wprędce bowiem, przyszedłszy do siebie po tём nagłym zaskabnięciu, wyśmiewała samę siebie, również jak i niepokój syna o nią.

— A teraz, Rolandzie, nie chcę nic mieć do czynienia z tём groźnym szkaradzieństwem. Zdaje się to być zazdrośnie zamknięte; stało tak dwa wieki i niech sobie ze dwa jeszcze stoi; ja przynajmniej nie mam przeciwko temu. Ale jeżeli cię to zbytecznie nie utrudzi, rada-bym słyszeć, co o tём powiedziano.

— W tym starym dokumencie, pani matko? Czy widzisz, jak on

dziwnie złożony? Ten, kto tak złożyć potrafił, lepiej umiał składać, niż my dzisiaj.

— Pismo wydaje mi się dziwniejszém jeszcze od złożenia. Cóż to za powykręcane litery! Jakim to językiem pisane?

— Po grecku, pismem staro-greckiém i doryjskiém narzeczem. Astrolog musiał być dumny ze swego klasycznego pochodzenia, a może nawet doryjskiego rodu. Ale za wielką pokładał wiarę w wykształceniu potomków swoich. Biedny Sedley był-by to przeczytał bez zająknięcia, ręczę za to; ale ja namęczyłem się okropnie nad skrótami, a nawet nad niektórymi z liter. Jak wiesz, matko, starałem się niezapomnieć téj odrobiny greczyzny, jakiej mnie uczono, może nawet douczyłem się jęj trochę; ale wierzaj mi, matko, stary mój słownik był nieraz w użyciu, zanim zrozumiałem ten dziwaczny dokument, a i teraz nawet nie jestem zupełnie pewny znaczenia kilku ustępów. Na samym początku widzisz, matko, znaki, które wziąłem był z razu za jakiś gatunek hieroglifów; ale przekonałem się, że są to jakieś znaki astronomiczne lub gwieździarskie, z których niczego się nie dowiedział, chociaż rozumiał-by je może astronom. To, na przykład, zdaje się oznaczać połączenie jakichś dwóch planet, a to...

— Mniejsza o to, Rolandzie. Przeczytaj mi to, coś z tego pisania wyrozumiał.

— Dobrze, matko, ale jeżeli się poprawiać będę, musisz być cierpliwą, bom się jeszcze nie wyuczył lekcji, jak należy. Zaczyna się, jak następuje:

„Słuchajcie, o ludzie, którzy po mnie na świat przjdziecie, i weźcie rzecz tę pod rozagę. Karyjczyk pewien, szlachetnego rodu i szlachetnego téż ducha, noszący niepozabawione chluby miano Agaryklesa Syenneńczyk, stracił życie nie w gonitwie za bogactwem, lub rozgłosem, ale w nieprzerwaném zgłębianiu najwznioslejszych umiejętności i filozofii. Szczególniej zaś w gwiazdach niebieskich i znakach wiecznotrwałego kosmos wyćwiczył on swój umysł i prześciagnął wszystkich poprzedników swoich”.

— Niemasz to, jak umieć się chwalić nie prawdą, matko?

— Nie wątpię, że prawdę mówi — odparła Lady Walerya — nie weszłam w rodzinę, w której-by miano zwyczaj przesadzać.

— Cóż więc, matko, pomyślisz o takich słowach?

„Nietylko więc pojętnością i przejrzliwością, ale jeszcze dobrą wolą i człokolubstwem, skromnością i zapomnieniem o sobie, pozyskał ten człowiek pierwszeństwo w doskonałości, i on-to przemawia teraz do ciebie. Przeżywszy długie lata na wyspie barbarzyńskiej,

i mglistém powietrzem owianej, nie jest on już tém, czém był w kraju pięknych przedwieczornych godzin. I tutaj-to stało się jego umysłowi jawną i oczywistą rzeczą, że bramy Hadesu otwarte już są dla niego, a dni jego istnienia dobiegły końca. Uważa on to jednak za rzecz jak najmniejszej wagi, jeżeli tylko bogowie użyczą mu dopóty życia, póki nie przywiedzie do końca wszystkiego, co jeszcze ma przed sobą”.

— Jak to zacnie z jego strony! jak prawdziwie pobożnie, Rolandzie! Córka takiego człowieka nie mogła mieć żadnego prawa uciekania od ojca.

— Droga matko, będę innego niż ty zdania, jeżeli zawsze takim chwalił sam siebie stylem. Ale dajmy mu mówić za siebie, témbardziej, że zdaje się się mieć w tém pewną wprawę:

„Powyższe słowa nie były zaiste rzuczone w celu przechwałki, lecz po to raczej, by rzeczy, o których poniżej się powie, wsparte na tych, jako na podwalinie dyamentowej, prawdę swoją wydały wyraźnie. Teraz przeto wiedzieć macie, że Agarykles, starannie wszystko zważywszy, znalazł (że tak rzec można) cel, który osiągnąć i trwać przy nim należy. A nie jest to nic innego, jeno ocalenie pokoleń, z rodu jego idących, od wielkich nieszczęść, które, w oznaczonym czasie spaść na nie mają, skutkiem niełaski jakiegoś bóstwa. Albowiem człowiek, z tak wślawionego i wysokiego idący rodu, nie jest podobnym do robotnika lub niewolnika zbiegłego; lecz spogląda na niego od wielu pokoleń gwiazd ilość wielka. A teraz oto spostrzega, że biegłość jego i umiejętność nie po to dane mu zostały, by niemi własną tylko osobę ozdobił, ale na to, by w najdalszej przyszłości strzegł przez nie potomstwa swego. Jemu zatem, gdy objawioném zostało, że w siódmym zstępném pokoleniu, a może w dziesiątém (bo mglista jest pora) wielka spaść musi klęska na tych, którzy od Agaryklesa pochodzą; mędrzec przeto poniósł wiele trudów, aby klęskę łżejszą uczynić, mniejszą, chociaż odwróconą być nie może. Wprawdzie nie zostało mu daném wiedzieć (do obecnej przynajmniej pory) jaką mianowicie będzie ta klęska, oraz czy spadnie na ród za dwa, czy za trzy wieki od pory obecnej. Znając jednak szybkość złej doli, spodziewa się on jój wcześniejszego nadejścia, a jakiegokolwiek ona będzie rodzaju, Agarykles, mimo wszystkich odkryć swoich, nie odkrył na ludzkie niedole lekarstwa innego, jak to, które teraz schował do szkatułki. Szkatułka ta tak została zrobioną, że nic, prócz kurzu, nie ujrzą chciwe oczy tego, ktoby ją chciał otworzyć gwałtem, jak onego czasu Nitokrysa grobowiec. Lecz jeżeli zostanie otworzoną

właściwym kluczem i po właściwym czasie upływie, i wtedy, gdy istotna tego będzie potrzeba, to, co się w niej ukaże, będzie widokiem piękniejszym nad wszystko, co dotąd oglądały ludzkie oczy”.

— No! cóż tedy myślisz o tém, matko! Aż mi tehu zabrakło, tak się zmęczyłem długim tém tłómaczeniem, a i tak jeszcze nie wszędzie pewny jestem, żem przetłómaczył dobrze. Tam naprzykład, gdzie powiada...

— Rolandzie — żywo przerwała mu matka — jestem teraz o wiele starszą, niż według podania był książę. Nie roszczę jednak pretensyi dorównania mu rozumem i mam własne powody dziwienia się... Co zrobiłeś z kluczem od téj szkatułki?

— Nigdy go nie widziałem. Nie było go w szafie; chciałem przeszkukać cały pokój, dopóki nie wyrozumiałem znaczenia tego niewyraźnie skreślonego dopisku:

„Ten osieł, Memel, zgubił klucz. Miesiący mi całych potrzeba na zrobienie nowego. Ręce moje już drżą, a wzrok jest osłabiony. Jeżeli klucz się nie znajdzie, będzie to znaczyć, że Natura, przeze mnie zwyciężona, mści się za siebie. Daremną-ż była, lub nie, praca moja? Błogosławieni bądźcie i mnie téż błogosławcie, mili potomkowie moi”.

— Z całej téj dziwnej sprawy, ta część wydaje mi się najmniej zadawalniająca — rzekła Lady Walerya, której syn, jak tego przyzwyczajono wymagała, zostawił pierwszeństwo w wydaniu sądu.

— W sedno trafiłaś, matko droga. Cóż za zadowolenie znajdować można w posiadaniu szkatułki bez klucza, z przekonaniem, że, jeżeli oderwiemy zamek, nie znajdziemy wewnątrz nic, prócz kurzu? Sto razy lepiej mieć tabakierkę. Muszę zażyć szczyptę, matko droga, z pozwoleniem twojem, podczas gdy nad przedmiotem tym rozmyślać będziesz. Jesteś w tym względzie daleko pobłażliwszą, niż moja mała Alicya.

— Każdy *gentleman* zażywa tabakę — odparła sędziwa pani — a kim-że to jest Alicya, aby prawa stanowić miała? Ojciec twój wypotrzebowywał trzy tabakierki na tydzień. Rolandzie, ta mała za wiele sobie z tobą pozwala.

— Nie ona sobie pozwala, ale ja jęj na to pozwalam. Teraz nie mam już nawet głosu: pozwala sobie bez mego pozwolenia. Może to jest właśnie owa klęska, przepowiedziana przez astrologa? A jeżeli nie, to cóż może być tą klęską? jak myślisz, matko?

— Nie, nie to — odparła bez uśmiechu, bo doświadczenie dowcipków świata obrało jęj starość z wesela — strapienie, jeżeli jakie

nadejście, nie przyjdzie z powodu Alicyi, lecz z powodu Hilarego. Alicya jest bezwątpienia dziewczyną lekkomyślną, romansową, przewróconą ma głowę, i całkiem jest inna, niżby być mogła, gdyby więcej w towarzystwie mojem przebywała. Jednakowoż nie uważała za potrzebne być za często z babką, czego wynikiem jest, że manierej są niewyrobione, a głowa pełna niedorzeczności. Ale ma ona dużo (jeżeli to być może) za dużo nawet tego, co najskuteczniej chroni — dumy rodowej. Alicya może sama siebie na strapienie jakie narazić, nie sprowadzi go jednak rodzinie.

— Każde jej strapienie — zauważył Sir Roland — dotknie zawsze ojca jej przynajmniej.

— No tak, tak, naturalnie... Ale mam teraz na myśli cześć i stanowisko domu. Mój-to raczej ulubieniec, drogi mój, dzielny, piękny Hilary, jest zdolny ściągnąć trochę na nasze głowy, albo raczej na twoją głowę, Rolandzie; bo ma się rozumieć, czasy moje miną już wtedy... chyba-by się Hilary pośpieszył.

— Mam nadzieję, że nie będzie się bardzo śpieszył — odparł Sir Roland z niejakiem pomieszaniem uczuć właściwych z niewłaściwymi — chociaż nikt nie wie, kiedy może rozpocząć broić, w tej cieplarni wszystkiego złego, w Londynie. Teraz przecież niema go tam, jak o tem donosi przyjaciółka twoja, matka, Lady de Sampnor. Zdaje mi się, mówiłaś matko, że przez nią to miałaś wiadomości.

— Niezawodnie, sam pan Malakide mówił jej o tem. Pocziwy chłopak tak się pracą wysilił, że się schronił w jakiejś zdrowej i spokojnej okolicy, gdzie odzyska wyczerpane siły.

— E! — rzekł Sir Roland — nigdy-bym temu nie wierzył, gdybym z doświadczenia nie wiedział, jak mała ilość pracy wyczerpać go może. Napisanie listu do ojca, na przykład, jest tak ciężkim wysiłkiem, że zaraz nazajutrz musi Hilary wypoczywać.

— Rolandzie, nie bądź-że tak względem niego surowym. Chciałbyś, żeby terminował w tem prawniczym rzemiośle, co nie jest rzeczą dla gentlemiana właściwą. Nie dziwię się, że nie może podołać takiej brzydkiej robocie! Przypomnij sobie: nie chciałeś słuchać mego zdania i otworzyć mu jedyny zawód, dla młodzieńca z jego urodzeniem stosowny: służbę wojskową. Teraz cokolwiek się zdarzy, twoja w tem będzie wina. Oczywiście jednak, Hilary nie może zbroić nic wielkiego tam, gdzie się teraz właśnie znajduje: gdzieś w hrabstwie Kentu, w bardzo cichój wioskowej ustroni. To, że się tam udał, dowodzi niewinności jego serca.

— Prawdopodobnie. Ale jeżeli potrzebował odetchnąć, mógł

był prosić o pozwolenie przyjazdu do domu. Tak mi się zdaje... mimo to, będziemy go mieli niezadługo.

— Jak ty się wyrażasz, Rolandzie! zupełnie tak, jak-byś nic a nie nie dbał o jedynego swego syna! Musi to być rzeczą niezmiernie dla niego dotkliwą, widzieć, jak bardzo przekładasz nad niego Alicyą.

— Jeżeli jest tém dotknięty, nie krzywi się nigdy — ze spokojnym uśmiechem odpowiedział Sir Roland — nie dba o nic i o nikogo ten chłopiec!

— Bo ma najlepszy w świecie charakter, najgorętsze serce — z żywością zawołała Lady Walerya — dlatego tylko nie jest zazdrośnym, jak-by był każdy inny na jego miejscu. Ale zmęczyłam się już mówieniem, a to jest przedmiot, o którym mogła-bym mówić bez końca. Zabierz sobie, proszę, tę szkatułkę i to pisanie; pod żadnym względem nie chcę, by zostawały u mnie. Ma się rozumieć, zamkniesz je gdzieś w pewnym miejscu i dasz im pokój? Z czego jest ta szkatułka.

— Nie mogę dojść tego: z czegoś mocnego, a ciężkiego, jakaś kombinacya szagrynu i jakiegoś metalu. Ale najdziwniejsze ze wszystkiego, to ta dziurka od klucza. Jak widzisz, matko, jest ona na samym wierzchu szkatułki, mającej kształt stożkowaty, i sama dziwnego jest kształtu: nieforemnego siedmioboku z jakąś niezwykle komplikacyą wewnątrz. Prawie niepodobna otworzyć téj szkatułki, nie rozbijwszy jęj na kawałki.

— Nie życzę sobie wcale przyglądać się jęj, mój synu; przeciwnie, życzę sobie, żebyś ją ztąd zabrał. Tak! tak! bardzo mi będzie przyjemnie stracić ją z oczu, chociaż niewątpliwie nie jestem ani trochę zabobonna. Mam nadzieję, że się zupełnie bez nięj obejdziemy. Uważam to za rzecz niezmiernie nadzwyczajną, że ojciec twój nigdy nie zasięgał mojęj rady, co do tego pisania, które teraz tobie się dostało. Musiał chyba związany być słowem, że nie uczyni tego. A teraz, Rolandzie, dość już mam tego przedmiotu.

Z temi słowy, starożytna dama skinieniem delikatnej rączki dała odprawę synowi, który, wedle zwyczaju, złożył pocałunek na jęj białém czole i wyniósł się razem ze szkatułką i zamkniętym w nięj pergaminem. Ale im więcej myślał o jęj zachowaniu się, tém więcej go ono zastanawiało, Spodziewał się on jak najmocnięj rozkazu otworzenia szkatułki, co bądź-by z tego wynikło i uczuł się może zawiedzionym, rozkazu takiego nie odebrawszy. Ale przedewszystkiēm pragnął on wiedzieć, dlaczego matka tak się okazała zmieszana na widok tych przedmiotów? Mało bowiem osób, w pełni sił nawet

będących, posiadało więcej panowania nad sobą i odwagi, niż Lady Walerya, rozpoczynająca obecnie osmdziesiąty drugi rok życia.

ROZDZIAŁ XIX.

Złapan y.

Na szczycie góry rozprawiano z należytém namaszczeniem o tych ważnych sprawach, a tymczasem u jęj podnóża drobne troski miały wprowadzić należyty sobie udział w spojrzeniu demokratycznego słońca, ale nie wyznaczono im za to gwiazd, które-by im się przypatrywać miały. Wyraźnie mówiąc, Bonny i Jack również byli zajęci, jak inni, od nich lepsi. Dziś rano obeszl i oni, jak zwykle, szukając podpory życia, jeżeli podporę taką zastosować można do osła, we wsi, przysiołku i folwarku, zarówno jak i wśród opłotków i za opłotkami. Współczucie i życzliwość wzajemna z każdym dniem zażyłej łączyły z sobą obudwóch; upodobania ich coraz się podobniejszemi do siebie stawały, tak iż nieledwie wydawało się prawdopodobném, że Bonny nauczy się w końcu jeść lucernę, a Jack cieszyć się będzie pieniędzmi. Świeże powietrze, życie koczujące, dzisiejszy niedostatek i dosyt jutrzejszy, wolność tych, którzy nic nie mają do stracenia, i rozkoszna uciecha znajdowania: wszystko to razem (leciutko przyprawione niewymowną słodyczą życia dostatnio z pracy bliźniego) składało się na szczęście tych obu, szczęście, od rana do nocy, od pogody do deszczu trwające. W zimie zaś... ach! po cóż myśleć o rzeczach tak niemiłych? Może zima nigdy już nie powróci?

W każdym razie, Bonny siedział przede drzwiami swego zamku (albo raczej w miejscu na drzwi przeznaczoném, był bowiem o tyle szczęśliwym, że drzwi nie posiadał wcale) tak dumny i zadowolony, jak-by nigdy już nie miało być zimy, lub strapienia. Podniósł był, tego właśnie dnia, z rowu kapelusz, zgubiony przez kogoś, kto z karczmy wracał do domu; a dowiedziawszy się od swego opiekuna, Bottlera masarza, że w kapeluszu mężczyzny znaleźć można najpewniejszy dowód życia nienagannego, chłopak, pierwszym podmuchem ambicyi poruszony, włożył na głowę kapelusz i zwierzył się w używaniu go (dotychczas bowiem nosił głowę tak, jak urodziła ją matka) ku niezmiernemu zdziwieniu ulubionego swego osła, który, jak mógł, protestował zdziwieniem. Był to kapelusz z rodzaju tych, do komi-nowej rury podobnych, stateczny, przez uczęszczających do kościoła

przyjęty (wtedy dopiero wprowadzony do błogosławionej téj krainy, ale teraz na przestrzeni całej wolnej Anglii uznany za treść bogobojnego żywota) i wcale nie był takim, nieprzyzwoicie zniszczonym kapeluszem, który-by wyrzucać miał mężczyzna, żonę gdzieś niedaleko mający. Na młodą głowę chłopaka był ten kapelusz dwa razy za wielki, ale Bonny wysłał go gniazdem kosa, a chociaż nie bardzo zdawał się pasować z jego obszarpaną kamizelką i nagiemi, czerwonymi łydkami, (które na trawie rozłożył na pokazanie, ugwieżdżone niezliczoną ilością cierni i bodiaków) zawsze jednak żywił Bonny przekonanie, że ma wygląd nader dystyngowany, i kiwał na osła, by ten mu się przyglądał należycie.

W chwili, gdy ci dwaj przyglądali się sobie, ze swobodną wymianą opinii, rektor parafii ukazał się niespodzianie na zakręcie, na małym swoim kucu. Jechał on już do domu drogą, dnem rozpadliny wiodącą, i może nie w najlepszym był humorze, choć czekało go polowanie na borsuka; ale to dlatego, że Sir Roland tak nieuprzejmie przyjął jego uprzejme żądanie dowiedzenia się o wszystkim.

— Co to tam masz na kolanach, chłopcze? — krzyknął Mr Hales z taką siłą, że dąsałskie echo nadstawiło uszu, i „na kolanach, chłopcze” rozległo się melodyjnie po całej rozpadlinie.

Bonny doskonale wiedział, co ma na kolanach: bardzo sprytnie sporządzone sidła na zające. Bottler pokazał, jak je pleść z drutu, a teraz pod opiekuńczym cieniem pierwszego kapelusza, Bonny pilnie ćwiczył się w téj sztuce. Ma się rozumieć, Mr Hales wszędzie „nos wściбіł“ i to jeszcze najbardziej orli ze wszystkich w okolicy nosów. Bonny szczycił się jego znajomością, ale z groźnej jedynie, orlój strony. Chłopaczek wiedział wprawdzie, że istnieje kościół, że państwo chodzą tam raz na tydzień po to, by się piąć do wielmożniejszego od nich państwa. Ale z powodu téj wiadomości, tém trudniej mu jakoś było sprytnemi oczyma spojrzeć śmiało pastorowi w oczy.

— Stój-no! gdzie? — krzychał wielebny Struan, gdy Bonny zmykał, jak-by dla ocalenia życia — stój, chłopczel chcę z tobą pomówić.

Ale Bonny bynajmniej nie był rozczulony tą niezmiernie dobrotliwą ochotą. Mając może poziome pojęcie obowiązku, zmykał, ile sił starczyło, by uciec przed tém, co my teraz nazywamy „obowiązkami stanu kapłańskiego”. Ale Struan Hales (niepodobny w tém do naszego duchowieństwa) umiał sobie radzić ze świeckimi. W mgnieniu oka siebie i kuca swego wpakował pomiędzy chłopaka i jego kryjówkę i wtedy, ze spokojnem godności swój pocuciem, zawołał:

— Stój! — szpicrutę trzymając w pogotowiu.

— Jestem! jestem! jestem! — krzyczał Bonny, wracając z głową spuszczoną, i dając przez te słowa do zrozumienia w miejscowym narzeczu, że się uznawał zwyciężonym i gotowym do układów z przeciwnikiem.

— A widzę, że jesteś! — odparł rektor, mocno siedząc na swoim kuca i winszując sobie swojej taktyki. Mógł być przez godzinę przynajmniej uganiać się za chłopcem nadaremnie, przez wrzosa, czarne jagody i zarośla; a tutaj, dzięki tylko swęj znajomości ludzkiej natury, miał chłopca w ręku. Rzeczy po imieniu nazywając (jak to niekiedy czynił rektor w myślach własnych) im większym sam kto jest złodziejem, tém świętszą jest dlań jego własność. Nie żeby Bonny miał być złodziejem, bynajmniej; mimo to jednak tak się na to Mr Hales zapatrywał. Niespokojne mając sumienie, Bonny zapomniał, że z mniejszym trudem przejść-by mógł wielbłąd przez ucho igły, niż posiadacz dochodów parafii przez otwór, do Bonny-castle wiodący.

— Ojaj! ojaj! ojaj! — skowyczał Bonny, nie pokładając zaufania w honorze stanu duchownego i przewidując rabunek pałacu swego i domowego zakątką.

— Oddaj mi te sidła — rzekł Mr Hales głosem z głębin kamizelki wydobytym. — A teraz, chłopcze, czy chciał-byś zostać pocciwym chłopcem?

— Nie, sir, nie, nie, nie! Jack nie może i ja nie, sir!

— Dlaczego, chłopcze? to bardzo ładnie być uczciwym. Z twarzy ci widać, żeś sprytny. Dlaczego tak żyjesz w tój dziurze, myśzkujeś, czaisz się i kradniesz?

— Proszę pana, ja nigdy nie kradnę nic, chyba to wezmę, co nie jest moje...

— To bardzo być może. Ale dlaczego to bierzesz? A jak-bym ja teraz poszedł i pokradł twoje rzeczy?

— Ojaj, ojaj, oj! Panie, proszę pana, u mnie niemiał-by pan co kraść.

— Wcale tego nie jestem pewny — odparł rektor, pożądlwie spoglądając na norę pustelnika — złodziejska kryjówka, nieraz tyle warta, co bank. A teraz, gadaj, kto cię nauczył wiązać te sidła? Myślałem, że znam wszystkie, jakie są, ale w tych jest jakiś zadzierng, którego nie potrafię zrobić. Gadaj mi zaraz, łotrze mały, kto cię tego nauczył?

— Proszę pana, nie mogę panu powiedzieć. Nikt mnie nie nauczył, ja sam umiem.

— Ty, kłameczuchu mały, nie mogłeś sam się tego nauczyć. Ja wiem, co to ma znaczyć: ty nie masz ochoty mi powiedzieć. No, ale ja wiedzieć to muszę i wiedzieć będę, choć-bym to z duszą razem wytrząsł z ciebie. (Pochwycił go za jaskrawą kamizelkę i podniósł nad grzbietem jego szpicrutę) Powiesz, czy nie powiesz?

— Nie powiem, nie powiem; choć-by mnie zabili, nie powiem! — wołał chłopak, daremnie usiłując się wyrwać, a lży, obawą tego, co nastąpi, wywołane, spływały mu po ogorzałych policzkach.

Rektor podziwiał zuchwałość chłopca, znał bowiem własną siłę i wiedział, że jeżeli bić zacznie, rozmach jego ręki spotęguje w nim gniew i uniesie go może po-za granice rozsądnego umiarkowania. I dlatego też podał jeszcze raz deskę ocalenia:

— Powiesz, czy nie powiesz, smarkaczu?

— Nie, otóż nie! — wrzeszczał Bonny i wnet po tych słowach spadła nań chłosta. Ale spadła raz tylko, bo bijący w téjże chwili poczuł, że ma za sobą tuman kurzawy, krótki ryk gniewu i wielkie zęby, w potężnych szczękach błyskające, i może nigdy-by już nie mógł był stąpać równym krokiem, gdyby szybkim ruchem nie był rzucił w bok swego kuca, przez co uniknął strasznego ukąszenia, wymierzonego nader trafnie w zażywnę jego i kamaszami obciśniętę łydki.

— A to dziwny! — krzyknął rektor, ujrzawszy osiełka (z wyciągniętą naprzód szyją, rozwianą czupryną, iskrzącymi oczyma, rozmachanym ogonem, a co najstrasniejsza, z ową niezgłębioną paszczką) zbierającego nogi do drugiego natarcia, jak attycka Formiona tryrema, na grzbiecie fali na łódź przeciwnika nacierająca.

— Niech mnie licho porwie! — krzyknął rektor — jeżeli wdam się jeszcze kiedy z podobnemi, jak wy, zwierzętami! Gdybym chociaż miał swój harap myśliwski! Hejże! hum, hej, śpiesz się, na miłość Bożką! Zmykaj, hum!

I bijąc co siły po bokach kuca, ujechał pełnym galopem; podczas gdy Jack zadzierał w górę biały nos z wyrazem najwyższej wzdardy, a potem kłusikiem ruszył w pogoń, aby ich do reszty przynębić i posłał za nimi piękne sygnały odwrotu wytrąbione na starą, wspaniałą, narodową nutę osłój fanfary.

Podczas, gdy wielobny Struan Hales, sromotną odniósłszy porażkę, umykał tak szybko, jak zdołały go unieść nogi kuca, i przez ramię rzucił na pogoń niespokojne spojrzenia, najechał najniespodzianieję na podróżnika, lekką stopą wchodzącego właśnie na zakręt drożyny i o włos, że go nie przejechał.

— Co to, wuju Struanie? — zawołał głos podróżnego — czy

cię goni smok świętego Leonarda? czy téż zwykły to sposób jeżdżenia beneficjentów duchownych?

— Hilary, drogi chłopcze — odparł wielebny — któż się mógł spodziewać spotkania z tobą? Przybyłeś właśnie w porę, by obronić swego wuja przed wściekłym zwierzem drapieżnym. Szedłem właśnie ku domowi zastawiać sidła na borsuka, i o mały włos sam w sidła nie wpadłem. Ach! ty poganinie jakiś, powiniéneś się spalić od wstydu, że na proboszcza swego napadasz!

Jack albowiem, widząc nadciągające posiłki i zoczywszy grubą pałkę. którą niósł w ręku Hilary, roztropnie odwrócił się stroną od-ogonową i uchodził, z dzielnych czynów swoich zadowolony.

— Cóż, Hilary? co cię sprowadza do domu? — zapytał wuj, gdy zamienili z sobą parę słów, dotyczących zachowania się Jacka — nikt się tam ciebie nie spodziewa, o ile mnie to przynajmniej wiadomo. Twój ojciec lubuje się wprowadzić w tajemnicach, ale Alicya była-by mi powiedziała z pewnością. Co więcj, musiałeś iść piechotą od samej stacyi pocztowej, jak ze stanu odzienia twojego wnoszę, może nawet idziesz aż od Brighton.

— Nie, poszedłem krótszą drogą przez góry, na przełaj przez Bending. Wuj powiadasz, że nikt się mnie nie spodziewa? Przyszedłem w bardzo ważnym interesie.

— I naturalnie, mnie nie będzie wolno wiedzieć w jakim. Nie, do sekretów i do strzeżenia tajemnicy, niema drugiej takiej rodziny!

— Jak gdybys i ty, wuju, nie należał do niej! — z niezmienną uprzejmością odpowiedział Hilary. — O ile sobie przypominam, nie słyszałem nigdy o żadnych sekretach.

— I była w tém racya, mój chłopcze — odparł rektor — nie wątpię, że, raz dostawszy się do twoich uszu, nie na długo pozostałyby sekretami.

— To pozwól mi, wuju, poprawić sobie opinią zachowaniem teraz mego własnego przynajmniej! Z tém wszystkiém, niema tu sekretu żadnego, tylko wypada, aby ojciec mój najpiérwszy się o tém dowiedział.

— Ach! urwisie ty jeden, urwisie! Pewno już coś o pieniądze, nie prawdaż? Dawniéj raczyłeś udawać się z tém do mnie, za szkolnych i uniwersyteckich czasów. Ale teraz za wielki z ciebie pan na kieszeń biednego plebana wiejskiego. Odłożył-bym te łowy na borsuka na jakie pół godziny, jeżeli sądzisz, że za pół godziny potrafisz zbiedz tu z góry z powrotem. O to mi najbardziéj chodzi, żebyś zo-

baczył młodego Focha, a będzie to coś niepospolitego. Nigdy w życiu nie miałem lepszego szczeniaka.

— Znam go, wuju, znam jego zalety, przecież wuj wie, że sam go wybrałem w miocie. Ale niech wuj nie czeka na mnie; jeżeli znowu zejde w dolinę, to chyba dopiero koło ósmej, żeby trochę na króliki zapolować.

Odkąd poznał Mabel Lowejoy, Hilary odmienił się bardzo i pod każdym względem na lepsze. Słodycz jój, łagodna względność i zamilowanie żyjących tworów (w czasach, kiedy okrucieństwo było regułą, a liśność dla zwierząt rzadkim wyjątkiem) łącznie z jój obeznaniem się z daleko większą ilością stworzonych rzeczy, niż na nie kiedykolwiek zwrócił Hilary uwagę, sprawiły to, że teraz szczególnie, gdy rozstanie z nią tkliwiej go usposobiło, nigdy-by nie mógł przyglądać się obojętnie łowom na borsuka. Poszedł zatem w dalszą drogę do ojca, litując się nad wszelkiem męczonem przez ludzi stworzeniem.

ROZDZIAŁ XXIV.

Ojcowskie wskazówki.

Sir Roland Lorraine, znalazłszy się w swojej bibliotece po tej długiej rozmowie w matkę, zagłębił się w krzesle rozmyślenia, które coraz to stawało mu się droższem. Cieszył się nadzieją jednej chociaż godziny spokojnej, wciągu której mógł-by rozważyć bieżące sprawy i porównać je z temi, o których nieraz czytał. Ma się rozumieć, że wszystko to było bagatelką, nad którą nie było powodu zastanawiać się poważnie. Nie było nadeń człowieka, mniejszą pokładającego wiarę w gwiazdy, w komety, w słońce nawet samo, gdy ciała te niebieskie, przekraczając obręb własnej sfery, czy też orbity, spoglądały na padół ziemski. Nie było człowieka, który-by się z większą uśmiechał wzgardą na abecadła wieszczków i gwiazdziarzy, i nie było też człowieka, który-by własne niezłomne wątpliwości ostrożniej dla siebie samego tylko chował.

A jednak był on rozrzuwniony (jak nikt-by się dziś w podobnym razie nie rozrzuwnił) istotną wyższością tego stanu, poświęcającego się na ofiarę (we własnym przynajmniej mniemaniu) gwiazdom tych, którzy nastąpić po nim mieli. Z tych najjaśniejsza teraz właśnie wschodziła, a z nią przepadał spokój marzyciela.

Jest-że na świecie człowiek, który-by nie miał swoich malutkich

bodaj dziwactw i wybiegów? Sir Roland znał wybornie krok, ku drzwiom jego zmierzający, bo chód Hlarego nie dopuszczał omyłki, cóż jednak uczynił? oto rękoma zakrył czoło, udając, jak umiał najlepiej, że śpi!

Hilary spojrzał na rodzica swojego z tkliwą badawczością. Miał on małe wątpliwości, dotyczące się snu ojca, wątpliwości, odnoszące się co najmniej do głębokości snu, którym, tak dobry jak on, człowiek, miał prawo spoczywać. Ztąd wynikło, że, zamiast się cofnąć, przemówił:

— Drogi ojcze, mam nadzieję, że cię zastaję w dobrém zdrowiu. Przykro mi, że ci przeszkadzam, ale... jakże się miewasz, ojcze? jakże się miewasz?

Szorstka odpowiedź studencka na uprzejme zapytanie: „Nic a nie nie lepiej na twój widok” przemknęła przez myśl Hilarego przynajmniej, jeżeli na myśl ojcu jego nie przyszła. Mimo to, pozdrowili się obaj tak gorąco, jak się tego spodziewać można od ojca Anglika i syna Anglika; poczem zaczęli przypatrywać się sobie, jakby się obaj po raz pierwszy używaniem tego przywileju cieszyli.

— Hilary, zdaje mi się, żeś urósł — przemówił Sir Roland, chcąc przerwać milezenie i wybawić swoje usta od roztworzenia się ziewnięciem. — Czas już byś przestał rosnąć.

— Dałem temu pokój, ojcze, dwa lata już temu, jeśli się nie mylą miary krajowe. Ale może ojciec masz na myśli przybytek większej wagi, niż cielesnego wzrostu. Jeżeli tak, miło mi, że ojciec tak o mnie trzyma.

— Ma się rozumieć, że ci miło — odpowiedział mu ojciec — musiał-byś chyba wyrość z własnej skóry, gdybyś był wyrósł z dobrego mniemania o sobie. Jakże się miewa Mr Malakide? Dobrze? Miło mi, że to słyszę. Prawo jest najzdrowszym z zawodów; świadczy o tém twoja powierzchowność. Ale taka cera wymaga pożywienia po pięćdziesięciu-milowej podróży. Nie siądziemy do stołu prędzej, jak za półtorej godziny. Pociągnij za dzwonek, zadysponuję ci cokolwiek, a tymczasem pójdziesz zobaczyć się z babką.

— Nie, dziękuję ci, ojcze. Jeżeli masz wolną chwilę, chciał-bym pomówić trochę z tobą. Dlatego głównie przybyłem tu z Londynu, tak, bez ceremonii.

— Oszczędź mi tłumaczeń, Hilary, bo już do tego przywykłem. Naturalnie, bardzo mi jest miło widzieć cię, szczególnie tak znakomicie wyglądającego. Zupełnie jak-by nie było na świecie takiej rzeczy, jak pieniądze! To ci się zdarza nieustannie i jest twojém niezmienném

lekarstwem na pieniądze kłopoty. Czyż jednak nie wystarczała ci zwykła forma: spory arkusz papieru (za który trzeba dać 10 pensów) i na nim: „Kochany ojcze, nie mam gotówki. Przywiązany syn, H. L.?”

— Nie, kochany ojcze — zaśmiał się Hilary, poznając ulubioną swoją formułę — tym razem jest to interes daleko ważniejszy. Pieniędzy, ma się rozumieć, nie mam wcale: ale to niczém dla mnie. Nie możesz, ojcze, powiedzieć, żebym kiedykolwiek okazał wątpliwość co do twojej hojności.

— Masz zupełną słuszność. Nigdy się nie skarżyłem na brak zaufania twojego w tej materii. Ale cóż to za sprawa, w oszacowaniu twojem, dużo od pieniędzy ważniejsza?

— Czasami przychodzi mi na myśl — odrzekł Hilary, odwagę w sobie zbierając — czy też jest co na świecie równie ważnego, jak pieniądze?

— To zupełnie nowy pogląd dla ciebie. Rzuciłeś dotąd pieniędzmi na prawo i na lewo. Czy mogę mieć nadzieję, że obecny pogląd na tę kwestyą będzie trwałym?

— Możesz ją mieć... tak, sądzę, ojcze, że możesz. Chcę teraz zrobić coś, w skutek czego umniejszy mi się grosza.

— Nie przychodzi mi na myśl nic — odpowiedział ojciec, trochę już znecierpliwiony jego przedmowami — w skutek czego mógł-byś miewać mniej grosza, niż to jest twoim zwyczajem. Wiem, że jesteś uczciwym i masz w pogardzie poniżające występki. Raz powiedziałwszy to o tobie, Hilary, nie wiele więcej znajdzie się do powiedzenia.

— Mogło było znaleźć się co więcej, gdyby nie ty, ojcze. Traktowałeś mnie zawsze tak, jak *gentleman* traktuje młodszego od siebie i od siebie zależącego *gentleman'a*, ale nie lepiej. Zamieniałeś ze mną (jak to i teraz czynisz) małe pociski słowne, jak-bym ja był wyćwiczonym szermierzem i stał na równi z tobą. Tymczasem ja nie jestem ci równym. Może to z twojej strony grzecznie, ale niesprawiedliwie, ojcze.

Sir Roland spojrzał na syna z niezmierném zadziwieniem: to nie było do Hilarego podobne. Istotnie, może Hilary nie był nigdy pod taką kontrolą ojcowską, pod jaką być mu należało; jednak dotąd lekko brał rzeczy i zdawał się usuwać od wszelkiego starcia.

— Nie rozumiem cię dobrze, Hilary — spokojnie odpowiedział Sir Roland. — Jeżeli masz jakie urazy, z pewnością będziemy mieli

dość czasu rozebrać je spokojnie podczas letnich feryi, które teraz rozpoczynasz tak wcześnie.

— Obawiam się, ojcze, że nie będę miał przyjemności spędzenia tutaj feryi letnich. Zrobiłem coś, co wcale nie jestem pewny, czy pochwalisz.

— Inaczej mówiąc, jesteś zupełnie pewny, że tego nie pochwale.

— Nie, kochany ojcze, mam nadzieję przynajmniej, że aż tak źle nie będzie. Chętnie na to przystanę, by ci dać czas do namyslenia się nad tem spokojnie. Poprostu, ojcze, postanowiłem... jeżeli pozwolenie twoje uzyskam... wstąpić w związki małżeńskie.

— Doprawdy? — zawołał ojciec ze wzgardliwym cokolwiek uśmiechem — nie powiem, że mnie to dziwi, bo nie dziwię się niczemu, co zrobić możesz. Ale któż cię natchnął tym nowym bzikiem i jak długo trwać to będzie?

— Całe moje życie! — odparł młodzieniec z zapalem i niejakiem zniecierpliwieniem; bo na całym świecie jeden tylko ojciec umiał go zniecierpliwic. — Całe moje życie, ojcze, jak mnie tu widzisz żywego! Czy nigdy mi uwierzyć nie możesz, że mówię całkiem poważnie?

— Musi to być prawdziwa czarodziejka, skoro tak potrafiła cię udoskonalić! Czy wolno ośmielić się zapytać, kto to taki?

— Wolno, ojcze. Mieszka w Kent, a zowie się Mabel Lovejoy i jest córką pana Marcina Lovejoy.

— Lovejoy! duńskie jakieś nazwisko! zdaje mi się i nawet stare, gdy we właściwej formie użyte. Czémże jest ów pan Marcin Lovejoy, z zawodu swego lub téż z innych względów?

— Z zawodu swego jest on bardzo szanownym i oddawna zagospodarowanym hodowcą.

— Hodowcą! Wyszła mi z pamięci ta gałąź liberalnych profesyi.

— Hodowca, ojcze, jest to gentleman, który hoduje płody ziemi na użytek innych.

— Może to, co my byśmy nazwali kopaczem? Zdrowe to i klasyczne zatrudnienie... w cieniu wieżyc Ebelii. Proszę, uwolnij mnie od dalszej w téj kwestyi rozprawy; nie używam bowiem nigdy dosadnych wyrażen. Może pójdziesz jednać sobie u babki swojej współczucie dla téj niezmiennéj miłości do córki hodowcy.

— Ale ojcze, gdybyś tylko pozwolił...

— Ma się rozumieć, gdybym ci tylko pozwolił opisywać jęj za-

lety, ale na to właśnie nie mam bynajmniej zamiaru pozwolić. Pozwól skrzydłom wyobraźni szybować w przyjaźniejszym kierunku. Rozmowa ta zakończyć się z mojej strony zbyt może wyraźną (ale łatwą do zrozumienia) wskazówką. Hilary, drzwi są otwarte!

ROZDZIAŁ XXV.

Źródło Sybilli.

W wiosce West-Lorraine, leżącej na podgórzu South-Downu, żyła podówczas i przeżyła trzy pokolenia zwyczajnych ludzi, niezwykle stara kobieta, imieniem Nanny Stilgoe. Można było nawet przedtém jeszcze wspomnieć o niej, ponieważ niepodobieństwem było prawie obyc się bez niej, skoro tylko ktobądź, chciał cobądź o tutejszej okolicy powiedzieć. Na wiele mil wokoło wiadano, iż wszystko jest jej wiadomém; a jedyna pretensya, jaką do niej miano, tyczyła się tylko jej pokory. Nie chciała udawać czarownicy, a tymczasem każdy czuł, że nią być powinna, a wiele osób miało to przekonanie, że nią jest w istocie.

Alicya Lorraine miała we zwyczaju wieść częste rozmowy ze starą Nanny, słuchając dziwacznych starych jej gadanin i młodemi oczyma poglądając na mądrość, czy też głupotę dni minionych. Nanny, ma się rozumieć, robiło to wielką przyjemność, była jednak za starą, by ktokolwiek mógł już zostać jej ulubieńcem. Ludzie, zwolna już podchodzący ku lepszym niż ten światom, mają jeszcze pewną łączność z ziemią, ale z rodzajem ludzkim niewiele co ich łączy.

Ztąd pochodziło, że cały urok Alicyi i słodkie jej przymilania się, i nawet od czasu do czasu przyniesiony dla Nanny funcik herbaty, lub paczka tabaki, nie mogły skusić staruszki do wypowiedzenia tego, czego nie wiedziała sama. W miarę, jak miesiące upływały, a ona coraz mniej wiedziała, gdzie się podziewają, ludzie, coraz mocniej utwierdzając się w mniemaniu, że od niej coś stanowczego usłyszą, nachodzili ją z każdym nowiem, żądając, by im to lub owo objawiła. Że zaś nie leżało to w jej naturze żeby udawała, że kogokolwiek oszukuje, przeto z dniem każdym trudniej jej przychodziło należycie wywiązywać się z tego w szczegółach.

Największe jednak jej wysiłki czynione zawsze były na pożytek Coombe-Lorraine, dlatego, że dawnemi czasy sprawowała ona

wierną służbę pod rządami Lady Waleryi. Wiek starój Nanny stał się już był teraz wielką niewiadomą, zapisano bowiem na jój imię (jak to się często zdarza) i te lata, do których przyznawać się nie miała prawa. W każdym jednak razie, uważała ona dawniejszą swoją panią, Lady Waleryą, za kureczátko w stosunku do siebie, i czuła pewne lekceważenie dla jój zdań, które jeszcze nie miały czasu dojrzeć należycie. A zatém czcigodna imci pani Stilgoe (o której opinia publiczna głosiła, że dawno już dokonała stulecia) nie mogła mieć dużo mniej od dziewięćdziesięciu w roku pańskim 1811.

Będąc więc hardą i stanowczą (żeby nie powiedzieć przykrą) z usposobienia, stara ta kobieta przebywała sama jedna w małym wiejskim domku, stojącym na zakręcie drogi, po-za kuźnią, tuż obok źródła świętego Hagydora. Domek ten nietylko wolnym był od czynszu, ale nawet jój własnym, aż do kresu jój życia, na mocy aktu darowizny, uczynionej przez Sir Rogera Lorraine, w dowód wdzięczności za poezciwy czyn, spełniony przez nią wtedy, gdy Sir Roland był jeszcze niemowlęciem. Otrzymawszy ten upragniony domek i zobaczywszy, że dar ten innych nie ma następców, nabrała naturalnie przekonania, że państwo nie są dla niej takimi, jak przystało. A przytém tygodniowo pobierany zasiłek: półtory korony i obiad, w niedzielę, w wazce jój przysyłany, starzały ją przedwcześnie i niepotrzebnie ludzi do gadania pobudzały.

Mimo to jednak, Nanny pełną była zyczliwości dla państwa, wybacząc im łaski, jakie jój świadczyli, i to nawet, że całkiem była na ich łasce; przepowiadając im przytém wielkie mnóstwo kłopotów i nigdy nie omieszkując szeroko o nich rozprawiać. I teraz więc, w tym samym dniu, kiedy między młodym Hilarym a ojcem zaszło owo starcie, Nanny spotkała szczęśliwym wypadkiem Alicyą Lorraine, idącą na plebanją, żeby naradzić się z wujem Struanem i prosić go o pośrednictwo. Młodzieniec bowiem wziął ojca za słowo i wywnioskowawszy, że drzwi, nietylko pokoju, ale nawet i domu otwarte są dla niego (w niegościnném otwarciu znaczeniu) otrząsnął kurz rodzinnego miejsca z obuwia nóg swoich i, rozmówiwszy się z ukochaną siostrą Alicyą, wieczornym dyliżansem wyruszył do Londynu.

Stara Nanny Stilgoe wyszła właśnie nazbierać sobie patyków do zagotowania kociołka z wodą i dreptała ku domowi z wiązką w jednej ręce, a w drugiej z mocnym kijem, z pomiędzy patyków wybranym, który sobie wzięła na podporę. Nie miała ona czepka ani kapelusza, ale obwiązała głowę starą chustką czerwoną, z pod której wymykały się rzadkie szpakowatych włosów kosmyki i spadały na zaostrzo-

ne jęj rysy i zakłęsłe policzki. Oczy jęj, choć głębkoo wpadłe, żywe były i bystre, i mało było w parafii dziewcząt, które potrafiły-by nawlec cienką igłę tak prędko, jak ona. Sędziwa jęj starość okazywała się tylko w niezliczonych zmarszczkach i fałdach jęj twarzy, w wystawianiu sterczących kości, a przedewszystkięm w martwęj, szaręj powierzchni skóry, z kótręj uchodziło już życie.

— A! Nanny, mam nadzieję, że zdrowa dziś jesteś — uprzejmie odezwała się Alicya, choć bynajmnięj nie miała ochoty teraz własnię wdawać się z nią w rozmowę — pracujesz widzę ciężko, jak zwykle.

— Oj! oj! ciężko pracuję, tak jak my wszyscy, co się do pracy rodzimy i schodzimy ze świata z potem na czołe. To nie to, co wy, państwo, Miss Alicyo. Cały świat dla waszjęj wygody i siedzicie w nim, jak budyń w formie.

— O! Nanny, powinna-bys lepiej znać się na rzeczy. Nikt na świecie nie rodzi się do szczęścia tylko i dla nikogo nie trwa ono zawsze. Czy chcesz, żebyśm poniosła za ciebie tę wiązkę? Jak ty umiesz wiązać wybornię!

— Możesz, panienko, nieść sobie wiązkę dokąd chcesz. Nie pójdziesz ty z nią daleko, za cienką masz na to skórę. Połóż-no ją teraz tam obok źródła. A co to się stało z Hilarym?

— Z Hilarym? toż ci kto mówił o nim?

— Niejednę rzecz ja wiem, panienko, co mi o nięj nikt mówić nie potrzebował. Zerwał z ojcem, czy co? Ach! ach! ach!

— Nanny, nie powinna-bys nigdy mówić takich rzeczy! Wygląda to, jakbyś się tém cieszyła, ty, która ciągle masz z nami do czynienia.

— I tyle wam zawdzięczam! O dużo, dużo! nie potrzeba przypominać mi, ile, bo sama to widzę co niedziela w wazce.

— Moja pani Stilgoe, muszę ci przypomniēć, że sama tego chciałaś. Skarzyłaś się, że sos krzepnie, i że chyba myślimy, że u ciebie ogień buzuje i sama przyszłaś wybrać sobie wazkę i serwetę, w kótręj ma być obwiązana, i powiedziałaś wtedy sama, że tak będzie dobrze.

— Prawda, prawda, panienka wiēsz to wszystko doskonale. Ja tam nigdy nie pamiętam takich małych rzeczy: zostawiam to dla wielkich państwa. Ale przecięż mam prawo, żebyście mi powiedzieli to, co nie obchodzi obcych.

— A mówiłaś, że wiēsz, choć ci nikt nie mówił! Ale na nie-

szczęście, tym razem wszystko jest prawdą; mam jednak nadzieję, że to się niezadługo zmieni.

— Niezadługo! niezadługo! Takim smarkatym dziewczętom to się zawsze wszystko niedługiem wydaje. I chłopcom się też zdaje, że dziewczęta to istne cukierki, dopóki ich lepiej nie poznają.

— Ach! Nanny, jaka-żeś ty dzisiaj niegrzeczna. I ja także jestem jeszcze dziewczynka nie panna. A przecie, spodziewam się, żeś lepsza od najlepszego cukierka?

— Co tam gadać! Ot, widzisz panienka wodę w tém źródle? Przejroczysta i jasna, a taka płytka, że nawet kij ten się w niej nie schowa.

— Cudownie chłodna i szumiąca nawet po tyłodniowym upale. Jak-bym ja chciała, żebyśmy na naszej górze mogli mieć takie wyborne źródło! Jak ci z niem musi być wygodnie!

— Święta woda, jak ją tu zowią, czyż nie tak? Święta woda, do prawdy. Bardzo dobra do nastawienia w kociołku, nigdy nie znajdzie w niej żaby. Ojciec mój opowiadał mi, że jego dziad, czy może inny z jego pradziadów, widział, jak to źródło wezbrało w ogromny szumiący potok, który leciał z tamtej oto góry, o dziesięć stóp wyższej od tego urwiska. Ojciec mówił, że to źródło leciało aż z waszej góry, i było w niem więcej wody, niż w niejednej rzece. Są nawet jeszcze ślady, któredy płynęło...

— Słyszałam trochę o tém — odpowiedziała Alicya z leciutkiem drżeniem zabobonnego strachu — i zawsze chciałam usłyszeć coś więcej.

— Im mniej panienka usłyszysz, tém lepiej dla ciebie. Módl się do Pana co wieczór, młoda pani, żebyś mogła nigdy wezbranego źródła nie ujrzeć.

— O! Nanny, to są przesady tylko. Owszem, bardzo chciała-bym to zobaczyć. Nigdy nie mogłam zrozumieć, zkad tyle wody leci, chociaż zdaje się być rzeczą zupełnie pewną, że leci. Stosownie do tego, co o tém mówią, źródło wezbrało dwa razy w ciągu pięciu lat. Słyszałam oddawna, jak powtarzano starą o tém przypowiestkę, ach! oddawna... jak tylko pamięcią zasięgnąć mogę.

— I ja słyszałam. Ale teraz nikt już nie powtarza jej jak trzeba... nie dbają już teraz o takie rzeczy. A panienka, jak to słyszała, Miss Alicyo?

— Jakoś tak... o ile sobie przypomnieć mogę:

„Gdy Woeburn rozleje w równinie
 Zła to wróżba Lorraine'ów domowi.
 Gdy Woeburn znów wzbierze w dolinie
 Śmierć i złe czasy Lorraine'ów domowi.
 Gdy coraz głębszą falą popłynie,
 Koniec przyjdzie Lorraine'ów domowi”.

czy dobrze zapamiętałam to, Nanny?

— Prawie dobrze, dziecko, tak, prawie bez omyłki. Ale opuściłaś panienka zupełnie ostatnie dwa wiersze:

„Jedno jest tylko, co dom Lorraine'ów ocali:
 Jedno wskoczyć musi, by dwoje wydobyć z fali”.

— Nanny! ja nigdy nie słyszałam tych dwóch wierszy!

— Bardzo być może. Kto tam dzisiaj dba o to, żeby coś skończyć porządnie. A dlatego te wiersze należą do przypowieści, święcie należą, jak-by do Psalmów Pańskich. Ze sto razy słyszałam je z ust ojca, a ojciec słyszał je od swego dziada. Przysiądź-no tu, panienko, chwileczkę na kamieniu, a ja pójdę i ogień rozpalę. Teraz to ledwie gdzieś gdzieś znajdzie człęk w płocie jaki patyk, co się zda na ogień: dzieciaki wszędzie wleżą i wykradną. Aż mi krzyże zdrętwieją, nim nabieram tyle, żeby mieć przy czém ugotować krowią nogę i skórę słoniny.

Stara Nanny, z powodu pewnych, jój tylko wiadomych okoliczności, nie życzyła sobie, żeby teraz właśnie Alicya zajrzała do jój domku. Wprawdzie miała ona mieć w rzeczysamój na obiad okromek słoniny, ale na dokładkę do tego był i wyborny młody króliczek z cebulowym sosem, królik, którego lennym panem był prawnie i niezaprzeczenie Sir Roland Lorraine. Ale Bottler, masarz, rozpostarł swą władzę nad tym lennikiem *vi et armis* i przekazał go *habendum, coquendum, et vorandum* imci pani Nanny Stilgoe, w zapłacie za zdjęcie uroku z wieprza.

Tymczasem Alicya smutnie przemyśliwała nad tém, jak wiele nie-miłych legend ściągało się do starodawnego, a pozbawionego dziś dawniej świetności, jój rodu. Pierwszy wylew Woeburnu, za panowania Edwarda III-go w roku Pańskim 1349, śmiertelną niósł, jak mówiono, truciznę, spływając po stokach góry. Źródło burzyło się i wzbierało przez całe siedm miesięcy, jak brzmiała opowieść jednej

z najdawniejszych kronik, zgodna w treści z napisem, znajdującym się w kościele; i przez ten czas pomarli „z czarnego moru” Earl z Lorraine i dzieci jego siedmioro. Został tylko syn, pogrobowiec, dla podtrzymania rodu. Złowróżbna woda opadła wtedy na lat sto i jedenaście; potem weszła znowu większą jeszcze falą i płynęła tylko przez trzy miesiące, ale przez ten czas stary ród, na szczycie świetności stojący, pogrążył się w głębiach upadku i nigdy już nie odzyskał dawnego stanowiska i mienia. Na placu boju pod *Towton*, w jednej z najkrwawszych bitew, jakie kiedykolwiek w Anglii staczano, Lorraine’owie, chociaż na śnieżne zamiecie zahartowani, znikli jak tuman śniegowy. Ustawa z żarliwym pośpiechem przez niewolniczy Parlament uchwalona, odebrała im dziedziczne stanowisko i dobra, i ostatniego z rodu zrobiła tułaczem bez mienia, dla którego przygotowanym był pieńek rusztowania.

Nanny, poprzystawiawszy wszystko do ognia i starannie zamknąwszy drzwi za sobą, przydreptała, jak mogła najprędzej, do Alicyi z powrotem, i do przedmiotu swego wróciła.

— Święta woda! oho, święta! Święta, ale dla starego czarta; i dlatego to w niej tak wciąż kipi. Panienka wie, że są takie trzy źródła, wszystkie z tego samego źródła: jedno w ogródku plebana, to drugie, a trzecie najwyżej ze wszystkich, u podnóża zamkowej góry; tam nad nią usadowił się ten chłopak włóczęga. Tak! tak! ztamtąd Woeburn wytryska.

— Mówisz, Nanny, o tém miejscu, gdzie mech porasta i trawy? Ale trudnoż to przecie nazywać źródłem?

— Zapewne, niewiele z niego wody; a ja już tam nie byłam z rok... więcej może. Ale spróbuj tylko, panienko, postawić tam nogę, a przysięgam, że, samochcąc, wpadniesz we własną mogiłę. Niedaleki już czas, kiedy wodzie téj wytrysnąć trzeba tak; przynajmniej gadają o tém ludzie.

— Dobrze, Nanny, niech sobie tryska. Co-by to za szczęście było na takie gorące lato! Rzeka wyschła prawie zupełnie, a w pastuszych rowach nigdzie prawie wody niema.

— Więc panienska nic o to nie dbasz, co z tego wyniknie, jeżeli woda pokaże się znowu? Gorzej będzie, niż dawniej, dla takich, jak panienska jesteś!

— Nie widzę, co-by mogło być gorszego od śmierci, ciężkich czasów i mężobójstwa?

— Otóż to tak! taka mowa młodych dziewcząt, które się nad niczem nie zastanowią. Dla nas biedaków mądrze to jest i dobrze.

ważyć życie najwięcej, jak Bóg przykazał — a już co będzie potem, to będzie. Niech-no ja pomyślę, niechaj pomyślę troszeczkę. Teraz to ja się już zapominam, ale wiem, że jest coś, co wielcy państwo ważą sobie więcej, niż życie, jedzenie i wszystko inne. Ale zapomniałam wyrazu, jakim wy to nazywacie...

— Honor... czy to chcesz powiedzieć, Nanny? Honor! honor rodu, ma się rozumieć.

— Może być, coś w tym rodzaju, coś, co wiele dla was znaczy. To właśnie popadnie teraz w niebezpieczeństwo, jeżeli stara przypowieść prawdę mówi.

— Pleciesz, Nanny! nie chcę nawet słuchać tego. Któż z nas mógł-by przynieść ujmę honorowi rodu? Dosyć mam już tych baśni dziecinnych. Bywaj zdrowa, pani Stilgoe!

— W każdym razie, nie ty mu ujmę przyniesiesz — gniewnie mruknęła stara kobieta, gdy Alicya, z zaiskrzonymi oczyma, szybkim i pewnym krokiem ruszyła na plebania — nawet o tabace mojej zapomniałaś, taka finfa w nos ci poszła. Dobrze! dobrze! Człowiek żyje, i do końca życia uczy się trzymać język za zębami. — Ale sąd stariej jejmości o świecie okazał się za surowym w tym wypadku; bo Alicya Lorraine, w powrotnej do domu drodze, zostawiła zwykły grosik na tabakę, złożywszy go na otwartém okienku siedziby stariej Nanny.

ROZDZIAŁ XXVI.

Wysłaniec pod ręką.

— Na nic się nie zda mówić o tém dłużej — rzekł Sir Roland do Struana Hales, który na prośby Alicyi przybył dziś do zamku na obiad, żeby rzeczy trochę złagodzić — wiesz, Struanie, że nie mam w sobie ani odrobiny upor. Często nawet miewam wątpliwości, co jest słuszném... i dziwię się ludziom, wyrokującym stanowczo. W tym jednak wypadku niema i cienia wątpliwości. Czy zadowolnił cię wczorajszy borsuk, Struanie?

— Kapitałny borsuk! cudowny, mówię ci, borsuk! Zęby miał jak żelaza na szczury! Ale, mimo to, Fox dał sobie z nim rady. Poczeiwy psia! jak on się brał do borsuka! Wygrałem trzy gwinee i dałem je moim dziewczętom... Poczeiwe dziewczęta, z gruntu pocz-

ciwe... nigy się w nikim nie kochają. A od kiedyż-to nie miały nowych sukien? chociaż dorosłe już z nich panny...

— Nie zważam nigdy na takie rzeczy, jak ubiór — przerwał z niechęcią obojętnością Sir Roland, (który nieraz obdarzał je sukniakami) — ale wiem, że zawsze ładnie i dobrze wyglądają. Struanie, wypijmy ich zdrowie: daj im Boże dobrych mężów!

Rektor spojrzał na Sir Rolanda z przyjemnym zdziwieniem. Przywykł już być do tego, że sam sobie dolewać musiał, podczas gdy gospodarz domu widzem był tylko przyjaznym. To raziło bolesnie delikatne uczucia rektora. Mimo to jednak, wolał sam sobie dolewać, niż niedolany mieć kieliszek.

— A co się tyczy młodzieńca — ciągnął dalej Mr Hales, uczciwszy zdrowie córek, jak przystało — wiesz, może ty jesteś za surowy.

— Przypuszczenie to nie jest dla mnie nowém. Struanie, lubisz kapary do portweju?

— Przekładam je zawsze nad oliwki. Teraz nawet nie można dostać oliwek. Wojna ogólna, na całym świecie wojna! bramy piekielne przemogły... Antychryst tryumfuje, wszędzie krew się leje bez miary! A ja już jestem za stary i nie mam syna, który... któryby poszedł bić się za Anglią.

— Smutna to myśl, ale ty zawsze byłeś wojowniczego ducha, Struanie.

— Rolandzie, Rolandzie, czyż mnie nie znasz? *Szukać pokoju i pokój czynić*, to godło moje i stała taktyka moja. A prócz tego, cóż jeszcze powiada święty Paweł Apostoł w liście swoim do Efezów? Myślisz Rolandzie, że nie znam teologii, dlatego, że umiem siedzieć na koniu i strzelać?

— No, no, Struanie, nie bierz tak do serca urojonych pocisków. Znanym mi jest rozległy zasób twoich uzdolnień, mnie znanym i każdemu. Szczególniej zaś temu chłopcu, którego zeszłej jesieni postrzeliłeś w płuca.

— Proszę cię, jeżeli mi sprzyjasz, nie mówmy o tém. Mam przekonanie, że ten mały urwis sam się nadstawił, żeby wyłudzić ode mnie gwinę. Ale co się tyczy Hilarego, czy wolno mi bez twojej urazy powiedzieć za nim słów parę? Jestem rodzoniusieńkim bratem jego matki, o czém za często zdajesz się zapominać, i nie mogę patrzeć obojętnie, żeby taki dzielny chłopak odtrącony był i wypędzony z domu za rzecz, którą każdy młody chłopak gotów zrobić. Chłopcy póty się kochają co chwila, póki im nie urosną fawo-

ryty. A jedyny sposób przerobienia głupców na bohaterów (w ich własnym przynajmniej mniemaniu) jest: być dla nich gwałtownym.

— I te może prawdy nie są mi obce. Ale ja nie postąpiłem gwałtownie... nigdy się nie unoszę.

— W każdym razie byłeś surowym i twardym. A kimże ty jesteś, żebyś miał prawo jemu przyganiać, Rolandzie? Nie dbam o to, że się na mnie obrazisz, zanim znów do zdrowego rozsądku powrócisz! Ale czyś ty sam ożenił się odpowiednio twemu stanowisku?

— Ożeniłem się z dobrze wychowaną osobą, z siostrą twoją, Struanie Hales, o ile mi to przynajmniej wiadomo.

— No, tak! tak, bez wątpienia! Wiem doskonale, co chcesz przez to powiedzieć, chociaż masz dyabelski sposób panowania nad sobą i napomykania z lekka o rzeczach. Chcesz powiedzieć, że zdaje się ubliżać pamięci rodzonej siostry, mówiąc, że nie była równą tobie!

— Wcale tego nie chciałem powiedzieć. Jaki ty gorączka jesteś, Struanie! Okazałem tylko poszanowanie dla rodziny twojej, Struanie, i po prostu dałem do zrozumienia, że, z twojej przynajmniej strony, nie wypada...

— Niech licho porwie: „nie wypada!” Sir Rolandzie, ja nie umiem wysłowić się tak, jak ty (powinien-bym może dziękować za to Bogu) ale mimo to, wiem przecież, kiedy mam słuszość, Sir, a skoro to czuję, dbam o resztę tyle, co o trzaśnięcie w palec.

— Doskonale. Masz niezrównaną siłę wystrzałową w trzaśnięciu palcami, Rolandzie. Kiedyś się ostatnim razem rozgniewał, usłyszałem to przez troje drzwi dębowych; teraz doszło-by mnie ono co najmniej przez murowaną ścianę. Natura udzieliła ci tej zdolności, abyś mógł wyjawiać swoje dla zła pogardę.

— Nie mam żadnych wcale zdolności, Rolandzie. Nie roszczę sobie żadnych wcale pretensyj do krasomówstwa i wiem, że się z moich kazań wyśmiewasz. Wiem, że w porównaniu z całą twoją uczonością, jestem głupi, jak kołek, wbity w ścianę, chociaż zakrystan mój, Gates, nie chce o tém słyszeć. Czy wiesz, co powiedział zeszedłj niedzieli?

— Naturalnie coś wybornego. Zbierz siły, Struanie i wyrzuć to z siebie.

— No, nie było to znowu nic tak bardzo szczególnego. A ponieważ jest on zależny od ciebie, Rolandzie...

— Nie pozbawię go za to dachu.

— Tyś nigdy nikogo nie pozbawił dachu. Chciał-bym, dalibóg, abyś to robił czasami: ty o czynsz swój nie dbasz ani trochę, ale ja dbam o moje dziesięciny.

— To rozczarowujące wyznanie, teraz szczególnie, gdy masz mi ten dowcip powtórzyć. Jakiż tedy był epigramat zakrystyana?

— Mniejsza o to. Da się przechować... jak niektóre z twoich własnych tajemnic. Ty bo chciał-bys wszystko wiedzieć, a nie powiedzieć nic nikomu, jak ów lis w bajce.

— Stary to aforyzm — łagodnie odpowiedział Sir Roland — że wiedzieć jest dziesięćkroć lepiej, niż powiedzieć. Starajmy się wiedzieć wszystko, Struanie, i zadowalniać się tą wiedzą.

— Tak, tak, starajmy się wiedzieć wszystko. Ale od ciebie nikt się nie nigdy nie dowie... i w tém właśnie rzecz, Rolandzie. A teraz słuchaj, jak mnie tu widzisz z tą szklanką w ręku, tak pożałujesz kiedyś tego, co robisz.

— Nie robię nic wcale, Struanie, dziwuję się tylko twemu podrażnieniu.

— Nic nie robisz. To u ciebie znaczy nic nie robić, wypędzić z domu jedyne go syna i doprowadzić szwagra do takiego stopnia zniecierpliwienia, iż przygania Panu, że uczynił go proboszczem, nie zaś wikarym, bo wtedy mógł-by zakłać swobodnie. Ale dosyć już... nie powiem nic więcej. Nikt, prócz najbliższych moich, nie wie, co się we mnie dzieje. Nie, dziękuję ci, Sir Rolandzie! nie będę już pił wina; nie, nie, ani kropli więcej. Trzeba mi iść, dopóki jeszcze widno schodzić.

— Nie zrobisz nic podobnego, Struanie Hales — odparł mu gospodarz domu, tym pewnym głosem, który niezawodnie zawsze postawi na swoim — usiądziesz i wypijesz jeszcze kieliszek portwajnu i pogawędzisz ze mną przyjacielsko.

— No, dobrze już, dobrze, zrobię już, co zechcesz dla twojej przyjemności; w tych czasach niesłychanie trudno ci dogodzić.

— Znalazł-bys, że mi niezmiernie łatwo dogodzić, gdybys tylko (zamiast dalszych wymówek, lub wzmianek o rzeczach, które cię obchodzić nie mogą) zechciał uszczęśliwić mnie spokojnie wypowiedzianem zdaniem twoim o całej tej głupiej sprawie biednego Hilarego.

— Wszystko to stanowi jedną całość. Tak mnie ograniczasz — rzekł rektor, uszczęśliwiony, że może dać swoje zdanie, ale chcąc się z nim troszeczkę podrożyć — a przecież widzieć musisz, Rolandzie, że wszystkie te kwestye razem się, iż tak rzekę, trzymają. Potrzebasz głową? No, to przypuśćmy, że ten nieborak Hilary sam jeden stoi na placu. (Każda beczka ma dno własne) Otóż ja-bym z nim postąpił, jak następuje: nie pisał-bym do niego ani słowa, pozwolił-bym

mu siedzieć cicho w swoich *breaches* czy *breeches* (gra słów: *breaches* wyłomy, szczyrby *breeches* spodnie) bo nie wiem, jak powiedzieć należy; niezadługo nie będzie miał ani jednego grosika, którym-by mógł brzęknąć w kieszeni, i wtedy pokajać się musi. Tymczasem zaś wyprawił-bym do Kentu w poselstwie kogoś przenikliwego, aby zobaczył, jakiego to gatunku są ci ludzie, do których tak się zapalił Hilary. Wtedy postąpił-bym stosownie do zebranych tam wiadomości. Wtedy moglibyśmy wszystko zerwać bez zwłoki, nie narażając się na odpowiadanie za to przed sądami. Wiész, co to są ci attorneyowie!

Sir Roland pomyślał chwilę, poczem odpowiedział z zadowoleniem.

— Struanie, twoja rada jest dobrą. Myślałem już sam o tém, przed przyjściem twojem. Ten głupi chłopak musi niebawem powrócić do zdrowych zmysłów; boi się teraz długów; dopiekły mu już w Oxfordzie. A mogę mu zawierzyć, że nie robi nic nieuczciwego, ani téż, że zimnej krwi nie zachowa. Cała jednak trudność w tém leży: kogóż ja mam takiego, komu-bym mógł zaufać, że pojedzie do Kentu i zda mi wiarogodną sprawę o tym chciwym „hadowey” i jego podstępnej córce?

— A mnie zaufał-bys, Rolandzie?

— Ma się rozumieć. Ale zechcesz-że zrobić to, Struanie?

— Dlaczego nie? Rad-bym téż wiedział, dlaczego nie? Mogę się tam dostać w przeciągu dwóch dni najdalej, a mała zmiana zrobi mi wiele dobrego. Wy, świeccy, nigdy tego nie pojmiecie, co to jest być pastorem! Wikary jaki przyjdzie tu za gwineę i odprawi za mnie niedzielne obowiązkowe nabożeństwo poranne, a co się tyczy popołudniowego, no, to zgromadzenie pobożnych dozna uciechy zawiedzionego oczekiwania. A jak powrócę, słowom moim przybędzie wagi, bo przekonają się ludzie, że tamten gorzej kazał ode mnie. Ale teraz właśnie ciężkie czasy u mnie, Rolandzie. Jeżeli pojedę, zapłacisz za mnie zastępcę?

— Nietylko zapłacę, ale jeszcze podziękuję ci z najżywszą wdzięcznością.

— Wzajemnie się skwitujemy z wdzięczności. Obowiązkiem jest moim wejrzeć w sprawy mego siostrzeńca, a przytem gwałtownie potrzebuje wyrwać się z domu. Słyszałem téż, że w tamtych stronach wyborne poławiają się pstrągi. Jeżeli Hilary, który ode mnie się nauczył wszystkiego, co umie, mógł złapać taką pyszną rybę, jak mi to Alicya opowiadała, to czegoż ja tam nie dokonam, ja, com tu dyszał tyle czasu w téj rozpalonej do czerwoności krédzie? Rolan-

dzie, muszę wypalić fajkę, chociaż ty tego niecierpisz. Ja ci pozwalam kichać, pozwól ty mnie dmuchać!

— I owszem, Struanie, na ten raz możesz sobie robić, co chcesz. Bardzo to z twojej strony poczeiwie.

— Ja sędzę, że gdybyś był pozwolił temu chłopakowi palić — rzekł rektor, zapalając się przy fajce — nigdy-byś nie był miał z nim kłopotu o te głupie sprawy miłosne. Kupido nienawidzi tytoniu.

ROZDZIAŁ XXVII.

Wakacyjna wycieczka proboszczowska.

Nazajutrz po powyższej rozmowie, można było widzieć przed wieczorem samotnego jeźdźcę, jak na wierzchowcu (albo raczej, dokładniej mówiąc: na kucu) dzielnie mknął równiną, dążąc do poczeiwego miasteczka Tonbridge, w hrabstwie Kent położonego. Za nim, przytroczony do siodła, spoczywał nie duży, walcowatego kształtu, skórzany tłomoczek, zawierający ubranie na zmianę i inne drobnostki, ku wygodzie podróżnika służące. Kuc, na którym siedział, był kary, z białą gwiazdką na czole, mocny w nogach, ognisty i pyszniący się imieniem „Małgosia”. Małgosia wyzdrowiała już zupełnie po owój dziesięciogwineowej biesiadzie, którą sobie na dolinach wyprawiała, i niemniej od rektora rada była, że w inném powietrzu machać będzie mogła ogonem. Szła wyciągniętym stępem, nastawiając uszu, jak należy, szczególnie, gdy ją zaleciał, we wszystkich małych miasteczkach panujący, zapach koni, przywódzający jęj na myśl gwizdanie stajennych, wycieranie spotniałych jęj boków, wiadro z wodą, a co najlepsza, smaczne ziarna owsa na przetaku, wśród plew podskakujące.

Małgosia chlubiła się swoim panem i uważała go za najdzielniejszego z ludzi, którzy kiedykolwiek szpicrutą nad uchem końskim świsnęli, a sąd ten o nim przejęła od młodego wytwornisia, myśliwskiego wierzchowca, który był dla niej wyrocznią. Oj! krucho było-by z osiołkiem Jackiem, gdyby to Małgosia niosła była pana swego w owęj chwili, gdy niegodziwy ten napad miał miejsce! Ale jeżeli Małgosia znajdowała się teraz w świetnym humorze, jakież górnołotne słowa osiągnąć są zdolne tych wyżyn szczęśliwości, na których przebywał jęj jeździec?

Dzień za dniem, od pewnego już czasu, rektor z upragnieniem

wyglądał jakiegokolwiek sposobności do rozrywki. Jowialna i otwarta jego natura czuła się uwięzioną, ścieśnioną, strutą prawie w braku jakiegokolwiek dla objawów swoich ujścia. Nienawidził książki, nienawidził pióra, niemniej też nienawidził próżniactwa i nigdy nie był-by osmagał szpicerutą Bonnego, gdy-by był w takim humorze, w jakim być-by powinien. A co więcej, złościły go już okrutnie, choć sam nie wiedział dlaczego, plotki o Coombe-Lorraine i lekceważenie, z jakim odzywał się o nich Sir Roland.

A teraz oto był tutaj, w podróżnym ubraniu, nikt nie o nim nie wiedział, i wolno mu było wziąć się na prawo, czy na lewo, stosownie do tego, na co mu przyjdzie ochota; miał pełną sakiewkę gwinei, które mógł wydawać jak swoje, nie czując z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Ale bał to jeszcze niedosyć: z pełną sakiewką gwinei, które mógł wydawać, jak mu się żywnie podobало, rozkoszując się przeświadczeniem, że wydaje nieswoje pieniądze dla osobistej swojej przyjemności, zarówno jak i na większą korzyść ludzkości. Piękne to i rozsądne uczucie, którego doznać rzadko miewa się szczęścia; ztąd wynika, że ktokolwiek go dozna, niech sercem wzniesie się wysoko i radości niech będzie pełen.

Bądź-to z powodu owej pięknej niezrozumiałości, która jest nieodstępna towarzyszką zasługi, bądź-to z powodów chwalebnej oszczędności w szafowaniu zawierzonych mu funduszów, bądź-to wreszcie z jakichkolwiek innych powodów, dość, że w obliczu całego miasta Tonbridge, pożądaný ten podróżny zawrócił kuczkę w spokojny dziedzińczyk staroświeckiej gospody „pod Szachownicą”. Wszyscy inni gospodarze zajazdów mruknęli z niezadowolnienia i słomki za nim rzucali: jeden tylko gospodarz z „pod Szachownicy” pobrząknął wiadrem o wiadro, gwiznął, przybrawszy arcy-powabną postawę i taką minę, jak-by gościa tego napewno się spodziewał.

Mr Hales, jak istny handlarz bydlęm (w takim bowiem przedstawiał się tu charakterze) przełożył prawą nogę przez kark kuczki i tym sposobem stanął na ziemi, poczem wszyscy, znajdujący się na dziedzińcu, od razu się domyslili, po co przybywa i jaki tu ma interes. Nikt już nawet nie próbował zedrzyć go w rachunkach; wiadomo jest bowiem, iż beznadziejną jest rzeczą zedrzyć handlarza bydlęm inaczej, jak przy kartach.

Tak więc mało mając do mówienia, i mało też powiedziawszy, nie duchowny ten duchowny zjadł znaczną wieczerzę i wypalił fajkę w towarzystwie swego gospodarza.

Samo się z siebie rozumie, że rozpytywał jak najpoważniej

o wszystkich właścicieli folwarków okolicznych, i że nieznacznie naprowadził rozmowę na „gospodarza” Lovejoy i jego interesa, a ponieważ tak się zdarzyło, że do téj właśnie gospody zawsze zajeżdża w Tonbridge Marcin Lovejoy, przeto właściciel zajazdu dał mu jak najlepsze świadectwo, nawet tytuł *Esquire* (tyle co u nas: *dziedzic*).

— Tak! tak! — zawołał, trzymając szklanicę w jednej ręce, a w drugiej cybuch, którym energicznie wykonywał poruszenie — niewiele znajdzie się tutaj takich, których-by można porównać ze Squire Lovejoy. Prawdziwy z dziadów pradziadów Kentyjczyk, nie żaden wędrowny przybłęda. Słyszałem, że grunta ich od tysiąca już lat są w téj rodzinie.

— Wielki Boże! — zawołał Mr Hales — co słyszę? cofamy się w czasy najazdów duńskich i anglo-saskich.

— A widzisz pan — rzekł gospodarz, z lekka szturchnąwszy go fajką dla okazania uwielbienia, jakie w nim uczoność gościa wzbudziła — pan już wiesz to wszystko tak wybornie, jak gdybym, nie wiem jak długo, opowiadał. I w całej rodzinie sami porządni ludzie. Wszystko jak się należy: koń osobno dla niego, osobno dla syna, a osobno dla ślicznej jego córki, nie wozi ję przed sobą na siodełku. Ach! gdyby mi się młode lata wróciły! ale to za wysokie progi, na moje nogi. Chociaż, mojem zdaniem, Szachownica lepiej się opłaca, niż niejeden większy zajazd.

— Sądzę, że pan masz słuszność — odpowiedział mu gość na to. — Jak daleko może być ztąd do folwarku Old Applewood?

— Jak daleko, pytasz pan? Poczekaj pan, zobaczę: coś około pięciu mil może. Słyszałeś pan pewno o ogrodzie Edenu?

— Bezwątpienia. Alboż nie czytam o nim (miał ochotę dodać: „co niedziela”) ale wstrzymał się w samą porę, by się nie zdradzić ze swém pastorstwem.

— Dziesięć mil kraju i co krok rogatki; nigdzie w Anglii niema czegoś równie pięknego. Będziesz pan szedł przed siebie z jakie cztery mile ciągle prosto.

— Dziękuję, ślicznie dziękuję. Jutro rozpytam się o drogę. Ten wyborny poncz to usposabia do snu, jak szlafmyca. Chciał-bym jutro, jeżeli będzie można, połączyć w jedno trochę rozrywki z interesem: lubię ja potroszę wszelkie łowy. Jak pan sądzisz: czy Mr Lovejoy pozwoli mi zarzucić wędkę w swoje wody?

— Czemu nie? powiedz mu pan tylko, że stanąłeś „pod Szachownicą”. — Rektor udał się tego wieczora na spoczynek, wielce zadowolony z siebie, z gospodarza swojego i z całej okolicy. Przespawszy

noc smacznie, w skutek zmiany powietrza, długiej jazdy i dobrej wieczery, obudził się nazajutrz rano, wesół jak skowronek i w stanie umysłu, do śniadania najwłaściwszym.

Na folwarku Old Applewood nastał był właśnie czas „odetchnięcia“ pomiędzy jedną a drugą porą roboczą. Jagody już były minęły, siano było zebrane, w chmielniku zrobiono, co trzeba; John Shorne i jego konie wypoczywały do syta, zbierając siły na drugą kampanią, w której bombardować miano Londyn jabłkami i gruszkami. Wszelka rzecz rosnąca woniała jeszcze latem, ku dojrzałości się chylącym, i tchnęła już jesienią, której ciężar nie uciskał jednak powietrza. Noce były prawie równie ciepłe, jak dni, łagodne powietrze rzeźwiącą miało w sobie słodycz, i ktokolwiek młodym się czuł, a przez okno na świat wyjrzał, twierdzić musiał, iż wstydem jest iść do łóżka. Są tacy, którzy nazywają „najsmutniejszą w całym smutnym roku porą“ połowę lub koniec Lipca, kiedy wszystko, co jest rośliną, ugina się, łściami obciążone. Ale któż są ci, co sobie pozwalają przyganiać bogatęj i darami hojnej pełni sił natury? W nich-to samych leży zapewne źródło niezadowolenia: wszystkie pory roku dobreimi są dla tych, którzy w sobie właściwą mają do nich przyprawę.

A to, w chwili właśnie, gdy pola, i lasy, i płoty stoją, rumieńcem skwarów letnich spłonię, kiedy ptak wszelki, i nietoperz, i owad każdy, na brytańskich wyspach przebywający, jest tak czynnym, jak tylko nim być powinien (a czasem nawet i zanadto czynny), wtedy właśnie, gdy poczciwi ludziska, zmęczeni upałami, spoglądają na siebie w przekonaniu, że może za ciężko pracowali, lub zanadto byli opryskliwi w czasie mrozów (a takimi bywają zawsze, wyjąwszy w Lipcu), i zaczynają przemyślać, czyby ich dzieci nie pobawiły się rade z dziećmi sąsiadów, bo niema teraz obawy zaziębienia, i po tém, gdy zaczną radzić o jakimś przyjęciu w ogrodowej altanie, połączonym z różnemi przyjemnościami; gdy na to wszystko pora przychodzi, jakież my mamy prawo brać to wszystko ze złej strony?

Ani to zupełnie złe, ani też zupełnie dobre. To jedno jest tylko pewnem, że poczciwy nasz proboszcz, o ile to w mocy jego było jak najmniej do proboszcza podobny — a miał w tym kierunku niepospolite uzdolnienie — zawracał na swojej Małgosi w dziedziniec „gospodarza“ i rozglądał się wokoło, dla zbadania miejscowości. Na pierwszy rzut oka, wszystko mu się tu podobało: prostota, wygoda, gościnność, walczyły tu z sobą o lepsze. Nawet szukający przyczepki człowiek, jeżeli tylko choć trochę znał się na rzeczy, nie mógł tu niczemu przyganić. Nasz proboszcz wcale nie szukał przyczepki i wie-

dział jak powinno wyglądać porządne gospodarstwo, to też dwa razy już powtórzył: „Przewybornie!” zanim oddał cugle Małgosi irlandzkiemu *Paddy from Cork*, który, ma się rozumieć, natychmiast podbiegł ku przyjezdnemu z rozkosznym przekonaniem o nadjeżdżającym napiwku.

— Czy w domu Squire Lovejoy? — zapytał gość, postanowiwszy nie skąpić grzeczności, co Paddy oceniał, jak należy. To jednak później nastąpiło, teraz zaś Paddy wytrzeszczył tylko oczy, a proboszcz powtórzył zapytanie.

— Czy gospodarz w domu? — z irlandzka powtórzył Paddy — pójde i spytam się pani.

Ale nim uczynić to zdążył, ukazał się sam gospodarz z motyką na ramieniu. Był właśnie w chmielniku i, usłyszawszy tentent konia, przyszedł dowiedzieć się, co to jest. Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie z wzajemną w tym spojrzeniu pochwałą. Proboszcz wysoki, silny, rzeźki, miał w układzie tę śmiałą otwartość, którą nadaje, lub przynajmniej podnosi, życie na otwartym powietrzu, mężkie rozrywki, wygodny byt i towarzyskie zebrania. Rysy miał wyraziste i znaczące; w zarysie szczęk było akurat tyle uporu, ile go mieć potrzeba, by umieć zarządzać parafią, a nie było w nich tej kwadratowej ciężkości, która sprawy kościoła i parafii wiedzie za uszy. Gospodarz był średniego wzrostu, krzepki i widocznie do użytku służący; twarz jego świadczyła o niejednokrotnych ze światem zajściach, ale spojrzenie było szczere, a wyraz ust niezmiernie miły. Miał on zwyczaj nie mówić nic, dopóki inni swego nie powiedzą, i teraz też w milczeniu pozdrowił rektora, i czekał aż ten mówić zacznie.

— Mam nadzieję — odezwał się gość — że wybaczysz pan śmiałości, z jaką tu pana najeżdżam. Po raz pierwszy zawędrowałem w tę okolicę podczas letniej wycieczki, a gospodarz z „Pod Szachownicy” w Tonbridge, gdzie się zatrzymałem na dni parę, mówił mi, że pan pozwolisz może, bym w pańskiej rzece spróbował co ułować?

— W naszym strumyczku? Nie zostało tam już chyba ani rybki; ale i owszem, probuj pan, probuj, zezwalam jak najchętniej; lękam się tylko, czy to nie będzie obiecanka cacanka. Mielśmy tu młodzieńca z Londynu, niepospolitego rybaka i, jak mi się zdaje, wyłowił on ryby co do jednej.

— Jeżeli pan uprzejmie pozwalasz, nie zawadzi spróbować — odparł rektor, śmiejąc się w duchu z pierwocia rybołówczej umiejętności Hilarego, w porównaniu z własnym sztukmistrzostwem. —

Pogoda jakoś nieobiecująca, a i rzeki nie znam, ma się rozumieć. Pozwalasz pan jednak spróbować, co potrafię?

— Ile tylko się panu podoba. Grunta moje ciągną się w górę strumienia, dopóki tylko go widać, a w dół, aż do drogi, kołowrotem zamkniętej. Dojrzymy tu pańskiego konia, a jeżeli pan zechcesz odrobinę przekąsić, to obiadujemy o piérwszej, wiczczamy o siódmiej, a między jedném i drugim zawsze się coś znajdzie w spiżarni. Chcesz pan wstąpić do domu, nim wyruszysz na ryby?

— Dziękuję za łaskawe zaprosiny, ale sędzę, że lepiej zrobię, gdy zapytam pana o drogę i pójdę sobie czém prędzej. Teraz właśnie ukazała się chmurka; za godzinę może jój już nie będzie, a strumyk musi być, naturalnie, płytki i przezroczysty. Jakbądź mi się powiedzie, wstąpię do pana podziękować, skoro będę wracał po kuca. Nazywam się Hales, łaskawy panie, urzędnik jestem z hrabstwa Sussex, do usług pana, i niezmiernie panu wdzięczny.

— I ja również, panie Hales, i życzę panu przytém lepszej zabawy, niż ją pan znajdziesz. Najbliżej panu będzie przez ten płot, a jak pan dojdiesz nad wodę, to idź, dokąd chcesz.

— Jeszcze zadam pytanie, które zawsze zadają: jakiej wielkości ryby pozwalasz pan łowić?

— Jakiej wielkości? Takiój, jakiej je pan złowisz, naturalnie. Im większe, tém mniej mają ości.

Roześmiewszy się z téj odpowiedzi, proboszcz ruszył w drogę z zapasem sztucznych owadów w kieszeni i z wędką w ręku, pożyczoną (dzięki gospodarzowi zajazdu) w Tonbridge. Szedł żwawym krokiem, spojrzenie miał pogodne, i daleko więcej myślał o czekającej go rozrywce niż o interesie, dla którego tu przybył.

— Aha! — zawołał, ujrawszy strumień w miejscu, gdzie brzeg tworzył nagły zakręt — trzeba tu będzie cieniutkiego włosienia i jednej muchy dość na przynętę. Trzeba, ma się rozumieć, puścić wędkę z wodą, bo pod wodę prowadzić jój nie można. Trzeba będzie pokazać, co umiem.

I pokazywał istotnie, ale tego było za mało. Co kwadrans zakładał musiał nową muszkę; wypróbował wszystkich sposobów, jakich go nauczyło doświadczenie; próbował nawet brać na przynętę żywe muchy, potem panny i świerszcze; ale ani jeden pstrąg nie wypłynął na wodę, ani jeden nie zawahał się nawet przez chwilę, nie okazał, że uledez może pokusie.

Tak dalece był zniecierpliwiony (a tak był pewny swojej zręczności i tyle na nią polegał), że, po dziesięcio-godziném siedzeniu

nad wodą, złowiwszy tylko nowo-narodzonego minoga, rektor gwałtownie zaprzestał połowu i zabolał nad tém, że wyczerpał już cały swój zasób doraźnych wyrażań. Gdy poczciwy człowiek zajdzie tak daleko, wtedy powstaje w nim pewna reakcyja (bądź-to sumienia, bądź żołądka) i sprowadza go z drogi, po której zwykł kroczyć bądź-to myślą, bądź słowem, lub uczynkiem.

Wielebny Struan Hales siadł na ziemi, dziwując się sobie, że się stał takim niezgrabnym głuptasem, a jednocześnie podniósł się w jego opinii Hilary, umiejący łowić tak głęboko podejrzliwe i tak roztropne pstrągi. I gorzko bolał nad swoim losem, że mu trzeba iść po kuca, a lada gamoń będzie mu zaglądał w koszyk i szczyrzył zęby na widok wspaniale pięknych w nim pustek. Co więcej, znalazł się on teraz oko w oko z głodową męką, najstraszniejszą, jaka się zdarzyć może: taką, jaką człowiek sam wyzywał, o jakiej mówił pogardliwie, a teraz musi ją znosić spokojnie.

Nic nie przesadzając (jeżeli rzecz taka jest możebną) Mr Hales zauważył, że jego „wewnętrzne ja” (tak nieopatrznie narażone na skutki obcego sobie kentyjskiego powietrza) „formalnie na niego czekało” jak to dobitnie opowiedział żonie, znalazłszy się w domu z powrotem. Ale teraz był o pięćdziesiąt mil od domu, i nietylko z koszykiem na ryby, ale jeszcze z dużo mu bliższem i droższem miejscem schowania, pełnem jak najczyściejszej próżni. „To rzecz niezmiernie smutna” oświadczył, a cały jego organizm zawtórował temu wyznaniu.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Nieprzeparta.

Podczas gdy rektor siedział na omszonych korzeniach jabłoni, znużony i niepocieszony w żalu, słuchając mruczenia strumyka i głośniejszego we wnętrzu własnem mruczenia, ujrzał niespodzianie lekką, kształtną postać, która przebywała strumień po wązkiej kładce, o jakie sto łokci od tego miejsca leżaczej.

— Ładna dziewczyna! — pomyślał rektor — przysiągł-bym, że ładna, poznaję to z jej chodu: brzydkie dziewczęta nigdy tak chodzić nie będą. Ach! żeby mi przyszła na ratunek! Ale ta kładka nie wygląda bezpiecznie... muszę pójść panience na pomoc. A! już tu jest! jakim lekkim krokiem idzie! Dalibóg, niesie koszyk! Ale dla

mnie pewno nie się w nim nie znajduje. Gdzież-by mnie spotkało podobne szczęście, w takim, jak ten, dniu feralnym!

Tymczasem dziewczę zmierzało, jak mogło, to jest o ile na to pozwalało kręte łożysko strumyka, ku temu sceptycznie gderzącemu niewdzięcznikowi, aż wreszcie stanęło tuż przed nim i spójrzało na niego, a on na nie.

— Co za śliczne stworzenie! — pomyślał pan Hales — a jak jęć do twarzy w tém ubraniu! Na sam widok jęć kapelusza, młody chłopak od zmysłów odejść może! No, chciał-bym zawrzeć z nią znajomość, gdyby nie to, że na pół umarły z głodu. *Acrior illum cura domat* — jak powiada Sir Roland.

— Proszę pana — odezwało się dziewczę z jasnym i skromnie wesołym spójrzeniem — czy pan jesteś panem *Hales*, który rano prosił ojca o pozwolenie łowienia ryb?

— *Hales* nazywam się, *Hales*, piękna panno; biednym jestem, lichym urzędnikiem z hrabstwa *Sussex*.

— Kiedy tak, panie *Hales*, to się pan nie obrazisz na mnie za to, iż mi przyszło na myśl, że pan możesz być głodny?

— Głodny i... spragniony — westchnął rektor — przysięgam Bogu, gdybyś знаła panienka moje położenie, litość czuła-byś nademną!

— Przyszło mi i to także na myśl, że pan możesz być spragnionym — odpowiedziała, wyjmując ze swego koszyczka serwetkę, talerz, nóż i widelec, pół bochenka chleba, oraz coś w płótno owiązanego, czego zapach przeniknął aż do głębi serca proboszcza; poczem wyjęła kamionkę, półkwartowy rogowy kubek, a w końcu szczypkę soli. Wszystko to ustawiła, jak na stoliku, na wzniesieniu trawą obrosłym, które bystre jęć oczy tuż obok siedzenia ze mchu dostrzegły.

— Nigdy w życiu nie byłem nikomu tak wdzięcznym... nigdy... nigdy! Moja śliczna panienko, jakie masz imię, żebym je mógł błogosławić co wieczór?

— Nazywam się *Mabel Lovejoy*, proszę pana. I spodziewam się, że pan łaskawie wybaczysz, że nie przyniosłam nic lepszego. Wiem, że panowie rybacy wolą kaczki, ale tak się jakoś zdarzyło, że nie mieliśmy w spiżarni nic, prócz pieczonego z młodej gęsi.

— Gęsi! dużo smaczniejszy ptak! i więcej na nim do jedzenia. Łaska Bożka, że to nie kaczka, panienko. Z połowy kaczki był-by ten tylko pożytek, że mi ślinka szła-by do ust na drogę. Ale na miłość Bożką, daj mi się napić odrobinkę! Co to? woda?

— Nie, panie, piwo domowego wyrobu. Ale bądź pan łaskaw zjedz pierwój choć jeden kasek. Słyszałam, że to niezdrowo pić przed jedzeniem.

— Temu prawidłu chętnie zadość uczynię — odparł proboszcz z ustami pełnemi pieczystego — wyborna gęś! przewyborna! Panienko droga, musisz być owym dobrym Samarytaninem, a w każdym razie powinna-byś zostać jego żoną. Zdrowie twoje, jak najlepsze zdrowie, panno Mabel Lovejoy! abyś nigdy nie popełniła gorszego uczynku, jak dzisiejszy, ja zaś dobroci twojej nigdy nie zapomnę.

— O! tak się cieszę, widząc, że tém przyjemność zrobiłam. Ale nie pan nie mów, dopóki nie zjesz aż do ostatniego kęska. Powinieneś pan umierać z głodu?

— Powinność tę wypełniam sumiennie; więcćj powiem: zagłodzony jestem.

— Proszę pana, jest tu troszkę farszu; niech pan pozwoli, ja pokazę; tu w wolu. Sama go kładłam, wiem tedy, gdzie go szukać.

— Co to za świetny, szlachetny, co za niepospolicie wzniosły farsz! Ten, kto go robił, urodził się na pożytek, wyzwolenie i uszlachetnienie ludzkości.

— Nie powinieneś pan tego mówić, bo to ja ten farsz robiłam.

— O! „Dea, certel” Przypominam sobie oto łacinę pod wpływem zachwycenia. Ale jakże mnie tu pani znalazłaś? i jak się to stało, żeś pani wspaniałomyślnie pomyślała o mnie?

— Widzi pan, obchodzą mnie, bardzo mnie obchodzą wszyscy amatorowie rybołówstwa, dlatego... o! dlatego, że i mój brat, Karol, zapalonym jest rybakiem; ktoś z naszych ludzi spotkał tu pana po południu i mówił, że pewny jest, że pan nic a nic nie złowił, bo słyszał pana... to jest, zdawało mu się, że słyszał...

— No! no! powiedz pani: utyskującego łagodnie, nie klnącego... nie mów pani „klnącego”.

— Nie miałam zamiaru mówić: „klnącego”. Dlaczego przyszło to panu na myśl? Pewna jestem, że pan nie potrafił-byś kłać; nieprawdaż? To też kiedyś pan nie przyszedł na wieczerzę, przyszło mi do głowy, że musisz pan potrzebować posiłku, w takim razie szczególnie, jeżeli pan nic nie złowiłeś, żeby pana pokrzepić po tylogodzinném natężeniu. I wtedy obmyśliłam sobie pewny plan, który panu zaraz opowiem, jeśliś pan tak nieszczęśliwy, że go potrzebujesz.

— Jestem tak nieszczęśliwy, że zasługuję na niego najzupełniej;

rzucić tylko pani tu okiem, piękna panno Mabel! — I z temi słowy podniósł wieko koszyka, ukazując żałosne jego pustki.

— West-Lorraine! — zawołała — West-Lorraine. Bo nazwisko i adres rektora wypisane były na wewnętrznej stronie wieka.

— O! przepraszam pana, panie Hales, nie powinnam była zauważyć tego.

— Owszem, mogłaś pani, ale nie powinnaś była tak odwracać główki ode mnie. Cóż złego zrobiło pani West-Lorraine, że nie raczysz spojrzeć na jego rektora?

— O! nie, proszę pana, nie! Nie była-bym tu przyszła nigdy, gdybym tylko przypuścić mogła...

— Żebyś pani mogła była przypuścić, co? Śliczna panno Mabel, proboszcz ma prawo żądać objaśnienia, skoro na jego widok młoda panienka tak się rumieni.

— Och! to okrutnie ze strony pana. Powiedziałeś pan, że jesteś urzędnikiem, i że nazywasz się *Halls*.

— Bo to prawda: jestem urzędnikiem stanu duchownego, chociaż nie nazywam się „Halls”. Ojciec pani pomylił się. Powiedziałem mu prawdziwe nazwisko moje i z nim razem stoję na usługi pani. Wujem jestem pewnego pięknego młodzieńca, którego imienia, ręczę, nie słyszała pani nigdy. Zdarzyło się pani kiedy słyszeć o młodym człowieku, nazwiskiem Hilary Lorraine?

— O! teraz już wiem, po coś pan przyjechał! O! nieszczęście moje! pan tu wcale nie dla łowienia ryb przyjechałeś! może nawet nie złapałeś pan w swoim życiu ani jednej ryby. Pewno wszystko idzie jak najgorzej? pan przyjechałeś powiedzieć mi, co oni tam o mnie myślą? i pewno był-byś pan najszczęśliwszy, gdybyś mógł zamknąć mnie w więzieniu?

— To był-by dopiero dowód wdzięczności, nie prawdaż? Otóż mylisz się pani we wszystkiém. Zdarzało mi się nieraz złapać rybę i po części dlatego tu przyjechałem. A dalej nic wcale nie poszło jak najgorzej, i nie przyjechałem tu po to, aby pani powiedzieć, co „oni” tam myślą o tobie, ale po to, żeby zobaczyć, co ja o tobie pomyślę, co jest zupełnie co innego!

— A cóż pan myślisz o mnie? — spytała Mabel, spuszczaając oczy i uśmiechając się figlarnie, a razem wyglądając na taką potulną trusię, że pierwszą jego myślą było uściskać ją.

— Myślę, że dość wielka z pani filutka, aby każdemu głowę zawrócić. Myślę także, że jesteś pani o tyle dobrą, aby umieć go potem na całe życie uczynić szczęśliwym.

— Wcale tego nie jestem pewna — odparła, podnosząc łagodne spojrzenie i rumieniąc się aż po samo czoło — wiem tylko, że chciała-bym, aby tak było. Ale nie każdy jest pastorem i nie każdy zna się na dobroci farszu, wewnątrz schowanego. Ach! gdybym ja była wiedziała, kto pan jesteś, nigdy nie była-bym panu przyniosła przekąski.

— Jak można mówić podobne zdrożności! Proszę, zechciej mi pani powiedzieć, dlaczego mam umierać z głodu z téj racyi, że jestem wujem Hilarego?

— Bo pan gotów jesteś pomyśleć, że ja chciałam przypochlebić się panu, żebyś pan... żebyś pan był za mną.

— I żeby mnie swoją gęsią na gęś także wykierować! No, Mabel, zdaję się zupełnie na twoją łaskę. Należy powinszować Hilaremu, że pozyskał serce najpiękniejszej, najmilszej i najsprytniejszej w całym hrabstwie Kentu panienki.

— O! nie; tego pan mówić nie powinieneś, bo ja wcale nie jestem taką, i nie trzeba tak ze mnie żartować. A z kąd pan wiiesz, że pozyskał? A cóż na to powiedzieli-by ludzie, gdyby usłyszeli, że on się... to jest, że on chciał-by się ożenić z córką „gospodarza”.

— Co-by powiedział jego ojciec? W tém rzecz. Co inni powiedzą, mniejsza o to. Nie będę ukrywał przed tobą, słiczna Mabel, że ojciec jego okrutnie jest temu przeciwny i że, posłyszawszy o tém, wypędził syna z domu.

— I dlatego-to Hilary nie pisał ani razu! nie wiedział, jak mi to powiedzieć. A ja pewna byłam, że się coś złego stało... ale naturalnie, trudno się było czego innego spodziewać. Biedniśmy, biedni oboje! Trzeba mi się go wyrzec, widzę, że trzeba... od początku byłam przekonania, że to uczynić powinna...

— Nie płacz-że, nie płacz tak, kochanie! Będziemy jeszcze mówić o tém. Wszystko się to jakoś ułoży, zobaczysz... Ale cóż ojciec twój mówi na to?

— Nie wiem dobrze, czy wie co o tém. Hilary chciał się z nim rozmówić, ale przekonałem go, żeby mnie to zostawił. Powiedziałam więc matce najpierw, a matka myśli, że lepiej nie kłopotać tém ojca dopóty, póki się czegoś nie dowiemy od Hilarego. Ale czasami jestem prawie pewna, że ojciec wie o wszystkiém, i że wcale z tego niekontent, bo tak jakoś dziwnie spogląda na mnie. Ojciec jest najlepszy i najłagodniejszy w świecie człowiek, ale czasem taki jest jakiś dziwny, że trudno go wymiarkować.

— Najczęściej tak bywa z ludźmi, którzy coś wari; za nie mam

takich, co jak chorągiewka na dachu. Czy chciała-bys, żebym poszedł go odwiedzić? czy mam jeszcze spróbować piérwój szczęścia z rybami? Inny ze mnie człowiek, odkąd mnie tak posiliłaś, i trudno mi przenieść taką porażkę.

— Jeżeli pan chcesz jeszcze zabawić się tu z wędką — rzekła Mabel, idąc za miłośném spójrzeniem, które (z prawdziwie haczykowatym uporem) nie mogło się oderwać od płaczliwego a pięknego strumyka — to masz na to czasu podostatkiem. Ojciec pojechał do Maidstone, skoro tylko się przekonał, że pan nie przyjdiesz już na wieczerzę, i nie wróci, aż nocą dopiero. A przez ten czas, jak pan tu będziesz próbował co ułować, ja będę miała sposobność pomówić z matką.

— No, no, Mabel, za nadto lekko mnie traktujesz. Dlatego, że nie jestem swoim własnym siostrzeńcem (który to trochę, co umieć, umieć odemnie tylko) i dlatego, że mi się dotąd nie szczęściło, wyobrażasz sobie, że ja nic nie potrafię; kobiety zawsze sądzą podług okoliczności, przejąwszy to może z przykładu ojców swoich. Ale miałaś mi powiedzieć coś, co miało zastąpić mój brak zręczności i wprawy.

— Prawda; ale musisz pan przyrzec, że nie powiesz tego nikomu, za nic w świecie. Odkrył to mój brat Karol, a nie mówiłam tego nawet Hilaremu, bo on i bez tego umiał łowić ryby.

— O! ty najgorsza ze wszystkich ładnych panien impertynentko! jeżeli tak będziesz pogardzała moją rybołówczą umiejętnością, to powiem Sir Rolandowi, że jesteś prózną i wyniosłą.

— O! nieszczęście.

— Że jesteś przykrego humoru.

— Nie, nie, jakże-bys pan mógł to powiedzieć?

— Niezgrabna, źle ubrana, zaniedbana.

— Czy to prawda? czy prawda, panie Hales?

— Prawda! i straszliwie brzydka.

— O!

— A widzisz! aż ci tchu zabrakło z zadziwienia. Chciał-bym, żeby cię teraz widział Hilary; ukradł-by ci coś bardzo miłego i dał-by szturchańca najukochańszemu wujowi. A teraz, wynagródź mi to, jakieś dobra i pocziwa dziewczynka, i powiedz mi ten wielki sekret.

— O! to najprostsza rzecz w świecie! Weźmiesz pan małeńkie ździebełko tego... o widzisz pan! mam troszkę tego w koszyku... odetniesz kawałek i umocujesz to trochę niżej od muchy. Robiłam

to dla Karola, nie wiem ile razy, i zrobię teraz dla pana, jeżeli pan pozwoli.

— I owszem. Spróbuję tego, żeby ci zrobić przyjemność i samemu zrobić doświadczenie. Do widzenia, do widzenia, póki się nie ściemni, kochanko. Zobaczmy, czy urzędnik potrafi złowić rybę.

Gdy Mr Hales powrócił wieczorem późnym pod gościnny dach starego folwarku, dźwigał na szerokich barkach około trzech tuzinów, wcale przystojnych pstrągów, które po większej części zawdzięczał zręcznym paluszkom Mabel, jak sam to wyznawał otwarcie. Pani Lovejoy przysposobioną została przez córkę do przyjęcia go; ale gospodarz nie wrócił był jeszcze z Maidstone, co było wcale pomyslną rzeczą. Tym bowiem sposobem, rektor miał dość czasu, by umówić się z gospodynią domu, co, tak on jak i ona, czynić mają, w celu usunięcia, lub przynajmniej stopniowego zmniejszania tych licznych kamieni obrazy, jak zwykle, na przeszkodzie prawdziwej miłości leżących. Oboje bowiem przewidywali, że jeżeli miłość własna „Franklina” raz będzie zranioną, niezawodnie zagrozi on kochankom drogę surowiej jeszcze, niżby to sam baronet uczynił. A i bez tego nawet trudno było spodziewać się po nim, aby w jednej chwili rzekł się ulubionego planu, o którym wyżej była mowa, mianowicie, że małżonek Mabel dalej prowadzić będzie gospodarstwo odziedziczonego po przodkach folwarku i hodowlą owoców. Po staremu, nieokrzesany trochę, niewiele on sobie robił z baronowskiego tytułu i krwi normandzkiej a i podobny synowi tokańskiej gleby, zadowalał się tém, że krajać mógł pługiem zagon, w rodowym spadku odziedziczony, oraz strzedz domowych bogów i ogniska domowego.

ROZDZIAŁ XXIX.

Same niespodzianki.

Ładna to rzecz mieć sobie mieszkanie w angielskiem prowincjonalnem miasteczku, gdzie nikt nie wie, kim jest przyjezdny i nikt nie dba o to, kim być może. Ładna to rzecz zacząć (powolusieńku) interesować się miejscowością, i rozruszać się aż do tyła, aby uczuć pulsacye żyły *humouru*, na głównej ulicy krążącego. Trzeci z kolei wieczór nie może przelecieć nad głową przybysza, nie przynosząc mu z sobą ogólnego pojęcia o polityce miasta i (co daleko ważniejsze) o politykach; a jeżeli znajduje się tutaj jakakolwiek korporacya, mą-

drość jój objawia się tak głośno, że jeden nie może dać rady drugiemu. Mimo to jednak, skoro walka stoczona będzie, ogólnie twierdzić można, że ostygają wszyscy w zapale.

Ale jest to prawie ostatnia z rzeczy, nad której zrozumieniem powinien przybysz umysł swój wysilać. Było-by to daremną stratą czasu; chyba ma on zamiar zakupić dom i osiedlić się w miasteczku, potem próbować, czy w przeciągu dwóch lat nie zostanie aldermanem, i, wciąż pnąc się po drabinie ambicji, wejść aż na zawrotne wyżyny Lord-Mayorowstwa; aż do chwili, w której ręka śmierci sięgnie pomiędzy szczyble i ściągnie go prostopadle na dół. I wtedy nawet, przez całe trzy miesiące będzie on: „naszym nieodżałowanym współobywatelem“.

Ale jeżeli przybysz stanowczo się usunie (jak to w interesie swego zdrowia obowiązany jest uczynić) od tych bojów ogromnych, na które zawsze zwrócone są oczy narodu; jeżeli mu wystarcza przechadzka bez celu i mówienie kiedy niekiedy „dzień dobry“, oraz wybadanie opinii publicznej, tyczącej się stanu pogody, i roztropne wydatkowanie kilku pensów na podtrzymanie stosunków z dobrem towarzystwem: wtedy niezwłocznie dostanie mu się tyle łyków wszechwiedztwa, ile ich potrzeba na uśmierzenie najstraszniejszego pragnienia; a jednocześnie ziewanie obojętności pochłonięte będzie coraz to żywszym uśmiechem rozbudzonego zajęcia. Wtedy pozwoli mu wejrzyć w stan handlu, mody, treligijnych przekonań, wzajemnych zazdrości, oraz literatury miaseczka, w jego słuszne i rozkoszne poszanowanie własnej godności, w jego tolerancje i nietolerancje (obie często zarówno niezrozumiałe), w jego spokojne uciechy, a co ze wszystkiego najlepsze, w jego eleganckie romansiki.

Wszystko to razem wzięte, dopomogło panu Hales do spędzenia przyjemnego tygodnia w Tonbridge i do zawarcia znajomości z niektórymi ze znaczniejszych tamtejszych mieszkańców, co dla dopięcia swego celu postanowił był, o ile można, uczynić. Od wszystkich otrzymał on jak najpochlebniejsze o rodzinie Lovejoy wieści, jako o rodzinie ludzi spokojnych, dobrze się prowadzących, wielce szanownych, przyjmowanych (ilekroć im o to chodziło) w najpiérwszych domach w okolicy, rozgrzeszonych z hodowli wisien, a nawet z trzymania trzykonnego wozu.

Co się tyczy własnych wrażeń rektora, to im więcej poznawał Old Applewood, tém więcej podobał mu się folwark i jego mieszkańcy; a odwiedzwszy swego kolegę-pastora, beneficjanta parafii, znalazł w nim duszę pokrewną, która to dusza chciała otrzymać od nie-

go przysługę bratnią. Ale co do tego, miał się Mr Hales na baczności i zabezpieczył się z góry, zostawiając kazania wszystkie w domu; od dość dawna był już bowiem w stanie duchownym, aby znać dostatecznie rozkosz, jakiej wzajemnie doznają pastorowie, psując jeden drugiemu ferye. Co więcej, przyobiegał był sobie, że siedzieć będzie w ławce, raz w życiu odzyskując prawo ziewania *ad libitum* podczas kazania, lub nawet chrapnięcia sobie z lekka, gdy się już nasyci słodyczą, ogólnie zwaną lukrecyową szczęśliwością: „przyglądać się bezpiecznie utrudzeniu drugich“; czyli, jak to mniej wytwornie wypowiada majtek angielski o swoje *bonum summum* zapytany: „patrzeć na biędowanie drugich”.

Tymczasem jednak wiele rzeczy zaczynało iść na opak. Między innemi Hilary, straszliwie z gotówki ogołocony, przywędrował tu piechotą, aby trochę pocieszyć Mabel, rozkwaterować się wygodnie, a może nawet coś stanowczego przedsięwziąć. Na szczęście wuj Struan spotkał go w Sevenoaks (gdzie się był udał dla przejażdżki) i zdumiał go niezmiernie energiczną mową, prosząc, by nie robił z siebie „głupca nad głupcami”, poczem wziął go z sobą do piwiarni. Młodzieniec zadziwił się, naturalnie, ujrawszy wuja, ubranego po świecku, wędrującego po świecie bez żony i bez córek, i napadającego nań z góry.

Ale gdy się dowiedział, dla kogo wuj robi to wszystko i jak silnie trzyma jego stronę, wdzięczność jego i wzruszenie były tak wielkie, że zaledwie zdołał skończyć swoją kwartę piwa.

— Mój chłopcze, wstydzę się za ciebie jak najmocniej — odezwał się wuj, dumnie jakoś spoglądając na niego — jeżeli w ten sposób uczuć swoich powściągnąć nie możesz, nie masz widać dojrzałości, w małżeńskim pożyciu potrzebnej.

— Ależ, wuju, kiedy człowiek jest znękaný, a przytém przez własnego ojca z domu wygnany...

— „Kiedy człowiek“. Przypuszczam, że chcesz powiedzieć: „kiedy chłopiec“ *Człowiek* zniósł-by to inaczej

— Pewien jestem, że znoszę to jak najlepiej — odparł Hilary, usiłując się uśmiechnąć. — No, a teraz wypiję twoje piwo, bo wiem, że takie rzeczy zawsze wuja gniewają. Czyż wuj może powiedzieć, że zrobiłem awanturę, albo coś innego, co zrobić mogłem?

— Nie, chłopcze mój drogi, nie; wręcz przeciwnie: postąpiłeś jak najbardziej po anielsku.

— Po anielsku, wuju, i to grosza nie mając w kieszeni. Po anielsku, bo wzdycham do Cherubina.

— Nic nie wiem o żadnym Cherubinie, a przystosowanie tego wyrazu uważam za całkiem niewłaściwe...

— Wuju! stajesz się *hyperkterykalnym* i to w chwili, kiedy cię spotkałem arcy-światowym?

— Nie rozumiem twoich górnych wyrażań Oxfordzkich. Za moich czasów uczono nas tam teologii.

— I polowania, przyznaj, wuju. Wuju Struanie, czyż nie uczono was polowania?

— No tak! — rzekł rektor, gładząc podbródek — ale ja byłem, jak wiesz, ubogim chłopcem i nie mogłem sobie pozwalać na takie rzeczy.

— Tak, ale pozwalałeś sobie, wujaszku! z pięćdziesiąt razy sły-
szałem, jak się sam chwaliłeś.

— Istna plaga z ciebie, Hilary! Mogło się czasem przytrafić... ale co tam mówić o tém! siedzisz sobie tutaj zupełnie tak, jak-byśmy byli w West-Lorraine i gawędzili sobie po obiedzie.

— Co-bym ja dał za to, żebyśmy tam byli, drogi wuju! nigdy już nie doznam tego szczęścia.

— Ej chłopcze, chłopcze! po co to mówić takie rzeczy w twoich latach! Co to jednak jest ta miłość! W tym stanie, nie dba się o obiad nawet!

— No, trzeba mi już z powrotem do Londynu. Kawałek chleba z serem zastąpi mi w ostateczności obiad. Bywaj mi zdrów, drogi wuju, zawsze będę ci wdzięczny.

— Za dwie jeszcze rzeczy musisz mi być wdzięczny, nim ruszysz w drogę. A nie puścił-bym cię wcale z powrotem, gdybym nie wiedział, że ci to na teraz wyjdzie na dobre. Naprzód będziesz mi wdzięczny za obiad najsmaczniejszy, jakiego tu dostać zdołamy; a potem za pięć gwinei w złocie, akurat to, co trzeba, żeby mieć o czém pożyć czas jakiś.

Tym sposobem rektor postawił na swoim i, wybornie nakarmiwszy swego siostrzeńca, wyprawił go na spotkanie przyszłości, ze znacznie pokrzepioném sercem. Hilary, ma się rozumieć, cierpiał i miał ochotę uważać się za obrażonego, bo niemała to rzecz zrobić pieszo dwadzieścia cztery mile, cheiwie krok do kroku przydając, po to, by nie być dopuszczonym do oglądania ukochanej istoty. Widział sam jednak, że tak było najlepiej; a przytém (miłość swoją drogą) ale i pięć gwinei ma swoje znaczenie.

Pocciwiwy wuj zapłacił za niego miejsce w dyliżansie i odprowadził go, i odjeżdżającemu ręką przesyłał pocałunki, i doznał niezmier-

nego uczucia ulgi, gdy stracił siostrzeńca z oczu, bo Hilary był-by mu popsuł wszystkie szyki na folwarku. Poczém przenajpocześciwszy ten wuj wrócił do schludnej, piaskiem wysypanej swojej izdebki, by wypalić świeżą fajeczkę, a pod jój natchnieniem obmyślić, jak wybrnąć z tego nowego kłopotu.

Przybywało ich ogromne mnóstwo, wynurzały się jak wierzchołki wulkanów z morza. Kto potrafi tak się wziąć do nich, aby znikły i pochowały się znowu? Z Hilarym łatwiej przychodziło dawać sobie rady, szczególnież póki nie miał pieniędzy, ale i jemu nawet strzelić mogły do głowy dziwaczne jakieś koncepta, wtedy nawet, gdy-by czuł, że go nie stać na nie. Prócz tego był jeszcze gospodarz, niełatwa do usunięcia liczba w rachunku, i żona jego, która powoła się może na kuzynka Attorney'a; nie mniej jak i Sir Roland, mający taki suchy a niezrozumiały pogląd na rzeczy, i ostatnia z nich, choć nienajmniejsza, wyższa władza domowa pod dachem samego rektora. Gdyby z tą poradzić sobie nie mógł, każdy-by od razu powiedział, że to jego własna wina; że mężczyzna, który nie umie wymóżyć posłuszeństwa na żonie i córkach, nie jest prawdziwym mężczyzną, i nie wart, by go za takiego uważano. Do tego jednak osobnych potrzeba zdolności. Rektor umiał wybornie postawić na swoim (szczególniej gdy rozumiał, o co chodzi) nawet z żoną i córkami, dopóty, dopóki nie przychodziło do płaczu. W końcu jednak (jak sam o tém był najgłębiej przekonany) zawsze porażce ulegał.

A teraz, cóż powiedzą te wszystkie panie, jeżeli beneficiary parafii, z probostwa, ojciec i mąż wszystkich tych pań (stosownie do tego, czém był dla której) odstąpi od własnych pojęć o słuszności i od zasad, które za obowiązujące dla nich uznawał, i to odstąpi tak dalece, że będzie podtrzymywał Hilarego w rokoszu przeciw rodzonemu ojcu? Przekonywanie ich było-by rzeczą nadaremną. Przy sprzyjających okolicznościach, można go czasem próbować, mając do czynienia z kobietą w tédy, gdy jest ona jedną jedyną; ale gdy się ma przed sobą cztery kobiety, z których każda odmiennie zapatruje się na kwestyą, lecz każda każdej chwili gotowa połączyć się z tamtą przeciwko argumentom zdrowego rozsądku... o! wtedy kawaler musi być drugim Don-Kiszotem, mąż i ojciec istnym idyotą, jeżeli polega na innej jakiejś działającej sile, niż na sile własnych. Ale rektor nie był z rzędu tych ludzi, którzy uciekają, nawet od własnej rodziny: to téż ostatecznie postanowił on dozwolnić, aby rzeczy szły przyrodzonym trybem, dopóki nie zjawi się coś nowego. Z wyjątkiem wszakże dwóch drobnych okoliczności, jedna: ustrzedz Hilarego od

przybycia na folwark teraz właśnie, druga: że Gospodarz musi zostać o całej téj sprawie uwiadomiony.

Mr Hales, jako posiadacz córek, czuł, iż słusznie należało się ojcu wiedzieć, co się dzieje z jego własném dzieckiem w tak ważnej kwestyi; sądził przytém, iż było-by to najpewniejszym środkiem do uczynienia go zaciętym wrogiem wszelkiego umiarkowania w postępowaniu, gdyby mu się pozwoliło samemu dociec niespodzianie tego, co się pod jego własnym dachem dzieje. Tak się jednak przytrafiło, że Gospodarz niepomału się wszystkiego domyślał i śmiał się z tego w duchu, i za nic miał sobie (jak to zwykł był zawsze czynić) wszystkie zacnejsze swéj małżonki manewra. „Położę wszystkiemu koniec wtedy, gdy mi się spodoba“, mawiał do siebie co wieczór przed udaniem się na spoczynek; „niechaj pobawią się trochę i niech sobie myślą, że mnie niezmierznie zadziwią“. Gospodarz bowiem, jak każdy prawie człowiek, lat sześćdziesiąt liczący, zapatrywał się na miłość, jako na krótko-trwałą wysypkę, równie mało-ważną, jak wietrzna ospa.

— Tak, tak! nie potrzebnie mi to mówisz — odparł więc, gdy Mrs. Lovejoy, posłuszna radzie rektora i prośbom Mabel, zwolna mu prawdę wyjawiała. — Wiiesz, żono, że nie zamykam oczu, gdy chodzę. Człowiek, który zna każdą gruszkę na drzewie, wie, co znaczą rumieńce na twarzy. Postanowiłem już wysłać ją jutro do jéj wuja Catherow; stara klacz będzie gotowa na dziesiątą rano. Chciałem, abyście sami domyślili się powodu... takie z was mądre głowy! Ha ha! myśleliście, że stary Gospodarz ślepy, jak kret; a co, nieprawda, żeście tak myśleli?

— No, w każdym razie — odparła Mrs. Lovejoy, dając gniewnego szturchańca poduszce — myślę, że mogłeś poradzić się ze mną, Marcinie; połowa jéj bielizny w balii, a na odświętnym jéj kapeluszu pomięte wstążki. Ale mężczyźni zawsze są prędcy i na nic nie mają względu. Naturalnie wszystko musi być teraz robione na gwałt! Słowo daję, Marcinie, mogłeś mnie jedną przynajmniej uprzedzić zawczasu, zamiast ją tak wyprawiać niespodzianie.

— O! z pewnością! i ty także, najdroższa żono, uprzedziłaś mnie zawczasu o swoim zamiarze wyprawienia jéj z domu... na dobre! No, a teraz śpij już i dajmy temu pokój. Co powiem, to zawsze zrobię.

ROZDZIAŁ XXX.

Nasz Stefek.

Kiedy chełpienie się i natrząsanie z pierwocin lata już miną; kiedy liście drzew i krzewów, i nawet niedelikatnych chwastów, zwi-sają na łądkach, zamiast trzymać się prosto, jak to dawniej czyniły; kiedy troski życia wyżłobią nieraz wklęsłość w wypukłej dotąd po-wierzchni: wtedy podobnej, a strapiono-przychodzącej zmiany, spo-dziewać się należy, w duchu człowieka.

Człowiekowi przypomina się wtedy, że własna jego jesień znowu dla niego nadchodzi; że światło niewątpliwie znika, a ciemność go ogarnia, że im więcej słońce wody do chmur zabiera, im więcej sre-brnych pajęczyn unosi się nad zeschłą i w nasienie wybująłą trawą, tém więcej zamiarów jego rozwiewa się i marnieje. Jest to zatem najwyższa pora do pracy, do umacniania nici niepewnych jeszcze za-miarów, do zacieśnienia sieci rozsnutej już przędzy, do zwrócenia się tu i owdzie po uzupełnienie zamiaru, jeżeli ten kiedykolwiek ma się wykonać.

Dlatego też, w miarę jak lato upływało, pewny gentleman, więcej osławiony niż sławny, zaczął niepokoić się o planów swoich powo-dzenie.

Sir Remnant Chapman posiadał rozległe dobra, graniczące ze zmniejszonym, ale znacznym jeszcze obszarem gruntów, jakie na ró-wninach Sussex'u, posiadali Lorrainowie. Jakkowiek upodobania-mi, zwyczajami i charakterem niezmiernie się różnił od Sir Rolanda, głosił się jednak wszędzie, gdzie się pokazał, za najbliższego z jego przyjaciół i sprzymierzeńców. Bezwątpienia też przyjmowany był w Coombe Lorraine, częściej, niż inni sąsiedzi, znał wszystkie sprawy i interesa rodzinne, niekiedy nawet zasięgano jego rady. Mimo to, gorą-ca przyjaźń z trudnością ostać się może wobec braku wzajemnego sza-cunku; a chociaż Sir Remnant nigdy nie mógł się obronić od mimo-wolnego szacunku dla Sir Rolanda, ten ostatni nigdy się nie mógł zdobyć na odwzajemnienie powyższego uczucia.

Wiedział bowiem, że Sir Remnant był typem, wówczas nawet już w Anglii znikającym, chociaż dziś jeszcze znaleźć-by go można w niektórych jej okolicach. Był to człowiek, mający wyrobione zdanie, a nawet to, co można-by nazwać zasadami (on je tak przynaj-

mniej nazywał) we wszystkiem, co się tyczyło honoru, urodzenia, zakładów, patryotyzmu, i niektórych innych kwestyi, dających się zawrzeć w bardzo niedługiem *et caetera*. Trudno jest pogardzać człowiekiem, który tyle ma ustalonych poglądów; ale trudniej jeszcze považać go, kiedy na wszystko się zapatruje jednem tylko okiem, i to jeszcze zepsutem. Sir Roland Chapman nie wierzył w cnotę kobiet i w uczciwość mężczyzn, nie wierzył w cudownie piękną równowagę sił natury, ani nawet w ojcowską tę dobroć, która pociechę nam zysła. Ztąd wynika, że nikt nie mógł go kochać; nie wiele nawet osób zważało na tę głuchą nienawiść, jaką żywił dla rodzaju ludzkiego. „Pogarda” takie dawał ję miano, ale nie miał w sobie tęg wyższości, która jest pogardy podstawą, ani tęg nie sięgał w głębi korzeni tak daleko, aby na tych głębinach wybujać mógł wyższością niepospolitą. „Gorzkie ziółko”, tak go wiele osób zwało, a jednak nie był on nięm tak dalece. Lubił bowiem postępować wbrew własnej naturze, skutkiem może ję przewrotności, i nieraz zrobił coś dobrego na to, aby robiąc to, własnej złośliwości na złość zrobić. Co się tyczy pojęcia o złęm i dobręm, tego nie miał on wcale po-za obrębem życzeń własnych, i wiecznie przypuszczał, że cały świat trzymać się będzie w postępowaniu tęg nizkiej, niekzemnej zasady.

Jak mógł taki człowiek obcować zgodnie, chociażby przez godzinę, z kimś tak od niego odmiennym, a co więcej, tak całkiem przeciwnego usposobienia będącym, jak był uczciwy i zacny Sir Roland? Pan Hales, który (jak nam to wiadome) nie był wcale człowiekiem przesadnie skrupulatnym, i mógł-by może być odrobineczkę o Sir Remnanta zazdrosnym, zadawał nieraz powyższe pytanie zarówno samemu sobie, jak żonie swojej i rodzinie, a echo tylko odpowiadało mu: jak mógł? Jak było, tak było, dość, że było. O jakże wiele dziwniejszych jeszcze faktów przywieść sobie na myśl możemy?

Jedyny syn Sir Remnanta, Stefan Chapman, miał już teraz z górą lat trzydzieści i ogólnie mówiono o nim, że czas mu już było zmienić dotychczasowy tryb życia. Ojciec jego nawet przyznawał, że syn oznaczył sobie za długi termin na „wyszumienie młodego piwka” i że teraz już powinien jąć się korzystniejszego zajęcia. Zdawało się się tęg, że do tego pożądanego celu najłatwiej doprowadzić jest zdolne jak najprędsze ożenienie się z panną ukształconą, rozsądną i powabną. Po długim zatem przeglądzie i roztrząsaniu zalet wszystkich panien okolicznych, postanowiono, że dziedzic-spadkobierca rodu

Chapmanów, powinien ściśłém otoczyć oblężeniem młodzutką Alicyą Lorraine.

„Kapitan Chapman” (bo tak przez grzeczność zwano w sąsiedztwie Stefana, który miał stopień oficerski w eleganckim pułku dopóty, póki pułku tego niewyprawiono na wojnę) pod niektórymi względami dużo był lepszym od ojca, a pod niektórymi znowu znacznie gorszym. Lepszym był przez słabość charakteru (nie miał bowiem dość siły, by do dzieł nieprawości trudu dołożyć) lepszym także przez to, że posiadał nieco dobroci, od której ojciec zupełnie był wolnym. Gorszym zaś był dlatego, że nie miał żadnego poczucia honoru i nawet zarodów jednej zasady, że chwili nawet nie zawahał się nad tém, czy mu na pierwszy rzut oka prawdę nad kłamstwo przynieść należy. Kapitan Chapman jednak umiał dokonać po mężku jednej rzeczy, ale jednej tylko: umiał powozić, uprawiał bowiem tę sztukę wówczas, gdy ona jeszcze coś znaczyła. Wtedy bowiem ujeżdżano konie, zamiast je tresować, jak dzisiaj, a kto chciał powozić czwórką, musiał mieć siłę i zręczność, koniecznie do tego potrzebną. Kapitan Chapman był pierwszym na całą okolicę woźnicą, i nie prędko potrafił skłonić ojca do tego, by usiadł za nim; drogi bowiem były jeszcze bardzo złe i niebezpieczne i łatwiejsze do przebycia dla pocztyliona, niż dla czwórki Stefana Chapmana.

Nie ośmielił się on dotąd nigdy wjechać na Coombe Lorraine, bał się bowiem zjazdu z góry, jak dotąd przynajmniej, bo zamierzał odważyć się na to kiedyś. Teraz zaś, gdy zajechał w konkury, zostawił swój błyszczący ekwipaż u podnoża góry, wydawszy służbie rozkaz, by, poczekawszy w Steyning, zajechano po niego o oznaczonej godzinie. Poczém on i ojciec, obaj utyskując na wyścigi, poczęli piąć się na górę piechotą.

Przed kilku dniami, prosił ich był Sir Roland, aby do niego przyjechali na obiad, bądź to we wtorek, bądź w jakikolwiek inny dzień, dla nich dogodny. Przybywali zatem we wtorek, z góry postanowwszy okazać się ze wszystkiego zadowolnionymi. Ale mimo to, wcale nie byli zadowoleni, ujrawszy, że śliczna panna Alicya tak wszystko ułożyła, by się im wymknąć zupełnie. Była ona zawsze gotową do przyjęcia Sir Remnanta i pełnienia względem niego obowiązków gospodyni domu; ale skutkiem głębokiej a instynktownej odrazy, nie mogła przenieść tego na siebie, by zasiąść z kapitanem do jednego stołu. Nie знаła ona bynajmniej jego charakteru; nie wiedział też i Sir Roland dziesiątej części tego, co zarzucano kapitanowi, inaczéj nigdy-by mu nie był pozwolił zbliżyć się do swojej dziewczki. Po prostu

uważał on Kapitana Chapmana za modnego owych czasów młodzieńca, który może niekiedy i szumiał za nadto trochę, teraz jednak miał zamiar osiąść na wsi, i zająć się zarządem rozległych dóbr ojca.

Żaden przecież z obu tych gości nie przypuszczał, że ich wizyta wpłynęła na przyspieszenie innéj, dawno zalegającej wizyty; a ponieważ dla światowców takiego gatunku jedna panna jest wartą drugieję, przeto bardzo byli zadowolenieni, że mogą się tracić kieliszkami z córkami rektora, zamiast otrzymać chłodny ukłon od trudnéj do rozruszania i nieśmiałej córki domu.

— Słuchaj, Lorraine, — zaczął Remnant, gdy panie wyszły z pokoju, a kapitan (jak to już poprzednio było umówione) wyszedł także, niby to dla zobaczenia czegoś, i uprowadził z sobą rektora — znamy się, jak wiesz, od lat wielu i dziś chciał-bym pomówić z tobą rozsądnie.

— Sir Remnancie — ceremonialnie odparł gospodarz domu — mam nadzieję, że rozmowa nasza jest zawsze rozsądną, o tyle przynajmniej, o ile się tego spodziewać po nas można.

— O! Lorraine, znowu mówisz po swojemu, ukrywając w słowach jakąś myśl wsteczną, której nikt domyslić się nie jest zdolny. Ale mniejsza o to! To już twój zwyczaj taki! A teraz, życzę sobie powiedzieć ci jedną rzecz.

— Ja niemniej pałam żądzą dowiedzenia się téj rzeczy, Sir Remnancie.

— Otóż, ni mniej ni więcej, rzecz się tak ma: Wiesz, w jakich niebezpiecznych żyjemy czasach: wszelakie zło na swobodę jest rozpasane, a szatan, niby lew ryczący, urąga nam swoim tryumfem. Dziękuję, i owszem, zażyję szczyptę; twoja tabaka zawsze przewyborna. Otóż gdy arcy-wróg krąży wokoło, a z nim demokracja, non-konformizm, niedowiarstwo i pożary stert...

— Tak samo zupełnie. Z jaką siłą wyrażen mówisz o tém! Uderzyła mnie już ona niezmiernie w sprawozdaniu, które dziennik *Jerzy i Smok* dał z mowy twojeję, mianéj na obiedzie dla farmerów w Bilinghurst.

— No dobrze, dobrze; mogłem już raz przedtém powiedzieć to samo; ale to tylko jeden więcej dowód, że mam słuszość. Czy możesz zaprzeczyć mi, Sir Rolandzie Lorraine?

— Daleką niech będzie ode mnie myśl zaprzeczania prawdzie. Słucham z najwyższém zajęciem.

— Nie, nie słuchasz nigdy, tak, nie słuchasz, Rolandzie; zawsze, słuchając, myślisz o czémś inném. Ale to, co miałem powiedzieć, to to właśnie, że czas już zatwierdzić związek i zacisnąć węzły przyja-

źni pomiędzy wszystkimi uczciwymi ludźmi, wszystkimi, którzy mają zasady, przez co mam na myśli... no, wiesz już co!

— Niezawodnie; masz na myśli wszystkich nieugiętych Torysów.

— Tak! tak! wszystkich, stojących po stronie Kościoła i Państwa, ziemi i konstytucyi. Wychowałem syna mego starannie, w zasadach jedynie prawdziwych i dobrych. Wychowywać dziecko... ty wiesz, co to znaczy. I ty także, ma się rozumieć, wychowywałeś swoją córkę w tych-że samych zdrowych zasadach.

— Niekoniecznie; pozwoliłem jęj, aby sobie wyrabiała własne polityczne przekonania. I, o ile sędzę, nie wyrobiła sobie żadnych.

— Lorraine, serdecznie się cieszę, słysząc to; takimi powinny być wszystkie dziewczęta. Kiedym był w Londynie, nudziły mnie na śmierć dopytywaniem się o moje przekonanie. Dla nich, im mniej wiedzą, tém lepiej; do kobiety, która ma o czémśkolwiek pojęcie, trudno się odezwać. Poczciwa, droga moja żona ledwo umiała pisać i czytać, a wystarczało jęj to najzupełniej. Nie pisywała nic, prócz karteczek na słoiki z konfiturami, i zaledwie wyczytać to potém potrafiła. Ach! co to była za kobieta niepospolita!

— Prawda, nieraz rozmawiałem z nią z wielką przyjemnością. Wiedziała mnóstwo rzeczy, których nigdy człowiek nie dowie się z książki.

— I Stefan ma także same wiadomości. Powinien-byś go posłuchać; on nigdy żadnej książki nie czyta, i to jest właśnie prawdziwa nauka. Od książek ludzie tylko głupieją. Otóż przyszło mi na myśl, że... aha! wiesz już, o co idzie. Ma się rozumieć, mądrej głowie dość dwie słowie. Nie zejdziesz łasicy we śnie!—I tu Sir Remnant, przyrmużywszy jedno oko, trącił Sir Rolanda kułakiem w bok, przybierając najfiluterniejszą, jak mógł, minę.

— Powtórnie i po raz trzeci nawet zapewniam cię — odrzekł gospodarz domu — że nie mam najmniejszego pojęcia o tém, co chcesz powiedzieć. Twoja teoria o książkach ma we mnie jak najzupełniejsze słuszności swój potwierdzenie.

— Ach! bardzo dobrze, wybornie udawać umiesz, Lorraine. Daj jeszcze szczyptę tabaki i skończmy rzecz. Niech sobie sprzęgną razem swoje konie, tak prędko jak sami zechcą, co?

— Kto? jakie konie? Dlaczego napadasz na mnie tak nieprze-niknionemi zagadkami?

— Napadam na ciebie? Sam mnie przecie zaprosiłeś! Jakto...

kto? A któż-by, jak nie nasz chłopak Stefek i twoja dziewczynka, Alicya?

— Kapitan Chapman i moja Alicya! Nigdy mi myśl podobna nie przyszła do głowy. Czy wiesz, że to biedactwo, Alicya, ma mało co więcej, jak siedmnaście lat? A kapitan Chapman musi mieć... pozwól...

— Mniejsza o to, ile ma. Jest moim synem i spadkobiercą i będzie miał pięćdziesiąt tysięcy gotówką do zapisania żonie... nie tak to mało na dzisiejsze ciężkie czasy.

— Sir Remnancie Chapman, proszę cię, nie mówmy już więcej o tym przedmiocie. Syn twój musi mieć ze dwa razy tyle, co moja córka, a wygląda na więcej...

— Pal go lichu! Więc ja mam chyba siedmdziesiąt? Cóż u diabła, jego wygląkanie może mieć wspólnego z tą kwestyą? Nie mogę nazwać go brzydkim... nie wygląda na gałąź starego pnia. I mogę ci powiedzieć, że niejedna piękna pani...

— Proszę cię, jeżeliś łaskaw — rzekł Sir Roland głosem bardzo stanowczym — jeżeliś łaskaw, przestańmy o tym mówić. Syn twój może być wyborną partyą i jest nią niewątpliwie pod względem materyalnym, i gdy-by Alicya, starszą trochę będąc, przywiązała się do niego, bardzo być może, że nie sprzeciwił-bym się temu wcale. Dziś jednak, nic więcej nie mam w tej materii do powiedzenia; przedewszystkiém zaś, ona słyszeć o tym nie powinna.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział mu na to drugi baronet, który był potroszę raptus.—Panienkę trzeba jeszcze trochę potrzymać na mleczku z chlebem i moralnych książeczkach i tam dalej... Ale, ale, Lorraine, co to ja słyszałem parę dni temu o twoim synu: że wystrychnął się na dudka z córką jakiegoś kupca korzennego?

— Nie słyszałem o żadnej córce żadnego kupca korzennego, a ponieważ niezadługo opuści Anglią, ludzie może mniej się nim zajmować będą. Wiadomo ci to może, że ma już przyrzeczony stopień, a nie jest on z tych, którzy występują z wojska właśnie wtedy, gdy się rozpoczyna wojna.

Sir Remnant uczuł tkwiące w tém ukłuciu żądło; twarz jego (nosząca liczne ślady dobrego życia) czerwieniła się aż do koloru wina, którego kieliszek trzymał w ręku, i miał właśnie na ustach bardzo grubiańską odpowiedź, gdy, szczęściem, niespodzianie powrócił rektor, wraz z dzielnym wojownikiem kapitanem. Sir Roland uczuł, że pozwolił sobie uleść na ten raz pokusie, która go do nie-

grzecznego obejścia się nagabala, i usiłował wynagrodzić to niezwykłemi dla wojennego męża atencjami.

ROZDZIAŁ XXXI.

W p u ł k u.

W rzeczy samėj prawdą to było, że Hilary osiągnął wreszcie upragniony cel swego życia. Zamienił on pióro na miecz, piasek na proch, a atrament na krew, i za kilka już dni miał się znaleźć na morzu, dla połączenia się z armią lorda Wellingtona. Udało mu się w końcu przemódz upartą niechęć, z jaką ojciec sprzeciwiał się jego wstąpieniu do wojska, bo istotnie zdawało się, że niema innego sposobu rozcięcia sieci słodkich czarów i rzucenia go w świat twardėj rzeczywistości.

Wuj Struan zrobił, co mógł, i cierpliwość Sir Rolanda doprowadził do ostatecznych jój krańców ciągłemi za Hilarym wstawianiami się, tak dalece, że wreszcie Sir Roland zawołał:

— Cóż znowu? gorszy jesteś, niż sam Hilary! Wysłanys był po to, by stwierdzić jałowość ziemi, a ty wracasz po dniach piętnastu z winném gronem ziemi obiecanej! Zaprawdę ten Duńczyk Lovejoy jest potężniejszy, niż sam wielki Kanut: fale opinii zwracają się w kierunku, jaki im wytknie.

— Rolandzie, za daleko zaszedłeś. Nie jestem ja tu wcale rzecznikiem samego gospodarza, ale jego przesłicznój córki. Gdybyś tylko dał się namówić do zobaczenia jój...

— Naturalnie — zupełnie to samo mówił Hilary! Jego przynajmniej mogłem wyśmiać, ale ciebie... Pewien wielki filozof naucza, że najmniej nawet znaczące zdanie jednostki (licząc w to, jak przypuszczam, nawet i zdanie niemowlęcia) powinno być uważane za równy innym czynnik tego, co się zowie: „wszech-ogólném przyzwoleniem”. Wszech-ogólne zaś przyzwolenie zamienia się, lub przekształca, lub wykwita, lub tężeje w jedną wielką a jednolitą prawdę. Może ja źle przytaczam, proszę więc filozofa o przebaczenie za złe oddanie jego myśli. Taki jednak jest ogólny zarys jego poglądów, cegiełka z jego gmachu, metaforycznie mówiąc i... ale może ty lepiej to pamiętasz, Struanie?

— Bronź-że Boże! Jedyną rzeczą, którą zapamiętałem z całej mojej edukacyi, są bajki... jak się one nazywają? aha!... mitologiczne.

Niektóre z nich są wyborne, wyborne! A przytém bardzo pożyteczne dla chłopców: uczą ich mękości i poszanowania własnej godności...

— Doprawdy? Wracając jednak do téj pięknej córy kentyjskiej Alcynousa... nawiasem mówiąc, jeżeli przodkami jego byli Duńczycy, którzy się wzięli do ogrodnictwa, to dziwne zachodzi tu podobieństwo. Powiadają bowiem, iż Alcynous (choć niema na to dowodu) był także za młodu rozbójnikiem morskim, zaczęł zioła uprawiać zaczął. Ale mniejsza o to... Nigdy-bym temu nie wierzył, gdyby nie przykład tych Lovejoy...

— Proszę ja ciebie — przerwał rektor, zawsze zazdroszczący „krwi normandzkiej“ bo nigdy nie słyszał o tém, aby sam miał jęć w żyłach chociaż kroplę — jakim-że to sposobem Normanowie mieli być mniej rozbójczymi rozbójnikami od Duńczyków, od których przecie pochodzą? Z tą jedną różnicą, że ci miewali chorobę morską, wszystko to zdaniem mojem jednakowe łotry. Saxonowie tylko jedni uczciwym byli ludem. Tak! tak... i byli-by porządnie przetrzepali Normanów, gdyby los zrządził inaczej. Ile razy słyszę o Normanach, którzy byli bez pleców... nie! nie przecz mi, Rolandzie, bo gdy-by mieli jakie takie plecy, czyż-by budowali takie, jak ten, domy, w których człowiek średnio-pleczysty ledwo w drzwi wcisnąć się może... więc ile razy o nich mowa, czy wiesz, co mam ochotę zrobić? Oto, wstać i podnieść surdut i...

— Dobrze już, dobrze, Struanie, i bez tego nawet rozumiemy wzruszenia twoje. I właśnie dlatego okazałeś się niewiernym w tym wypadku posłem. Ma się rozumieć, chciałeś odnieść nam całą prawdę: ale gdyś się przekonał, że połów tam znakomity, a ludzie, choć prości, ale gościnni, a przedewszystkiem, że mają cechy duńskiego pochodzenia nietylko w obejściu się i w rysach, ale także i w oczach, które nawet, jak mówią, zmieniły grunt kentyjski, na podobieństwo własne, w ciemny i połyskliwy piwny kolor.

— Tym razem nie mylisz się, Rolandzie. Ona przynajmniej właśnie takie ma oczy...

— Bardzo mi to przyjemnie. Otóż, ponieważ jesteś, jak zawsze, gorączka, a zatem cóż mogłeś zrobić innego, jak rozkochać się (naturalnie, statecznym, ojcowskim sposobem) w téj... jakże się ona nazywa? Nie mogę spać pamiętać jęć imienia...

— Owszem, pamiętasz je. Ty nigdy nic nie zapominasz. Nazywa się ona Mabel. I daj ci Boże, Rolandzie, żebyś mógł na stare lata często wymawiać to imię.

— Przyznaję, bardzo jest ładne i warto tego, by je ładna osoba nosiła. Ale, Struanie, jesteś człowiekiem światowym. Wiiesz, jakim jest Hilary i równie dobrze wiesz (choć nie dajemy sobie tonów, nie jeździmy ohydną żółtą karetą, w cztery konie zaprzężoną, i nie nosimy brylantowych pierścieni, kosztujących po tysiąc funtów sterlingów) wiesz, mówię, jakimi bywali zwykle Lorraine'owie: trochę różniący się od innych całém postępowaniem i trochę... trochę może skłonni do...

— Do patrzenia z góry na resztę świata, nie dając tego jednak poznać po sobie, a może nawet sami o tém nie wiedząc. Czy trafiłem w sedno, Rolandzie?

— Niekoniecznie. Zaiste, nie, ale to nie, nie mogło być dalszém od moich myśli. — Tu Sir Roland westchnął łagodnie, a szwagier jego nie miał nawet najmniejszego o tém pojęcia, dlaczego to uczynił. A to dlatego, że Sir Roland, jak wszyscy wyżsi umysłem Lorrainowie ostatnich kilku wieków, był w głębi serca fatalistą. Rodową tę skłonność wzmocniła może domieszka krwi wschodniej. I to właśnie było ową przegrodą, tak często wznoszącą się pomiędzy nimi, a resztą świata; przegrodą, która się usuwać nie dawała, ponieważ każdy dba o duszę bliźniego nierównie więcej, niż o swoją własną.

— A może to co tyczącego się religii, Rolandzie? — serdecznie szepnął rektor. — Wiem ja, że nie należysz do liczby prawowiernych, i do zbytku nadęty jesteś mądrością świecką. Jednakowoż, jeżeli bym ci się na co przydał... nie jestem ja wprawdzie wielką powagą... ale może-bym ci potrafił poradzić. Teraz na świecie różne głoszą rzeczy; to też przez kilka dni traciłem po dwie godziny... czegoż śmiejesz się, Rolandzie?... w bibliotece, którą zebrałem w Horsham, a w której mam najlepsze dzieła teologiczne.. Chciałem być sposobionym do odpowiedzi.

— Mój drogi, Struanie — odparł Sir Roland, bez cienia nawet uśmiechu — bardzo to poczcziwie z twojej strony, szczególnież zważywszy, że tyle masz teraz do roboty z młodemi psami, a tu jeszcze, o ile mi się zdaje, w przyszłym tygodniu przypada pierwszy Wrzesień! bo jaka to radość dla ciebie.

— Ale jaka! Naturalnie, zrozumieć nawet nie możesz ty, który masz tyle sposobów do zabicia czasu w obrębie domu, co to za straszna rzecz nie mieć do roboty nic lepszego, jak polowanie na króliki, lub układanie młodego psa. Ale wracając do Hilarego, musisz zmieknąć... doprawdy musisz, kochany Rolandzie. Utrzymuje się on teraz z sześciu pensów na dzień, o ile wiem; zacny chłopak, zu-

pełnie niepospolity młodzieniec! Słuchaj, gdyby ten urwis Stefan Chapman był traktowany tak, jakżeś ty potraktował Hilarego, ile-by to było wexli, rewersów, po twojej śmierci płatnych, rachunków! mógł-byś jeszcze uważać się za szczęśliwego, gdyby się obeszło bez jakiegoś wielkiego oszustwa, które-by uciszać trzeba. No! ojciec Hilarego może, co chce myśleć, ale ja uważam Hilarego za cud prawdziwy; to drugi Bayard, Crifton, prawdziwy pelikan!

— Chcesz zapewne powiedzieć: *paragon* (doskonałość) Struanie? Przecież Hilary nie ma piskląt, które-by potrzebował żywić własną piersią?

— Chciałem powiedzieć to właśnie, com powiedział, jak zwykle zresztą. A zkąd-że ty możesz wiedzieć, czy ma pisklęta, czy ich nie ma, kiedy mu nigdy nie pozwalasz zbliżyć się do siebie? Ach gdybym to ja miał takiego syna! — I tu rektor, który istotnie ubolewał, że, nie mając syna, nie ma kogo uczyć strzelać, tak się niedolą swoją przejął, że oczy jego zwilżyły się odrobinę prawdziwych łez wilgocią.

— To nieszczęście—odparł Sir Roland—dużo większe, niż jakiego się mogłem spodziewać, lub na jakie we własnym sądzie zasłużyłem. Ale, Struanie, jeżeli ci coś przyrzeknę, czy przestaniesz tak gorzko rozpaczać?

— Będzie to zależało od tego, co przyrzekniesz. Ale, obawiam się, czy wielkich i wielu nie będzie potrzeba rzeczy na to, bym był zdolen odzyskać dobre o tobie mniemanie.

— Isłuchaj-że tu takich rzeczy, od duchownej głowy parafii! Struanie, nie bądź-że mściwym: powinienem być pozwolić ci dobrze zapolewać, był-byś wtedy łatwiejszym do układów.

— Cóż robić, Rolandzie? sam wiesz, że nie możemy poradzić nie na to. Prawnicy, ulegając zachceniu pocziwój staruszki... nie może mnie usłyszeć, prawda?... tak kruczkami prawnymi obwarowali te dobra, że między ich odziedziczeniem a Hilarym stoi życie własnej jego siostry... tak ja to przynajmniej rozumiem...

— Niepotrzebnie go więc przechwaliłeś — ze spokojnym uśmiechem odpowiedział Sir Roland — robiąc zeń drugiego Bayarda za to, że się powstrzymuje od wydawania rewersów, po śmierci mojej wypłacalnych!!

— Dobrze, dobrze... wiesz wybornie, co przez to chciałem powiedzieć, Żydów nie wypędzono jeszcze z Anglii, jest nawet obawa, że nigdy wypędzonymi nie będą... Znajdzie się między nimi niejeden,

który-by zeskontował nadzieje Hilarego, gdyby ten robił tak, jak inni robią...

Sir Roland uczuł prawdę słów tych; w głębi serca obawiał się nawet, czy, ufając honorowi jedynaka, nie postępuje z nim zbyt twardo.

— Czy postanowimy coś wreszcie? — zapytał ze spojrzeniem rozpaczliwém i głosem takąż samą rozpaczą przejętym. — Oto co ja proponuję: kupuję Hilaremu stopień pułku piechoty i wyprawiam go na wojnę do Hiszpanii, a jeżeli po upływie trzech lat jeszcze będzie się upierał przy swojej duńskiej Nauzyce, a ja będę przy życiu... no! to wtedy mieć ją będzie...

Mr Hales odrzucił w tył głowę, (miał bowiem dużą, wypukłą z tyłu, opadającą w tył, ilekroć zastanowić się chciała), poczem odparł markotnie:

— Bardzo to nieświeżna propozycja, Rolandzie, choć na pierwszy rzut oka wydaje się niezłą wcale. Ale dziwi mnie, że ty, ze swoją znajomością młodych ludzi, a szczególnie takiego, jak Hilary, młodzieńca, liczysz na skutki rozłączenia, zmiany, przygód, niebezpieczeństw, hiszpańskich piękności, a co najgorsza, większej znajomości świata i towarzystwa grubiańskiej młodzieży; że, mówię, liczysz na te wszystkie wpływy, iż one potrafią skłonić Hilarego do zapomnienia o pierwszej swojej miłości, a nawet może do zrobienia czegoś jeszcze gorsze...

— Mylisz się — wzgardliwie odpowiedział Sir Roland — podobne zamiary mógł-by mieć Sir Remnant Chapman; powinien-byś znać mnie lepiej, Struanie. Sądzę jednak, że mam co najmniej prawo doświadczyć wytrzymałości zachęcenia, zanim mu dogodzę i wprowadzę tu jako przyszłą panią domu, tę... jakże chcesz, abym ją nazywał, Struanie?

— Dajmy temu pokój, dajmy pokój... Jam człowiek wyrozumiały, chociaż ty nie jesteś takim, i umiem pojąć pobudki, jakie cię do postępowania skłaniają. Ale i ja też sądzę, że twój dziedzic powinien-by co najmniej mieć prawo do przełożenia nogi przez grzbiet koński.

— Ja zaś przeciwnie sądzę, że było-by to ostateczną jego zgubą, wdarł-by się w towarzystwo marnotrawnych panniczów, z którymi i tak już za wiele ma podobieństwa. To samo zdarzyło się kilku moim, wielce szanownym przodkom. Zaciągnęli się do półków konnicy i w pełnym galopie majątki swoje roznieśli. Nie jestem ja w potrzebie, jak wiesz, i mało jest ludzi mniej ode mnie wających pieniędzy.

Czy możesz zaprzeczyć temu, przy takiem nawet, jak twoje, spaczoném zdaniu?

— Temu zaprzeczyć nie mogę — odparł rektor — nigdy nie przyglądasz się zbyt groszowi. Rolandzie, wtedy chyba tylko gdyś to uczynić obowiązany...

— Dobrze: a zatém możesz wierzyć, że skoro chcę Hilarego w świat wyprowadzić piechotą, czynię to jedynie dla jego dobra. Teraz właśnie biją się zacięcie w Hiszpanii, albo na pograniczu Portugalii. Nie cierpię wszelkiego zabijania, jak ci to zapewne wiadomo: mimo to, pójść mu tam potrzeba.

— Wielki Boże! — zawołał rektor — jak ty o tém mówisz! Jakby tu szło o kuropatwy!

— Nie, idzie tu o coś lepszego, Struanie; wiesz przecie, że kuropatwy nie noszą broni?

— Dyabelnie-by mi było przykro, gdyby ją nosiły — odparł rektor, wzdrygając się na samą myśl o tém.

— Ale — przezwiał mu Roland — otóż znowu jak zwykle, odbiegamy od materji, nad którą obradujemy. Zadowolony więc jesteś, czy niezadowolony z propozycji moich dla Hilarego?

W tak wyraźnie postawioném do wyboru pytaniu, ukrywa się ogromna siła. Jeżeli ktoś cię pyta: „czy jesteś zadowolony?” nie odpowiadając wprost, zaczynasz próbować, czy ci się nie uda pozyskać lepszych warunków. Przychodzą ci na myśl różne wybiegi i zbijają cię z toru; zdaje ci się, że odpowiedź „tak” będzie zbyt stanowczą. Ale jeżeli postawi pytanie tak, że możesz tylko wybierać pomiędzy potwierdzeniem i zaprzeczeniem, wtedy, najślabszą ze wszystkich na świecie słabych rzeczy, natura ludzka, brzydząca się słowem: „nie” czuje się do muru przypartą. A ponieważ tak jest nie inaczej, przeto wuj Struan zastanowił się chwil parę, poczem rzekł: „Tak, zadowolony jestem”.

ROZDZIAŁ XXXII.

Opinia publiczna i prywatna.

Jest-że to rzeczą sprawiedliwą i słuszną — piękną, ma się rozumieć rzecz taka być nie może — tyle mieć do czynienia z ludźmi, których ciężar wieku obarczył, obciążył i zgorzkniał, a usunąć na bok, nie o niej nie powiedziawszy, ani nawet nie pozwoliwszy jój przemówić od sie-

bie, najmiłszą w świecie dziewczkę, i najszczerzą, przytém, najlepszą, najdzielniejszą? Alicya, była to istota zupełnie innego gatunku niż Mabel Lovejoy; ta ostatnia była najlepszego serca dziewczyną, kochającą, czystą, niesamolubną, serdeczną i o tyle dobrą, że mogła każdemu być żoną i żoną mu pozostać na zawsze.

Ale Alicya była czémś więcej jeszcze, charakter jój w innój odla-ny był formie: miała ona nietylko zdolność ukochania głębokiego, co jest wspólną wszystkich kobiet właściwością, ale jeszcze umiała kochać miłością wyższą, taką raczej, jaką matka miłuje dzieci swoje, niż tą, jaką mężowi niesie żona. A przytém nie była to bynajmniej miłość, narzucająca się i wymagająca, ale tkliwa, ulegająca i delikatna. A ponieważ w miłości swój i szacunku stawiała Hilarego blisko ojca, a w niektórych względach nawet zupełnie z nim na równi, przeto nie-możebném było, aby, w tych ostatnich czasach, tkliwe jój serce uniknąć mogło bolesnych ciosów. Po pierwsze: nieprawdopodobném jest, aby jakakolwiek kochająca siostra rada była z odkrycia, że jedyny jój brat znalazł kogoś, który odtąd stanie się dla niego czémś więcej, niż ona sama. Co większa, Alicya miała bardzo silne poczucie stanowiska i godności swego rodu, i niechętną była, bardziej może nawet niż ojciec, wprowadzeniu do gniazda Lorraine'ów tego „produktu roślinnego”, jak facecjonalnie biedną Mabel przezwala. Teraz jednak, gdy Hilary odjeżdżał po to, by może utonąć gdzie w drodze, lub przynaj-mniej zginąć od kuli, czy miecza, albo téż roztratowanym być przez mających własne konie, (on biedak nie miał konia wcale!) a nawet choćby tego wszystkiego uniknął, gdy umrzeć miał z głodu, zginąć od mrozu lub skwaru, i to wszystko za ojczyznę (jak giną najdzielniej-si u nas mężowie, zostawiając po sobie dzieci, które potem mrą z głó-du); teraz, gdy to wszystko Hilaremu groziło, boleśnie uderzyła Ali-cyą myśl, że może nigdy już nie dozna szczęścia zobaczenia brata. Chociaż ojciec starał się ustrzedz ją od ówczesnego podniecenia umy-słów i od tego pragnienia okropnych wiadomości, jakie paliło całą publiczność (pragnienie tém gorętsze i silniejsze, im dłużej na te wia-domości czekano), jednak stugębna wieść miała gąb zbyt wiele, aby prawdą jedną na dziesięć ich zatkać sobie potrafiła. Chociaż stary kamerdyner odwijał mankiety, aby pokazać, jak silne ma jeszcze ręce, i tórkotał, że to wszystko jest niczém, i dmuchnięciem tylko wiatru w porównaniu z tém, na co on patrzył przed czterdziestu laty; i cho-ciaż Mrs. Pipkens, szafarka, godziła się z nim w zdaniu i szła dalej nawet; chociaż kucharka także nie była usposobioną do przeceniania

rzeczy, bo to się na nie nie zdało: jednak wszyscy oni razem nie byli zdolni powstrzymać rwącego potoku opinii publicznej.

Trotman został przyjęty trochę może nierozważnie (jak to się wyżej rzekło) na starszego lokaja, na miejsce oddawna zostającego w służbie i zasługującego na wiarę jegomości, którego krzyżująca niesprawiedliwość zmusiła usunąć się i wziąć do utrzymywania oberży, ze stu funtami „na początek”. Urząd lokaja odebrany mu został nie dla żadnej innej przyczyny, jemu wiadomój, tylko dla téj, że pod wieczór zdarzało mu się czasami „niemódz ustać na nogach”.

Po nim nastąpił wartogłów Trotman, a jednym z pierwszych czynów, których dokonał (jak to się już oddawna z głębokiem współczuciem w tém wiarogodném rzekło opowiadaniu), było zrzucenie nieboraka Bonny, nakształt pajaka, z samego wierzchołka góry, aż na dół.

Trotman mógł mieć ważne powody do tak enegicznego postępku i nie nasza to rzecz potępiać go. Jednakże, więcej niż w jednym miejscu, przypuszczano, że postąpił tak, bynajmniej nie przez gorliwe umiłowanie cnoty, lub téż sprawiedliwości; ale dlatego, że lubił niezmiernie każdodziennie swoje nabytki i przypuszczał, że Bonny zwąchać je potrafił. Kamerdyner zaś, potwierdzając podobne na sprawę poglądy, wielce był zdziwiony postępowaniem Trotmana; Bonny bowiem miał zwyczaj śmiać się z jego żarcików i nieraz nawet sprzedawał za niego, usunięte z pańskiego stołu, butelki.

W chwili takiego przesilenia, mało kto chciał-by zwrócić uwagę na kwestyą tak błahą; a jednak nikt z nas nie powinien zrzucić nikogo kopnięciem nogi, bo nikt nie wie, do czego to doprowadzić może. Gwałt wszelki powinien być wzbroniony, bo na dwanaście wypadków, dwanaście razy potrzeba za niego zapłacić dużo więcej, niż wart. Tak téż było i teraz, bo jeżeli Coombe-Lorraine przedtém już było, jak twierdziła Mrs. Piphius, (która się nauczyła po francuzku ze swojej kucharskiej książki), miejscem „największego w świecie *Tryestu* (*tristesse*)”, to stało się jeszcze nudniejszém teraz, gdy Bonny, z powodów czysto osobistych, zmuszony był niespodzianie zaprzestać umizgów swoich do pomywaczki. Któż bowiem przynosił wiadomość o wszystkich ważnych wypadkach i wydarzeniach u dworu? Nasz Bonny. Kto znał kawalera każdej pokojówki w dolinach obu rzek Aduru i Arunu? Nasz Bonny. Komu zaufać można było, że wierne przeniesie pisanie (powiedzieć-by raczej należało: bazgrołę), które nakształt skarbu kryć się będzie pod pasiastą kamizelką, podczas

długich tych godzin, kiedy kochanek służy... u stołu?—Jednemu tylko, stanowczo jednemu tylko Bonny!

A zatem, każde tkliwe służebne łono cieszyło się, gdy serca niemający Trotman, zmuszony był dwa razy co tydzień z trudem i chromaniem kroczyć po drogach swego gwałtu, by przynieść ze Steyning gazetę „Jerzy i Smok” którą dawniej zwykł był przynosić Bonny. Mr Trotman wszelako był człowiekiem wspaniałomyślnym, i zawsze był gotów z każdym się dzielić, zarówno jak i z każdym się rozkoszować, skarbami narodowego piśmiennictwa. Nie było dla niego większej przyjemności, jak zasiąść na końcu stołu, pośród pań i panów, wespół z nim służących, i mając naprzeciw siebie Mrs. Piphius, pierwsze miejsce zajmującą, czytać im z ulubionej gazety kronikę okoliczną, krajową i zagraniczną.

— Co? oho! — wykrzyknął pewnego dnia — co to takiego? mam-że wierzyć własnym oczom? Nasz Hilary na przyszły tydzień idzie na wojnę!

— „Cóż znowu?” „Nie!” „Nie może być” „A to wstyd!” — wołały głosy słuchaczy. Ale Mrs Piphius i stary kamerdyner kiwnęli tylko do siebie głowami, jak-by powiedzieć chcieli: „To wiadomo!”

— Panie Trotman — rzekła starsza pokojówka, małżeńskie żywiąca zamiary — pan jesteś pewny, że się nie mylisz, czytając? Pan jesteś taki *nauczny*! Będziesz pan łaskaw przeczytać nam, co tam pisze?

— Hm! hm! Łaskawe panie, wam rozkazywać, mnie słuchać. „Nienasycony despota, rządzący stałym lądem, postanowił poświęcić swojej szatańskiej żądzy panowania najczystszej, najstarszej i najszlachetniejszej krew Wielkiej Brytanii. W zeszłym dopiero tygodniu ubolewaliśmy nad stratą, jaką poniosło całe Sussex przez śmierć niezmiernie obiecującej odrośli starego rodu. Teraz znowu wiemy z jak najpewniejszego źródła, że Mr H. L., jedyny syn ogólnie znanego i powszechnie szanowanego baroneta, zamieszkałego o niespełna pięćdziesiąt mil od Steyning, odebrał rozkaz połączenia się ze swoim pułkiem, znajdującym się w centrum wojny, pod rozkazami lorda Wellingtona. Rycerski młodzieniec wypłynie za tydzień z Portsmouth na wojennym statku „Sandylegs” czy coś podobnego... indyjskie jakieś nazwisko.”

— Stary sknera! — zawołała kucharka, wiernie stojąca po stronie biednego Hilarego — wysyłać panicza na jakimś tam brudnym od piasku („sandy-legs” piaskonogi) okręcie, kiedy on się urodził

do siedzenia na koniu, tak, jak każdy szlachcic, który idzie na wojnę.

— Ale Mrs Merryjack, zapominasz pani — objaśniał „nauczny” Trotman, — że Wielka Brytania to, proszę ja pani, wyspa. A z wyspy nikt nie może wyjechać na koniu; przynajmniej tak było, jakem był jeszcze smykiem.

— To i teraz tak być musi. Johnie Trotman, bo czémże, proszę, jesteś i teraz, jeżeli nie smykiem, bardzo-bym rada wiedzieć? I to jeszcze źle wychowanym smykiem, podług mojego zdania, bo zachciewa ci się uczyć starszych rozumu. Wiem, ma się rozumieć, że mieszkam na wyspie, na tój samej co i Szkoci wszysej, która się obraca koło słońca, jak pieczeń na rożnie, i my razem z nią. Ale ty, Johnie Trotman, może nie.

I po tym druzgocącym sarkazmie, jejmość pani kucharka odwróciła się od nieboraka Trotmana i wygłosiła te pamiętne wyrazy:

— Sir Roland pożałuje za późno. Sir Roland będzie wylewał gorzkie łzy, takie same, jakie wylewał-by każdy z nas, co bierzemy po trzy funty zasług rocznych, gdybyśmy wysłali jedynego syna na wojnę na okręcie wtedy, kiedy powinien być wysłany na koniu.

Mrs Piphius przytwardziła skinieniem głowy, co téż uczynił i stary kamerdyner; a Trotman zmiarkował, że opinia publiczna całkowicie mu jest przeciwną i będzie przeciwną dopóty, dopóki nie wykształci się, jak należy.

Ale gdy takie powstawały dyskusye, niepodobieństwem było zamknąć je w obrębie służebnej izby, i Alicyi, lubiącej zbierać opinie cudze, wiele sprzecznych przełożono. Wysłuchiwała wszystkich rozważnie i zdawało się jój, że je rozsądziła trafnie; ale nieraz potem namyślała się nad tém, czy zrobiła tak, jak zrobić należało. Wiedziała bowiem, że jest jeszcze młodziutką i nikogo nie ma do rady, i że świat zwali się na nią całym swoim ciężarem, jeżeli się pomyli lub zapomni, co sobie winna. Po większej części dziewczęta w jój wieku były-by na pensyi, gdzieby się trochę świata przyjrzały i, w zętknięciu z drugimi, starły trochę samolubną miłość własną; Sir Roland, trzymając się jednak zwyczajów rodzinnych, uczył i wychowywał córkę w domu, był bowiem jak najmocniej przekonany, że młode osoby tracą część najlepszych i najmilszych swoich zalet skutkiem tego, co on nazywał „edukacją hurtowną”. Alicya zostawała tedy pod opieką sumienną i wykształconą nauczycielki (podówczas „metro-wie” byli tylko uważani za potrzebnych do chłopców), dopóki nie nauczyła się czuwać sama nad sobą. Podówczas bowiem, panna nie

potrzebowała umieć wiele więcej nad to, bez czego obejść się nie mogła.

Wczesnym wieczorem wrześnieowym, w owej porze, gdy dzień i rok leżą spokojnie na szalach słonecznej wagi; gdy wszelka, czułością obdarzona roślina, i wszelkie pojętne zwierzę, zaczynają rozglądać się wokoło, a niejeden z płodów ziemi gotów jest żałować utraconej rozwinięcia się sposobności; gdy kometa odeszła już sobie na dobre, a ziemia żartować poczęła z własnej trwogi (przekonawszy się wreszcie, że to ona w komecie przestrach wzbudzała), gdy uczucie niewymownej ulgi, pochodzące z wyzwolenia się od przemocy posuchy i skwaru, rozpierało pierś karmicielki, rosą żywiącej, tak, że stworzenie każde oddychało swobodniej, i człowiek nawet, (któremu najtrudniej dogodzić i wdzięczność jego pozyskać), gotów był przyznać, że zdarzają się gorsze na świecie chwile; — w owej, mówię porze, piękna Alicya siedziała w swoim ogródku, myśląc o Hilarym. Lato zrobiło już, co do niego należało, los kwiatów zdecydowany już był i ustalony, na dolę czy niedolę, aż do przyszłego roku; mróz jednak nie tknął ich był jeszcze, tylko ciężkie rosy jesiennych nocy i rzeźwe powiewy, płynące z przestrzeni podgórskich dolin, dodały były kwieciciu wdzięku, świeżości i rozradowania. Wśród kwiecica i krzewów, rozciągał się i łagodną staczał się pochyłością trawnik, miły dla wszystkich, lubiących miękką murawę, i milczenie i cichy szmer liści. Położenie północne, zarówno jak kształt gór i przerzynających je dolin, sprawiają, że gra światła w powietrzu, z każdą chwilą odmienna, odmienne też wywołuje efekta: na przykład w piękny dzień jesienny o zachodzie, chociaż słońce samo już z za szczytów górskich niewidne, jednak z napojonych światłem przestrzeni podobłocznych spada tyle blasku, takie tu i owdzie biją promienie, że przedmiot każdy z każdą nieledwie chwilą inaczej wyglądać się zdaje. W téj właśnie chwili cała dolina zdawała się drgać, jak wielka lutnia, której strunami były drzewa, a słońce, przebiegając po nich złotemi palcami, drżące ich cienie rzucało na powietrze, jak dźwięków lutni tony. Żaden południowy krajobraz nie da się w takiej chwili porównać z północnym, który go nieskończenie przewyższa potęgą wrażenia, jakie czyni, głębokością uroku, czarem światłocieni i wymową tajemniczych swoich szmerów. Chwila to i miejsce, przypominające podniosłą romantyczność dawnych wieków; dawno minione miłości i smutki dzisiejszym kochankom na myśl one przywodzą, i nawet zżytego już światowca, owiewają świeżem technieniem owych chłopięcych czasów, kiedy uczucie jakiegoś lęku miłym mu było wrażeniem.

Nagle Alicya uczuła, że ktoś się koło niej znajduje, i zanim jeszcze zdążyła się przestraszyć, Hilary wysunął się z po-za krzewów. Chwycił ją w objęcia, uściśkał, poczem odstąpił w tył, by zrobić sobie miejsce do pełnego uwielbienia wdzięków jój przeglądu.

— Chciałem cię zobaczyć raz jeszcze; jutro już odpływamy, tak im śpieszno. Przyszedłem tu z Portsmouth piechotą; podwiozły mnie tylko trochę wozy, pszenicą wyładowane: usiadłem na worku.

— Jaki ty pocziwy jesteś, drogi mój Hilary! — zawołała ze łzami w oczach, a mimo to z wielką do uśmiechu ochotą, gdy mu się uważniej przyjrzała. — Jaki ty zmęczony być musisz! Że też cię wypuścili z koszar! Myślałam, że ci się ciągle musztrować każą!

— Każą; ale jużem się nauczył musztry, umiem robić bronią, jak stary żołnierz. Jakie z ciebie dziecko, Alicyo! Cóż? nie nie uważasz?

Alicya albowiem, z siostrzaną prawdziwie obojętnością, próbowała cierpliwości brata, nie okazując żadnej admiracyi dla pięknego nowiusieńkiego munduru jego. Naturalnie nie był ów mundur tak świetnym, jak-by mógł być, gdyby Hilary zapisał się był (jak mu się to należało) jako *eques auratus*; mimo to jednak, mundur ów dobrze wyglądał na kształtnój, wysmukłej postaci młodzieńca i podnosił świetność jego cery. Co więcéj, dwu-miesięczne ćwiczenia wojskowe w koszarach nadały ruchliwemu i silnie zbudowanemu młodzianowi tę pewność siebie i swobodę ruchów, której mu dotąd brakło do zupełnej perfekcyi. Z dziewczęcą bystrością, siostra jego dostrzegła to wszystko w jednej chwili, ale bojąc się rozplakać, zaczęła śmiać się z niego.

— Ho! ho! jakiś ty wyćwiczony! prosto z igły. Nie godziło się sadzać tak pysznego munduru na wierzchu wozu z pszenicą. To jeszcze dobrze, że się od téj czerwieni niezajęła pszenica.

— Ogromnie się na tém znasz! — z niemąłą przykrością wykrzyknął młody żołnierz. — Przyniosłem z sobą to wszystko w tornistrze i tu w altance ubrałem się po formie, dlatego jedynie, aby tobie przyjemność zrobić, a tobie się zdaje, że nie warto nawet spojrzeć na mnie!

— Owszem, przyglądam ci się z całej siły, ale jakoś nie mogę dopatrzyć nic podobnego do pałasza. Pewno ci go jeszcze nie pozwalają nosić. Ale później niezawodnie ci go dadzą!

— Alicyo, jesteś zdolną do złości doprowadzić! Jakżeż mogłem przynieść pałasz w tornistrze? No, ale chociaż tobie się nie

zdaje, że mi w mundurze do twarzy, jest ktoś... innego zdania... to mnie pociesza...

— Spodziewam się — odparła Alicya, ostrożnie udając, że nie rozumie, o kim to wzmianka — że nie masz zamiaru wracać na okręt bez zbaczenia się z ojcem... prawda, Hilary?

— Właśnie to uczynić postanowiłem, i dlatego tak tu czatowałem na ciebie. Nie mam bynajmniej ochoty ustąpić ojcu; on sam w końcu przekona się o tém... i ktoś drugi także, spodziewam się. Każdemu się dziś zdaje, że ja jestem głupi i waryat, dlatego, że łatwo ustępuję. Ale niech-no poczekają trochę! Może kiedyś dumni będą z tego głupca, z tego niedojdy Hilarego. Mogę ci zaręczyć, że przez te ostatnie kilka miesięcy przeszedłem chwile... ale nie chcę mówić o tém. W domu nikt mnie nigdy nie rozumiał i przypuszczam, że nigdy zrozumiany tam nie będę. Ale mniejsza o to... Poczekajmy tylko trochę.

— Mój Hilary najdroższy! nie mów ty takich rzeczy! aż mi się na płacz zbiera, gdy cię tak mówiącego słyszę. Gotow-eś wmieszać się w jaką bitwę i życie stracić marnie, byle tylko nam przez to dokuczysz.

— Nie, nie, tego nie zrobię. Choćby było-by to dla was nauką, żebyście mnie nie uważali za wartogłowa i postrzelénca... Cóż to? najlepsza, najmiłsza, najserdeczniejsza w świecie dziewczynka ma być tylko pogardy waszej godną, dlatego, że ojcu jój wypadło uprawiać kapustę? A cóż my uprawiamy? Zboże, siano i trawy pastewne; a jeżeli nie uprawiamy ich własnorecznie, to uprawiają je za nas nasi dzierżawcy i płacą nam za to pieniądze. A czémże to lepsze od kapusty?

— Pójdź zobaczyć się z ojcem — prosiła Alicya, powściągając się od niepotrzebnej dyskusyi — pójdź, proszę cię, zobacz się z nim przed wyjazdem!

— Nie pójdę — odparł, wprawiając w podziwienie siostrę tą nowo-nabytą uporczywością; — ojciec nie zapraszał mnie do siebie; nie pójdę.

Nie dał się ubłagać, ani łzom, ani prośbom, ani pieszczotom siostry; przykrości, jakie przebył, wyrobiły w nim siłę woli, i wyruszył na wojnę nie pożegnawszy się z ojcem.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Kości i galgany.

Jest, a raczej był mąż, którego oddawna należało na pierwszy plan wysunąć. Wszyscy mówili o nim to samo: że brakło mu tylko siły do upierania się przy swojej sławie i powściągnięcia własnej nieśmiałości, by stać się jednym ze znamienitszych mężów w okolicy, którą zamieszkiwał. Zwał się on Bottler, jak to wszystkim było wiadomo, i skutkiem jakichś dziedzicznych prądów myśli, zaraz dodawało „wieprzarz”, jak-by Bottler i wieprz znaczyło jedno i to samo.

Tak jednak nie było. Bottler był tylko człowiekiem od klucia wieprzów, gdy zakłucia potrzebowały; a jeżeli w takich chwilach okazywał się ludzkim, jakżeż go to mogło utożsamiać ze zwierzęciem, które trzymał pomiędzy kolanami? Czasami drażliwym bywał na tym punkcie; słyszano też, jak się nieraz odzywał: „Nie jestem żadnym wieprzarzem; majstrem jestem rzeźniczym i wieprze bijam”.

Mimo-to nie, mógł się pozbyć swego przezwiska, tak samo, jak nikt swojego się pozbyć nie może: jeżeli zaś taka drobnostka urażała delikatne jego uczucia, to zlekka tylko o niej wspominał póty, póki, zaczynając piątą kwartę piwa, nie nabrał istotnego o swojej wartości pojęcia.

Pisarz pierwszorzędnej wartości, dawniej zwany „Tulliuszem” (dziś zaś dla harmonijniejszego brzmienia „Kikero” przezwany) uczy nas, że lekceważenie opinii, jaką mają o nas ludzie, jest dowodem charakteru nietylko zarozumiałego, ale nawet przewrotnego. Bottler mógł jednak dowieść, że nie był wcale zarozumiałym, a tém mniej jeszcze przewrotnym; szanował on opinią publiczną i szacunek swój objawiał w sposób jak najbardziej przekonujący i pochlebny: objawiał go bowiem strojem swoim. Nigdy też nie nosił on długich spodni, ani nawet fartucha, chyba wtedy, gdy nierogate stworzenie jakie kończyło żywot, zwłoki swe na ludzki oddając pożytek. Miał sobie za punkt honoru utrzymywać nieprzerwane następstwo prawowitych białych pończoch, po-za kolana sięgających, które-to pończochy były nigdy nierozstrzygniętym, a zawsze ciekawość wzbudzającym, problematem dla każdej niewieściej duszy, miasteczko Steyning zamieszkującej. Po pierwsze: dlaczego je nosił?

Potrzebowano kilka lat czasu na rozwiązanie powyższego pytania; w końcu jednak dowiedziano się i ogólnie uznano to za chwalebne, że nosił je na pamiątkę pierwszej swojej kochanki. Wtedy jednak powstało pytanie drugie, daleko trudniejsze, a razem daleko większą ciekawością palące: jakim sposobem mógł je nosić? Miał-że ich pięćdziesiąt par? Czy je prał sam, czy kazał je prać żonie? Jak mógł bić wieprze, a mimo to mieć zawsze pończochy bez żadnej plamy? a z rozpaczliwszym jeszcze przyciskiem: „dlaczego nigdy żadnej w nich dziury nie było?

On jednak, mimo to wszystko, w równej zawsze umysłu mierze, kroczył po najeżonej przeciwnościami drodze życia, w krótkich barchanowych spodniach i długich białych pończochach. Spencer miał z prawdziwego angielskiego samodziału, owęj barwy, którą zwano podówczas „cesarsko-szafirową”; kolor był to żywy i piękny, z wyjątkiem miejsc, w których działaniu czasu ustąpić musiał; guziki zaś były mosiężne. Uczciwą tę powierzchowność upiększał jeszcze prostoduszny uśmiech, igrający mu na ustach, ilekroć mówił o cenie świń i wieprzy, a nikt w życiu nie złapał go na kłamstwie... przynajmniej on sam tak o sobie upewniał.

Zacny ten i znamienity człowiek wystawiony był na widok publiczny co dnia wklepie swoim: od ósmej rano do dwunastej w południe. O tej porze znikał dla zjedzenia objadu; kupujący mogli w tedy stukać nożem lub kluczem, lub wreszcie własnym jego tasakiem o stół sklepowy uderzać, a z pewnością ani pan, ani pani Bottler, nie raczyli odwrócić się dla rozmówienia się z nimi. Dźwięk tylko gwiney był zdolen poderwać ich z miejsca w owę świętą dla obojga porę.

Jeżeli więc kto, posiadając gwineę, zadzwonił nią w stół i robić to umiał dobrze, wtedy franka, zasłaniająca drzwi szklane, zsuwała się za szybami i wyzierał z po-za niej sam Bottler.

Załatwiwszy się z obiadem i następującymi po nim czynnościami, znamienity wieprzarz zaprzęgał swój wózek, sadzał ulubione swe dziecko na umieszczonym na przodzie podnóżku, i wyruszał na poszukiwanie wieprzów, albo, jak sam to daleko wytworniej określał: „zwierząt, spokrewnionych z jego zawodem”. Ukochane owo dziecko, dziewczynka, imieniem Polly, równie prawie szeroka, jak długa i obdarta krzywymi nóżkami (o czém publiczność z łatwością przekonać się mogła) miała obecnie lat około czterech i posiadała powagę, na ten wiek nawet zadziwiającą. Mogła stać całemi godzinami u kolan ojca, powożącego ciężką szkapą i przypatrywać się z największym

natężeniem niczemu, jak-by po raz pierwszy korzystała z przywileju oglądania podobnego widoku.

Kości i łachmany (będąc typem początków i końca rodzaju ludzkiego), mają sobie właściwe głębsze znaczenie i pobudzająco działają na każdego, kto z nimi ma do czynienia. Przynajmniej często się tak zdaje... chociaż i tego nie należy być zbyt pewnym. Po wielu latach, obserwacyi dochodzimy do tego, że zaczynamy pytać: jak należy obserwować, aby choć trochę zauważyć.

Bonny nie czekał na to przewrotne o pewności pojęcie. Przez długi czas czynił on spostrzeżenia nad Polly Bottler — o ile mógł je czynić — a im więcej ją widział, tém więcej wychodziły na wierzch delikatne jego uczucia, wywabione wpływem, tak samą dziewczynki, jako też i zwykłym jej stanem pomiędzy kolanami ojca. Widziano już nieraz, jak, hodowana przez chłopców, cnota rośnie w nich i tłuscieje, nakształt wątroby w Strasburskiej gęsi, tak, że woń cnoty tej wystarcza do wyrzucia ich (jeżeli przed śmiercią nie ulegną zepsuciu) w żalostnej pobożnych pamięci.

Zupełnie to samo nastąpiło i z Bonny. Nigdy on nie udawał uczciwego chłopca, to albowiem było-by z jego strony nieuczciwością; przytém nie wiedział sam, jak to robić i miał własne powody, dla których chciał z tém kęs jeszcze poczekać; a jednak chyba tylko śmierć głodowa mogła go była kiedykolwiek popchnąć do takiej choć-by kradzieży, jak ściągnięcie świńskiego kopyta z wózka, sklepu, lub podwórza swego opiekuna. To zaś zasługuje na wzmiankę dlatego, że dowodzi, iż istnieje, lub przynajmniej istniał, możebny do odkrycia okaz cnoty tak rzadkiej, że istnienia jej nikt ani podejrzewał w klasycznej epoce łaciny i później nawet jeszcze.

Wdzięczna dusza, lub wdzięczny duch (język angielski nie ma wyrazu na oddanie łacińskiego: *animus*) takie było staro-rzymskie nazwanie tej cnoty, jako osobliwości konkretniej, po upływie zaś dwu tysięcy lat, stała się ona dwa tysiące razy więcej przestarzałą.

Mieszkała jednak w jednej maleńkiej duszyczce, zupełnie samoderodna i wrodzona i pod powierzchnią gruntu ukryta, a lękająca się światła i trudna do znalezienia, zupełnie jak trufla South-Down'u. Co dzień regularnie za jednym zamachem nazywany był Bonny bezwstydnym i wstyd przynoszącym chłopcem, a z wyższego punktu widzenia mógł zasługiwać na pośrednie jakieś wartości swój oszacowanie. Przyznać trzeba, że ześlizgnął się on czasem z granicy, złe od dobrze oddzielającej, szczególnie gdy, w pełnej pokus pomroce wieczoru, kaczka jaka, lub królik, lub nawet i zielonkawa jeszcze gaska wałę-

sala się i błdziła w drugiej stronie owego granicznego muru. Ale i tego nawet unikał, dopóki się nie przebrało grosza i nie zanio-
sło się na głodowy dzień.

Ponieważ zaś był, jak się już powyżej rzekło, z wyglądu i ubra-
nia dystyngowany, uczynił już przeto silne wrażenie na sercu Polly
Bottler; ile więc razy była ona wyjątkowo grzeczną i pokonała tru-
dności alfabetu, aż do W, *wieprza*, (przy której to literze uczu-
cie profesjonalne zawsze brało górę nad całą rodziną), to nagrodą,
przez nią samą wybraną, bywały czasem odwiedziny u Bonny, szcze-
gólniej, gdy wózkowi tamtędy wypadła droga. Zachodzi tu jednak
podejrzenie, że czysta miłość mogła nie być jedynym w tej sprawie
działaczem, a przynajmniej, że biedny Bonny miał groźnego bardzo
rywala w Jacku, osielku, dlatego, iż młoda osoba zawsze się doma-
gała, jako pierwocin gościnności, dość długiej przejażdżki na tym
czworonogu i przejażdżkę tę odbywała obyczajem męzkim, co jój nie-
pospolicie ułatwiał kształt dolnych jój kończyn.

W pewny dzień jesienny, po południu, gdy powietrze było już
ostry, i niektóre powiędłe liście szeleściły pod nogami, a niektóre jeszcze
nad głową, pan Bottler, wracając z sąsiedniego folwarku, z czterema nie-
brzydkiemi podświnkami w wózku, otrzymał od małomównój swój
córeczki szturchnięcie w prawe kolano, którego-to szturchnięcia zna-
czenie rozumiał należycie. Znaczyło ono: „Zajedziemy dzisiaj do
Bonny. Ojciec teraz skręci na bok i pojedzie przez pola”.

— Dobrze, dobrze malcze—odpowiedział rzeźnik z nieodstępnym
swoim uśmiechem. — Tatusz wie, co ma robić, chociaż naturalnie ty
wiesz to lepiej, od niego.

Polly kiwnęła głową na znak potwierdzenia, a była to jedyna od-
powiedź, jakiej należało się od niej spodziewać przez cały czas, na
wózku spędzony. W domu, gdy ją gadanie napadło, mówić mogła
bez ustanku, ale jak tylko znalazła się na otwartém powietrzu, ogrom
wszechświata okazywał się dla niej zbyt wielkim. Była jedynie
zdolną stać i dziwić się wszystkiemu, co ją otaczało, przenikając
ją, mimo jój wiedzy.

Wózek przechylał się, podskakiwał, turkotał; wieprzaki kwicze-
niem ubolewały nad nierównościami gruntu i, wśród tych wszystkich
hałasów, dobili się wreszcie podróżni do rozpadliny Coombe Lorraine
i pustelni, którą zamieszkiwał nasz Bonny. Wzorowy ten chłopiec
cały dzień oddawał się swemu powołaniu, ze zwykłą swoją pilnością,
i teraz także bardzo był zajęty rozdmuchywaniem ognia, przy któ-
rym miał sobie uwarzyć, dla ogrzania się, smaczną jaką polewkę.

Wszystko co wyprosił, co nabył i tam dalej, znajdowało się tam razem; a kucharz tylko i zarazem spożywca wypowiedzieć by potrafił, jak wszystko to cudownie godziło się z sobą i z nim samym. Ostre jakieś powietrze pociągać teraz zaczynało, i każdy też rabuś ostrzej brał się do roboty; to też pokrywa garnka zaczynała unosić się ogłędnie i powściągliwie, a gałęzie paliły się z trzaskiem.

Bonny, wcisnięty w ciepły swój kącik na prawo od głównego wejścia, podsycał i poprawiał ogień, a grzejąc ręce, pozwalał sobie rozkoszować się przed czasem wonią polewki. Zawsze mając na myśli surowy obowiązek szerzenia pojęć liberalnych, rozumiał wybornie (mijając przed chwilą ogródek jakiśś staruszki), jak dalece jest upoważniony wziąć parę gałązek wasylku, garść cebuli i szczyptę tymianku, i o ile to będzie grzeczniej obyc się bez sztywnej ceremonii proszenia o nie.

Gdy wózek turkotał, pod wiatr jadąc, Polly Bottler zaczęła rozszerzać naiwnie otwarte nozdrza, wdychać wiatr i wreszcie odezwiała się:

— Tatus, głodna!

— Nie dziwota — odpowiedział na to głos ojca — co to za kucharz z tego chłopaka! Taki mały, a proszę skosztować jego polewek! Już się z tém snadź urodził, że wie, co włożyć, a czego nie, i jak długo trzymać na ogniu. Zasłużył sobie na ten garnek, który mu darowałem, alboż nie? Żeby matka nie czekała na nas w domu z kiszka i przysmażanemi kartoflami, dalibóg siadł-bym z nim do jedzenia. Aż ślina idzie do ust, słowo daję.

Skoro tylko spostrzegł swoich gości, Bonny natychmiast podszedł ku nim z uprzejmym wdziękiem, jak-by o wieczерze nie chodziło mu bynajmniej. Od dawna już wiadomo mu było (dzięki uwagom chłopaków ze Steyning, którzy mu byli nieprzychylni), że kapelusz jego, kształt rury kominowej mający, niekoniecznie ściśle był zastosowany do jego charakteru. Wiadomość ta dojęła go o tyle głęboko, o ile lekkomyślność jego uczuć mu na to pozwoliła; liczył on bowiem bardzo, że kapelusz ten przywróci go ostatecznie na łono społeczeństwa. Słowa beneficjanta parafii (zanim ten jeszcze chłostać go począł) zapadły w wewnętrzne głębie istoty jego i sumienia, i poruszyły tam rodzące się pragnienie odezwania do kogoś czyje przednie kończyny nie były używane do chodzenia.

Niestety, ten cień definitywy nie ma kończyny-nogi, na której-by mógł stanąć mocno! Niema dwóch wielkich powag (jakkolwiek mogą być doskonałe i mieć każda własny kompletny systemat), co-by

zgodziły się z sobą w kwestyi, której z nóg konia należy się pierwszeństwo w chodzie, stępie, kłusie, lub nawet staniu na wszystkich czterech nogach w stajni. A chód Brytańczyka czystej krwi jest z pewnością kwestyą równiej prawie wagi. Którą ręką wymachuje do wtóru, której wadze, i czy zgina łokcie do taktu z kolanami, i czy nogi jego i ręce w ruchach swoich stałej trzymają się kolei, a jeżeli tak, jakimże ze zboczeniem od porządku tej kolei stawać się musi używanie laski? Edyp, który wiedział wszystko, co tylko o nogach wiedzieć można, nie mógł-by pewnym być tego.

Jest to kwestya zbyt ważna, aby ją tak rozbiierać mimochodem. Tylko, zanim do niej przystąpimy, skończymy już z kapeluszem biednego Bonny. Ilekroć mniemał, że zrobił korzystne dla siebie wrażenie tym kapeluszem, który naprawdę gwineę kiedyś kosztował, tylekroć szyderstwo i wymyślanie biegły w ślad za gołemi jego piętami; aż wreszcie sprzedał kapelusz za marnych parę groszy i powrócił do obnażonej, jak poprzednio, głowy. Społeczeństwo nie da się zdobyć gwałtem, nawet przy pomocy kapelusza-cylindra.

Osiel Jack, zawsze był uszczęśliwiony z noszenia Polly Bottler na swoim grzbiecie. Nie dlatego może, żeby miał proroczem jasnowidzeniem przeczuwać w niej przyszlą panią swoją, ale dlatego, że był pewny, iż wynagrodzi go ciastkiem, jabłkiem, lub jakimkolwiek innym przysmakiem; tak, że gdy poczuł na sobie tłuste jej nóżki, obie rączki wgrzywie i pięty, po bokach go bijące, zaraz nastawiał długie uszy, zadzierał białego nosa i był-by nawet zginał dumny kark, gdyby natura nie była mu tego zabroniła stanowczo. Przy obecnej jednak sposobności, Polly nie długo czarowała świat szlachetną sztuką osłej jazdy, chociaż pan Bottler cierpliwie siedział na wózku, uśmiechając się, jak-by nigdy nie był zdolen zabić wieprza i mając dumę ojcowską, w każdej zmarszczce nosa wrytą, a niedługowieczne podświnki wysadzały ryje i bystreimi oczkami poglądały na ostatni może dramat, w którym widzami tylko być miały. Pełne życia istoty nie przypuszczały wcale, że jutrzejszej nocy, przy ogniu Bonny, gotować się będą najżywotniejsze ich części, wydając z siebie niezaprzeczoną woń świeżej kiełbasy!

Kiełbasy były pożywieniem zbyt kosztowném dla Bonny, więc nawet widzieć to mogły ale, na mocy; szlachetnych praw gościnności, dostać mu się miało za nic ze trzy ćwierci funta. Oto bowiem, anioł duszy jego, Polly, chwilkę ledwo używała przejażdżki na osle, podczas, gdy on (którego głowa sięgała ledwo do pręgi zdobiącej odwrotną stronę uszu oslich) wykrzykiwał i biegał i udawał dorosłe-

go — jak-to czynić muszą chłopcy, by się ćwiczyć w męskości — gdy przez jakieś dziwne porozumienie się ognia z wodą i z szlachetniejszymi żywiołami, pokrywa garnka uniosła się, wypuszczając bańkę smakowitej pary, wracającą w oczyste niebiosy, i lotna ta siła łagodnie wzbiła się w górę, piękne po sobie zostawiając wspomnienie. Najostatniejszy ostatek téj woni wpadł w nos Polly Bottler, jak to już poprzednio ze słabszym wyziewem nastąpiło, zanim jeszcze przejażdżkę swoją rozpoczęła. Teraz jednak usta jój, zarówno jak i głos, objawiły, że ustało już wszelkie wahanie.

— Na ziemię, na ziemię! — wołać poczęła, wyciągając do Bonny tłuste, krótkie rączki swoje — jeść, jeść! głodna Polly.

— Niech panienka poczeka odrobinę — odparł Bonny, celujący uprzejmością dla płci pięknej — no! już... już panienka stoi nóżkami na ziemi. Niech panienka poczeka troszeczkę, a ja tymczasem pobiegnę do siebie po łyżkę.

Dotychczas bowiem mieszał zupę widłowym patykiem głogu, o którym wiadomo, że wszystkiemu smakowitości przydaje; ale teraz, przy gościach, obowiązany był okazać, że mu na wyszukańszych zasobach nie zbywa. Polly jednak tak była wykojoną ze zwykłej swojej nie ruchomości, że aktualnie pobiegła za Bonnym do jego mieszkania, aby się pośpieszył z łyżką. On, zadziwiony, obejrzał się i oczy wytrzeszczył, chcąc upewnić się własnymi oczyma, że podobna rzecz przytrafić się mogła... jemu. Zazdrość zbieracza walczyła w nim z gościnnością pana domu i rycerskością korsarza. Ale szlachetniejsze uczucia zwyciężyły i wskazał jój drogę, w głąb' swoich apartamentów wiodącą; pan Bottler, nie mogąc wcisnąć się za tą parą, trząsał z bicia i pogwizdywał.

Polly, własną śmiałością zdziwiona i razem przestraszona, chciała by była iść dalej i za chwilę znowu uciekać. Ale chłopak pochwycił ją za rękę i, tak się go trzymając, szła za nim Polly w głąb' jego kryjówki, tu i owdzie oświeconej światłem, przez szczelinę skały padającym, dopóki nie zobaczyła czegoś, co naprawdę widzenia było wartém.

Co jest najśłodsza w życiu rzeczą? — Nadzieja, miłość, złoto, sława, chwała, zemsta, niebezpieczeństwo, lub téż cobydz innego, względnie do stanu wątroby. Ale dla tych, którzy posiadają bardzo mało i to mało posiedli wypadkiem, z wielkiem ryzyko i wielką niepewnością, dla tych najśłodsza w życiu rzeczą być musi uczucie własności. Posiadacz największych zasobów złota i srebra, Krezus, Rampsinites, lub Salomon, nie przywiązywali i połowy takiej wagi do swoich zbiorów,

a w każdym razie nie cieszyli się niemi tak, jak się swemi cieszył Bonny, „kości i łachmany” zbierający. Gdy wszedł do swojej izby, powstrzymał oddech i z największym niepokojem spojrzął Polly, śledząc u niej objawu podobnego swemu wzruszenia.

Izba ta mieć mogła ze dwadzieścia stóp długości, a w najszerszym swoim punkcie z ośm szerokości; tworzyło ją wydrażenie w pokładzie kredy, pozbawione ostrych załomów, lecz świadczące o zupełném lekceważeniu kształtności. Podłoga wznosiła się i zapadała; toż samo czynił, w miarę okoliczności, i dach; zdawało się, że podłoga ma ochotę wspinać się do góry, a dach zstąpić na dół i że oboje na wezwanie tylko czekają. Znajdowało się tu dużo wybornych gratów, okno jednak najpierw ścigało uwagę przechodnia i było zdolne ją zatrzymać. Musiało ono być zrobione przez starego pustelnika, który tu niegdyś mieszkał, lub dla niego może; w każdym jednak razie, dziwnie dowcidnym był ten, kto taki powziął pomysł. Wyciosane ono było w grubej na trzy stopy ścianie kredowej, wysokie, a stosunkowo wąskie i ostrołukiem zakończone. W górnej jego połowie pozostawiono wąską poprzeczną z kredy przegrodę, na której wspierał się górny ostrołuk; szyby okna były z rogu, połatanych kawałków szkła i wieprzowych pęcherzy. Te ostatnie były rękodziełem Bonny, który je zaprowadził, jako ochronę od mroźnego wichru, dmącego zbyt silnie w tę odwieczną jamę. Teraz jednak, gdy światło przedwieczne zaglądało u podnóża gór i wszystkie siły swoje ścigało w tę właśnie zachodnią stronę, przepych jego był tak wielki, że nawet stateczne oczy Polly zostały nim olśnione.

Nie rzuciwszy więc nawet okiem na zebrane przez Bonnego wsparciałości, dziewczynka przebiegła wąską izdebkę, wyciągnęła rączki i otworzyła usta szerzej jeszcze od oczu, ujrzawszy oblewającą ją grę kolorów. Szkło zostało tu może pryniesione ze zrujnowanej jakiejś kapliczki górskiej i jaśniało żywością barw, wchłoniętą przez kilkowiekowe picie zachodnich promieni; nie było tu ani jednej szybki, regularny kształt mającej, ale wszystkie, biegnąc jak żyły po marmurze, tworzyły najwspanialszą barw harmonią i spływały się w jedno z szarawém tłem rogu i wieprzowych pęcherzy. Z zewnątrz wyglądało to jak zakurzony łupek, tu i owdzie kawałkiem stłuczonej butelki przetkany; trzeba było widzieć to od wewnątrz, jak starego mistrza malowidło.

Polly, podobnie jak reszta tych niewielu dzieci, które wielomówstwem nie grzeszą, znaczną część swego czasu spędzała na czynieniu spostrzeżeń, których zasoby we wnętrzu swoim składała. A jakkol-

w nim tak nudném, jak niedziela w składzie towarów. Hilary (który zawsze był duszą, ten dom ożywiającą) był teraz daleko, karmiąc się niewygodami i zmniejszoną porcją żołnierskiego chleba. Alicya, choć czasami wesoła i ożywiona, chwilami uciekała na osobność, smutniała i potępiała sama siebie, jakby cała wina po jej tyłko była stronie. Ma się rozumieć, była to myśl całkiem niedorzeczna, ale tkliwego serca dziewczęta, gdy je smutek napadnie, nie są dobrymi sędziami niedorzeczności, i w takich—to chwilach Alicya bywała przekonana, że gdyby nie była ujęła bratu tak znacznej części miłości ojcowskiej, wszystko inaczej-by poszło. Może-by tak było istotnie, ale na to była odpowiedź: nigdy rozmyślnie między nimi nie stawała, ale owszem, usiłowała, jak mogła, narażając się na gniew obu, sprowadzić ich mocno odmienne charaktery do zgodnej i miłej jedności.

Sir Roland stawał się także coraz więcej milejącym i zamysłonym. Siadywał godzinami całemi w swojej bibliotece, zanurzony w ulubionych swoich studyach, lub raczej pogrążony w mglistych swoich abstrakcyach. I Lady Walerya nie przyczyniała się też do rozweselenia domowego kółka, chociaż może przyłożyła się do zwiększenia spokoju domowego, zaprzestawszy niespodzianie wtrącać się do Mrs Piphius i całej w ogóle służby, i posyłać po proboszcza sąsiedniej parafii, dlatego, że nie miała zaufania w panu Hales, którego odwiedziny, razem z odwiedzinami jego żony i córek, były teraz jedynymi prawie przyjemnymi wypadkami dnia lub tygodnia. I kraj bowiem cały coraz bardziej był przygnębiony posępnym brzmieniem końca niemającej wojny, niedostatkiem płodów ziemi i śmiercią tylu zacnych synów swoich, tak, że, po pewnym upływie czasu, razem złożywszy nieszczęśliwe wyprawy, zaraźliwe choroby, długotrwałą wojnę, uciążliwe miast oblężenia, krwawe bitwy i brak potrzeb do życia, nie było prawie ani jednej przyzwoitej rodziny, która-by nie przywdziała żałoby.

Nawet i rektor, jeden z najszcześliwszych na świecie ludzi, utracił siostrzeńca, nie swego wprawdzie, ale drogiej swój żony, co, jak twierdził, było rzeczą daleko dla niego bolesniejszą, który-to siostrzeniec legł na polu bitwy, mężnie walcząc za kraj swój i konstytucyą. Pan Hales powiedział z tego powodu przesłizne kazanie, wcale nie gorsze od drukowanego w książce, tak, że wszyscy parafianie płakali, a trzech młodych ludzi zaciągnęło się do wojska.

Owce zeszyły już z hal górskich w doliny i stały po kolana w podściółce, z wolna żując jedzenie, lub też ocierały się jedna o drugą

w radośnem poczuciu swęj welnistości, albo kładły się, podnosząc w zadumie łyse, poważne nosy swoje i, mrugając, łagodnemi oczyma dziękowały Bogu za dach nad głową, oraz za żłoby, przed niemi stojące. Nigdy same siebie nie uważały za baraninę, ani téż runa swego za wełnianą tkaninę; istotnie, przykro było patrzeć na nie i myśleć, że przyszłość nie może nic przynieść im niedoli.

Śnieg nie upadł był jeszcze; ale doliny pokryły się tą ciemno-brunatną barwą, która jest technieniem lub podmuchem mroźnych wiatrów zimowych. Mimo to, Alicya Lorraine odbywała każdodzienną swoją przechadzkę, chociaż ojciec wzbraniał jej konnej przejażdżki po szczytach górskich, na taką porę wietrzną i zimną do kości przejmującą. Myśli jej ciągle zwracały się ku bratu; a gdy zimny wiatr rozwiewał poły jej okrycia, lub mroził przez rękawiczki delikatne jej rączki, nieraz mówiła do siebie: Przypuszczam, że w Hiszpanii niema mrozów, a przynajmniej niema takich, jak tu. Jakże-by biedny Hilary mógł spać pod namiotem w tak straszliwą, jak ta, szarugę?

Jak daleką była od niej myśl, że Hilary sypiał (ilekroć szczęśliwy wypadek spać mu pozwolił) nie pod namiotem, ale w otwartych przekopach, że po zdrętwiałych jego kościach przebiegał ostrzejszy jeszcze wiatr i mróz daleko większy, podczas, gdy kule armatnie i ogniste bomby latały wokoło niego, niemiłosierną burzą pędzone. Nie poduszkami bowiem ciskano tam do siebie w bitwie pod Ciudad Rodrigo. W połowie Stycznia roku pańskiego 1812 wrzała tam rozpaczna walka.

Teraz bowiem nie było czasu myśleć o życiu własnem: w przeciagu kilku dni, fort musiał być zdobyty, bo inaczej armia była-by zgubioną. Obrona była silna, załoga odważna i zaopatrzona w artyleryą daleko wyższą od artyleryi oblegających; pora roku niemniej jak i okropna niepogoda, nie sprzyjały Brytańczykom; nie sprzyjała im również, niedbała powolność sprzymierzeńców, nie sprzyjało oszustwo dostawców. Saperzy mogli tylko pracować po ciemku (z powodu gradu kul z wałów), a podczas téj pracy, narzędzia, albo gięły się im pod nogą, albo w ręku na dwoje przyskały. Przedsiębiorca dostawił lichy gatunek metalu, zamiast dobrego angielskiego żelaza i stali; i jeżeli na tym świecie zdobył fortunę, na tamtym los sobie zapewnił niewątpliwie.

W końcu, upartą wytrwałością, pokonano większą część tych przeszkód i baterye angielskie rozpoczęły ogień. Grzmot dział wtórował grzmotowi, kula odpowiadała kuli, w czarném powietrzu wiły się słupy ognia i dymu; ludzie zaczęli badawczo się przyglądać twarzom ludzi, którzy w nich mierzyli aż wreszcie, po kilku dniach głębokiego rozwa-

zania, postanowiono szturm przypuścić. Każdy, kto lubi czytać o wielkich czynach wojennych, wie, jaki to był szturm rozpaczliwy, jak silnie walczyli z sobą, wskakiwali na wyłom murów, zwisali na nich, jak spadali, wdrapywali się, uderzając na nie, jak burzą spiętrzona fala, i znowu w dół zlatywali na pękające bomby, wydobyte miecze i błyszczące bagnety.

Zanim dano hasło rozpoczęcia szturm, wtedy, gdy jeszcze rozmawiali o nim między sobą żołnierze, Hilary Lorraine czuł się bardzo nieprzyjemnie podrażnionym nerwowo. Nie posiadał on téj niezmięconej flegmy, która częściej bywa udziałem ludzi silnie zbudowanych; nie był też zimnym, ani gorącym zwolennikiem fatalizmu. Był on niczem więcej, jak młodym, dzielnego ducha, Anglikiem, przywiązanym do życia, nienawidzącym okrucieństwa i lękającym się przyłożyć do niego ręki. Chociaż pracował już przy ziemnych robotach i na niejedno był niebezpieczeństwo wystawiony, dotąd jednak nie brał udziału w żadnej utarczce i nie wiedział, jak się w niej zachowa. Wiedział, że był oficerem w najdzielniejszej i najwytrwalszej armii, jaką widziano na ziemi, od czasów Samnitów, chociaż nie była to może najkarniejsza z armii, czego téjże saméj nocy dowiodła. Co większa, był oficerem słynnej „Lekkiej Dywizji” i najodważniejszego w niej pułku, znanego wszędzie pod nazwą „Bojowych Kogutów”; a nie był pewny, czy żabę w boju zwycięży. Owszem, pewny był, iż nigdy nie potrafi zabić kogobądź, przynajmniej dopóki będzie w naturalnym stanie umysłu; a co gorsza, wcale nie był pewny, czy potrafi znieść to, aby sam został zabitym.

Mimo to, przygotowywał się do tego. Wydobył „Nowy Testament,” który dała mu na pamiątkę Mabel przy pożegnaniu, (w której-to chwili prawdziwej miłości zawsze pobożność towarzyszy) i otworzył go w miejscu, założoném splecioném pasmem długich, bujnych jej włosów: „Żołnierze, czyńcie, co wam nakazano,” — dziwując się, jakim sposobem zadość temu uczynić potrafi. A podczas, gdy Hilary drżał, nie ze strachu przed nieprzyjacielem, ale przed własném młodzieńczém swoim sercem, dowódzca pułku, w którym służył, zbliżył się ku niemu i, położywszy mu rękę na ramieniu, spójrzył w jasno-błękitne jego oczy. W całej armii nie było podówczas człowieka odważniejszego, i z lepszym sercem, jak ów dowódzca pułku, pułkownik C.

Hilary spójrzył na tego prawdziwego weterana z całém uszanowaniem i nawet z obawą, którą młody podwładny (jeżeli na co bądź jest przydatny) czuje dla sprawującego władzę doświadczenia. Nie

przemówił jednak ani słowa, tylko czekał na odezwanie się dowódcy.

— Będzie z ciebie żołnierz, chłopcze — rzekł pułkownik, który miał mało czasu do stracenia. — Wolę cię widzieć takim, niż zbyt dumnym, albo nawet chłodnym, jak ogórek. Ja byłem zupełnie taki sam przed pierwszą bitwą. Dobrze, Lorraine, dobrze, nie przyniesiesz niesławy, ani rodzinie swojej, ani ojczyźnie, ani pułkowi.

Pułkownik stracił był na polu bitwy dwóch synów, młodszych nawet od Hilarego; gdyby nie to, nie był-by może raczył zwracać uwagi na usposobienie młodego podchorążego. Ale każde słowo, jakie wymówił, wykrzesало iskrę w sercu łagodnego młodziana. Prawdziwa wdzięczność zadławia pospolite odpowiedzi, to też Hilary nie dał żadnej; w godzinę dopiero potem odpowiedział — ocaleniem życia pułkownika.

Lekka Dywizya (szałcami zakryta pzed bystrym wzrokiem francuzich strzelców) czekała pod San Francisco w załomie, utworzonym przez równoległe idące wewnętrzne przekopy. Nie miano dotąd czasu na nic więcej, jak na porobienie wyłomów w okopach, i wszystkie wały zewnętrzne pozostały nienaruszone. Lekka Dywizya otrzymała przeto rozkaz uderzenia na mniejszy z dwóch wyłomów — jakimbądź kosztem — i oczyszczenia wałów, aż do wyłomu głównego, gdzie najsilniejszy przypuszczano atak. Tak doskonale wypełniła otrzymane rozkazy, że przypuszczony przez nią atak z posiłkowego stał się głównym i że ona-to, nie kto inny, fortecę w końcu zdobyła.

Wyznać należy, że jakkolwiek czekali na hasło przypuszczenia szturm, nie potrafili się go jednak doczekać, bo skoro tylko posłyszeli ogień, zaczęli kręcić się na miejscu i kląć, a przytém i wory siana, które rzucać mieli w rowy, nie były na podorędziu, i nigdzie ich widać nie było. „Cóż-to? czyśmy konie, żebyśmy mieli czekać na siano?” — zawołał jakiś Irlandczyk z pięćdziesiątego drugiego pułku, poczem ruszyli wszyscy z miejsca tak szybko, jak im nóg starczyło. Hilary śmiał się (bo zmysłu śmieszności nigdy daleko szukać u niego nie było trzeba), widząc, jak ci ludzie puscili się pędem, jak-by za piłką w pogoni, i jak dziwną mieszaninę żartobliwości z wściekłością przedstawiał wyraz ich twarzy. Śmiał się także z niespodzianki komiecznej, towarzyszącej tragedji, jaką się ujrzyć spodziewał: bohaterom tym wylaziły pięty z butów, a łokcie z ubrania, i powiewy wiatru odsłaniały oczom utajoną zwykle bieliznę; rząd bowiem wielkobrytański, zwyczajem swoim, mundury, buty i spodnie za wieczno-trwałe uważał.

— Biegnij, chłopcze, biegnij — rzekł major Malcolm, ze szkockim prawdziwie spokojem — należy ci się być z nimi, a nogi masz długie, jak rzadko. Ja sam pędzić nie będę, ale pójdę tędy na przelaj.

— Czy mogę pójść z panem, majorze? — zapytał Hilary, ledwie dysząc.

— Jeżeli nie masz matki, ani żony — odpowiedział major — ma się rozumieć, żony mieć nie możesz; dość spojrzeć na ciebie, by tego być pewnym.

Lorraine nie wiedział już, co się, z nim dzieje; kule karabinowe, jak grad, latały w powietrzu, i jedna z nich urwała mu pukiel jasnych włosów, gdy biegł obok majora Malcolm, śpieszącego stanąć na czele swoich ludzi, w chwili, gdy się na wały wdzierali.

Co się więc zdarzyło potem, lub też czy w ogóle zdarzyło się cokolwiek, tego, na oslep lecący młody ten oficer, nigdy potem nie mógł opowiedzieć. Jak donosił w liście do Grzegorza Lovejoy, (bo z Mabel nie wolno mu było korespondować, a Alicyi nie chciał opisywać takiej sceny): „jedyna i główna rzecz, jaką pamiętam, jest, żeśmy pędzili i potykali się, klęli i wydawali wojenne okrzyki, posuwali się na przód i cofali. Wyciąłem się też porządnie w głowę o armatę, na wale ustawioną, i zdaje mi się, że nikogo z naszych nie było przede mną; ale pewnym tego być nie mogę z powodu dymu, ścisku, bieganiny i zamieszania. Zobaczyłem Francuza, mierzącego do pułkownika C. (przypuszczam, że byłem dla niego zbyt drobną zwierzyną) przybiegłem w sam czas, aby go trącić w rękę, muszkiet jego wystrzelił w powietrze, a ja ledwom zdołał odskoczyć w bok, żeby uniknąć zamachu jakiegoś przystojnego brodacza, który się zamierzył na mnie bagnetem, a nim się zamierzył raz drugi, padł martwy, ugodzony strzałami, stojących po-za nim towarzyszy, którzy do mnie strzelać chcieli, co jest tém większym dla nich wstydem, że nasi ludzie nacierali już z nienabitemi muszkietami. A gdy opanowaliśmy wyłom, sformowano nas na szczycie wału i poprowadzono podwójnym krokiem, abyśmy pomagali przy zdobyciu wyłomu głównego, cośmy też zrobili i więcéj nie wiem o nicém”.

Ale doświadczeni wojskowi wiedzieli nierównie więcéj o Hilarym, mianowicie zaś dowódzca jego pułku, pułkownik C., i major Macolm, i kapitan M'Leod. Wszyscy oni mówili, że nigdy jeszcze nie widzieli żołnierza, który-by się sprawował tak mężnie, piérwszy raz w życiu będąc w ogniu; że może w téj chwili istotnie „stracił był przytomność”, ale późniéj to się już nie powtórzy; a jeżeli się powtó-

rzy, to tém lepiej, skoro, będąc bez przytomności, takich cudów Hilary dowodzi, i że, jeżeli nie legnie od kuli, stanie się zaszczytem kraju, armii i pólku!

ROZDZIAŁ XXXV.

Jak nie usmażyć pączków.

Ci z nas, którzy nie lubią rozlewu krwi i są o tyle szczęśliwi, że nie o tém nie wiedzą, radzi-by może zawrócić w tę białą bramę, pomiędzy opłotkami, do folwarku Old Applewood prowadzącą, jeżeli tylko w wojennym tym czasie Franklin dla kogokolwiek odemknąć ją zechce. Teraz z każdym miesiącem stawał się oględniejszym; tyle słyszał o oblężeniach i bitwach, że nigdy nie mógł być pewnym, czy i hrabstwo Kent nie stanie się ofiarą najazdu. Przez ostatnie dziesięć lat ciągle się spodziewał czegoś w tym rodzaju, a przewidujący z natury, ciągle miał w domu nabitą strzelbę.

W dodatku Mabel już powróciła z domu wuja Catherow, gdzie ją na wygnanie zesłano; a chociaż, gdy mu sąsiedzi mówią komplementa, tyczące się ładnego jęj wyglądu, gospodarz odpowiada tylko „tak sobie, niczego dziewczyna, i o ile się znam na tém”; to jednak wie wybornie, że Mabel jest coś więcej, niż „tak sobie, niczego” i ma przekonanie, że całe hrabstwo jest nią zajęte. Na nic się nie zda zaprzeczać (choć na samą myśl o tém, w ogrodniczkiej jego piersi gwałtowne wzbiera oburzenie), że ta mała historia z Hilarym obeszła go odrobinę... tylko odrobinę małą. „To nie o wiśnie chodziło! — mawia on sam do siebie, jak ktoś, co wielkie zrobił odkrycie — aha! ja to widziałem od razu. Żona ani się tego domyślała, ale ja się domyśliłem zaraz” — (Wstydz się, gospodarzu, sam siebie tak „obełgujesz” okropnie!) — „a teraz sterczy wszystkim przed oczyma, jak pika, to, co ja widziałem, wtedy, kiedy, ot, takie było małeńkie”. Odmierza sam sobie to „małeńkie” na paznociu wielkiego palca i czuje, że zasłużył na szklanekę domowego piwa.

Ze swojej znów strony, Mabel straszliwie się trapi sprawami zagranicznymi. Pragnęła-by wiedzieć, po co ci ludzie koniecznie i zawsze bić się potrzebują? a ponieważ nikt nie jest zdolny wykazać jęj innę przyczynę, jak ta: „że tak być musi”, ona tedy smutnie tylko potrząsa głową i pyta: „a wam, czy miło-by było pójść się bić na ich miejsce?”

Zapytani puszcza ją wtedy wymiona krowy, by zastanowić się nad rozwiązaniem powyższego pytania, mleko przestaje ciec w skopki, a krowa ogląda się po-za siebie dobrotliwem wielkich oczu spójrzaniem i, ukazując szeroki płaski nos i plamisty swój język, pragnie się dowiedzieć, czego ci ludzie chcą od niej. Proszę-ż ja kogo, czyż jój mleko nie warte jest tego, by ją wydojono należycie?

To wszystko do niczego nie doprowadza i nikogo nie zadawalnia; i Mabel, wstrząsnawszy się parę razy, biegnie z powrotem do starego ogromnego komina, usiąść przed ogniem, który pachnie drzewem żywicznem, nadstawić do ciepła cienko zakończone paluszki, przyglądać się ich przezroczystości i rozmyślać. Rączki bowiem Mabel są tak ładne, jak gdyby w nich płynęła prawdziwa krew normandzka, zamiast duńskiej, daleko *starszej*; teraz zaś niezmiernie dba Mabel o to, aby paznogiutki nie miały śladu nawet czarnej obwódki.

Teraz oto, w miesiącu Lutym roku 1812, zanim zaczęto się przygotowywać do czarodziejskiej uroczystości świętego Walentego, wielkiem suszeniem mózgów, barbarzyńskimi rymami i zbrodniczemi na gramatykę zamachami, ów „kwiat Kentu“ (jak ją w chwilach wznoszenia toastów tytułowali ugrzeczniejsi plantatorowie chmielu) siedział, czy stał, czy pochylał główkę (nie wiadomo bowiem, jakie wyrażenie lepiej się do téj przenośnej nazwy stosuje) tuż w pobliżu komina, znajdującego się w staréj, ciepłej wchodowej sieni domu. Miłości, chociaż nawet gorąca jest i wierna, służy jednak niezmiernie jasny i żywy ogień, szczególnie w téj porze roku, kiedy jeszcze nie ukazały się pierwiosnki. Lubi ona także patrzeć na gonitwę płomieni i migotanie blasków, i w dymie nawet jeszcze wynajdzie coś sobie pokrewnego. Mabel marzyła téż sobie takie sny prześliczne, raz dlatego, że była najzupełniej sama sobie zostawiona, a powtóre i dlatego, że wybornie pamiętała najdrobniejszy szczegół tego, co się niedawno przy pewnym obiadowym stole wydarzyło, i dlatego przedewszystkiém, że była niezmiernie śpiąca. Długi niepokój, wielkie strapienie i to przeświadczenie, że nie ma obok siebie nikogo, kto by zrozumiał dziewicze jój uczucia (wszyscy bowiem zapatrywali się na rzeczy z niskiego, interesownego punktu widzenia, i najgodniejsze nawet zaufania osoby dawały jój rady niskie, wypowiedziane w formie takich ohydnych przysłówów, jak na przykład: „jeden ptak w ręku, wart więcej, niż dwa na sęku“, „lepsze jeszcze ryby są w morzu“, „prędko znalezione, prędko wzięte“);—wszystko to razem napełniło Mabel przekonaniem, że nikt przed nią nie widział tak samolubnego świata, jak ten, z którym ona miała do czynienia.

Czyż wszelki rodzaj sławy, jakkolwiek czystą być może i podniosłą, nie ma właściwych sobie stron ujemnych, które przeszkadzają biednym śmiertelnikom zbyt często wbijać się w dumę? Mabel przynajmniej przypomniawszy sobie teraz, z niechęcią raczej, niż z tryumfem, sławę, jaką sobie zjednała swemi pączkami; był to bowiem właśnie ostatni wtorek, a tkliwe drżenia jej serca i głębokie niepokoje musiały być usunięte na bok, lub przynajmniej w każdym razie chwilowo zastąpione przez obowiązek rozczynienia ciasta na pączki. W ojców jej poczucie przyzwoitości było tak silne, a poczucie wyborności tak żywe, że pączki w ostatni wtorek mieć musiał koniecznie, i to pączki jedynie ręką Mabel robione. Wyprosiła sobie jednak pozwolenie, że robić je będzie tu, w wielkiej sieni, gdzie jadano, zamiast smażyć przy ognisku kuchennym, bo wiedziała, co Salka i dziewczka Zuzia wyprawiać z nią będą. Te dziewczęta nie zostawiły jej nigdy najmniejszej szansy zajrzenia w głąb owjej własnej duszy i zamyślenia się; chociaż wiele zrozumieć jej nie umiały, nudażywały jednak jej powolności i zabawiały się najoklepańszemi w świecie żartami. Mabel czuła się teraz wyższą nad takie błazeństwa, i przyjdzie chwila, w której da im to poznać niezawodnie.

Nie zaprzatając jednak dłużej myśli takimi błahostkami, dziewczę doznawało teraz strasznego niepokoju serca, z powodu różnych, dochodzących ją, wieści. Paddy, który wczoraj jeździł do Maidstone, przywiózł był ztamtąd wiadomość, że w Hiszpanii stoczono rozpaczliwą jakąś bitwę, w której wszyscy pozabijali się wzajemnie. Obie armie tak niezłomnie postanowiły zginąć, że, przy odgłosie bębnow, z podniesionemi sztandary, pomaszzerowały do magazynu prochu i ciągnęły losy, która z nich podłoży ogień, by wszystkich w powietrze wysadzić. Los padł na Anglię i nie zostało ani żywej duszy, która-by tę straszną historiją opowiedzieć ludziom mogła.

Mabel powątpiewała jakoś o tém, chociaż Paddy przysięgał się, że słyszał o podobnych zdarzeniach wtedy, „gdy wojny były jak się patrzy, a chłopcy tęgic, co się zowie; pewną jednak była, że coś zdarzyć się musiało i z utęsknieniem wyglądała prawdziwój o wszystkiém wiadomości. Brat jej Grzegorz, był w Londynie, zastępując w kancelaryi Hilarego i ślęcząc nad książkami prawnymi, i jego-to prosiła, żeby — jeżeli ją kocha choć trochę — za każdym razem przysyłał jej najświeższe wiadomości przez wracającego z targu Johna Shorne, poczta bowiem nie chciała wozic dzienników.

Teraz więc, rozczyниwszy ciasto, czekała niewyspana, z powodu tyłu bezsennie przepędzonych nocy, nie mogąc porzucić swego poste-

ranku i wyjść na spotkanie wozu, jak to uczynić pragnęła, zanim-by się ogień jasno rozpalił.

Siedząc tak w zadumie i tęskniąc za kimś, który się o nią zatroszczył, spójrzała na oblicze zegara, które było jedyném patrzącém na nią obliczem. Ale obdarzyło ją ono tylko surowém napomnieniem, że czas już brać się do pączków. Ciasto jest daleko lepsze, jeżeli, zupełnie już gotowe, postoi jaką godzinę; słabsze cząsteczki znikają, a to, co jego dobroć stanowi, staje się lepiej przysposobioném do smażenia i łatwiej się da należycie przewrócić w ręku. Z cichém westchnieniem, wziął do ręki „kwiat Kentu” rondel i postawił go na ogniu dla rozgrzania. Nie na smalcu, broń Boże, smażyć je miała, ale na wyborowém świeżutkiém masle, piérwsze sześć przynajmniej, żeby je dla rodziców odłożyć; potem może będzie oszczędniejszą.

Ale właśnie, gdy masło skwierczć zaczęło na dnie rądla, usłyszała, lub może się zdawało jój, że słyszy, daleki a miły odgłos dzwonka, dolatujący przez mroźne powietrze i, pobiegłszy do okna, usłyszała już niewątpliwie dźwięk dzwoneków pomiędzy opłótkami, tych dzwoneków, z któremi zawsze szły konie, gdy zaczynały się długie i ciemne noce: każde poruszenie dzwonka odbijało się w jój sercu drgnieniem nadziei i obawy.

— Nie mogę czekać... jakże-bym mogła? — zawołała z zarumienioną twarzą i z oczyma, obciążonemi podwójném brzemieniem łez i uśmiechów — pączki ojca łatwiej poczekać mogą. Idź na swoje miejsce — zwróciła się z upomnieniem do rondla, gdy z przezornością młodej ale wytrawnej już gosposi, usunęła go z ognia i odstawiła na bok, z obawy, by się masło nie przypaliło, i wtedy dopiero szybkim krokiem wybiegła, nie zatrzymując się nawet dla włożenia kapelusza, tak jój pilno było wybiedz na spotkanie wozu i dowiedzieć się złych lub dobrych nowin z placu wojny. „Mrukliwy John”, który poszedłby w ogień i wodę dla przypodobania się Miss Mabel, miał rozkaz nie wracać do domu bez najświeższych wiadomości. Nie było z czém jeździć teraz na targ, ale wóz jeździł ze słomą do stajen, których nawóz skontraktował był gospodarz, i naturalnie wracał naładowany nawozem.

Podczas, gdy Mabel drżała z niecierpliwości i strachu, John Shorne zlął powoli z kozła i, naumyślnie unikając cheiwie pytających jój spojrzeń, zaczął najspokojniej w świetle odprzegać dyszlowego i namulconemi rękoma zwiąć lejce w eleganckie spiralne zwoje, do rogów Jowisza Ammona podobne. Obawy biednej Mabel wzmagaly się z każdą chwilą, dlatego, że John nie chciał spojrzeć w jój stronę.

— O! Johnie! nie mielibyście serca trzymać mnie w takim oczekiwaniu, gdyby nie...

— Co? panienka tu? Boże wielki! a cóż tu panienkę na taką pogodę sprowadziło?

— Dziwicie się, Johnie, jakbyście nie widzieli mnie od razu! Widzieliście mnie cały ten czas obok siebie.

— A cóż to za konisko nieznośne! — odparł John, który zawsze unikał wyklamywania się w żywe oczy — tak piana z niego bucha, że kiedy człowiek przy nim stanie, to nie już koło siebie nie widzi! Od czasu, jakśmy wyjechali z Lerenoaks, ciągle miałem z nim kłopot. No! nie winuję ja go o to, bo on nic na to powiedzieć nie może. A co tam znowu? Woda zamarzała w korycie? Z wiadra pić będziecie, pokraki!

— O Johnie! wy nigdy nie myślicie... dlatego, że macie tyle dzieciaków, które nie, prócz szkoły, jeszcze nie potrzebują; wy zawsze myślicie...

— Oto! dopiérusianko co z ładnej buzi panienki wyszło, że ja nigdy nie myślę! Cóż to ja takiego powinienem myśleć. Hola! hola! a stój-no tam! będziesz mi stał?

— Johnie, jesteście doprawdy nieznośni... Cały rano robiłam pączki, ale wam nie dam ani jednego. Nie, nie dam, Johnie Shorne, jeżeli jeszcze jedną sekundę czekać mi będziecie...

— Czy to o tych, co są na wojnie, tak pilno wiedzieć panience? No, no! biją się tam oni, biją nielada! Z półtorej kopy oficerów poszło do chwały niebieskiej, nie licząc wielu innych, którzy tego nie warci...

— O! Johnie! tak mnie to boli straszliwie! Proszę was, powiedzcie mi już wszystko od razu,

— Jego tam niema między nimi. No, dosyć już tego, panienko?

John Shorne tak sobie już teraz miał za nie miłość prawdziwą i tak zapomniał dawniejszych swoich przeżyć na łonie głodnej rodziny, że uważał to, co nazywał „kawalerem panienki” za materiał do przyjemnych żarcików. Teraz jednak zdziwił się i przestraszył widokiem wrażenia, jakie wywarła na Mabel wiadomość o „kawalerze”

— No, no, niech-no panienka nie płacze, moja panienko — prosił, gdy, oparłszy się o drabinę wozu, szlochała tak, że blisko niej stojący koń naręczny, jedynie ze współczucia dla niej, prychnął i obwąchując ją zaczął — Pan Bóg z panienką, niema czego płakać. Czego? że tam był i cudów dokazywał? bo dokazywał naprawdę.

— Ma się rozumieć, że dokazywał. Johnie, inaczej być nie mo-

gło. Można było być pewnym, że ich dokaże, jeżeli tylko... jeżeli tylko nikt mu nie przeszkodzi...

— Jeszcze dotąd nie zabił *Bonyparta* — mówił dalej John, odzyskując wrodzony sobie humor, gdy Mabel zaczęła się przez łzy uśmiechać — ale mam nadzieję, że zabije, jeżeli im dalej pójdzie choć w połowie tak dobrze, jak mu poszło z początku. Co do mnie, ja-bym wolał trzech ich zabić od razu, niż sprzedawać wtedy, kiedy targ nie idzie! Ale ot, niech panienka to weźmie i przeczyta wszystko, co tam stoi. Bóg ze mną, a gdzież ja podziałem ten papier?

— O! śpieszcie-że się, Johnie, choć raz w życiu. Śpieszcie się, mój drogi, Johnie!

— *Nadzwyczajną waleczność młodego hoficera!* Mógł-bym być przysiadz, że to miałem w kieszeni spodni. A ja zawsze myślałem, że waleczność (po angielsku: *gallantry*) znaczy coś złego: uganianie się za kobietami, czy co?

— O! nie, nie Johnie! nigdy tego nie znaczy. Jakże możesz przypuszczać takie okropności? Cóż, wyguzdrzesz się, Johnie?

— Dobrze, dobrze; jakem był młody, to z pewnością znaczyło tak, jak mówię. Ale teraz pozmieniali wszystko... nawet i słowa, które człowiek zna od urodzenia. Przyszło do tego, że teraz *galante* — znaczy zabijanie ludzi, alboż nie? Gdzie-żem ja mógł wetknąć ten papier? Chyba on mi gdzie na drodze wyleciał?

— Nie, nie! nie mogłeś zrobić takiego głupstwa, Johnie Shorne, takiego okrucieństwa, takiej niepocziwości! Jeżeliś to zrobił, nie przebaczę ci nigdy w życiu! Pewno włożyłeś go w kapelusz?

— A pewnie... no masz tobie, włożyłem! Panienka to przez czary wie chyba? To samo, akurat to samo, co czytałem na głos ludziom „Pod Wieprzem i Świstawką”! „Wielkie zwycięstwo Anglików! — zdobycie Shoedad Rodleygo (Ciudad Rodrigo) — ośmdziesięciu oficerów angielskich zabitych i czterdzieści armat zdobytych”. No, no! dalibóg, niech panienka obetrze oczki! cóż, dosyć tego panience?

— O! dajcie mi to, dajcie! Jakże mogę powiedzieć, czym kontenta, dopóki tego z dziesięć razy od *a* do *z* nie przeczytam?

Mrukliwy John zwoływał wszystkie błogosławieństwa niebieskie na głowę wszystkich w świecie dziewcząt (coraz to ich przybywało i za wiele już ich było, jego zdaniem), gdy córka jego pana uciekła z zatłuszczonym dziennikiem, by treść jego cheiwie połknąć. A za nim zdjął z siebie zwierzechnie odzienie, nim zwołał Paddy i drugiego do pomocy, nim własne swoje widły wetknął w nawóz, już Mabel

była we własnym swoim pokoiku i, padłszy na kolana, dziękowała Panu za ten wyciąg, jaki sobie z wiadomości, w dzienniku zawartych, zrobiła. Jakoś to tak wówczas było, że wszystkie owoczesne poczciwe dziewczyny z wrodzonego popędu wierzyły, że mają Ojca i Stwórcę, któremu za wszystkie łaski dziękować należy. Ale ta wiara znacznym od tamtego czasu uległa *ulepszeniom*.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Interesa majątkowe.

W Coombe Lorraine rzeczy te od pewnego już czasu wiadome były i znane, albowiem Sir Roland nie zostawił syna w obcym kraju tak całkowicie bez opieki, jak to sobie Hilary w zbolalém sercu wyobrażał. W półku jego był pewien stary major, kulawy i skory do wymyślania ludziom, ale mający zdrowy sąd o ludziach pracy, zacny, dzielny i kłótniwy. Pałając żądzą bycia pierwszym, co mu się nieomylnie zdarzało w każdej żwawszej rozprawie, major Clumps, musiał patrzeć, jak wyprzedzają go młokosy, i wtedy zawsze wybuchał: „Wróćcie się, wróćcie się, wy... przekłete psie syny” (miał zwyczaj wołać) pozwólcie, niech téż uczciwy człowiek zmierzy się z wami! Dlatego, że moje nogi są... znowu na przód idziecie! żaden z was ani słucha!”

Tenże major Clumps miał bardzo świetne „stosunki rodzinne“, był bowiem siostrzeńcem lorda of Lampnoy, męża przyjaciółki Lady Waleryi. Za jego-to więc pośrednictwem sprawy Hilarego doszły do wiadomości rodziny. Lady Walerya otrzymała list, w którym wojenne czyny jój wnuka, przy oblężeniu Ciudad Rodrigo, były tak opisane, że Alicya płakała, a sędziwa dama uśmiechała się z dumnym zadowoleniem, i sam nawet Sir Roland się odezwał: „Dobrze, dobrze; koniec końcem, chłopak wyjść może na ludzi!”

Nazajutż po południu, właściciel Combe Lorraine zawołany został do matki, by mieć z nią długą rozmowę o interesach majątkowych.

Sir Roland wyłącznie i specjalnie nienawidził interesów; dochody, jakie miał, wystarczały jego potrzebom; ambicya jego (jeżeli miał jakąkolwiek) była czémś nieokreślonym i mglistym; adwokatowi swemu zostawiał wszystkie kwestye prawne, a nawet, gdyby nie silny opór matki, był-by chętnie zdał na ręce pełnomocnika, lub rządcy,

całe gospodarstwo rolne, chociaż rozległość jego majątku bynajmniej nie usprawiedliwiała utworzenia podobnego zastępstwa. Wszedł więc tego dnia do pokoju matki powolnym krokiem i z miną niezbyt uradowaną.

Sędziwa pani niewiele na to zważała, może nawet trochę była temu rada. Będąc zdania, iż każdy człowiek ma obowiązek sam własnych interesów pilnować, mało miała wyrozumienia, a niewiele współczucia dla takiej filozoficznej obojętności. Ze swojej znów strony, Sir Roland nie mógł powstrzymać się od nieznacznego uśmiechu, gdy ujrzał wielkie przygotowania, poczynione przez matkę w celu zmuszenia go do chwilowego zajęcia się interesami.

Lady Walerya Lorraine siedziała tak wyprostowana, jak wyprostowaną była przez całe życie i jaką pozostać miała aż do chwili, w której śmierć pochyli ją na wieki. Na stole, przed nią stojącym, leżało kilka grubych, złowróźnie ułożonych w porządku dokumentów, ponaznaczanych własną jej roztopną ręką, a prócz tego, otwarte w tych właśnie miejscach, na które powołać się wypadnie, leżały niektóre stare prawne książki niemilego wyglądu i bardzo też niemilej powierzchowności. Sheppard, Littleton, Viners, i inni wielcy autorowie leżeli tu społem, każdą chwilą gotowi sprawić rozkoszne zamieszanie w najbystrzejszej inteligencji kobiecej, i Lady Walerya miała czas upewnić się do tej pory, że wszyscy oni zaprzeczają sobie wzajemnie.

Po ceremonialném pozdrowieniu, przy czém zawsze obstawała niezmiennie, czcigodna dama zaczęła grać malutką komedią, udając, że rady sobie dać nie może. Zawsze ubrana była tak, jak-bysię każdej chwili spodziewała odwiedzin królewskiej rodziny; i było-by to wyborną nauką dla niejednej zaniedbanej panienki, widzieć, jak zręcznie starszka unikała splamienia o zakurzone książki, lub jeszcze bardziej zakurzone pergaminy, białutkich swoich mankietów z brabanckich koronek. Nawet wysmukłe delikatne jej paluszki, choć dziś już od starości pomarszczone, umiały jakoś przesuwac się po pyłe i brudzie tak, że nie do nich nie lgnęło.

— Przypuszczam, że niepomąłu się dziwisz — rzekła ze zwykłym sobie łagodnym a grzecznym uśmiechem — widząc mnie tak zajętą; na starość musiałam zostać prawnikiem.

Sir Roland odpowiedział jakimś komplementem, widząc, że matka spodziewa się tego po nim. Sędziwa dama zawsze go tego uczyła, (jakkolwiek błędną może być ta doktryna), że nie wart jest uchodzić za gentlemana mężczyzna, który nie umie przy sposobności

komplementu damie powiedzieć. Syna swego traktowała zawsze, jak gentlemana, dużo jęj wprawdzie od wszystkich innych droższego, zawsze jednak w tém a nie w inném świetle przez nią uważanego. On zaś, przejąwszy to może w spadku po niej, zwykł był tak samo postępować z własnym synem, który-to sposób postępowania mocno się nie podobał takiemu, jak Hilary, gorączce.

— Teraz, proszę cię, uważaj, koniecznie spróbuj uważać — mówiła dalej Lady Walerya — rozruszaj się trochę, proszę cię, drogi Rolandzie. Tu nie chodzi o astrologów, ani o żadne tego rodzaju dziwactwa, ale o praktyczne, codzienne kwestye i, powiem nawet, że idzie o dość zawiłą kwestyą prawną.

— Jeżeli tak jest — odparł Sir Roland, uśmiechem doznanej ulgi rozpromieniony — to pozostaje nam do zrobienia rzecz bardzo prosta. Niema tu nic takiego, czém-byśmy potrzebowali kłopotać się lub nad czém głowę łamać. Są od tego, panowie: Crookson, Hack i Clincker... ci wiedzą, jak sprawy prowadzić i co za nie policzyć.

— Twoja to własna wina, mój drogi Rolandzie, jeżeli ci liczą za drogo. Zrobi to każdy, ktokolwiek się przekona, że rachunki takie przyjmujesz. Drogi twój ojciec ulegał memu kierunkowi dużo więcej, niż ty mu kiedykolwiek ulegać chciałeś, i nigdy téż nie pozwalał nikomu korzystać z siebie... to jest, nie pozwalał, o ile mógł, powiedzieć chciałam.

— Doskonale rozumiem różnicę, jaka między temi wyrażeniami zachodzi; określiłaś ją bardzo jasno. Ale co to ma wspólnego z kwestyą, o której teraz mówić masz ze mną?

— Wiele ma wspólnego. To sprawozdanie o desperackim zachowaniu się Hilarego, (bo, po głębszym namyśle, tak je nazwać jestem zmuszona) zmusza mnie do przypuszczenia, że prawdopodobnie coś mu się przytrafić może. Niejedna jeszcze bitwa go czeka, a z tych niejedna może być od owęj piérwszój niebezpieczniejszą. Czy pamiętasz, co powiedział pan Malakide, gdy w roku 1799 drogi twój ojciec nalegał na zmianę w warunkach spadkobierstwa rodzinnych dóbr.

Sir Roland wiedział wybornie, że to wcale nie drogi jego ojciec, ale matka jego właśnie nalegała na przeprowadzenie tych zmian niekorzystnych i krępujących, na które to zmiany on sam przystał bardzo niechętnie, i dlatego jedynie, że go niejako uporem swoim przełamała. Tego jęj jednak nie przypominał.

— Ma się rozumieć — odparł — pamiętam to wybornie, nawet słowo każde pamiętam. Pan Malakide wzbraniał się napisać ów akt,

wedle instrukcyi, jakich mu nasi adwokaci udzielili, dopóki-by nie przedstawiono rodzinie własnej jego w tej kwestyi opinii. Mówił także, że jest to zupełnie niezwykły sposób postępowania w podobnych razach, ale, że stosunki blizkiej znajomości ze stronami interesowanemi pozwalają mu mieć nadzieję, iż narzucenie się jego wybaczą. Powiedział on wtedy mniej więcej te słowa: „Ustanowienie podobnych warunków spadkobierstwa będzie niezmiernie szkodliwem. Zwiążecie sobie państwo ręce jak najzupełniej, nie mając do tego najmniejszej racyi, mnie przynamuięć wiadomój. Przypuśćmy na przykład, że za życia obojga wnucząt pani, zanim jeszcze wnuczka dojdzie do pełnoletności, potrzeba będzie zaciągnąć na tę dobra pożyczkę, to nie sposób będzie wziąć ją. Oglądanie się na jej prawa, rzecz zupełnie w tego rodzaju interesach niezwykła, staje na przeszkodzie interesom. Młoda ta osoba ma teraz zaledwie lat pięć, i jeżeli napiszemy tak niezwykły akt, przez następne lat szesnaście nie będziemy mogli ciągnąć żadnych korzyści z tytułu tychże dóbr; wyjąwszy, ma się rozumieć, w razie gdyby umarła”. Wiele jeszcze innych stawiał zarzutów, wszystkie jednak zostały odparte, i po takim dopiero założeniu protestu, wziął się pan Malakide do spisania żadanego aktu.

— Stan zdrowia twego ojca wymagał pośpiechu w napisaniu aktu; bo pamiętasz zapewne, że ojciec twój był wtedy na łożu śmierci. Ale z aktu tego nie wynikło nic a nic złego, co dowodzi, że my mieliśmy słusność, a pan Malakide zupełnie się mylił. Chciałam jednak znaleźć w tych książkach, co-by się zdarzyło, na wypadek, gdyby biedny Hilary... ach! z jego-to własnej winny wprowadzone zostały te wszystkie zastrzeżenia! Chociaż miał dopiero lat dwanaście, jednakże okazywał się już wtedy tak płochym, tak łatwym do zbałamucenia i, jak to prości ludzie nazywają: takim pędziwiatrem, że drogi twój ojciec pragnął, dopóki mógł to uczynić, uniemożliwić mu dalsze uszczuplanie naszych dóbr, i tak już uszczuplonych. Gdyby nie ów akt, gdzieżbyśmy teraz zająć mogli?

— Wiész, droga matko, że nigdy nie pochwalałem tego aktu, zarówno skomplikowanego, jak najwyższą wyrażającego nieufność. I gdybym po stracie drogiej mojej żony, nie nabrał takiego wstrętu do wszystkiego, co interesem trąciło, ty-byś nawet, matko, nie potrafiła mnie przekonać, bym się na jego napisanie zgodził. W każdym razie wywarł on przynajmniej jeden dobry skutek: obrał w wielkiej mierze nieboraka Hilarego z uroku, jaki był-by w oczach Żydów posiadał.

— Jakżeż-by rzeczy takie mogły się stać im wiadome? Prawni-

cy nasi są ludźmi godnymi zaufania i szacunku... to nie do uwierzenia prawie!

— Ileż jest na świecie rzeczy jeszcze dziwniejszych? niema na przykład nic dziwniejszego nad człowieka, wyjąwszy, ma się rozumieć, Żyda. Oni się o wszystkim dowiedzą, a nam nigdy dowiedzieć się nie pozwolą, jakim sposobem się dowiedzieli. Ale pozwól mi zapytać się, kochana matko, jaki szczególnie zwrot myśli zmusił cię do takiej, jak ta, uczoności?

— O tych książkach mówisz? Czekaj-no, niech trochę pomyślę... zupełnie mi już wyszło z pamięci, czego tam szukałam. Niema już za co chwalić mnie teraz, Rolandzie, nie mam już takiej pamięci, jak dawniej, ani takiego wzroku, nie mam już nic w sobie dawnego. Mimo to, powinna-bym być Bogu wdzięczną i często usiłuję być nią w głębi serca.

— Zostaw sobie, matko, czas do przypomnienia — rzekł Sir Roland jak najłagodniej;—a jeżeli i po jakimś czasie, nie przypomnisz sobie tego, o czém mówić chciałaś ze mną, to pomówimy o tém innym razem.

— A! przypominałam już sobie! Wspominano mi coś o tém, że biedny chłopak rozkochał się w jakiejś dziewczynie niższego stann. Naturalnie, on nawet będzie miał tyle rozsądku, że ani zamarzy o poślubieniu jój. Ale młodym ludziom, chociaż o niczém nie myślą, zdarzy się czasem wygadać z czémś, co potem kosztą za sobą pociąga. Hilary zaś, więcej niż inni, mógł dać jaki powód do poszukiwania na nim strat poniesionych... wiesz, jaki jest nierozważny! Otóż, jeżeli tak jest i wydadzą przeciwko niemu wyrok, nie dla niego korzystny, taki zresztą, jaki zawsze źle urodzeni panowie przysięgli wydają na dobrze urodzonego gentlemana, wtedy powstanie kilka delikatnych bardzo kwestyi. Po pierwsze: czy miał Hilary prawne... *prawne* prawo, zakochać się wobec takich warunków spadkobierstwa majątkowego? A jeżeli prawa nie miał, to jest-że wyrok sądowy, który-by miał prawo skazać go na pieniężne wynagrodzenie? A jeżeli zginie na wojnie, czy śmierć przerwie jego prawne dochodzenie? A jeżeli wszystkie te punkta rozstrzygnięte zostaną na naszą niekorzyść, czy służy nam prawo zaciągnięcia na dobra pożyczki? Wiem, Rolandzie, że nie masz pieniędzy innych, prócz dochodów, jakie ci ziemia przynosi, bo, idąc za moją radą, każdy grosz odłożony wydawałaś na odkupywanie, zagon po zagonie, ziemi, dawniej do rodu waszego należącój.

— Nie inaczej, droga matko; a co jeszcze gorzej, każdy kawałek gruntu, w ten sposób dokupiony, dobrowolnie przyłączyłem, czy ubez-

pieczyłem... bo nie wiem, jak się to nazywa... na warunkach, którym, na mocy wyżej wspomnianego aktu spadkobierstwa, reszta majątku podlega. Naprawdę więc przekonany jestem, że gdybym w najnaglejším interesie familijnym potrzebował pożyczyć z pięć tysięcy funtów, ubezpieczył-bym je, jeżeli bym je dostał, nie na hypotece dóbr, ale na słowie mojem. Niewątpliwie jednak, droga matko, nie uważasz za złe, że to, czego sama pragnęłaś, tak skutecznie przeprowadzonem zostało, iż jest wobec prawa nienaruszalnem.

— Działalam w jak najlepszych zamiarach, mój synu, i zgodnie z ojca twego zamiarami. Gdy wychodłam za twego ojca — mówiła dalej starszka z łagodną, spokojną jakąś, sobie właściwą dumą — najśluszniej mógł on mieć przekonanie, że księżna wdowa of Chalcor-kin, o której może słyszałeś mnie kiedy mówiącą...

— A jakże, matko, codzień!

— Bo też, drogi mój synu, mam prawo mówić często o chrześnej mojej matce, która, prócz tego, była mi cioteczną babką. Wszystko wyszydający duch czasu nie może nas ogołocić ze wszystkich naszych przywilejów i odebrać nam naszej wyższości. Bądź co bądź, ojciec twój (co zresztą bardzo było naturalnem i słusznem) żywił przekonanie, że znajdzie się jakie sto tysięcy funtów, które mi będą pomocą w wykonaniu jego zamysłów. Ale Jój Książęca Mość była nierada z mego zamążpójścia, i tym to sposobem, drogi mój Rolandzie, nie wniosłam, jak wiesz, Lorraine'om żadnego wiana.

— Tak, droga matko; wniosłaś im siebie samę, bystry twój umysł i umiejętność rządzenia.

— Czy zawsze będziesz tak samo sądził o mnie, Rolandzie, synu drogi? Cokolwiek się przytrafi, gdy mnie już nie stanie, czy zawsze będziesz wierzył, że postępowałam tak, jak to najlepsze uważałam?

Sir Rolanda zdziwiło niezmiernie niezwykle usposobienie matki; widział, jak delikatne jój rysy łagodnieją, tracą zwykłą chłodną niewzruszoność. I jego też ogarnęło podobne wzruszenie, był to bowiem człowiek silnych uczuć, chociaż rzadko raczył je wypuszczać na wolność, i często mroził wiarą swoją w fatalizm.

— Najukochańsza matko — odparł, pochylając usrebrzoną głowę nad śnieżnemi jój włosów puklami — z pewnością znasz mnie o tyle, że podobne pytanie staje się zbytecznem. Nigdy czynniejszy umysł nie pracował z większem sobie zaparciem dla jednego wyłącznego celu: dla dobrobytu tych, dla których porzuciłaś przepychy i wielkości światowe. I zaiste pracowałaś, matko, z całem powo-

dzeniem, jakiego dozwalały dziedziczne nasze wady. Odkąd pracę swoją rozpoczęłaś, musieliśmy zyskać z jakie pięćdziesiąt akrów?

— Tak, to wiesz ile, Rolandzie? — spytała Lady Walerya, szybko tłumiąc westchnienie — obawiam się, czy wszystkie moje usiłowania nie obrócą się w niwecz, skoro mnie już nie stanie. Sto pięćdziesiąt sześć i pół akrów przyłączyłam do dóbr domu Lorraine'ów, nie licząc w to opłotków. A teraz, by wielkie to dzieło dalej prowadzić, dwie rzeczy do zrobienia pozostają. Ten intruz, Sir Remnand Chapman, człowiek stosunkowo świeżego pochodzenia, ma we władaniu więcej niż dwa tysiące akrów, najlepszej i najdawniej do Lorraine'ów należącej, ziemi. Życzy on sobie, aby Alicya poślubiła jego syna i proponuje świetny zrobić dla niej zapis. Wszak tak, Rolandzie? opowiedziałeś mi to wszystko, choć nie tak zaraz, jakes powinien być zrobić.

— Nie widzę, żebym w czém obowiązków swoich zaniedbał. Jeżeli to uczynił, zadziwienie musiało „zbić mnie z pantałyku”, jak się nasz poczciwy Struan wyraża.

— Mr Hales! Mr Hales, proboszcz! Nie mam pojęcia, co chce przez to powiedzieć. Musi to być naturanie coś bardzo pospolitego, albo o polowaniu na borsuki, albo o czémś podobném... choć ludzie istotnie wyższego stanowiska mają prawo mieć takie upodobania. Ale teraz trzeba pozwolić, żeby ten głupi nieborak, Sir Remnand, który nawet komplementu skleić nie umie, dopiął swego z tym dzieciakiem Alicyą; chodzi tu bowiem o niezmiernie ważne rzeczy.

— Kochana matko, nie mogę cię w tém zrozumieć. Cóż może być ważniejszego od Alicyi? i jakimże-to wszystko przeważającym względem ma ona iść na ofiarę?

— Taka mowa na nic się nie zda, Sir Rolandzie. I ona też, tak jak każdy, kto z podłego pochodzi rodu, zrobić musi to, co do niej należy. Dziewczyna ma sporo dumy i niezawodnie pierwsza zrozumieć potrafi konieczność. Nie idzie tu tylko o posag, bo ten, naturalnie, stosownie do warunków ustawy majorackiej, dać jej trzeba; ale musimy sobie zastrzedz i otrzymać to na piśmie i pod pieczęcią, że Sir Remnand, a po jego śmierci syn, sprzedawać nam będzie po cenie, z góry umówionej, wszystko, co dawniej do nas należało, a co będziemy w stanie odkupić. Widzisz, Rolandzie, nie był-byś nigdy pomyślał o czémś podobném. Plan to niesłychanie świetny, nie prawdaż?

— Godzien przemysłnej twojej bystrości, matko. Ale czy Sir Remnand przystanie na to? Dba on o swoje morgi, jak każdy właściciel ziemski.

— Jeden morg równy drugiemu, dla człowieka świeżego pochodzenia. Część tej ziemi wyszła z naszych rąk za czasów wielkiej konfiskaty, a część została sprzedaną przez tego marnotrawcę, przedostatniego właściciela, Sir Hilarego. Niema jeszcze dwóchset nawet lat, jak Chapmanowie posiadają tę ziemię, jakżeż-by mogli być do niej przywiązani? Nie, nie są. Musisz więc, Rolaudzie, uczynić ten punkt głównym i nieodzownym warunkiem. Co zaś do zapisu dla niej w intercyzie, o to mniejsza, choć, ma się rozumieć, trzeba abyś i w tym względzie wymagania jakieś postawił. Dla panny, z urodzeniem Alicyi i z jej urodą, można-by uzyskać nader korzystną intercyzę, i znacznie wyższe stanowisko, oddając ją na jeden sezon londyński pod opiekę Lady de Lampnor. Ale cóż-by to nam pomogło do odzyskania naszej ziemi?

— Wyglądasz, matko, na tak biegłego prawnika—rzekł z uśmiechem Sir Roland — wśród tych wszystkich książek, których treść zdajesz się posiadać, że z pewnością mogli-byśmy cię użyć do pisania aktu, który będzie musiał podpisać Sir Remnand.

— Nie wątpię, że potrafiła-bym to uczynić — odparła sędziwa dama, wszystko zawsze biorąca na seryo—ale nie jestem tak silna, jak dawniej byłam, i dlatego pragnę, abyś przyspieszał interes. Wyrzekłam się, jak wiiesz, osobistego nadzoru nad rzeczami mniej ważnemi (i wszystkie złe idą beze mnie), poprostu dlatego, aby niewielkie moje zdolności poświęcić jedynie tak wielkiemu celowi. Spodziewam się, że mi jeszcze pozostaje parę lat życia, ale muszę widzieć spełnienie dwóch rzeczy, abym mogła w spokoju odejść ze świata. Alicya musi poślubić kapitana Chapmana, na warunkach przeze mnie wymienionych, i Hilary musi się ożenić bogato, zastrzegłszy sobie, że mu wolno włożyć posag żony w kupno ziemi, na której posag ten należycie ubezpieczy. Chłopak jest o tyle przystojny, że niema panny, której-by się podobać nie był zdolny, a sława jego męstwa, wojskowe więzienie się, a przedewszystkiem blask munduru, uczynią go dla serc pańskich niebezpiecznym. Ale nie trzeba, żeby zbyt długo bawił na wojnie. To za wielkie dla nas ryzyko!

— Muszę przyznać, droga matko, że plan to niezmiernie piękny; przypuszczając naturalnie, że przedmiot, do którego się plan ów ściera, zasługuje na jego wykonanie... Tego jednak uie jestem zbyt pewny. Nie wziąłem ja sobie za cel i zadanie życia odzyskania dóbr, które dawniej były w posiadaniu naszego domu; nie trudziłem się tworzeniem projektów dla dopięcia tego celu; chociaż — dodał z subtelną ironią, której matka jego zupełnie nie dostrzegła — naturalnie,

daleko to łatwiej przyjdzie, jeżeli dzieci nasze sprzedamy. Ale w tym pięknym planie, matko, są pewne maleńkie usterki: na przykład, Alicya nie cierpi kapitana Chapmana, a Hilary pokochał dziewczynę grosza posagu niemającą... chociaż pewny jestem, że gospodarz musiał jednak w tych czasach dobrze utargować, z powodu ceny jarzyn i owoców. (Jakkolwiek mądrym był Sir Roland, popełnił jednak omyłkę człowieka nieznającego się na handlu: taka rzecz jak „dobrze utargować” nie istnieje dla hodowcy).

— Alicya jest dzieckiem jeszcze — z chłodno spokojnym uśmiechem odparła na to jej babka — nie może jeszcze mieć najmniejszego pojęcia o tém, co lubi, a czego nie cierpi. Kapitan nie jest gorzej ułożony od swego ojca i umie czwórką powozić. Dziwię się nawet, że Alicya pozwala sobie lubić go, lub nie lubić. Twoja to wina, Rolandzie. Wiekuiste pobłażanie doprowadza w końcu dzieci do tak okropnych rzeczy, od których potem ciężko im niezmiernie odwykać, skoro je pierwój do tego zachęcano.

— Droga moja matko — odpowiedział Sir Roland, dla siebie zatrzymując zdanie własne — oczywiście, daleko lepiej ode mnie wiedzieć musisz, jak z młodemi dziewczętami postępować należy. Czy zechcesz pomówić z Alicyą (po swojemu: przekonywająco i jak umiesz najwymowniej), jeżeli ją tu przysłę do ciebie?

— Z największą przyjemnością — odrzekła Lady Walerya, oddawna już na tę propozycyą czekająca — zdaje mi się, że bezpiecznie możesz mi ją zostawić. Takie smarkate dziewczęta trzeba nauczyć rozumu. Będę jednak mówiła z nią jak najspokojniej. Niech ona przyjdzie do mnie jutro, Rolandzie; teraz jestem zmęczona i nie mogła-bym jej przekonać, nie mówiąc więcej, niż mi na to pozwalają siły. Teraz powiem ci zatem: dobranoc!

ROZDZIAŁ XXXVII.

Ile warta?

Alicya miała „swoją tonik”, który, ma się rozumieć, nazywała „poczuciem własnej godności”, ale, mimo to wszystko, nie miała wielkiej ochoty do rozprawy z energiczną swoją babką. A że ta rozprawa nastąpi, o tém wiedziała w téjże chwili, kiedy po nią babka przysłała.

— Czy włosy mam gładkie? A kokardy czy prosto przypię-

te? — takie sobie zadawała pytania, ale była-by prędzej umarła (jak to sama sobie w prędkości pierwszego wrażenia powiedziała), niż objawiła swój strach, pytając o to wszystko jedną z dziewcząt służących. Między nią a babką niewielki był wydatek uczucia, a jeszcze mniejszy jego zapas; każda z nich bowiem spoglądała na drugą z wysokości bezstronnie pojętego obowiązku. „Exaltowana, romansowa, niesforna dziewczyna, nieznająca szacunku dla starszych”. „Zimna jak lód, przebiegła stara intrygantka, nikomu na włos niewierząca” takiem znalazła-by każda drugiej odbicie, gdyby w głąb’ myśli swojej zajrzała i sumiennie wrażenia swoje zbadała.

Starsza z tych dwóch kobiet, mając dużo na głowie, umiała się po największej części wybornie obchodzić bez częstego widywania swojej wnuczki, która znów, ze swjej strony, jak najspokojniej zносиła smutek, nieobecnością babki sprawiony. Nie mogła tylko nigdy Alicya uznać sprawiedliwości wymówek, któremi ją babka, za każdym jej przybyciem, witała, że nie przychodzi częściej tam, gdzie jej wcale widzieć nie żądano.

A teraz oto, z całą swą odwagą na pogotowiu, bez najmniejszego bądź-to na twarzy, bądź w oczach, lub w układzie, śladu nie-spokojności, ukrytej gdzieś w serca zakątku, młoda panienka spojrzała na sędziwą kobietę z uszanowaniem i powitała ją ukłonem. Nikt nie potrzebował szukać dwóch piękniejszych typów młodości i sędziwego wieku, niewinności i doświadczenia, dziewiczego wdzięku i niewieścięj powagi, a podobieństwo ich rysów podnosiło jeszcze kontrast lat i charakterów. Rzeźbiarzom mogło-by być przyjemnie liczyć szczegóły piękności, które dziewczica w spadku przejęła od matrony: wysmukłą okrągłość kibici, wdzięczne osadzenie na ramionach kształtnej szyjki, eliptyczny łuk brwi, szerokie, lecz wytwornie zarysowane czoło, również jak prosty nosek i delikatny podbródek—ogromne podobieństwo w szczegółach, lecz ogromniejsza jeszcze różnica w wyrazie całości. Alicya bowiem, obok świetnego blasku młodości i powabnego jej roztrzepania, była jeszcze obdarzona słodszy i wyższym charakterem, niż ten, jaki miała jej babka. A jak na dobroczynném, hojnie owocami sypiącém drzewie, widać, po korze nawet i liściu i sposobie rośnienia, siłę i zalety, jakie ma w sobie, oraz soków w niem żywotnych obfitość, tak też i szlachetna słodycz charakteru ludzkiego technie i prześwieca na zewnątrz, rozjaśnia spojrzenie, umila uśmiech i całość istoty czyni zachwycającą.

Ale Alicya, jakkolwiek ubłogosławiona tym najpiękniejszym punktem widzenia, pod którym na ludzkość zapatrywać się można,

nie była jednak zdolną dojść do téj doskonałości, by znieść spokojnie obejście babki. Wszyscy to wiemy, że największa w świecie dobroć i słodycz w pewnych chwilach wyczerpać się może; czasami nawet słowo jedno, spojrzenie jakieś, lub mrozący powiew powietrza rozprasza najwznioślejsze nasze myśli i rozpędza jedno do Sasa, drugie do lasa.

— Możesz wziąć krzesło, moje dziecko, jeżeli chcesz — uprzejmie przemówiła Lady Walerya — dziś wydajesz mi się cokolwiek bladą. Spodziewam się, że nie jadłaś nic takiego, co-by ci mogło zaszkodzić, ale jeżeliś co zjadła, to znajdzie się tam u mnie kropelka mego sławnego imbierowego kordyału. Jaką-żeś minę zrobiła! Nie do twarzy ci z nią; pora ci już odczytać się takich dziecinnych figlów. Masz już... poczekaj, niech sobie przypomnę... ile już masz lat?

— Siemnaście i pół lat, jakoś około téj srody, co minęła, ze dwa tygodnie temu, babuniu.

— Trzeba zawsze być akurata, Alicyo. *Okolo*, jest bardzo niewyraźnem określeniem. *Okolo* mogło to być w ten dzień, lub w jaki inny.

— Musiało to być w ten dzień, lub w jaki inny — odparła Alicya, poważnie dygając.

— Przejąłś od ojca ten sposób mówienia, łapiący za słówka; przebaczam ci to jednak, bo jesteś jeszcze prawie dzieckiem. Ale im prędziej pozbędziesz się tego, tém lepiej. Dużo zresztą jest rzeczy, których pozbyć się teraz musisz: na przykład, nie powinnas sobie rościć pretensyi do dowcipu, nie bywa on w naszym rodzie.

— Nigdy tego nie przypuszczałam, babuniu.

— Było go trochę za młodych moich czasów, ale nikt go nie odziedziczył. Niéma nic szkodliwszego widokom przyszłości młodej panny, jak taka smutna pretensya do żartobliwości. Właśnie téż w tém, co się widoków twojej przyszłości tyczy, pragnęłam dać ci życzliwą radę. Dowiedziałam się od ojca twego rzeczy bardzo smutnej, że nie przyjmujesz z należytą wdzięcznością planów, jakie mamy co do ciebie.

— Ojciec mi wcale nie mówił o żadnych planach, dotyczących się mojej osoby.

— Mógł ci o nich nie mówić, ale znasz je dobrze. Mając na względzie twoje własne szczęście, zarówno jak i interes rodu, postanowiliśmy, że powinnas natychmiast odpowiedzieć na zabiegi kapitana Chapmana o twoją rękę.

— O! babuniu, niepodobna, abyś była tak dla mnie okrutną! a je-

żeli ty taką jesteś, ojciec mój takim być nie może. Umarła-bym raczej, niż zgodziła się na takie poniżenie.

— Młode dziewczyny zawsze tak mówią, ile razy wyobrażnia ich nieporuszoną zostaje. Ale jak tylko to nastąpi, ani im to w głowie, czy i jak się poniżą, i to właśnie wkłada na starszych obowiązek sądzenia i postanawiania za nie o tém, co jest dla nich szczęściem.

— Słysząc nazwisko kapitana Chapman, to już dla mnie dosyć, abym się czuła nieszczęśliwą.

— Proszę cię, Alicyo, wytłómacz, co chcesz powiedzieć. Wyrażenia twoje są dobitne, nie jestem nawet pewną, czy nie są dla mnie uchybieniem.

— Nie miałam zamiaru uchybić ci, babuniu, i nie myślałam téż, że są nawet dobitne. Doprawdy tracę nadzieję, żebym potrafiła dobrać takich.

— Trudno wytrzymać z tobą, Alicyo. Czy będziesz tyle łaskawą, aby wypowiedzieć nareszcie, co masz przeciwko kapitanowi Chapmanowi?

Po raz pierwszy spuściła Alicya oczy przed bystrém spojrzeniem sędziwój pani. Czuła, że wrażenie jój nie myli, a jednak nie umiała ująć go w wyrazy.

— Czy powierzchowność jego, śmiem pytać? Czy nie dorósł miary twego ideału? Czy oczy ma za małe, lub téż włosy za rzadkie? Czy garbi się, chodząc, lub téż źle stawia nogi? Czy jakie inne w tym rodzaju głupstwo? — pytała Lady Walerya, chociaż w głębi takich rzeczy bynajmniej nie poczytawala za „głupstwo”.

— Czy takie rzeczy były głupstwem i wtedy, kiedy babunia była młoda? — miała ochotę zapytać jój wnuczka, ale poczucie obowiązku i dobre wychowanie powstrzymały ją od tego.

— Powierzchowność ma niezbyt powabną — odparła w końcu — ale do tego niewielką ja przywiązuję wagę. „Jak gdybym ja temu wierzyła!” — pomyślała Lady Walerya.

— Cóż więc szkodzi mu tak dalece w światłym i roztrobnym zdaniu twojem?

— Proszę cię, jak o łaskę, nie pytaj mnie o to, babuniu. Nie mogę... nie mogę wytłómaczyć ci tego.

— Pleciesz, dziecko — rzekła, uśmiechając się staruszka — nie była-byś tak niedorzeczną, żebyś była widziała choć trochę dobrego towarzystwa. Jeżeli jesteś tak zażenowaną, możesz sobie nie patrzeć na mnie; ale w każdym razie musisz mi to powiedzieć.

— A więc powiem — odparło dziewczę, patrząc prosto w twarz

babki szaremi oczyma, którym gorący rumieniec dodawał jeszcze blasku — kapitan Chapman nie jest, mojem zdaniem, prawdziwie za-
enym człowiekiem!

— Jakto? dlaczego nie? czy słyszałaś o nim co złego? Jeżeli nie jest doskonałym, ty wpłynąć będziesz mogła na jego udosko-
nalenie.

— O! nie, nie potrafię! To bardzo, bardzo zły człowiek. Pogar-
dza on wszystkimi kobietami i... i patrzy... przypatruje się tak zu-
chwale każdej... nawet mnie.

— A to wyborne! powiadam, że to wyborne! — zawołała na to
babka, śmiejąc się tak głośno, jak na to dobre wychowanie pozwala. —
Moje drogie dziecko, musisz pojechać do Londynu, musisz być przed-
stawiona na dworze, musisz nauczyć się trochę żyć na wielkim świe-
cie i poznać najpiérwszych w Europie gentlemanów. Wyobrażam
sobie, jak Jego Królewska Wysokość śmiać się z tego będzie. Mu-
szę mu przesłać przez Lady de Lampnor wiadomość, że jest pewna
młoda osoba, która nie cierpi i nienawidzi swego pretendenta, dlatego,
że ten osmiela się patrzeć na nią.

— Nie możesz widać zrozumieć mnie, babuniu, a ja nie mam pre-
tensyi prowadzić z tobą dysputy.

— Spodziewam się, że nie. Jeżeli rozpowiemy tę historią w sa-
mym początku sezonu i przedstawimy cię u dworu wtedy, gdy jeszcze
będzie nowością, zdołamy może i teraz nawet jeszcze, ocalić cię od
twego potwora. Tak się ludzie będą dobijać o jedno spojrzenie na
ciebie, poprostu dlatego, że patrzeć na siebie nie pozwalasz, że wszyst-
kich zobaczysz u nóg swoich i to z zamkniętymi spodziewam się
oczyma.

Alicya była niezmiernie łagodna; ale cała ta wzgarda, jaką bez-
wiednie w głębi serca czuła dla babki, zaledwie wystarczyć mogła na
to, by dziewczynkę wobec tak płaskiego żartu powściągnąć od wy-
buchu. Wielkie łzy obrażonej dumy i dotkniętego uczucia stanęły
w jej oczach, ale, nie dając im spłynąć, zapytała z nowym dygiem:

— Czy babunia pozwala mi odejść?

— Pozwalam, pozwalam, i tak już dosyć zrobiłaś: rozśmieszyłaś
mnie tak, że czémprędzej potrzebuję herbaty. Zapamiętaj tylko to,
co teraz mówię na seryo: interes rodziny wymaga, żebyś się jak naj-
prędzej nauczyła dać patrzeć na siebie; musisz nawet zaraz zacząć
pobierać lekcye tego przedmiotu. W przeciągu sześciu miesięcy mu-
sisz się zaręczyć, a zanim rok upłynie, musisz zostać żoną kapitana
Chapmana.

— Mam nadzieję, że nie — sama do siebie rzekła Alicya, gdy, raz jeszcze dygnawszy, cała drżąca, usunęła się z pokoju babki.

Ale niewiele czasu potrzebowała na to, by, siedząc samotnie z gorzkiem uczuciem odniesionej porażki, postanowić sobie, z kobiecą prawdziwie zręcznością, choć częściowy odnieść tryumf; pobiegła więc natychmiast do pokoju ojca, który, ma się rozumieć, dla niej był zawsze u siebie.

— Mój ojczulku, jeżeli ojczulek łaskaw, niech raczy zamknąć książkę i siądzie tu w tém wielkiem krześle, i nie wolno ojcu zmrużyć jednego nawet oka, ale musi ojciec z usznowaniem wysłuchać wszystkiego, co córka ma do powiedzenia.

— Dobrze kochanko — odpowiedział Sir Roland — kiedy muszę, to muszę; jesteś tyranką, jakich mało. Dni już niezawodnie coraz są dłuższe, ale dla ciebie nigdy chyba nie są dość długie na dokuczanie ojcu.

— Ojczulku, nie trzeba światła, teraz przynajmniej nie trzeba. To, co mam do powiedzenia, mogę powiedzieć i pościemku, a tak nawet łatwiej ci będzie, ojczulku, patrzeć na mnie, czego nie mógł-bys zrobić przy świetle. Czy to prawda, ojczulku, że masz zamiar wydać mnie za tego ohydneho kapitana Chapmana?

Sir Roland zaczął myśleć, coby jęj na to odpowiedzieć; wszystko bowiem, co w nim było szlachetnego, szeptało mu nieraz, by umył ręce od tego niecnego planu.

— Czy już tak ci się naprzykrzyłam, ojczulku? — zapytała sprytna dziewczynka głosem od łez drżącym — czy ja jestem taka nieznośna i tak nie umiem okazać ci miłości mojej, ojczulku, że chcesz tak prędko wyprawić mnie na tamten świat.

— Alicyo, dajże temu pokój! Alicyo, wiesz, jak cię kocham, wiesz, że o nic mi tak nie chodzi, jak o twoje szczęście.

— I, ojczulku, czy się tak różnimy oboje w upodobaniach, pojęciach i zasadach, żeby ojczulek mógł nawet marzyć o tém, że wyjście za kapitana może mi dać szczęście?

— Cóż chcesz, kochanko? człowiek to porządny, przyzwoity, łagodny i dla każdego uprzejmy, a już co dla ojca, to najlepszym jest z synów... Mógł-by ci dać bardzo dobre stanowisko, Alicyo, a przytém była-bys zawsze blisko ode mnie. Przytém, są i inne racje, które małżeństwo to czynią pożądanem.

— Jakie „inne racje” ojczulku, czy wolno wiedzieć? Musi to być coś tyczącego się majątku ziemskiego? Na dnie wszystkiego złego jest zawsze majątek ziemski.

— Ty radykalistko niepoprawna! No tak, muszę wyznać, że majątek ziemski ma w tém pewną rolę.

— Ojczulku, czy ja dla ciebie warta jestem tyle co dwadzieścia morgów? Powiedz prawdę: jestem, czy nie jestem?

— Kochanie moje, jesteś straszliwie niemądra. Jak można pytać o coś podobnego?

— No, a zatém, jestem warta tyle, co pięćdziesiąt? Powiedz, ojczulku: pięćdziesiąt? Nie potrzebujesz się mnie obawiać i mówić, żem ich warta, jeżeli istotnie jesteś przekonany, żem nie warta tyle.

— Chcesz wiedzieć, ile pięćdziesiątek jesteś warta, nie prawdaż? Chodź tu do mnie, a powiem ci.

— Nie, nie teraz jeszcze, ojczulku. Niema dla ciebie buziaka, dopóki nie powiesz, żem warta tyle, co cały tysiąc.

— Ach! ty, kocietko mała! Przekonany jestem, że całą swoją kokieterią chowasz dla starego swego ojca.

— Kiedy tak, to powiedz mi, żem warta tyle, co ca cały tysiąc, ojczulku! tysiąc morgów dobrej plennej ziemi, z drzewami, płotami, z bydłem i z owcami! Pewno nie jestem warta tak wiele, a w każdym razie pewno nie dla ciebie, ojczulku?

— Wartaś ty dla mnie — zapewniał Sir Roland Lorraine, gdy mu padła w ramiona, szlochając, i całując go, i głaszcząc białą jego brodę, i znowu szlochając — wartaś nie tylko tyle, co tysiąc, ale tyle co dziesięć tysięcy morgów; wartaś tyle, co majątek cały, co dom rodzinny i ognisko domowe, wartaś serca i tyle co serce.

— Aha! to ty jednak kochasz mnie, ojczulku?! U mnie to nie jest miłość, jeżeli się cokolwiek innego lepiej kocha. A ileż — spytała, otaczając mu szyję rączkami i purpurowemi usty szeptać mu chytrze do ucha — ileż była-bym warta, gdybym poślubiła człowieka, którego nie cierpię i nie szanuję. Warta-bym ledwo była tyle, ile ziemia, na grób dla mnie potrzebna, ale nie więcej, ojczulku; akurat tyle powierzchni, ile jęj ma twój duży stół do książek.

Teraz umilkła, w objęciach ojca utulona, i przez chwil parę wzdychała tylko, z drżącemi powiekami i usty; a Sir Roland, patrząc na bladą, słodką jęj twarzyczkę, miał ochotę znieenawidzić rodzoną matkę.

— Nie pójdziesz za nikogo, najdroższe ty moje dziecko — szeptał jęj przez rozplecionych włosów kędziory — za nikogo, kogo nie pokochasz sercem całym, i kto nie będzie prawdziwie godnym ciebie.

— No, w takim razie za nikogo nie pójdę, ojczulku — odpowiedziała, odzyskując uśmiech — bo nikogo, nikogo nie kocham, ani tro-

szkę, tylko ciebie, ojezulku, i braciszka mojego, nò, i ma się rozumieć, wuja Struana i tam dalej, tylko tamtych inaczej i spokojniej i zdaleka. A co się tyczy tego, kto będzie mnie godny, o! to ja wiem, ojezulku, że jestem warta niewiele. Ale zawsze, gdy-bym była warta tyle tylko, co pół morgi, jeszcze-by to było za wiele dla kapitana Chapmana.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Na wyłomie śmierci.

Silna i niezłomna wola pojedynczego męża jest wielce piękną rzeczą, na której słabsi — a tém więcej kobiety — radzi polegać bezpiecznie. Ale silna i niezłomna wola gromady mężów, którzy, zamiar jakiś powziawszy, postanowili dopiąć celu lub umrzeć, jest potęgą, która przełamuje sprzysiężone przeciwko sobie potęgi ziemi, zarówno jak i natury potęgi. Angielska armia postanowiła zdobyć Badajoz; a dzielne męstwo, z jakim się do tego zabrała, oraz zawzięty upór, z jakim obstawała przy swoim, przemogły w końcu siłę wszystkiego, co jej się oprzeć próbowało.

Témbardziej należy im to poczytać za zasługę, że (a najgorsza to z rzeczy, które człowiekowi przewycięzać wypadnie) pogoda nawet sprzysięgła się przeciwko nim. Niéma nic, coby wywierało na człowieka wpływ bardziej przygnębiający, jak długo dokuczająca mu niepogoda. Mimo filozofii i matematyki, błąka się jeszcze wśród nas pojęcie o tém, co zwykliśmy zwać: ma szczęście; a z pomiędzy zmiennej owego szczęścia kolei, któraż dotykalszy od niepogody da się uczuć dachom i kapeluszom naszym?

Teraz oto, jakkolwiek brytańscy ci mężowie niezłomnie postanowili wedrzeć się w obręb wałów, z tą samą jednak niezłomnością, tak samo waleczni Francuzi, po-za ten obręb ich nie wpuścić. Ci zaś ostatni mieli po swojej stronie pogodę; bo bywają takie złe wiatry, które nikomu nic dobrego nie nawieją, a deszcz, który pada na głowy sprawiedliwych i grzeszników, zdaje się mieć pewne upodobanie do tych ostatnich. W obecnym jednak razie trzeba przyznać, szczególniej sprawiedliwość mając na względzie, że człowiek, bezstronnie sądzący, mógł wyrzec, że po żadnej stronie nie ma deszczu więcej, niż trzeba. Bądź jak bądź, deszcz padać nie ustawał, jak-by się bał popełnić jaką omyłkę w wyborze tych, na których głowy spadał.

Co więcćj, księżyc (pomiedzy jedną ulewą a drugą) ukazywał się w nocy, a słońce w dzień, stosownie do tego, co które miało we zwyczaj, akurat wtedy, gdy potrzebne było Francuzom, a wcale niepotrzebne Anglikom. Jeżeli Anglik pracować chciał po ciemku, księżyc jak na złość wschodził mu po-za plecami, a muszkiety, strzelby, same nawet armaty brały go na cel, jak tarczę; jedyny zostawał mu wtedy ratunek: upaść na brzuch na płask i skulić się, jak ropucha w grzędzie truskawek. Ma się rozumieć, że *per contra* dodawało to Anglikom ochoty iść na przód.

A gdy przez pewien przydługi czas człowiek jest na cel brany, w każdym prawie wzbudzi się wtedy chętką, by i na niego przyszła kolej brania na cel drugich. Nie przez ducha zemsty bynajmniej, albo przez jakie tego rodzaju niskie, niezlachetne uczucie; nie! dzieje się to poprostu przez to zamiłowanie sprawiedliwości, które leży ukryte (czasem zanadto głęboko) w tym lub owym zakątku sumienia u każdego z nas prawie. Radzi-bysmy uczynić jeden drugiemu to, co drudzy nam uczynić radzi; dopóki więc nie nastaną odmienne bytu warunki, ludzie muszą być na cel brani i brać na cel drugich.

Wszystkie te pokojowe rozważania i uwagi o tém, co słuszne, a co nie, zupełnie były bezużyteczne i zupełnie nie na miejscu przed murami Badajoz. Słusznie lub niesłusznie, warownia musiała być zdobytą i probowano już dokazać tego po raz trzeci. Zaciekłość, furja wojenna, mord na oslep pędzący i śmierć (która ciszą pole bitwy zalega wtedy, gdy zamęt bitwy przeminie) któż to wszystko objąć i opowiedzieć zdoła dokładnie? a jeżeli zdoła, któż uczynić to ma ochotę, lub od kogo za ten opis podziękowanie odbierze?

Cała armia angielska wiedziała o tém, że szturm ma być dzisiaj nocy przypuszczony; a Francuzi, jak się to z czasem pokazało, wiedzieli wybornie, co ich czeka. Gdy bowiem kwietniowe słońce skłoniło się do zachodu na najbłękitniejszym ze wszystkich błękitów niebieskich, cisza ciekawości i oczekiwania zaległa przyszłą wielkich wypadków widownię.

Anglicy teraz już doszli do tego, do czego zawsze dochodzą, gdy wojna potrwa czas dłuższy; co ma znaczyć, że byli trafni w wyborze taktyki, w miarę potrzeby i stosownie do okoliczności rozpłomieniali się zapałem, lub lodowacieli niewolniczą karnością, parli się na przód ławą, a niełatwo odeprzeć się dawali, niezawodnie czuli się pewni, że mają w sobie siłę pokonania wroga i gotowość natarcia na dyabła nawet samego, jeżeli będzie miał odwagę poczekania na nich. Przytém dowodził nimi człowiek, który umiał wieść ich na przód i ufał im,

że za nim pójdą, a przedewszystkiém zapalił w nich żądzę boju bez żadnych górnołotnych frazesów i melodramatycznej wymowy.

W dzielnej téj armii, każdy żołnierz wiedział, co ma do roboty i zrobić to miał zamiar, wszyscy ramię do ramienia, współzawodnicy w twardym trudzie, i w udzielającej się, jak zaraza, śmierci wzgardzie.

Mury były wyższe i dostęp do nich trudniejszy, niż w Ciudad Rodrigo, załoga silniejsza, a dowódzca jój wyćwiczony i biegły wojownik. A zatém w dniu 6 Kwietnia 1812 roku (gdy strony wojujące patrzyły, jak zachodzi słońce po nad Guadianą, a noc nadbiega z taką szybkością, że ptaszkom zaledwie da czas zaświergotać na gałęzi, nim zasną), nie potrzebował nikt proroka, aby od niego się dowiadywać, że liczba przeciwników będzie jutro zupełnie inną. Mimo to, jak chce mieć właściwe i pocieszające prawo ludzkiej natury, każdy myślał, lub przynajmniej spodziewał się tego, że towarzysz broni raczej, niż on sam, żonę wdową a dzieci sierotami zostawi, zanim jeszcze północ uderzy. Hilary Lorraine zaczynał już teraz przyzwyczajać się do wojny. Z razu, mimo całej jego gadaniny o orężu i tam dalej, wymierzanie ciosów i rozlew krwi przeciwne były wesołej i łagodnej jego naturze. W tym świeżo powziętym wstępie do tak wielu trupów ludzkich, sądził nawet z początku, że wojna jest daleko gorszą instytucją, niż prawo. Pomyłki téj jednak zaczynał się już odrzekać, skutkiem siły nawyknienia, którą-to siłę wzmogły dwie wielce głębokie uwagi. Piérwszą z nich było, że wielka chwała nie może się obyć bez wielkich morderstw, którego-to celu młody człowiek postanowił teraz dopiąć; drugim zaś, roztropnym jego pomysłem było to, że Francuz jest przyrodzonym wrogiem rodu ludzkiego i musi być wytępionym, co bądź wypadnie i kosztém jakiegóby ofiary.

A co więcéj, może téż, przez wrodzoną łatwość obejścia, zaczął podzielać przekonania swoich kolegów, które były naturalnie z duchem, zawodu wojskowego zgodne; ztąd wynika, że ten młodzieniec, razem wzięwszy, był równie wojowniczy, jak najzapaleńszy w wojsku żołnierz.

„Nikt nad niego z większą nie poległ sławą, lecz wielu legło, a wszyscy ze sławą legli”. Tak pisze Tucydyses téj wojny; nie o Hilarym na szczęście, ale o jednym z jego dowódców. A że podobną sentencją można było kiedykolwiek napisać, jest to rzecz zastanowienia godna. W obec téj krwawej łuny mordu, świeżo rzuconej na kartach, pisanych ręką tego, który piórem, zarówno jak i mieczem, tak dzielnie władać umiał, pokojowi i spokojni pisarze, znający

się więcéj na gradobiciu, niż na kul gradzie, a na wiązkach chrustu, lepiéj, niż na faszynach, roztropnie postępują, jeżeli, pozostając przy nożu ogrodniczym, a w chwilach największego zapalu przy nożycach, do obcinania gałęzi służących, nie będą się wcale zadawali z groźną bojowego miecza klingą.

Podobny obowiązek dziesięćkroć jest przyjemniejszym, gdy ostrza mieczów nietylko migają po nad głowami, lub na bezbronnej piersi połyskują, ale przeciwnie, pod różnemi kątami powbijane w olbrzymie drewniane belki, rzucają wśród nocy błyskawice, w pierś ludzką godzące (niby ogromny, elektrycznością naładowany, jeżozwierz) podczas gdy pękają bomby i w powietrze wylatują baryłki prochu, a kule karabinowe sypią się gradem i, zagłuszając przekleństwa, krzyki i jęki, zmiatają z wałów ludzi, lub zostawiają na nich trupy, ognistą ulęgą prażone. Taką-to i tysiącokroć jeszcze gorszą niż umysłem ją objąć, a słowy opisać można, była straszliwa ta bitwa nocna, na wyłomie Badajoz toczona; i wśród niej-to znajdował się Hilary Lorraine, ranny, wyczerpany bezskutecznemi wysiłki, w tył odrzucony ostrzami pik i bagnetów, strатовany waleczących nogami, osmalony brodą palącego się towarzysza, lecz mimo to rad, że może choć chwilkę poleżeć spokojnie w głębokiém bez tehu wyczerpaniu.

— Już po mnie — płało mu się po głowie — może téż ojciec będzie ze mnie zadowolony. Żegnaj mi, droga Alicyo, żegnaj Mabel, ukochana ty moja... niech śpi spokojnie biedny wasz Hilary!

Tak więc jego zawód, sławy czy hańby pełen, musiał-by dobiec końca raz na zawsze, gdyby Hilary nie był już pozyskał przychylności żołnierzy swego oddziału.. I jeden z nich właśnie, podniósłszy już nogę, którą za pierwszym na przód uczynionym krokiem, postawić miał na piersi młodego oficera, przy świetle pękającej bomby ujrzawszy twarz jego, stanął jak wryty i pochylił się nad rannym.

— Tam do kartaczy! — zawołał, nie bacząc na to, że lada chwila kartacz rozerwać go może na sztuki — jeżeli to nie jest ten sam młodziennaszek, który mnie podniósł, kiedy padłem na drodze. Piękne za nadobne oddać trzeba! Chodź tu Bob, dołóż-no ręki, chłopce!

— Ręki! niemógł-bym nawet dać ci końca palca — odkrzyknął Bob — ściśnięty tu jestem jak w prasie.

Podczas bowiem, gdy ludzie, na przodzie idący, padali martwi, ci, którzy szli za nimi, nie chcieli się zatrzymać i pchali przed sobą martwe szeregi, tak jak pchają się wzajemnie bawoły, gdy strachem roz-

szalałe, pędzą na oślep bezprzytomnie. Każdy z nich prawie pchając przed sobą trupa kolegi, który go poprzedał w szeregu, ciskał tym trupem w *chevaux de frise* warowni, a czynił to z owym gorzkiem lekceważeniem życia i z ową gotowością oddania tego życia, gdy nań kolój śmierci przypadnie, pod których wpływem zbijają się w jednolitą masę, godni téj nazwy Anglicy, zarówno jak i współ plemiennicy ich z za Atlantyku, ilekroć zakipi w nich krew warem. Mimo to jednak, na chwilę nawet nie tracą świadomości tego, co czynią.

Podobnie téż działo się teraz i z tymi dwoma żołnierzami. Nie mieli oni ani czasu, ani miejsca dźwignąć biednego Hilarego z łoża pokruszonych granitów, na które padł i kędy leżał z utkwionemi w siebie pik żelazami. Obaj ci ludzie unieść go wprawdzie chcieli, ale uniosła ich z sobą fala ciał żywych, rwąca się coraz wyżej. Pierwój jednak uczynili coś, co mu ocaliło życie: na krzyż nad nim postawili dwa muszkiety. Czy nabite były lub nie, o tém nie wiedzieli oni wcale i, ma się rozumieć, było to rzeczą obojętną, dopóki tylko wdzierającym się na mury ludziom (z jakim-że trudem wdzierać się im przyszło w państwo śmierci!) łatwiej przychodziło stawiać nogę na pomoście, z tych muszketów ułożonym (a podpartym przez złomy granitu) niżeli na żebrach biednego Hilarego. Tak więc bój toczył się dalej, a Hilary leżał i zaczynał przyglądać się temu, co się działo, z po pod nóg swoich towarzyszy.

W téj pozycyi, dość nieprzyjemnej, nie zdołał jakoś wypatrzeć nic, coby go zadowolnić albo mu się podobać mogło. Ci, którzy podsłuchują, rzadko coś dobrego o sobie usłyszą, a tych, którzy ukradkiem podglądają, mniej więcej tenże sam los spotyka. Nie można jednak ganić Hilarego za to, że leżał w téj zasadzce, nie miał on bowiem ani sposobności, ani czasu do wydobycia się z niej. Ogromny jakiś, zażywny syn hrabstwa York (jak się potem pokazało) padł na poprzek pomostu, pod którym leżał Hilary, i trudno było usunąć go na bok, a całkiem niepodobna podnieść. Stękał i jęczał okrutnie, ale żył jeszcze (gdyby nie był ródem z hrabstwa York, rozumiało-by się to samo z siebie, ale rodowici Yorku synowie stękają nawet i po śmierci). Bądź jak bądź, ten żył jeszcze niezadowolnie!

Hilary, tyle mając przeciwko sobie, usiłował naturalnie zmniejszyć ilość tych przeciwnych mu okoliczności; a chociaż był całkiem bezpieczny tam, gdzie leżał, chyba-by bomba przeszła przez owego z Yorku, a na to poprzeba-by zaiste nielada naboju, zaczął jednak czuć się niezadowolnionym. Że był téż przytém ból rany, lub ran

(wiedział już bowiem z własnego przeświadczenia, że ma ich kilka), w ślad za ranami idące gwałtowne pragnienie, i kurecz; spowodowany niewygodnym położeniem, i dolegający mu ostro zaciosany belki jakiejś odłamek, zaczął coraz to mocniej i coraz goręcej wzdychać do młodej choćby zmiany powietrza.

— Panie kochany — przemówił z wrodzoną sobie dworską grzecznością do obywatela Yorku — naturalnie nie masz pan rozmyślnego zamiaru leżeć mi tak na przeszkodzie, ale faktem jest jednak, że nie mogę wydobyć się z tej kryjówki z powodu pańskiej obecności. Gdybyś pan mógł, jeżeli to panu nie będzie nieprzyjemnym, stoczyć się trochę na prawo lub na lewo, znalazł-byś się pan w niemniej wygodnej, jak teraz, pozycji, a jeżeli pan szczególnie masz upodobanie do tego wyłącznie miejsca, postaram się znów na niem pana umieścić!

— Grah! — było jedyną odpowiedzią obywatela Yorku, mruknięciem wyrażającym pogardę i kwaśny humor, a najwyraźniej znaczącym — idź tam... gdzie pieprz nie rośnie

— Niegrzecznie to ze strony pana — odpowiedział Hilary — zaczyna się tu robić tak gorąco, że w obawie jestem, czy nie będę zmuszony siłą tę nieuczynność odeprzeć. Przepraszam, tysiącrotnie przepraszam pana, że śmiem o tym panu napomykać.

I z temi słowy żgnął ogromnego syna północy w część ciała, na ból wrażliwą, jakimś ostrzem, które ujrzał przy świetle bomby francuskiej; skutkiem czego olbrzym, klęcząc, stoczył się dalej z ciężkością kamienia młyńskiego. Wówczas wygramolił się Hilary z dołu, który mu służył za schronienie i, czując, że mu wszystkie członki zeszywniały, wsparł się na łokciach i na kolanach, by móżdżek się przyjrzyć owę scenie mordu i rzezi.

Księżyc już się był ukazał i młokiem światłem przebijał z poza ciężkiej chmury, zwieszonę nad basztą Świętej Trójcy, i zaglądał we wnętrzu owego wyłomu w murze, u którego podnóża wzdychał powiew nocnego wiatru, obciążony jękami, i dolatywał uszu, ilekroć ustąpiły mu miejsca krzyki przekleństw i gromy działowe. Sam ten wyłom nie był jeszcze zaatakowany; straszniej niż kiedykolwiek wyglądał, bo ostrza mieczów, na szczycie jego utkwionych, aż po samą rękojeść zbroczone były spływającą po nich krwią czerwienią; na trzech z nich, jak na palach, wbite były trzy trupy w czerwonych mundurach, w świetle księżycy widne. Reszta mieczów, nakstał szereg krwiożerczego krokodyla, świeciła rzędem krwawych ostrzy, naszpikowanych tu i owdzie głową, ręką lub nogą ludzką. Była to właśnie chwila, kiedy Angliey cofnąć się musieli na drugą stronę

fosy, i trąby ich dawały hasło odwrotu, podczas, gdy zwycięzcy Francyi ciskali im kulei słowa: „Szanowni panowie! czemu nie raczy-cie wejść do Badajoz? To bardzo zdrowa dla Anglików miejscowość. Czemuż więc panowie nie wchodzić?”

Nadaśani Anglicy nie odpowiadali, czekając na rozkaz rozpoczę-cia utarczki po raz drugi, odzyskując dech, odwagę, humor, i ciskając się jedn do drugiego, by się upewnić, że każdy z nich jest przy ży-ciu; więcej bowiem niż dwa tysiące ludzi leżało trupem na przestrze-ni stu łokci kwadratowych, z tych zaś, którzy zostali przy życiu, ka-żdy czuł, że drugi robił, jak mógł najlepiej, ale co do siebie... Mógł-że być pewnym, że się nie cofnął, nie dał się strącić na jakie parę łokci w dół, nie wepchnął drugiego na ostrokoły, aby samego siebie od przebicia się ocalić? a ta warownia przekłeta, nie da-ż się ona wziąć podstępem, ani siłą? czyż i lord Wellington omylił się choć raz w ży-ciu, dawszy im rozkaz zdobycia jój? i czy na każdym już angielskim cmentarzu mówić mają, że dzisiejsi Anglicy odrodzili się od praojców swoich?

Pogrążeni w tych smutnych myślach, lecz narodowym zwycza-jem angielskim nie wyjawiając ich wcale, zdziwili się niepomrotnie na-głęb błysnięciem światła, z pośród którego strzeliły snopem jakieś pręgi żywszego blasku. Zanim spadły one na ziemię, zobaczyli, że w jednym z morderczym *chevaux de frise* utworzyła się w środku wielka ciemna próżnia. Z prawdziwie więc angielskim okrzykiem tryumfalnym, który każde serce angielskie wstrząsa do głębi, wysko-czyli ze swego ukrycia i, rzucając się na ciemny wyłom, wpadli do Badajoz.

Jedną przecież osobie wchodzącej do Badajoz, nie można było za-przeczyć pierwszeństwa, ponieważ trafem znajdowała się ona tuż obok, w chwili, gdy miecze wyskoczyły tak w górę. I nietylko pierwsza weszła do miasta osoba owa, ale jeszcze ona to dokazała czynu, który pozwolił innym wejść za nią, czynu mężstwa (do którego natchnieniem był jój przypadek, a bodźcem dokuczliwe cierpienie ciała).

Było to tak. Właśnie w chwili téj straszliwej przerwy, która na-stąpiła po odparciu nacierających, Hilary, rozprostowując się powoli, po długim przymusowém skurczeniu, podniósł się z trudnością i przystanął w miejscu bezpieczném, czekając, by trochę odzyskał siły, zanim znowu atak się rozpocznie. O ile mógł rozpoznać położenie, wszystko zdawał się mieć przeciwko sobie; a w dodatku nie miał tam nikogo towarzysko usposobionego, z kim-by mógł obgadać swoje położenie.

Co więcej, rany zaczynały dolegać mu i ruchy jego utrudniać, tak bowiem roztropnie urządziła to przyroda, by ludzi nauczyć, że nie należy bić się za wiele. Nieprzytomny prawie z bólu (który odczuwa dziesięć kroć dotkliwiej gorącej krwi Normandczyk, niż zimno-krwisty potomek germańskiego plemienia) spostrzegł, że bomba, spadłszy na ziemię, toczy się wolnusięńko tuż pod jego nogi, z coraz to większą podnoszącą się trudnością. Ciągnęła ona za sobą bardzo długi lont, który z niej kształtném wygięciem sterczał, nieprzerwanie plujący ogniem, podobny do ogona szczura, przez niepocziwych chłopców zapalonego.

— Co będzie, to będzie! — zawołał Hilary, mówiąc sam do siebie, i w téj nawet stanowczej chwili sile nawyknięcia ulegając — wleż-no w tę dziurę, kochanku, i staraj się popisać, jak należy!

Taki był zbity i z sił opadły, że choć bomba była lekką, zaledwo się mógł z nią utrzymać na nogach, aż wreszcie upuścił ją w wydrążenie skały, już od niejakiéj chwili przez niego upatrzone, a znajdujące się tuż pod sześć-cio-calową belką, w którą powbijane były miecze. Wtedy upadł — czy zaś uczynił to z braku sił, czy z przytomności umysłu, tego nigdy powiedzieć nie umiał. Z początku słyszał bombę w granitowej rozpadlinie, głucho szumiącą, nakształt wzruszonego os gniazda, poczem z gromowym hukiem i łoskotem wyleciała w powietrze mordercza zapa, z drzewa, głazu i żelaza przez Francuzów wzięsiona.

Przez chwil parę Lorraine tak był ogłuszony i tak wstrząśnięty, że zaledwie był w możności uleżeć na miejscu; ale, skutkiem wstrząśnienia, rany jego krwiąbroczyć zaczęła na nowo i to go może oprzytomniło. Przysnajuniej powstał, i chwiejnym krokiem przestąpił wyłom, w murze otworzony. Żołnierze czterdziestego trzeciego i pięćdziesiątego drugiego pułku powitali go okrzykiem, wdzierając się sami na mury, a ze strony nieprzyjaciela nikt broni przeciwko niemu nie podniósł. To się jednak nie stało w skutek podziwu dla jego męstwa (choćaż Francuzi bywają często bardzo rycerskimi wrogami), ale dlatego, że bohaterscy ci obrońcy zmuszeni wreszcie zostali opuścić wyłom. Zaszła im była piąta dywizya, która przebojem utorowała sobie drogę przez basztę świętego Wincentego; wiedzieli także, że twierdza już się poddała, widząc więc, że główne ich siły złamane, zrejęterowali przez miasto i przez most na Gwadyanie.

Z przekleństwem na ustach wyznać trzeba, że ludzie, którzy okazali tak wielkie bohaterstwo, takie braterstwo wzajemne, silne, wspinałomysłne a litościwe, że ciż sami, mówię, ludzie, w niespełna pół

godziny przemienili się w coś podlejszego od bydła bezdusznego; dowiedli oni, że najgorszą stroną wojny nie jest jeszcze krwi rozlew i męki powolnego konania, że nie jest nią nawet pogwałcenie wolności, nienawiść, tyrania i zdrada. Tęże saméj nocy, kiedy złożyli takie dowody bohaterstwa, patryotyzmu i zaparcia się siebie, ciż sami bohaterowie, ci sami poświęcenia pełni patryoci, dopuszczali się przestępstw, z których najprzyswoitszem i najznośniejszem było świńskie i zbydlęcające pijaństwo. Rabunek, podpalanie, mord, i niedające opisać się zniewagi, dały powód własnym ich sprzymierzeńcom, Hiszpanom (uradowanym, że się Francuza pozbyli i oswobodzicieli swoich witać gotowym) opłakiwać zwycięztwo angielskie téj saméj jeszcze nocy.

Takim więc stało się sposobem, że młody Lorraine, jakkolwiek znużony i bezsilny i napróżno szukający lekarza, który-by rany jego opatrzył, został zmuszonym bić się raz jeszcze téj nocy, zanim daném mu zostało ledz na spoczynek.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Rabunek Xeresu.

Zdawało-by się, iż zdarzają się czasem chwile, sceny i wypadki, wśród których natura ludzka ulega bezsilnie nagłej jakiegś zarazie, chorobie ducha równie strasznój, jak: czarny mór, trąd, lub dzuma. Jakaś panika, jakaś zabobonna exaltacya, jakiś nagły poryw patryotyczny lub socyalny, bądź-to powstanie, bądź *revival* wszystko to jest zdolne pełnać tłumy ludzi, jak świnię, w przepaść leące; rabunek jednak wielkiego miasta, krwawym szturmem zdobytego, większym zawraca głowy szaleń, niż wszystko inne, razem wzięte.

Uczciwych nawet i porządných żołnierzy splamiła zaraza podłości. Wyznali potem (gdy im to cierpienie głowy minęło) jak dalece czuli się zawstydzonymi własném postępowaniem, oraz tém, że dali się uwieść do zbrodni i rozpusty przez takich, którzy byli zakałą i szumowinami pułku. W danéj jednak chwili, owi porządni byli równie źli, a może nawet gorsi, niż zatwardziałe lotry; więcej bowiem mając w sobie siły, tém szybciej na bezdroża się puszczali.

Hilary mało znał naturę ludzką i to tylko z gentlemańskiego punktu widzenia; to też, gdy trafił, czy może zabłądził na główny plac miejski, zdumiał się tém mocniej, że niezwykle był osłabiony,

sceną, którą zszedł niespodzianie. Tutaj bowiem, przy świetle płonącego ogniska, kosztownemi zasilanego sprzęty, ujrzał on oficera swego pułku, majora Clumps, zręcznie, lecz dla niego nieprzyjemnie przywiązanego do frontowych drzwi dużego jakiegoś pałacu. Na krzyż, przez piersi i ręce, przeciągnięto mu kilka owych rzemiennych pasów, na których żołnierz broń przez ramię przewiesza i, pasy te wyprężwszy, przybito je bagnetami do drzwi, tak mocno, że ruchliwy ten oficer nie mógł nawet dostać nogą ziemi. Na głowie miał on bardzo widoczną błazeńską czapkę, zrobioną z kopii proklamacyi, a wyraz ten, wielkimi literami wydrukowany, widniał mu nad samém czołem, podczas gdy olbrzymi jakiś grenadyer, śpity jak skrzypek, nucąc sobie ludową piosenkę, gorliwie się zajmował huśtaniem majora w takt na drzwiach tak, jak czasem dzieci chustają jedno drugie na wrotach podwórzowych. Wściekłość majora i dosadność jego wyrażen da się wprawdzie wyobrazić, ale powtórzyć się nie da. Jużto zawsze on sływał z umiejętności klęcia; ale w tym wypadku przeszedł samego siebie, wznawiając i zdwajając co chwila wykrzywania się widzów.

— Pochuśtasz ty się za to — wrzeszczał on na swego dręczyciela, właśnie, w téj samej chwili, gdy podchodził ku temu miejscu Hilary — pochuśtasz się ty, jeden... etc, etc...

— Wkażdym razie, ty się pierwszy chustasz, stary kogucie — odpowiadał grenadyer, pełnym wdzięku ruchem chustając zawieszzonego na drzwiach majora.

— Lorraine! Lorraine! — wykrzyknął ten ostatni, gdy ruch mu nadany zetknął go oko w oko z Hilarym — na miłość Bożką, powstrzymaj tych niegodziwców! Ach! widzę, że nic im zrobić nie możesz! sam porządnie jesteś ranny, biedny chłopcze!

— Mój przyjacielu — odezwał się do grenadyera Hilary, z tym podbijającym wdziękiem, któremu nawet rozbójnicy oprzecz-by się nie mogli — jesteś zanadto dobrym żołnierzem, by brać tak na pośmiewisko dzielnego oficera angielskiego. Nie mogę próbować nawet użyć z tobą siły, bo jesteś tak szczęśliwym, żeś nigdzie nie ranny. Podziękuj za to Bogu i puść na wolność swego jeńca: pamiętaj, że to nie Francuz, lecz mężny i poczciwy major angielski.

Za pomocą takich-to, a może i dosadniejszych argumentów, wyrobił uwolnienie dla swego zwierchnika, który przez chwilę, ze zmęczenia i wzruszenia, przemówić nie był zdolen. Na migi jednak dał znaki Hilaremu, że mu ma do powiedzenia coś niezmiernie ważnego,

i, biorąc go na bok, wprowadził pod wysokich a wązkich drzwi arkadę.

— W domu tym wielkiego narobią nieszczęścia — zdołał wreszcie powiedzieć Hilaremu — w Rodrigo już dosyć nabroili żołnierze, ale tutaj dziesięć razy więcej broić będą. Tak jesteśmy rozrzućeni po całym mieście, że żaden z żołnierzy nie ma w pobliżu oficera nad sobą, a oficerów z innego pułku nie słucha ani trochę. Za to mnie tak dyabelnie utraktowali, że próbowałem przywieść do posłuszeństwa kilku łajdaków z piątej dywizyi. Pomyśl tylko, Lorraine, co by się z nami działo, gdyby własnym naszym córkom podobne niebezpieczeństwa groziły!

— Nie mam jeszcze wprawdzie córek — odparł Hilary, krzywiąc się na tę myśl żałośnie — ale przeszył-bym naskroś pałaszem piersi pierwszego lepszego, to jest, gdybym miał jakikolwiek pałasz, albo rękę, do władania nim zdolną. Pałasz wytrąciła mu z garści kula armatnia, a prawa jego ręka zwisała bezwładnie, krwią okrzepłą zbroczona, nie miał bowiem czem jej przewiązać.

— Mężczyzna z ciebie, mimo tego żeś dobrze ranny — odrzekł major, trochę wzruszony silnemi słowy Hilarego, bo sam miał dwie ładniutkie córeczki, którym nic nie zagrażało w Anglii, — to prawdziwe nieszczęście, że cię tak mocno poraniono.

— Takie też i moje zdanie. Mimo to, mogę jeszcze długo wytrzymać, majorze, i przydam się do wszelkiej roboty, do której niepotrzeba siły.

— Czy wiesz, gdzie mogą być nasi? Bardzo chętnie potłuką trochę tych łotrów, témbardziej, że mają do nich urazę za to, że łajdaki najpierwsi weszli do miasta. Dotąd my zawsze byliśmy pierwsi. Przypuszczam, chłopcze, że z nogami jesteś w porządku?

— Zupełnie; tylko czuję trochę zawrotu głowy, a jak się w głowie kręci, to i nogi nie statkują; przynajmniej tak zawsze mawialiśmy w Oxfordzie.

— Mniejsza o to, co mawialiście w Oxfordzie; myśl teraz o tém, co masz mówić w Badajoz. Powynajduj, gdzie możesz, ludzi naszego pułku, powiedz im, że piąty morduje, łupi, znowu nas oszukuje, przed nami się ciśnie i łży najlepszych oficerów. Pościągaj ich tu pijanych, czy trzeźwych, o to zresztą mniejsza, bo im więcej moi ludzie wypiją, tém są trzeźwiejsi. (Prawdopodobnie oficerowie piątej dywizyi mieliby także samo paradoxalne przekonanie o swoich podkomendnych).

— Nie jestem wprawdzie zdolny iść tak prędko jak zwykle —

rzekł Hilary — ale zrobię, co mogę. Może jednak, nim cokolwiek zdążę zrobić, oni się pośpieszą i zrobią tu co złego?

— Mam nadzieję, że nie. Spytałem hrabiego Zamora, który zdaje się być najpierwszą figurą w mieście, o co mu więcej chodzi: o wino, czy o córki. Ma się rozumieć, odpowiedział tak, jak na gentlemana przystało. W piwnicach jego znajduje się z jakie trzysta antałów; upłynie sporo czasu, nim żołnierze wypić to zdołają. Ja zaś puściłem wieść, że wino wyborne, a wszystkie kobiety uciekły z domu. Noc jest gorąca, wszyscy ci ludzie rzucają się najpierw na te ogromne piwnice, a jak ztamtąd wyjdą, jeden trzeźwy da rady dwudziestu.

— Cóż to za nieszczęście, żem ja taki zbity! — zawołał Hilary, w uniesieniu wrodzonej sobie rycerskości, zupełnie prawie zapominając o bólu. — Majorze, jeżeli przez pół godziny przynajmniej potrafisz trzymać na wodzy tych czortów, to odpowiadam za bezpieczeństwo kobiet, znajdujących się w tym domu. Strzeż się jednak ognia!

— Nie potrzebujesz przypominać mi tego, młodzieńcze; znałem ja się z takimi rzeczami, nim jeszcze ty na świat przyszedłeś. Muszę wynaleźć gdzie jaki płaszcz i beret; palonym korkiem uczernić brwi i udawać Hiszpana, majordoma, jak to oni nazywają. Umiem trochę szwargotać ich językiem; dla angielskich uszu to wystarczy. Pędę niby piwnicznym, i będę im pokazywał, gdzie stoją najlepsze wina, oni zaś nie potrafią rozróżnić wódki od wina. Témbardziej téż, przy pełnych szklankach i mnie nie poznają, aż dopiero wtedy, gdy wszystkich pod straż oddam. Spiesz-no się, śpiesz, nie mamy czasu do stracenia.

Hilary widział, że major Clumps zamierza przybrać nader niebezpieczną rolę; wielu bowiem miało muszkiety nabite i niewiele-by dbali o to, do kogo im strzelić wypadnie. Nie umiejąc jednak nic na to powiedzieć, ruszył spełnić dane sobie zlecenie, chociaż powinien był udać się wprost do szpitala.

Nie wiodło mu się z początku, nie spotykał bowiem ludzi ze swego pułku, a nawet niewielu ze swojej dywizyi; wielu z nich znalazło niewątpliwie zajęcie wewnątrz domów, gdzie chwyтали, co tylko mogli. Ale, nakręciwszy się tu i owdzie, spotkał kaprała White'a, z własnej swojej kompanii, bardzo pewnego człowieka, który pojmował ważność zachowania się trzeźwo w chwili rabunku szczególniej. Był to człowiek nieugięty w kwestyach dyscypliny, ale mimo to ogólnie lubiony w szeregach; to téż, gdy posłyszał o zniewadze, wyrządzo-

nój majorowi swego pułku i o niebezpieczeństwie, w jakim się ten major znajdował, gdy dowiedział się, że rodzinie bogatego jakiegoś *Dona* zagrażali ci łajdacy z piątój dywizyi, przysiągł, że, zebrawszy całą kompanią, z nią pójdzie na odsiecz prędkiej, zanim człowiek zdołałby wymówić: „*Jack Robinson*”.

— A teraz, sir — rzekł do Hilarego — pan nie jesteś zdolny pójść gdzie dalej, ani zrobić cokolwiek. Tu na rogu ulicy jest wodotrysk czystej, źródlanej wody, która więcej warta, niż te wszystkie wina i spirytusy, jakimi się tamci bezwstydnie spijają. Ach! chciałbym ja mieć kufel dobrego angielskiego piwa, ale tego niema ani tam, ani tutaj, w niedostatku zaś tego piwa, sir, człowiek rad wypije kapkę tej wody. A jak pan się napije, niech pan nią sobie obleje rękę. To brzydka rana, sir!

Z temi słowy odbiegł jak najspieszniej, a Hilary, idąc za jego wskazówkami, doznał najwyższej z czysto cielesnych przyjemności, jaka uszczęśliwić może człowieka rannego, i ugasił wściekłe pragnienie wyborną, zimną, jak kryształ przejrzystą, wodą. Pił, pił, i wzdychał z rozkoszy, i zaczynał śmiać się sam z siebie, a mimo to, jeszcze do wody powracał. I wtedy uczuł się na chwilę tak orzeźwionym, że wydało mu się, iż takie, jak jego, rany, najmniejszej uwagi nie warte.

— Pójdę i zobaczę, co tam porabiają te gałgany — odezwał się do siebie i razem do ładnego świętego Izydora (przed którego czystym posągim, pochylonym nad dobroczynną wodą, odkrył był głowę, jak to gentlemanowi uczynić wypadało). Napiłem się Twojej wody i dziękuję Ci za to, Święty; chociaż nie mam pojęcia, jak ci na imię! Rodzina nasza była przez lat pięćset katolicką, i nie wiem doprawdy, dlaczego nią być przestała!

Rub a dub, dubbledy, dulluby dub... jakiekolwiek głoski i dysonanse wydać może odgłos bębna, w który z zapalem, godnym lepszej sprawy, uderza dobosz, co z bębna swego pijąc, spił się jak bela, takie obili się teraz o uszy Hilarego. Nie mając szklanek, i nie mając czasu studyowania sztuki, jak się wolno sęczy wino z przechylonej w usta butelki, wpadli na niezmiernie świetny pomysł. Tłukli butelki o bęben, wlewali w niego ich zawartość, i wtedy, przykładając usta, pili całym gardłem. Bębnowi taki sposób postępowania szkodził nie tyle, co im trunek, nie miał czasu przesiąknąć w tłusty pergamin, bo stało ich w koło bębna tylu, ilu zmieścić się mogło, a pełno stało za nimi, czekając na swoją kolej, tak, że bęben nigdy nie był wypełniony po brzegi, choć rozbito o niego tyle tuzinów butelek. Nie dziw

więc, skoro takie rzeczy się działy, że niejeden strzał muszkieta rozległ się po oświeconych ogniami ulicach Badajoz i że niejeden pocziwy człowiek, który cało uszedł przed wściekłością wrogów, padł teraz ofiarą téj zabawy.

Hilary czuł, że ma już dosyć ran od kuli, że ma ich nawet za nadto; to téż z wolna i z trudnością się wlokąc, zawrócił w stronę owego wielkiego placu, i szedł, kryjąc się co chwila (ilekroć znalazł taką kryjówkę) w cieniu przedsionka, portyku, lub w jakimkolwiek ciemnym załomie, który mu się trafił po drodze. Tym-to sposobem, nie poniosłszy żadnego więcej szwanku, powrócił do domu hrabiego Zamora.

Przyszedłszy tu, zastał główne drzwi zamknięte, niezawodnie zamknęli je od wewnątrz rabusie, by ich nikt nie spłoszył; a ponieważ ognisko, na ulicy rozpalone, przygasło już było trochę, przypuszczał, że się pomylił co do domu, dopóki lewą ręką nie namacał dziur, wywierconych przez bagnety, któremi przygwożdżony był pocziwy major. A podczas gdy to czynił, doleciał go z piwnic hałas, który wzmógł w nim żądzę dostania się do wnętrza domu.

— A to ładna rzecz! — rzekł sam do siebie — major tam w domu, a tu niema sposobu dostać się do niego! Człowiek tak skory do gniewu w mocy takich łajdaków! Niedługo będą go brali za Hiszpana, bo ani wątpić, że im zaklnie po angielsku. I nietylko Clumps, ale jeszcze cały dom oddany na ich łaskę!

Ale w téj nawet chwili, w której podawał w wątpliwość zdolności swego zwierchnika w kwestyi zapanowania nad sobą, on téż sam nie dowiódł wcale posiadania zadziwiającego chłodu: usłyszawszy bowiem odgłos licznych kroków, z dołu na górę zmierzających, Hilary przedarł się, jak umiał, do dogasającego już ognia i chwyciwszy lewą ręką — prawą miał bezużyteczną — głównią jakiegoś kosztownego drzewa, zbyt twardego, by spłonąć mogło (mogło to być żelazne drzewo, w Afryce rosnące, albo chlebowe, albo heban prawdziwy) powrócił z nią, na dobre już rozwścieczony, i zaczął walić we drzwi co siły. Ale drzwi były ze starego kasztanu, i nawet gdyby nie był tak osłabionym, nie potrafił-by Hilary ich uszkodzić; teraz więc, bezsilnym będąc, napróżno się do tych drzwi dobijał, nikt go nawet nie słyszał.

— Tego jednego dosyć, by z nóg zwalić człowieka — rzekł sam do siebie, czując, że mu coraz gorzej; im bowiem człowiek czuje się słabszym, tém mocniej w nałóg swój popada, a Hilary miał nałóg mówienia do siebie — jeżeli tym sposobem nie potrafię dostać

się do środka, muszę co innego wymyślić, a dostać się tam koniecznie.

Było by to zupełnie nie trudną dla niego rzeczą wtedy, gdyby był, jak zwykle, zdrow i ruchawy, a to dla tego, że pijane łotry zostawili otworem stojące okno, do którego łatwo mógł się dostać z ulicy człowiek silny i wszystkimi członkami władający. Ale Lorraine, w obecnym swoim stanie, nie mało zażył bólu i trudu, zanim się przez otwór okna przedostał. Gdy tego w końcu dokonał, znalazł się w ciemnym przejściu o mocno wyfroterowanej posadzce, na której poślizgnął się i upadł.

— Co za fatalna wróżba! — zawołał żartobliwie, mało mając o tém pojęcia, jak dalece prawdziwemi okażą się jego słowa — upaść tak na wstępie do cudzego domu, nawet wtedy, gdy się tam wchodzi przez okno. Mimo to, nic sobie przecież złego nie zrobiłem, czuję tylko wstrząśnienie upadku. Bóg jeden wie, że mnie nie stać na ponowną krwi utratę.

Pomocowawszy rozluźniony w upadku bandaż, bo był już sobie przewiązał rękę chustką od nosa, zaczął nasłuchiwać i usłyszał też istotnie, jak wielki hałas dochodził raz z téj, a drugi raz znowu z innej strony. Stary ten dom pełen był bowiem śpiących ech, leniwie odpowiadających sobie z różnych kątków i zakomorków, nakształt oklasków przy uczcie; Lorraine zatém, jakkolwiek drogi niepewny, szedł jednak na przód, jak przystoi młodemu Anglikowi. Instyktowne to męztwo usłużyło mu dobrze, o tyle przynajmniej, o ile to na tę chwilę zdawać się mogło, powiodło go bowiem do głównej ogromnej sieni, z której drzwi, w niszach i arkadach się znajdujące, zdawały prowadzić wszędzie i do wszystkiego. Tutaj się Hilary zatrzymał i ciekawie wkoło rozejrzał, było to bowiem coś zupełnie innego, niż w angielskich domach widywał, i na razie nie mógł powiedzieć, czy mu się to podoba, czy nie. Było tam pełno światła: woskowe świece, olejne kagańce, ogniem kapiące pochodnie, powtykane we wszystko, co tylko przydatnem być mogło do trzymania światła, które rzucało przeletne blaski na posadzkę, nakształt zwierciadła, odbijającego je w lśniącej swojej powierzchni. Miejscami znów szeroko zalegały cienie, chwiejne, migotliwe, co chwila zlewające się z sobą.

— Dziwne to jakieś miejsce — rzekł Hilary — ciekawym, co mi teraz czynić wypada?

To, co mu czynić wypadało, samo rzuciło mu się w oczy; odrazu młoda jakaś panienka wpadła nagle do sieni, jak motyl spłoszony.

— Nie schwytają mnie — zawołała po hiszpańsku — nie mogą

dogonić mnie... pijani! Jeszcze sobie raz z nich zadrwię, niech i tu jeszcze uganiają się za mną!

Kryjąc się w cień, i znowu z niego za chwilę wynurzając tak lekko, jak-by sama cieniem tylko była, przystanęła tuż obok Hilarego, nie widząc go wcale z powodu ciemności, ogarniającej ten kątek, gdzie oboje się razem znaleźli. Hilary, lekając się zdradzić poruszeniem, cofnął się w głąb' niszy, drżeniem przejęty, bo w blasku migocącego światelka, które teraz na twarz jęj padło, domyślał się niepospolitej, dziwnej jakiegś urody. W tęg chwili jednak mógł widzieć tylko obfitość połyskujących, spływających na ramiona włosów, płomienie czarnych oczu i odzież, drżącą szybkim ruchem tajemniczej postaci. Słyszał także przyspieszony oddech, głębokie westchnienia i łagodny szmer postaci, z gwałtownego biegu w spokój nagle przechodzącej.

— To jest coś, czego pojąć nie mogę — sam do siebie przemówił Hilary. — Ani pojąć, ani poradzić.. Ale, o ile sądzić mogę, ona zdaje się nie potrzebować pomocy. Ciekawym, kto to jest i jak wygląda przy świetle dzienném?

Zanim jednak postanowił, jak postąpić w kwestyi, doświadczenie jego przechodzącej, w mieszkaniu, leżącym na piętrze, powstał nagle ogromny hałas: dało się słyszeć parę głośnych, przenikliwych krzyków i odgłosy tupania, gonitwy, szybkiego biegania. — Najświętsza Panno, znaleźli Kamille! — zawołała młoda osoba, obok Hilarego stojąca — powinna była mieć więcej rozumu. Mam-że sama narazić się na niebezpieczeństwo, by ją od niego ustrzedz? — I, nie dając sobie czasu zastanowić się dłużej nad odpowiedzią, jakieg pytanie to wymagało, szybsza od cieniów, przez stare, kopcające lampy, na ścianę rzuconych, póskoczyła między filary i pędem po kamiennych schodach pobiegła, a za nią podążył, jak mógł najprędzej, młody Lorraine, więcej bólu, niż roztropności mający.

Kamienne owe schody prowadziły na szeroką, kamienną także galerię, na obie strony się rozchodzącą, a tak słabo, jak mało-miasteczkowa ulica, oświeconą. Ale Hilary nie wahał się już teraz w wyborze drogi, bo z prawej strony dochodził go jak-by szezęk broni, po ścianach tańczyły jakieś cienie, w dziwaczne łamiące się linie, domyślił się więc łatwo, że dzieje się tam coś złego, i w tamtą stronę pędził. Nie potrzebował iść daleko, bo w dużym pokoju, obwieszonym obrazami i prawdopodobnie pełnym w dzień słońca i światła, ważył się teraz los domu. Chociaż zbydlęceni trunkiem, w skutek za długiego pobytu w piwnicach, rabusie wynaleźli jednak domowych i mieli właśnie zamiar uważać ich także za łup wojenny; trudno się

zatem dziwić, że interwencya angielska niekoniecznie była uważaną za łaskę Bożką, skoro Anglicy w ten sposób sprzymierzeńców swoich traktowali. Ale żołnierze angielscy, jakkolwiek w owych czasach brutalni (wtedy szczególniej, gdy mord i rzeź, zbudziły w nich najgorsze ludzkie instynkta, a krew rozpłomieniła się gorącym trunkiem) mieli jednak jedną dobrą, wszystko okupującą stronę charakteru, a mianowicie: do gry z kartami na stole, takięj, jaka uczciwym ludziom przystoi i do sportu wszelkiego. Powypijali i rozkradli wino Hiszpana, popalili mu meble na placu, robili, co mogli, aby mu dom podpałić, ale robili dotąd tylko, póki sądzili, że właściciel, jak tchórz, przed nimi umyka. Ale teraz, gdy sięgnęli po to, co mu droższém było, po honor jego, a on, jak mężczyźnie przystało, wyszedł na ich spotkanie, teraz na dnie tych serc, trunkiem zalanych, obudziło się pragnienie poznania tego człowieka bliżej.

Miguel de Montlacan, hrabia Zamora, dobrego był gatunku i takim być był powinien ze względu na swoje pochodzenie i starą krew, w żyłach jego płynącą. Waleczył on w obronie honoru swoich dzieci i wiedział, jak używać rapiera. Dwóch rannych rabusiów, leżących na podłodze, świadczyło, że chociaż siwy włos srebrzył mu głowę, ramię jednak jego nie utraciło z wiekiem siły. I teraz jeszcze, z toledańskiem cieniutkiem ostrzem w ręku, dzielnie się bronił przed bagnetem trzeciego przeciwnika, mężczyzny dwa razy od niego silniejszego, a był nim ten sam właśnie olbrzymi grenadyer, który przygwoździł majora Clumps do drzwi domu i chuśtał go na nich, jak dzieciaka.

Trochę dalej, w rogu pokoju, stały, lub klęczały dwie kobiety młode i piękne, w trwodze i przerażeniu najwyższém. Za pierwszym rzutem oka, widzieć można było, że to siostry, choć każda z nich odmiennie się zachowywała, bo jedna klęczała, nieprzytomna prawie ze strachu, z zapłakanemi oczyma, obejmując rękoma marmurowe podnoże krucifixu, i nie mając odwagi spojrzeć na toczącą się obok nięj walkę, wzdrygała się tylko konwulsyjnie, ilekroć głośnieję szcęknęła broń walczących. Druga stała wyprostowana, odważna, z włosami w tył odrzuconemi, jedną rękę złożyła na głowie siostry, w drugiej trzymała broń, zacięła usta i—choć, jak płótno, blada,—nie spuszczała jednak oczu z człowieka, który godził w jej ojca. Za pierwszym rzutem oka Hilary spostrzegł, że odważna ta dziewczica jest tą samą, która uciekła do przedsionka i powróciła dzielić los siostry.

Nie zawsze można postępować po rycersku, ani téz jak prawdziwym bohaterem postąpić wypada. Z pod nóg zataczających się żoł-

nierzy (którzy przy fajce i butelce, pokrzykując tamtym dla zachęty, przyglądali się stronom walczącym) wyrwał Hilary dobrych rozmiarów skórzany wór od wina, niecierpliwą ręką rozerwany, ale mimo to zawierający zawsze część drogocennej swój zawartości. Łotrzy znaleźli go w piwnicy i natychmiast się domyslili, że zawiera coś dobrego, a teraz (gdy właściciel domu, coraz to mocniej napierany i niezdolny dosięgnąć w długi bagnet uzbrojonego przeciwnika, już lada chwila zwyciężonym uznać się musiał, wobec ostrza bagnetu, w piersi mu prawie już tkwiącego i z każdą chwilą, cofając się, zbliżał do córek), Lorraine silnym zamachnięciem zdrowej lewej ręki rznął soczystym worem o tył głowy szlachetnego grenadyera. Zalany winem, szalony gniewem, rzucił się ów na nowego przeciwnika, ale hrabia nagłym zwrotem ręki, przewlekl mu rapier, jak należy, przez ścięgna prawego ramienia. Z dłoni rannego wypadł muszkiet, który Hilary pochwycił, mierzając nim w pierś właściciela. Teraz dopiero przypomniał sobie grenadyér, o czém w potyczce z Hiszpanem wspomniał był jak najzupełniej, że muszkiet jego nabity, a kurek odwiedziony! Na wzór! tedy ptaka morskiego, który nagłego daje nurka, nagle spuścił z tonu, z doświadczenia już wiedząc, że z rabusiami busiami krótka sprawa.

Mimo to, źle było-by się działo z Hilarym, niemniej jak z hrabią i domownikami jego, gdyby wprędce nie nadciągnęła była pomoc. Napastnicy bowiem, dotąd dziwnie spokojnie się zachowujący (dlatego zapewne, że Marsa Bachus na łonie swém ukołysał) zbudzili się nagle z tegoż samego powodu i z równie zadziwiającą wściekłością, Wymyślając sobie co niemiara i nawzajem sobie winę przypisując, wyciągnęli się frontem (ka'ności w butelce nawet nie straciwszy) i, sunąc przez całą długość pokoju, uderzyli na nieprzyjaciela.

Jakkolwiek byli pijani, w natarciu tém jednak mieli tyle siły, na wyknieniem nabytém, iż Hiszpan, w mniemaniu, że wszystko już stracone, myślał tylko jak sobą córki zastawić. Ale Hilary, z wielką przytomnością umysłu, stanął na przodzie, jakby komenderować miał nimi i jak oficer ich: „Halt!” na nich zawołał.

Stanęli wszyscy razem, jak wryci, niektórzy, straciwszy nawet równowagę, popadali na ziemię, a zanim zdążyli sformować się, by powtórnie uderzyć, lub opór stawić komendzie, już zaszedł im tył porucznik White, z oddziałem dzielnych swoich wiarusów, i bijąc w prawo i w lewo, zmusił ich do ucieczki, której wyrzuty sumienia towarzyszyły.

ROZDZIAŁ XL.

W blasku pięknych oczu.

Skoro tylko hrabia i córki jego zobaczyli, ile winni są Hilaremu i w jak smutnym sam będąc stanie, trudził się dla ich obrony, natychmiast, bez straty czasu, postarali się mu dowieść, że Hiszpanie nie są niewdzięcznym plemieniem. Hrabia wziął młodzieńca w objęcia, o tyle przynajmniej, o ile to mógł uczynić bez urażenia zbolełych jego członków, i ucałował go w oba policzki, a chociaż młode panny nie mogły pójść za przykładem ojca, jasno jednak dały poznać, że nie brak wzruszenia przeszkadza im to uczynić. Ucałowały lewą rękę rannego młodzieńca i tuliły ją w swoich dłoniach, i patrzyły na niego oczyma tak cudownie słicznymi, a tak pełnymi gorącego uwielbienia, że major Clumps, który leżał na podłodze, skrepowany powrozami, a co gorsza, z kneblem w ustach, pałał chęcią zakłęcia co się zowie, doznał jednak porażki w walce z przemocą.

— Ach! ojcie, on mocno ranny! — zawołała odważniejsza i, jeżeli to możebne, piękniejsza z dwóch panienek — ojciec sam na to nie zważa, bo zahartowany, jak mało kto... Ale ten młody pan musi pójść do łóżka... Patrz, ojcie, nie może utrzymać się na nogach!

Teraz bowiem, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo już minęło, Hilary czuł się blizkim omdlenia, jednocześnie pogardzając sobą, że się takim w obecności pań czuje.

— Ach! śmiertelnie, śmiertelnie ranny! — zawołała nieśmiało panienka — cóż my teraz zrobimy? O! wszyscy święcił nas ocalił, a sam życie postrada!

— Spokojnie, Kamillo — odezwał się hiszpański szlachcic uprzejmie i niewzgardliwie. — Nie dałaś wprawdzie dowodu, że ród nasz umie być odważnym, ale wbrew swojej naturze iść trudno. Ty za to, Klaudyo, odważna jesteś, jak mężczyzna. Poszukaj-no pocziwięj Tere-sy; wiem, że nie uciekła razem ze wszystkimi, musiała się tu gdzie schować. Kamillo, uwolnij z więzów tamtego dzielnego seniora... Łaskawi panowie, przejść nam pozwólcie!

Porucznik White odciągnął swoich ludzi na stronę, podczas gdy hrabia, zapomniawszy o lekkich ranach własnych, prowadził, a raczej na poły niośł Hilarego przez niedługi kurytarzyk do przyciemnionego

i chłodnego pokoju, w którym ranny młodzieniec mógł spocząć wygodnie. Tutaj ułożył go na sofie, a sam, przyniósłszy zimnej wody, obmył mu twarz. Niebawem przyszła téż i stara Teresa jęcząca, wzywając pomocy Matki Najświętszej, pozdejnowała z niego ubranie tak lekko i ostrożnie, jak gdyby Hilary był dziecięciem jój córki. Rad nie rad śmiać się musiał Hilary, widząc, że się z nim jak z małym pieszczoszkiem obchodzi i miłym mu prawie był ból, jaki, mimo swój woli, zadawała mu przy rozbieraniu Teresa.

Mimo to pokazało się, że nie miał Hilary na sobie (jak brygadyer Walker, tegoż samego wieczora ranny) dwudziestu siedniu ran rozmaitego gatunku, ale tylko pięć i dwa silne stłuczenia, właśnie tyle, ile potrzeba dla odwrócenia uwagi. Jeżeli bowiem człowiek potrzebuje myśleć o jednym tylko miejscu na swoim ciele, jest on wtedy jak smakosz, przy stole Lorda-Mayora siedzący; ale jeżeli się wszędzie widzi pokiereszowanym, uwaga jego jest rozdzieloną i porównywanie między sobą licznych dziur, jakie ma na ciele, jest dla niego czémś nakszttałt przyjemności.

Hilaremu (skutkiem łaski Bożkiej widocznie) daném było uniknąć tego, co jest szczytem niedoli ludzkiej: żaden doktor nie zbliżył się do niego. Na szczęście, nie zrobił nikt tego kroku, który jest fatalnym w życiu najsilniejszego nawet człowieka (kroku, który jak na pokuszenie wiedzie nas na drogę, do drzwi doktora prowadzącą); angielscy lekarze obeinali, gdzie mogli, nogi i ręce umarłych już ludzi, a Senhor Gines de Passamonte, jedyny lekarz hiszpański, w dobrém towarzystwie używany, został upieczony przy jednym z ognisk ulicznych, by się mógł prędzej po angielsku nauczyć. Była to operacya, w najlepszych zamiarach dokonana i ostatecznie w skutkach swoich nie szkodliwa, bo uczony ten osieł, zanim przyszedł do siebie, przez całe trzy miesiące nie mógł wychodzić do chorych.

— Senhor, nie możemy znaleźć doktora — odzewał się niespokojnie hrabia, puszczać się na rozmowę w języku angielskim, którym już poprzednio mówić próbował. — Cóż teraz zrobimy? Nawet rozmówić się z panem nie umiem.

— Ale umiesz pan mówić wybornie; chciał-bym i ja umieć mówić choć trochę wspaniałym waszym językiem.

— Będiesz pan mówił, senhor; tak odważnego młodzieńca nie żał będzie uczyć. Wasze *angielskie* (gra słów: zamiast *english* angielskie, hrabia mówi: *Angles* kąty) wyrażenia wydają mi się dobre i silne... Ach niestety! pan się śmiejesz, jak widzę...

— Hrabio, skrzywiłem się trochę z bólu. Owszem, posiadasz

pan gruntownie mój język ojczysty. Lękam się tylko, czy po takięj, jak dzisiejsza, nocy, zechcesz pan uprawiać go dłużej.

— Dlaczego? Anglicy są bardzo dobrzy. Palą moje sprzęty, *upijają* moje wina, niech im to pójdzie, jak wy mawiacie, *do zdrowia*. i przy dzielnej pomocy pana ja *zwycięstwem*... Nie skarżę się, nie... Ośmielam się powiedzieć, że musisz senhor znać język francuzki. Ja go znam także i znają go obie moje córki — mówił dalej hrabia, którego łamana angielszczyzna tworzyła najdziwniejszą grę słów. Ale w tym domu po francuzku mówić nie będziemy... Będziemy mówili po angielsku, dopóki nie nauczysz się pan rozumieć po hiszpańsku. Cóż pan mówisz na to, senhor? jak ci się mój plan podoba?

— Wyborny, wyborby plan, bardzo — odparł Hilary i, mimo coraz silniejszego bólu w ranach, dodał ze zwykłą sobie dworską grzecznością. — Nieraz pragnąłem nauczyć się przepysznej waszej mowy. Będę miał teraz najlepszą do tego sposobność.

— Zbyt przedłużam rozmowę — zauważył Sir Miguel z ukłonem takim, jakim tylko Hiszpan ukłonić się może i to wtedy tylko, gdy mu się ktoś bardzo podoba — śpij pan teraz. Poczciwa Teresa czuwać będzie przy tobie nieodstępnie.

Poczciwa Teresa nie była zdolną powiedzieć ani jednego słowa innym, jak swój, językiem, tym zaś mówić mogła, nie wymagając odpowiedzi, byle tylko wolno jej było odpowiadać samęj sobie, jak długo chciała. Widziała ona, że Hilary nie ma ani złamanęj kości, ani nawet kuli w ciele, ale jest tylko znużony pochodem, niewygodami żołnierskiego życia, oraz wycieńczony utratą krwi, że zatem potrzebuje przede wszystkim posilnego pożywienia, zimnych okładów i snu; a tego wszystkiego miał teraz podostatkim, dzięki opiece pocziwnej swojej dozorczyńi.

Tymczasem, major Clumps (któremu hrabia i córki zawdzięczały tyleż zupełnie, co i młodemu Lorraine'owi), bynajmniej nie był przedmiotem takięj nadzwyczajnej wdzięczności. Ani był ranny, ani też piękny i interesujący, a usługi jego, jakkolwiek bardzo wielkie, nie były wyświadczone w sposób, tak nadzwyczajnością uderzający. Choć więc robił, co mógł (jak to często bywa starych oficerów zwyczajem), by o nim pamiętano, jedyną jednak jego nagrodą była niesamolubna rozkosz, jakiej doznawał, widząc, że czymś zasługom znacznie mniejszym przyznano pierwszeństwo.

— Ma się rozumieć — wołał w dalszym ciągu odezwę, poprzedzonąj przedmową zbyt dosadną, aby należycie ocenioną być mo-

gła — ma się rozumieć, że tego, co jest, należało mi się spodziewać. Mam sińce, rany, wisiałem na drzwiach, skrępowany byłem powrozami i zakneblowany, za to tylko, że mi się wyrwało jedno jedyne słoweczko angielskie; a teraz dziewczęta, dla których to wszystko zniosłem, dla których przebrałem się za kamerdynera, piwnicznego, czy jakie tam pańskie licho, traktują mnie tak, jak gdybym ja był całe życie kamerdynierem ich ojca, dlatego tylko, że nie jestem przystojnym młokosem i że rany moje są czarne, a nie czerwone...

Utrata wawrzynów była tém przykrzejszą pocziwemu a gniewliwemu majorowi, bo nie tylko się często zdarzała (przez co za każdą powrotną sposobnością, wydawała się nieskończenie większą), ale i dlatego jeszcze, że major został niesłychanie prędko podbity rzewnemi i nieśmiałemi spojrzeniami, jakie padały z oczu młodzientki Donny Kamilli. Im więcéj strachu doznawała dziewczęta, tém więcéj byłój z tém do twarzy, a w chwili, gdy (jako najokropniejszój z okropności) spodziewała się, że życie dać jój przyjdzie w ofierze, w chwili owój piękną była jak anioł. Major, chociaż w kij związany sznurami, chociaż usta miał pełne starój szkarpetki, cieszył się jednak przywilejem patrzenia na nią, podczas, gdy podejmowała krucyfix, a obraz ten, wyrwwszy się na jego upartym, twardym, uczciwym mózgu, miał tam trwać aż do chwili, w którój sam mózg istnieć przestanie. Pokochał on anielską dziewczętkę, dlatego zapewne, że zmarła jego żona była poniekąd dyabła kawałkiem.

W chwili, kiedy dzielni żołnierze Wielkiej Brytanii kończyli rabunek Badajoz (co im zajęło trzy dni, jakkolwiek starali się nie tracić czasu) i, pomimo żelaznych sił swoich i hartu, zaczęli się czuć przez własne nadużycia z nóg ścięci, Lorraine był już zdolen obrócić się o własnej sile w łóżku, zaczynał tkliwszą zwracać uwagę na wszystko, co go otaczało. Uczuwał téż potrzebę pewnej zmiany: znużyła go już niezmordowana, lecz czasem mordująca troskliwość starój Teresy, którój twarz pomarszczona i śpiczasty czepiec sniły mu się po nocach. Wdzięczny jój był, ma się rozumieć, naturalnie i zawsze miał jój wdzięcznym pozostać, ale mimo to tęsknił za widokiem innój jakiejś twarzy (nie dbał o to: pięknej czy brzydkiej) byle tylko była to twarz inna. Życzenie to spełniło się, jak się to nieraz zdarza, i nawet spełniło się aż zanadto.

Nieźmiernie szlachetne nasze szkoły publiczne, i niemniej szlachetne starożytne uniwersytety, umieją i zawsze umiały wychowywać młodzież, jak trzeba. Długim doświadczeniem nauczone, wiedzą to dobrze, że obce języki są nieźmiernie zdrożne, i że człowiek zdrożno-

ści szukający, wszędzie znaleźć je może. Dlatego więc powagi nasze dobrze czynią, zamykając się w starożytnych formach i cofając się w odległość dwóch tysięcy lat. Tego systematu naturalnym było wynikiem, że biedny Hilary ani w szkole, ani w uniwersytecie nie nauczył się ani jednego nieregularnego słowa, najnieregularniejszego i najwięcej przekonywającego z języków. Poprostu mówiąc, nie umiał ani słowa po francuzku. Czytać mógł jako tako, pomagając sobie łaciną, ale języka, przez żywe usta mówionego, nie a nie nie rozumiał, jak go do dziś dnia jeszcze nie rozumie dziewięć dziesiątych Anglików

A teraz, gdy nagle słodki, dźwięczny głos przemówił do niego z po-za jego własnych pleców (co właśnie ze wstrętem odwróciły się przed chwilą od drzewi, w których nie ukazywało się nic zajmującego) i bardzo dobrą francuzczyzną zapytał:

— Jakże się pan miewasz?

Hilary zaledwie się zdobył na odpowiedź:

— Bardzo dobrze, najmocniej dziękuję, bardzo dobrze.

I po tym anglo-gallijskim tryumfie, wykręcił się w swoich bandażach (choć mu to wręcz było wzbronione) by zobaczyć, kto ona i popatrzeć na nią.

Nawet w pół-mroku przyćmionych frankami okien, nawet mimo osłabionego wzroku jego, wchodząca zrobiła na Hilarym wrażenie precudowną swoją urodą, urodą taką, na jaką niezdrowo jest patrzeć każdemu młodzieńcowi, który nie ma serca bardzo ustatkowanego i żelaznej siły panowania nad sobą. Hilary zaś wcale nie był takim, jak to jemu, zarówno jak i jego przyjaciółom, wybornie było wiadomo.

Młodsza córka hrabiego de Zamora, Klaudya de Montalvan, Andaluzyjka rodem, miała urodę więcej niż andaluzyjską. Kształt, koloryt, pełna życia fizyognomia, obok wdzięku słodczy i dobroci, oraz tajemniczój czarnych źrenic potęgi, jedném słowem najdoskonalsza harmonia z najskrajniejszych sprzeczności złożona, dodawszy do tego subtelny urok wysokiego rodu i ognistość istic południowej natury, wyznać trzeba, że najpiękniejsza z angielskich dziewic znalazła-by w niej niebezpieczną współzawodniczkę.

— Zapomniałam zupełnie — rzekła senorita, najwdzięczniejszym z ruchów zbliżając się do łóżka i podnosząc na rannego biedaka promienne jak gwiazdy oczy — zapomniałam o jednej rzeczy, sir. Dobry mój ojciec nie chce pozwolić, by które z jego dzieci mówiło po

francuzku. Nie dziw; ojciec takim jest patryotą! Ale jaka to szkoda, kiedy pan mówisz tak wybornie po francuzku.

Hilary potrzebował pewnego czasu na zrozumienie powyższego zdania. Poczém, wiedząc jak barbarzyńskim był akcent jego, słabo usiłował przeniknąć mdlejącemi oczyma głębie myśli hiszkańskiego dziewczęcia i wymiarkować, czy ono z niego czasem nie żartuje. Ale ani teraz, ani później, ani też nigdy później, wtedy nawet, gdy wzrok jego całą bystrość odzyskał, nie udało mu się przeniknąć ciemnych głębin tych promienistych oczu.

— Jakże to będzie? — mówiła dalej młoda osoba, spuszczaając oczy, długą jedwabną rzęsę ocienioną i lekko się rumieniając pod uparciem w nią tkwiącém spojrzeniem. — Lękam się, że pan nie umiesz po hiszpańsku nawet tyle, co ten zabawny stary pan, z którego tak się śmiejemy. Ja znowu nie umiem mówić po angielsku, ale, mimo to wszystko, musimy z sobą rozmawiać. Jakżeż-bysmy inaczej mogły podziękować panu, pilnować pana i zdrowie panu powrócić? Ale jedną rzecz natychmiast zrobić muszę... Czy mogę bez bólu wziąć rękę pana?

Większej cześci téj przemowy wcale nie zrozumiał Hilary, zrozumiał tylko pytanie, dotyczące się ręki; nie pokazując więc skalecznój, skinął głową i rzekł *Oui, senhora*. Poczém natychmiast, ku największemu jego zadziwieniu, przesliczna Klaudya upadła na kolana obok jego posłania, wzięła lewą jego rękę w obie swoje, i w uniesieniu jak-by najwyższego zachwytu, przycisnęła ją kilka razy, do chłodnych, pojętych swych usteczek, przyczém łza ogromna, taka, która tylko z tak wielkich oczu wypłynąć może, spłynęła po ślicznych jęj policzkach, ale nie pozwolono jęj spaść na rękę Hilarego, z obawy, że mu się to nie podobać może. A wtedy, z twarzy czki, nie zbyt od jego twarzy oddalonej, spojrzało na niego słodkie, przeciągłe wejrzenie, lśniące, ciemne włosy jak zasłona spadły na czoło i... już było po Hilarym!

ROZDZIAŁ XLI.

Panięńskie prośby i sztuczki.

Smutna to jest i trudna rzecz, śledzić szlachetnego młodzieńca, jak z prostej linii prawdy i honoru zbacza na kręte drogi hańby. Hilary dotąd kochał Mabel, kochał ją wszystkiém, co w nim było najłę-

ści szukający, wszędzie znaleźć je może. Dlatego więc powagi nasze dobrze czynią, zamykając się w starożytnych formach i cofając się w odległość dwóch tysięcy lat. Tego systematu naturalnym było wynikiem, że biedny Hilary ani w szkole, ani w uniwersytecie nie nauczył się ani jednego nieregularnego słowa, najnieregularniejszego i najwięcej przekonywającego z języków. Poprostu mówiąc, nie umiał ani słowa po francuzku. Czytać mógł jako tako, pomagając sobie łaciną, ale języka, przez żywe usta mówionego, nie a nie nie rozumiał, jak go do dziś dnia jeszcze nie rozumie dziewięć dziesiątych Anglików

A teraz, gdy nagle słodki, dźwięczny głos przemówił do niego z po-za jego własnych pleców (co właśnie ze wstętem odwróciły się przed chwilą od drzwi, w których nie ukazywało się nic zajmującego) i bardzo dobrą francuzczyzną zapytał:

— Jakże się pan miewasz?

Hilary zaledwie się zdobył na odpowiedź:

— Bardzo dobrze, najmocniej dziękuję, bardzo dobrze.

I po tym anglo-gallijskim tryumfie, wykręcił się w swoich bandażach (choć mu to wręcz było wzbronione) by zobaczyć, kto ona i popatrzeć na nią.

Nawet w pół-mroku przyćmionych firankami okien, nawet mimo osłabionego wzroku jego, wchodząca zrobiła na Hilarym wrażenie przecudowną swoją urodą, urodą taką, na jaką niezdrowo jest patrzeć każdemu młodzieńcowi, który nie ma serca bardzo ustatkowanego i żelaznej siły panowania nad sobą. Hilary zaś wcale nie był takim, jak to jemu, zarówno jak i jego przyjaciółom, wybornie było wiadomo.

Młodsza córka hrabiego de Zamora, Klaudya de Montalvan, Andaluzyjka rodem, miała urodę więcej niż andaluzyjską. Kształt, koloryt, pełna życia fizyognomia, obok wdzięku słodczy i dobroci, oraz tajemniczój czarnych źrenic potęgi, jedném słowem najdoskonalsza harmonia z najsłabszymi sprzecznościami złożona, dodawszy do tego subtelny urok wysokiego rodu i ognistość istic południowej natury, wyznać trzeba, że najpiękniejsza z angielskich dziewic znalazła-by w niej niebezpieczną współzawodniczkę.

— Zapomniałam zupełnie — rzekła seniorita, najwdzięczniejszym z ruchów zbliżając się do łóżka i podnosząc na rannego biedaka promienne jak gwiazdy oczy — zapomniałam o jednej rzeczy, sir. Dobry mój ojciec nie chce pozwolić, by które z jego dzieci mówiło po

francuzku. Nie dziw; ojciec takim jest patryotą! Ale jaka to szkoda, kiedy pan mówisz tak wybornie po francuzku.

Hilary potrzebował pewnego czasu na zrozumienie powyższego zdania. Poczém, wiedząc jak barbarzyńskim był akcent jego, słabo usiłował przeniknąć mdlejącemi oczyma głębie myśli hiszkańskiego dziewczęcia i wymiarkować, czy ono z niego czasem nie żartuje. Ale ani teraz, ani później, ani też nigdy później, wtedy nawet, gdy wzrok jego całą bystrość odzyskał, nie udało mu się przeniknąć ciemnych głębin tych promienistych oczu.

— Jakże to będzie? — mówiła dalej młoda osoba, spuszczać oczy, długą jedwabną rzęsę ocienioną i lekko się rumieniąc pod uparcie w nią tkwiącém spojrzeniem. — Lękam się, że pan nie umiesz po hiszpańsku nawet tyle, co ten zabawny stary pan, z którego tak się śmiejemy. Ja znowu nie umiem mówić po angielsku, ale, mimo to wszystko, musimy z sobą rozmawiać. Jakżeż-byśmy inaczej mogły podziękować panu, pilnować pana i zdrowie panu powrócić? Ale jedną rzecz natychmiast zrobić muszę... Czy mogę bez bólu wziąć rękę pana?

Większej części tej przemowy wcale nie zrozumiał Hilary, zrozumiał tylko pytanie, dotyczące się ręki; nie pokazując więc skalecznej, skłonił głowę i rzekł *Oui, senhora*. Poczém natychmiast, ku największemu jego zadziwieniu, przesliczna Klaudia upadła na kolana obok jego posłania, wzięła lewą jego rękę w obie swoje, i w uniesieniu jak-by najwyższego zachwytu, przycisnęła ją kilka razy, do chłodnych, pojętych swych usteczek, przyczém łza ogromna, taka, która tylko z tak wielkich oczu wypłynąć może, spłynęła po ślicznych jęj policzkach, ale nie pozwolono jęj spaść na rękę Hilarego, z obawy, że mu się to nie podobać może. A wtedy, z twarzyeczki, nie zbyt od jego twarzy oddalonej, spojrzało na niego słodkie, przeciągłe wejrzenie, lśniące, ciemne włosy jak zasłona spadły na czoło i... już było po Hilarym!

ROZDZIAŁ XLI.

Panieńskie prośby i sztuczki.

Smutna to jest i trudna rzecz, śledzić szlachetnego młodzieńca, jak z prostej linii prawdy i honoru zbacza na kręte drogi hańby. Hilary dotąd kochał Mabel, kochał ją wszystkiém, co w nim było najle-

pszém; nigdy nie wyszło mu zupełnie z pamięci słodkie i figlarne jój wejrzenie, ani szczerzy wdzięk jój głosu. W tém małym obałamuceciu, któremu (jak nie jeden starszy, mądrzejszy od niego) obronić się nie umiał, miewał on nieraz nagłe napady wyrzutów sumienia i nawroty miłości do Mabel. Drażliwy na punkcie męzkiego honoru i przejęty wiarą w moralną wyższość kobiecego rodzaju, wiedział, że przeniewierza się teraz honorowi, jak i kobiecie zarówno, i nienawidził sam siebie, ile razy na myśl mu przyszło. Ale co w nim było najgorszym, to to, że nie miał on zwyczaju myśleć ciągle i poważnie; mówił do siebie i myślał o sobie. Czuł on, że, ogółem biorąc, był wcale dobrym chłopcem i żadnych złych nie miał zamiarów; a gdyby nawet chciał pozować na stateczny i wyrobiony charakter, któżby mu tak dalece uwierzył? Świat żywił zawsze przekonanie, że był on tylko wartogłowem; a opinia świata nieraz wytwarza to, co przedwcześnie zapowiedziała. Widząc, że źle robi, przeproszał Hilary sam siebie i czuł się winnym zadośćuczynienia; jedyném jednak zadośćuczynieniem dla uczciwego człowieka jest gorycz kary, jaką ponosi.

Armia angielska, wyczerpawszy rozkosze spustoszenia aż do mętów i drożdży samych, dalej kroczyła po chwalebnej swojej drodze, w poszukiwaniu innych miast, do sprzymierzców należących, a niemniej palnych. Wielu jednak mężów orężnych zostać musiało w Badajoz, na kwaterach u wdzięcznych obywateli miasta, w celu jak najprędszego (kto mógł) wyzdrowienia i połączenia się z armią. Porucznik Lorraine znajdował się z konieczności w liczbie tych ostatnich, a major Clumps, swojemi téż koniecznościami zagniony, przyłączyć się do nich potrafił. Major, nigdy by się nie starał o wpisanie swego nazwiska na listę chorych, gdyby z całego przebiegu wojny nie miarkował, że nie zanosilo się teraz na żadną bitwę.

Tak, w samą rzecz! zapomniawszy Horacyusza i okrucieństwa Glycery, nieszczęsny majar Clumps był zakochany w Kamilli; świątobliwa Kamilla, unikając go, przechylała się tkliwie na stronę Hilarego; Hilary staczał się gwałtownemi podrzutami po stromą spadzistość, w stronę Klaudyi wiodącej, a Klaudya, tym obrotem koła miłości uniesiona, oczy miała utkwione w dalekie góry szczyty.

Ze wszystkich czysto zewnętrznych ran Hilarego, najgorszą (choć jak dotąd nie najboleśniejszą) była rana w lewym boku, zadana piką, pałaszem czy bagnetem, czy wreszcie czeńkolwiek brzydko kaleczącym. Hilary nie był zdolen zdać sobie sprawy, gdzie, z kąd i kiedy dostała mu się ta rana; mocno wprowadzie załował, że ją ma, ale prócz tego nie wiedział. Zdawać się mogło, że mu ją ktoś

zrećźnie podsunął, zamiast mu ją narzucić gwałtem, tak przynajmniej sądzić miała prawo kobieta, która młodości swojej w teatrze anatomicznym nie spędziła. Ale major Clumps (za stary żołnierz, aby tak tracić głowę wobec rany mniej stanowczej od téj, jaką kula armatnia zadaje) upierał się nie wierzyć w nieświadomość Hilarego. Miał on złą opinią o młodych ludziach i święcie wierzył, że Hilary zaplatał się w coś, czego się teraz sam wstydził. Jednocześnie wszakże postarał się rozgłosić, (dla honoru pułku), że młody porucznik pierwszy przedarł się przez ostrza, któremi był wyłom najeżony, i pierwszy potem padł, zachwiawszy się, na drodze, którą innym otworzył. Ale na teraz zdawało się, że o tém wszystkiém póty nie będzie już mowy, póki téj kwestyi, jako historycznej, pisarz jaki nie wznowi.

Rana, jaką miał Hilary w lewym boku, brzydko zaczynała wyglądać! Przez pierwsze dwa tygodnie zdawała się goić wybornie; Teresa wysławiała już wszystkich świętych, dziękując im gorąco i przyrzekając im darować dziesięciodniową swoją pensyą pod postacią świec. Ale zanim ślub spełniła, może nawet nim się gotówki doczekała, święci (czy to zbyt już świec swoich pewni, czy może obietnicom jéj wiary nie dając) nagle opieki zaprzestali, zostawiając pocziwاً tę kobietę, gałganki jéj, flaszeczki, oraz kości Hilarego, w nader opłakanym stanie. Gwałtowne zapalenie zaczęło szerzyć się pod bandażami, miejsce uśmiechów zajęły westchnienia i jęki, a błogi sen ustąpił miejsca niespokojnemu rzucaniu się po łóżku i bezprzytomnemu majaczeniu.

Uważając to za najlepszy sposób dodania otuchy pacjentowi, przyszedł pewnego dnia major Clumps, z dwoma wracającymi do zdrowia rodakami, oraz z arkuszem papieru i zaczął przedstawiać Hilaremu konieczną potrzebę zrobienia testamentu, w celu zejścia ze świata z należytym spokojem myśli i w przynależnym porządku. Mimo bólu, uśmiechnął się Hilary na myśl, że może mieć do dania coś innego prócz życia, poczem zdołał wymówić wcale wyraźnie:

— Majorze, nie mam zamiaru opuszczać świata. A jeżeli uczynić to będę musiał, nie zostawię po sobie nic, prócz błogosławieństwa mego.

— To więcéj zrobisz złego, niż dobrego, schodząc ze świata, a nikt znowu nie ma ochoty cię naglić. Serżancie Willams, możesz odejść; możesz także odejść i ty Bodkin. Wiem, że wam tu nie dadzą piwa, a wina mieliście już chyba dosyć. Idźcie precz! co tu jeszcze węszyć?

Dwaj biedni żołnierze, którzy cieszyli się nadzieją, że coś za swo-

je podpisy dostaną, smutnie spojrzeli po sobie i, wiedząc, z kim mają do czynienia, wyszli na rozkaz majora; od czasu bowiem owój sztuki, spletanój mu przez nieznaających go pijaków, major Clumps straszliwie stał się surowym dla najtrzeźwiejszych nawet podkomendnych swoich. Droga sprawiedliwości nigdy gładką nie bywa.

Było to coś, czém-by się Hilary niezmiernie ubawił i w czém-by z pewnością wziął udział, gdyby nie był tak chorobą przygnieciony. Ale nieustanny, gnębiący, dokuczliwy ból straszliwie stępia humor i bystrość spotęgowanego umysłu. Ale nawet ból, nawet obawa grobu, przy którym po téj stronie nic po nim zostać nie miało, nie mogły odjąć Hilaremu poczucia jakiegóś błogiój jasności, wszędzie w okóło niego rozlanój. Dwie piękne dziewice przyszły modlić się za niego i nieprzyjaciół jego rozproszyć.

Klaudya de Montalvan wiodła z sobą słodką i prześliczną siostrę swoją Kamillę, by raz na zawsze podziękować wybawcy, a może go nawet raz na zawsze pożegnać. Kamilla, której dziewicze serce rwało się bólem, ale która, przez dziewiczą wstydlivość i dumę, panować umiała nad sobą, szła za siostrą nieśmiało, bardzo się bojąc tego, że oczy jój wszystko a wszystko wypowiedzą. Tak więc, nawet obok znacznie świetniejszój urody pięknej i odważnej siostry, moc uczucia i litości czyniła w téj chwili Kamillę dużo od siostry piękniejszą. Mała była, dla najbystrzój patrzącego artysty, zaledwie dostrzegalną między dwiema siostrami różnica. Obie miały czysto zarysowane czoło, doskonały łuk brwi, duże wyraziste oczy, pięknie osadzone, ładnie oprawne i długą ocienione rzęsą; inne zaś rysy ukształtowała natura według najtrafniejszych doświadczenia swego w téj mierze wskazówek. Ciekawą zatem rzeczą było widzieć, jak pod wpływem wewnętrznych różnic umysłu i mocy charakteru odmiennój nabierały cechy te dwie, tak do siebie podobne, twarze.

— Sênhor — odezwała się Klaudya do majora Clumps, który jak to po hiszpańku rozumiał — słyszałyśmy, że on bardzo jest chory. Przyszłyśmy, aby zrobić dla niego, co można. Kamilla się pomodli, — to tak miło! — a ja zrobię wszystko, co tylko będzie potrzeba. Ale nie trzeba dłużej zatrzymywać tu pana; mężczyźni wtedy tylko modlić się umieją, gdy pozostają w świętym stanie duchownym.

Major uklonił się i kwaśno uśmiechnął na tę grzeczną odprawę, poczem, z trudnością wzrok odrywając od Kamilli, odszedł w milczeniu na odległość, z którój zakląć mógł bez nieprzyzwoitości.

Wzrok jego spoczywać mógł na Kamilli, choćby nawet do późnej nocy, zanim-by młoda ta dama raczyła mu się odwzajemnić spoj-

rzeniem. Całą potęgę myśli, uczucia, wszystkie obawy, nadzieje i rozpaczę swoje, zebrała w jednym smutnym sporzeniu, utkwionem w tego gościa, który był jej wybawcą i przedmiotem jej miłości. Choć doglądała go troskliwie wówczas, kiedy jeszcze niebezpieczeństwa nie było, jednak przez ostatnie trzy dni stara dozorczyni nie pozwoliła jej zbliżyć się do niego. I teraz nawet była-by się zadowolniła posłuszeństwem rozkazom Teresy i wiarą w opiekę świętych, którzy dla ocalenia jej zesłali tego młodzieńca, gdyby nie silniejsza wola siostry.

— Nie budź go, siostró, potrzeba mu spokojności — rzekła Klaudia, której piękne łono nigdy się nie stawało pastwą wdzięczności — czy nie widzisz, jaki jest piękny w spoczynku? Gdybyśmy go nagle zbudziły, mógł-by się zerwać i dostać krwotoku; musiała-byś wtedy modlić się za jego duszę.

— Nie dobrze mówisz, moja siostró — łagodnie odparła Kamilla — wylał on za nas tyle krwi, że niepodobnem się zdaje, aby jej mógł więcej utracić. Brak to krwi właśnie i gorączka na wieki nas okryją żałobą. Młodzieńcze, mężny młodzieńcze! czy nie możesz podnieść oczu i spojrzeć?

Na takie wezwanie, Hilary, chociaż nie miał pojęcia, co znaczyło, wypowiedziane bowiem było w czystym kastylskim narzeczu, niezaprzeczenie podniósł oczy i z niewielkiem, co prawda, powodzeniem spojrzeć usiłował. Oczy jego spotkały się z oczyma Kamilli, (która stała schylona nad nim) ale, pomimo wielkiego obu siostr podobieństwa, nie znalazłszy w nich tego, co znaleźć potrzebowały, poszły dalej i, spotkawszy oczy Klaudyi, na nich już spoczęły.

Kamilla, z ową szybkością miłości, której lot prześciga wszelkie myśli poloty, uczuła, boleśnie jak noża pehnięcie, to unikanie swoich, a szukanie obecności innych oczu; a mając wiele wrodzonej dumy, z czém jej bardzo było do twarzy, odwróciła się, chcąc odejść i zostawić siostrę (wcale modlić się nie umiejacą), by modliła się za tego, który więcej do niej należeć się zdawał. I gorycz zalewała jej serce, gdy się mieć ku odejściu poczęła.

Klaudia, (która dbała o Hilarego, jak o złamany grosz i nie troszczyła się wcale o to, co z nim się stanie, która nigdy się nie modliła, nie odmawiała różańca i żadnych religijnych nie pełniła praktyk) także już do odejścia była gotową, zadowolona, że się uciążliwego obowiązku pozbyła, gdy siostra jej, łagodniejsza, a przeto szlachetniejsza o wiele, zawróciła w pół drogi, pokonawszy dumę swoją.

— Nie teraz czas do sporów — rzekła — ani nawet do pogrąża-

nia się w modlitwie, wobec tak groźnego cierpienia. Siostró, modliłam się w dzień i dwa razy tyle po nocach, a przecież, niestety! wszystko coraz gorzej idzie... Ostatniej nocy dziwnie... dziwnie śniłam; może sen ten zesłała mi święta moja patronka? Poczciwa Teresa poszła teraz na obiad, na którego spożycie potrzebuje zawsze sporą godzinę czasu. Dokonaj odważnego czynu, siostró! zawsze jesteś w odwagę bogata!

— Co chcesz powiedzieć? — z uśmiechem spytała Klaudya — teraz ty wydajesz się być odważniejszą.

— Niestety! nie mam ja odwagi, Klaudio! żartujesz sobie ze mnie. Ale gdybyś tylko chciała podnieść ten bandaż... nie śmiem dotknąć biednego młodzieńca... tam gdzie jest owo straszne zapalenie... może-bym potrafiła... albo może-byś ty potrafiła...

— Cobym potrafiła? — pytała Klaudya, zbytnią cierpliwością nieobdarzona — ja się wcale nie obawiam dotknąć go, ale on jest cały w bandażach! Mów-że, o co ci chodzi?... — Kamilla wzdrygnęła się, gdy siostra pewną ręką (jakby rozwijała mumię, czterdzieści wieków liczącą) rozwijała opatrunek Teresy i obnażyła zaognioną ranę, która zjadała życie Hilarego. Ukazało się wtedy sine, ropiejące rozcięcie, z dumnie wydętymi po obu stronach wargami, na co wszystko patrzeć nie mogła Klaudya.

Ale Kamilla zebrała wtedy odwagę, często obok prawdziwej słodczy istniejącą, i o tém tylko w téj chwili myślała, że biedny młodzian opadł na poduszki zemdlony, w skutek nagłego rany odsłonięcia, i że, gdy padał w tył, wargi rany rozwarły się szeroko, całą jej głębokość ukazując.

— Widzę! widzę! ocale go jeszcze! — w kobiecém uniesieniu zawołała — a chociaż posadzała ją Klaudya, że zmysły traci, zerwała jednak Kamilla z łańcuszka mały stalowy, naksztakt szczypczyków, instrumencik, który często noszą dla ozdoby hiszpańskie dziewczęta. Lekkim i zręcznym ruchem potrafiła wsunąć owo narzędzie w głęb rany, i wydobywszy z niej odłam zardzewiałego żelaza, podniosła je ku światłu z tryumfem, poczem upadła na kolana i szlochacząc zaczęła, nie wypuszczając jednak z ręki dowodu swego zwycięstwa.

— Co to! pokaż! — zawołała Klaudya, przyzwyczajona zawsze być pierwszą. — Boże drogi! cóż jest w tém żelazie, że się tak nad niem rozczulasz? Może je tam naumyślnie włożyła Teresa i w takim razie więcej zaszkodziś, niż pomożesz choremu.

— Gdzieżś widziała, żeby dozorcynie dla zagojenia rany kła-

dłży w nią kawałek ostrego żelaza? Ach! okrutnego-to oreża Francuzów odłam! Patrz, jaki poszezerbiony, jaka na nim rdza jadowita! Jak-że męczyć się musiał biedny młodzieniec! Teraz obetrzyj mu czoło octem, bo zręczna jesteś i zawsze przy chorym pożądana. A gdy mu będzie trochę lepiej, pokaż mu to, wnet dobrą myśl odzyska... Nie mogę bawić tu dłużej, słabo mi... pójdę świętej mojej patronce podziękować...

Gdy wróciła stara Teresa i ujrzała pacyenta, wpatrzonego w Klaudyę, a ranę zupełnie odsłoniętą, zaczęła łąjąc oboje i łamać ręce, i kazała Klaudyi wyjść z pokoju; ale dumna panna mówić sobie tego nie dała.

— Ładna z ciebie dozorczyni! — zawołała — nie umiałaś wyjąć ostrza z rany! Czy takie są twoje instrumenta lekarskie? Coby powiedział hrabia de Zamora, gdybym mu pokazała tę próbkę twojej umiejętności leczenia? jak długo trzymał-by cię jeszcze w swoim domu? O ty, ślepa, szalona, cheiwa, pogardy godna kobieto!

Ostatnie te słowa wymówiła z tak gorzką ironią, że okazała postawą Teresy i spalonej jej policzki trząść się zaczęły gwałtownie.

— Na miłość wszystkich świętych, panienko słodka, niech się pan o tém nie dowie! Cudowna siła oczu twoich, panienko, wszystko blaskiem swoim oświeci. Biedna ja starucha, mogłam patrzeć i patrzeć staremi oczyma i nic nie zobaczyć nigdy; ale najpiękniejsza pod słońcem, jaśnie wielmożna panienka, gdy przyszła, natychmiast ocaliła życie pięknego panicza, który ją miłuje.

— Przestańmy już mówić o tém — wspaniałomyślnie odparła Klaudya. Od téj chwili dozorczyni gotowa była przysiądz, a Hilary aż nadto rad wierzyć przysiędze, że ciężko ranny wojownik zawdzięczał życie cudnej urody dziewczycy.

Zawdzięczał je istotnie, ale nie Klaudyi.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.



